ANNA KAMIEŃSKA

WIERSZE

WIERSZE MŁODYCH

MIROSŁAW ŻUŁAWSKI

DRZAZGI BAMBUSA

Z POEZJI RADZIECKIEJ

MAJAKOWSKI – ERENBURG

PROKOFIEW – CZIKOWANI

KAZIMIERZ WYKA

FREDRO, PISARZ LUDOWY

MACIEJ ŻUROWSKI

CO ŁĄCZY

10

TWÓRCZOŚĆ

TWÓRCZOŚĆ

PAŹDZIERNIK 1955

10

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XI PAŹDZIERNIK 1955 Nr 10

SPIS TREŚCI

Anna Kamieńska
DYSPUTA NA TEMAT HORACEGO WIDOK Z GÓR BRANIE MIODU
Str. 5

Stanisław Wygodzki
SĄSIAD
Str. 8

Wiersze młodych

Jerzy Harasymowicz
CHRABĄSZCZE *** (OJCZE MÓJ ZAWSZE...) KSIĘŻYC NAD MUSZYNĄ

Sławomir Kryska
UCIECZKA GWIAZDA

Roman Śliwonik
PRZYPOMNIENIE

Bohdan Drozdowski
POKAZ GIMNASTYCZNY CZEPIAJĄ SIĘ SURDUCIKA ACH POZWÓL MI WESTCHNĄĆ

Jan Zalewski
NIEMIEC KARNAWAŁ TANIEC

Maria Szypowska
OBRONA BEZ TYTUŁU

Marian Ośniałowski
PIASKI

Miron Białoszewski
KARUZELA Z MADONNAMI

Anna Rumlowa
ARAGONOWI NATALIA

Jerzy Skokowski
KONCERT W ZAKOPANEM

Jan Himilsbach
MÓJ SYN
Str. 37

Mirosław Żuławski
DRZAZGI BAMBUSA
Str. 53

Z poezji radzieckiej

Włodzimierz Majakowski
„150.000.000" (przeł. *Seweryn Pollak*)

Ilia Erenburg
MY ZWYCIĘŻYMY (przeł. *Włodzimierz Słobodnik*)

Aleksander Prokofiew
JAROSŁAWNA (przeł. *Bogdan Ostromęcki*)

Simon Czikowani
ODWIEDZINY RYBAKA (przeł. *Irena Piotrowska*)
Str. 99

Kazimierz Wyka
FREDRO, PISARZ LUDOWY
Str. 108

Maciej Żurowski
CO ŁĄCZY
Str. 122

Andrzej Lam
MŁODZIEŻ ŚWIATA O LITERATURZE
Str. 131

Wincenty Danek
SPRAWA PROCESU I SKAZANIA KRASZEWSKIEGO
Str. 135

Zdzisław Najder
CONRAD
Str. 143

Książka miesiąca
NOWE OPOWIADANIA JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO — *Andrzej Kijowski*
Str. 156

Wśród książek
SONETY O WICIE STWOSZU — *Michał Głowiński*
Str. 160

„MUSZKIETER Z ITAMARIKI" — *Wojciech Natanson*
Str. 162

DWA NOWE PRZEKŁADY DRAMATÓW WIKTORA HUGO — *Wojciech Natanson*
Str. 165

TEATR ROMAIN ROLLANDA — *Stefania Podhorska-Okołów*
Str. 170

TOBIASZ SMOLLETT — NAIWNY REALISTA — *Ryszard Wasita*
Str. 174

Na widnokręgu
LIST SZOŁOCHOWA DO REDAKCJI PISMA „LITERATURA ZAGRANICZNA"
Str. 177

RADZIECKA DRAMATURGIA TEATRALNA I FILMOWA — *Józef Spinc*
Str. 178

CZY KONIEC WIELKIEGO BLUFFU? — *Julian Stawiński*
Str. 182

Noty
Str. 188

Korespondencja
Str. 191

Książki nadesłane
Str. 192

REDAKTOR NACZELNY
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, cent. 8-24-11, wewn. 54. Adres administracji: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena numeru zł 7.— Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 8-05-05.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 5132/c dnia 7.IX.55 r. Nakład 5250. Druk ukończono w październiku 1955 r. B-6-12271

Anna Kamieńska

DYSPUTA NA TEMAT HORACEGO

Eheu, że nie znasz Horacego wierszy,
Bardzo mi żal cię, bo tobie nie świeci
Soracte śnieżnym szczytem ani białych
Nie poda ramion Fidyle.

Mówisz, że nie chcesz zakurzonych dziewic
Sorbońskich katedr ani ci potrzeba
Dawno stopniałych śniegów, wypalonych
Lat temu tysiąc mądrości.

Niżeli martwych języków słowniki
Wolisz studiować ścisłe mózgi maszyn,
Serce kamienia chemią myśli badać
I w tym świat kochać, w czym — inny.

Quo pinus ingens — a jednak jak zawsze,
Gwiazdy nam mówią, że żyjemy krótko,
I że odejdzie każdy z nas, skąd żaden —
Nawet nie wrócił Horacy.

I wtedy życie tak kochamy właśnie,
Jak Leuconoe — zbyt ciekawa losów.
Chodź, chodź, najmilszy, rozpalimy ogień
Tej, co znów inna — miłości.

WIDOK Z GÓR

Góry nad wodą klęczą jak praczki,
Pełzną owieczki — białe robaczki,
Młoda kobieta gałązki ścina,
Śpiewu jej pełna dolina.

Wśród łąk zielonych stoi staruszek,
Bije o ziemię urodzaj gruszek,
Chronią się dzieci w tarnin wirydarz,
Krzyczą: Kominiarz, co mi dasz?!

Wtem chmura cieniem chleb ziemi kraje,
Listek listkowi kroplę podaje
I mały deszczyk poszedł ukośnie,
Zapłakał chłopczyk żałośnie.

Migoce rosa na pajęczynie,
Śpieszą się grabie na koniczynie.
W godzinę smutku nic mi nie trzeba:
Tę trochę ziemi i nieba.

BRANIE MIODU

Pszczoły dziś oszalały.
Nad rozhukaną wodą
Jak kuliste pioruny
Gnały ciężkie od miodu.

Gospodarz ul otwiera,
Nagie ręce zanurza
W dusznej głębi i pszczoły
Dymem próchna podkurza.

Pszczelarz wyjmuje ramkę,
Białym piórkiem strąca
Złote owady a czoło
Łokciem ściera od gorąca.

Niosą chłopcy kadź z blachy.
W środku wiatrak chodzi
Z czterech plastrów miodowych,
Mlaska gęsta powódź

I kurkiem ścieka słodycz
W wielki garnek głuchy
Przez sito, gdzie czerw tłusty
I wosku okruchy.

Garnek obwiodły dzieci
Bosymi nogami.
Łakome nosy pchają
W garnek i czasami

Któreś to palcem chciwym
Ciecz płynącą muska.
Kropla miodu na brodzie
Zdradza łakomczuszka.

Gospodarz sam z uśmiechem
Zagłębia w miód łyżkę
I miesza z zimną wodą,
Szkło zmieniając w kryształ,

Wodę — w wino. Sam pije
I dzieciom podaje,
A nie stroniąc od rozmów
Pszczele obyczaje

Opowiada chłopakom —
Swoim pomocnikom:
Jak się rządzą,
Jak walczą przeciw napastnikom,

Jak wypędzają trutnie,
Bo w ulu je cierpią
Najwyżej do pół lata,
Jak miód z kwiatu czerpią,

Które miody najlepsze,
Które znów najzdrowsze
Na serce. Ksiąg nie czytał,
Ale zna się, owszem.

Siostrzeńcowi, co jedzie
W tym roku do szkół — wtyka
Dwie pełne ciemne butle
I ręki umyka

Od jego pocałunku.
O, psiakrew! — mówi — Szkoda,
Dwa pnie nam pozostały.
Byle tak pogoda...

A pogoda na rożkach
Księżycowych wsparta,
Stoi jak dobroć ludzka —
Czysta i uparta.

Anna Kamieńska

Stanisław Wygodzki

SĄSIAD

Mieszkanie pachniało mydlinami, pieluchami, jego ciszę zakłócał w chwili najmniej oczekiwanej głośny i nagły krzyk Karolinki, która od paru tygodni zaprzątała całkowicie uwagę rodziny. Jej matka, Marysia, wyczerpana niedawnym porodem, część dnia spędzała jeszcze w łóżku, gdzie wsparta na ramieniu, przyglądała się z napięciem małej istocie, oddychającej niespokojnie, jak spłoszony ptak. Tym obserwacjom towarzyszył Pawełek, brat Karolinki, który ukończył niedawno trzy lata i był niezmiernie poruszony zapowiadanym od dawna przez rodziców zjawieniem się małego stworzenia. Rodzice zapewniali chłopca, że mu przywiozą małą siostrzyczkę z Krakowa i Pawełek uwierzył temu, mimo iż matka z noworodkiem zajechała przed dom taksówką, która odbyła kurs z Karowej na Piwną. Ale wiara dzieci jest nieograniczona, a ich ufność bezgraniczna.

Pawełek, pierwsze dziecko Marysi, jest moim wnukiem i o nim była mowa w niespokojnych listach jego matki do mnie. Dręczył ją brak pewności, czy będę mogła wyjechać z Pawełkiem na lato. „Pawełkowi — pisała moja córka — potrzebny jest, po zimowych grypach i przeziębieniach, krótki bodaj pobyt nad morzem. Usunęliśmy mu trzeci migdał. Mnie trudno będzie podróżować z wanienką, pieluchami, wózeczkiem..."

Tak więc przybyłam do Warszawy i zatrzymałam się u córki, lecz tu okazało się, że mój zięć, Władysław, nie zdołał na czas przygotować wyjazdu. Nie wiedział jeszcze, w jakim domu zamieszkamy, a chwilami wyrażał powątpiewanie, czy w ogóle uzyska miejsce dla mnie i dla chłopca. Zagadnięty o to, nie odparł nic, tylko ręką wskazał Pawełka, bawiącego się jakimś kółkiem.

— No więc, co z tego? — zapytałam zdziwiona.

— Tam niechętnie przyjmują dzieci. One hałasują, krzyczą i przeszkadzają dorosłym. To nie takie proste.

— Pawełek jest grzecznym chłopcem — wtrąciła Marysia, przysłuchująca się do tej pory w milczeniu naszej rozmowie.

— Tak — odparł Władysław — nawet bardzo. — Wypowiedział te słowa z przekąsem i wnet dodał — Ale o tym, że jest grzeczny, trzeba przekonać kierowników domów wypoczynkowych, a nie mnie.

— Dziecko musi wyjechać — powiedziała Marysia ze smutkiem. — Pawełek chorował całą zimę.

Pawełka widziałam ostatnio w styczniu. Od tego czasu urósł, Marysia przekonywała mnie z dumą, że „zmężniał". Chłopiec był rzeczywiście rosły, gęste, ciemne włosy opadały mu na czoło, które, o dziwo, nie posiadało śladu guzów. Pawełek, rzecz jasna, nie pamiętał już mojej zimowej wizyty, więc nasza znajomość i przyjaźń rozpoczynały się niejako od nowa. Zażyłość nasza miała wszelkie znamiona nowości; Pawełek rozmawiał jeszcze ze mną, nie nudził się w moim towarzystwie, słuchał moich uwag. Słowem, chłopiec przywiązał się do mnie. Stwierdziła to z zadowoleniem również moja córka, która odetchnęła z ulgą, gdy zaczęłam wychodzić z Pawełkiem na spacer, ponieważ przez kilka ostatnich tygodni chłopiec nie wydalał się poza podwórze. W czasie naszej nieobecności Marysia mogła w spokoju porządkować zaniedbane mieszkanie; czyniła to bez obaw, od których nie była wolna dopóty, dopóki Pawełek przebywał w domu. Nigdy nie była pewna, czy nie strzeli mu do głowy zbadać stan uszu lub oczu malutkiej siostrzyczki. Obecnie Pawełek przebywał ze mną poza domem kilka godzin dziennie i Marysia nie posiadała się z radości, że udało jej się zrobić w spokoju to lub owo.

— Strasznie się boję, żeby jej nie wyrządził czegoś złego.

— Trzeba bardzo uważać — odparłam. Nie wiedziałam, że tym niewinnym powiedzonkiem wzmagam jeszcze bardziej niepokój córki.

— Ale jak? Co wpierw zrobić? Kogo pilnować, jego czy Karolinki?

— Jeżeli wyjedziemy, będziesz miała spokój przez kilka tygodni.

— Tak, ale widzisz, jak Władysław załatwia te sprawy. Jakby go to nic nie obchodziło.

— Co on może poradzić? Może mają rację ci, co dbają o spokój.

Z Pawełkiem chodziłam najczęściej nad Wisłę. Wystarczyło przemierzyć niewielką przestrzeń dzielącą Stare Miasto od rzeki, aby stanąć na jej brzegu lub przejść się wybrzeżem. Stały tam ławki pod młodymi drzewinami, można więc było w porze upału znaleźć trochę cienia. Pierwszego dnia, nim zbliżyliśmy się do brzegu, Pawełek nagle przystanął i zwróciwszy ku mnie przelękniony wzrok powiedział:

— Musimy wrócić do domu.

— Dlaczego? Mamy jeszcze czas.

— Ale ja muszę wrócić.

— Co się stało?

— Zapomniałem dać śniadanie mojej dziewczynce.

— Jakiej dziewczynce? — Nic nie pojmowałam. Pawełek zachował taki spokój, że na chwilę rzeczywiście uwierzyłam, iż zostawił kogoś w domu.

— To babcia nie wie, że ja mam dziewczynkę w domu? Muszę jej dać śniadanie — powtórzył zniecierpliwiony.

— Mama jej da śniadanie.

— Nie! Mama ma swoją dziewczynkę, a ja mam swoją.

— Nic o tym nie wiedziałam. A jak się nazywa twoja dziewczynka?

Pawełek zastanawiał się dłuższą chwilę, wreszcie rzekł z powagą człowieka oznajmiającego rewelacyjną wiadomość:

— Marynka.

— A gdzie ona przebywa? Przecież byłam w domu i nie widziałam żadnej dziewczynki. Skąd się wzięła?

— Bo myśmy urodzili dwoje dzieci. Dziewczynka mamy nazywa się Karolinka, a moja Marynka.

— Ach, tak... — Zdawało mi się, że już rozumiem wszystko. — W takim razie dlaczego zostawiłeś ją w domu?

— Bo nie była jeszcze ubrana.

Mijaliśmy jedną z ławek, stojącą pod lichym drzewkiem. Siedziały na niej dwie kobiety zajęte rozmową.

— Babciu, usiądźmy.

Odnalazłam wzrokiem pustą ławkę stojącą nieopodal i powiedziałam do chłopca:

— Chodźmy trochę dalej, o tam, widzisz?

— Nie, ja chcę tu usiąść. Ja jestem strasznie zmęczony.

— Strasznie? — Nie mogłam stłumić śmiechu.

Usiedliśmy zatem obok rozmawiających kobiet, które zamilkły na chwilę, lecz niebawem podjęły przerwaną rozmowę.

— ...więc okazało się, że tam była Heine Medina...

Pawełek zwrócił się ku mnie.

— Babciu, co to jest Heine...

Nie potrafił powtórzyć dziwnej nazwy. Jego wzrok spoczął na moich ustach, czekając uzupełnienia. Wstałam wzburzona i wziąwszy go za rączkę powiedziałam:

— Już odpoczęłam, chodźmy, Pawełku.

Ruszył za mną, nie odwracając oczu od obu kobiet.

— Babciu, co te panie powiedziały?

— Nie wiem.

— Ty wiesz. One powiedziały Heine i jeszcze coś.

— Ja nie wiem, naprawdę nie wiem.

Niedaleko brzegu ukazała się łódź. Ludzie siedzący w niej poruszali pośpiesznie wiosłami. Wskazałam ją chłopcu, chcąc odwrócić jego uwagę od niepokojącej go nazwy. Dwaj wioślarze zgodnym ruchem zginali ramiona poddawszy ciało w tył. Po chwili pochylali się ku przodowi i wówczas lśniły w słońcu wiosła ociekające wodą. Pawełek pobiegł ku brzegowi, lecz niebawem wrócił. Zadyszany rzekł:

— Tam nie wolno stać. Moja dziewczynka mogłaby jeszcze wpaść do wody.

— Rzeczywiście. A nad morze zabierzesz dziewczynkę?

— Zabiorę. Ona by płakała beze mnie.

— A tam nie będzie płakała?

I oto znów przypomniałam sobie, skąd się biorą kłopoty mego zięcia. Masz ci los, pomyślałam. Żaden dom wypoczynkowy nie chce nas przyjąć, ponieważ Pawełek jest za mały, a ten urwis zamierza jeszcze zabrać ze sobą swoją wyimaginowaną Marynkę.

— A co zrobisz, jeśli będzie płakała?

— Kupię jej zabawkę i zaraz się uspokoi.

— A jeżeli mimo to będzie płakała?

Co się ze mną stało? Stawiam dziecku natarczywe pytania, żądając rozwiązania spraw, które będą mnie trapiły, jeśli wyjedziemy! Czy to nie głupota?

— To ja ją wstawię do łazienki — wyjaśnił Pawełek.

Łódź oddalała się szybko, sunęła z prądem cicha i lekka. Niebawem straciliśmy ją z oczu. Za filarem mostu mignęła na chwilę, po czym znowu zniknęła.

— Babciu, a gdzie oni są, kiedy ich nie ma?

— Oni są wtedy daleko.

— Jak daleko?

— Jak stąd do morza.

— A pojedziemy tam?

— Pojedziemy.

Wracaliśmy powoli, zmęczeni, spragnieni. Mieliśmy teraz przed sobą skarpę, jej domy, skupiska drzew, krzewy gęste i ciemne. Jakże dawno tu nie byłam! Ile to lat już minęło? Wszystko dookoła było inne, nowe, odmienione, obce niemal. Wiedziałam, że nieco dalej stąd tkwi Cytadela, jej stok, czerwony mur, pod który chodziłam wtedy, dawno, z Nim, z towarzyszami. Ostatni raz byłam tam w 1927 roku. Wówczas polskich rewolucjonistów polska rozstrzeliwała policja...

Ze skarpy, z wysoka, z niewidzialnego głośnika popłynęła jakaś melodia. Płynęła szeroko w nieogarniętą przestrzeń nad ziemią i wodą, pod niebem ogromnym i czystym.

— Babciu, ja to znam, wiesz? — Pawełek ukazał zęby w uśmiechu, śmiały się jego oczy. Był szczęśliwy. — Wiesz? To jest „Mazowsze". — I tonem nie znoszącym sprzeciwu powtórzył — „Mazowsze"!

— Tak, na pewno „Mazowsze".

— To zaśpiewaj!

— Ja? — Przystanęłam, zdumiona jego żądaniem. — Ja mam śpiewać?

— Tak, ty. Zaśpiewaj.

— Kiedy ja nie umiem.

— Umiesz, na pewno umiesz.

— Słowo daję, ja nie znam tej piosenki.

— To co ty umiesz?

— Ja?

Usiłowałam przypomnieć sobie pośpiesznie jakąś piosenkę, melodię, ale nic nie przychodziło mi na myśl. Ileż to lat już nie śpiewałam? Komu był potrzebny mój śpiew? Umiałam jeszcze śpiewać jedynie wówczas, gdy idąc ulicą czułam, że wokół mnie są ludzie, którzy podejmą melodię, choć mnie już zabraknie tchu... Pawełek niecierpliwił się. Idąc spoglądał ku mnie, nie odrywał oczu od mojej twarzy.

— Dlaczego nie śpiewasz?

— Słuchaj, jak pięknie radio gra. Posłuchaj. — Przystanęłam, pochyleniem głowy nakazując chłopcu łowić melodię skocznej piosenki. Nie poszedł za moim przykładem, zdawał się nie słuchać ani mnie, ani piosenki płynącej z wysoka.

— Ty śpiewaj.

— Ja naprawdę nie umiem śpiewać. O czym ci śpiewać?

— Zaśpiewaj *Kukułeczkę*.

— Ja nie znam tej piosenki. Słowo daję.

— To ty nic nie umiesz? Nie znasz żadnej piosenki?

Głos płynący ze skarpy zamilkł, lecz po chwili znów zabrzmiała melodia, nowe, nieznane przynosząc słowa.

— A tę piosenkę znasz?

— Też nie.

— To posłuchaj.

Przystanęliśmy, lecz nie potrafiłam odróżnić słów. Melodia była raźna, nie znana mi zupełnie. Lecz nie to mnie zmartwiło. Jakże się zestarzałam! Ile to lat już upłynęło od owego czasu, gdy jeszcze nuciłam, gdy znałam jakieś piosenki, melodie, śpiewki, które nuciłam dzieciom. Ile to lat już minęło? Spojrzałam na Pawełka i poczułam, że mój autorytet wzrósłby niepomiernie, gdybym umiała mu cokolwiek zaśpiewać.

Szliśmy ku domowi. Z niewidzialnego głośnika płynęła nowa pieśń. Pawełek uradowany zaintonował melodię i cienkim głosikiem zanucił:

Wyszła Kasia, w ganku stała,
modre oczka zapłakała...

Władysław wrócił tego dnia uszczęśliwiony. Przyznano miejsce dla mnie i dla dziecka. Mówiąc o tym zapewniał nas, że wiedział, iż tak się stanie.

— Ja nie byłam tego pewna — powiedziała Marysia. — Ani u ciebie nie widziałam tej pewności. Nie byłbyś taki zgryźliwy...

— Ja nie byłem wcale zgryźliwy, ale nie lubię, gdy ktoś chce mnie przekonać, że nasz Paweł jest grzecznym chłopcem.

— Nie ciebie, tylko tamtych z wczasów...

— A co oni? Zasłużyli na to, żeby ich w błąd wprowadzać?

— Miałam te same wątpliwości — wtrąciłam. — Pawełek jest dość uparty.

Tymczasem Władysław zabrał się do opróżniania walizy, która miała nam służyć w podróży. Chciał nawet zapakować rzeczy, które, jego zdaniem, mogły być potrzebne synkowi, lecz Marysia spostrzegłszy w porę, co Władysław zamierza wyjąć z szafy, odsunęła go łagodnie i sama zaczęła wykładać jakieś spodenki, sweterki, bieliznę.

W toku tych czynności Władysław opowiadał, jak mu nie wierzyli, że Pawełek jest najgrzeczniejszym chłopcem pod słońcem — mówiąc to śmiał się szelmowsko. Zgodzili się jednak na pobyt chłopca w domu wczasowym pod warunkiem, że osoba towarzysząca dziecku sprawi, iż będzie się zachowywało w miarę należycie.

— Co znaczy „w miarę"? — wtrąciłam. — Kto to ustali tę „miarę"?

Władysław puścił mimo uszu moje pytanie, natomiast dodał:

— Musi się sprawować należycie, w przeciwnym razie...

Władysław nie dokończył ostrzeżenia, które musiało brzmieć bardzo groźnie. Zerknął jedynie na mnie ukradkiem, przez chwilę obserwował, jakie wrażenie wywarły na mnie jego słowa, lecz nie usłyszawszy repliki, zabrał się ponownie do porządkowania rzeczy ułożonych na dnie walizy.

Ja nie byłam jednak tak spokojna, jak Marysia. To, co Władysław powiedział przed chwilą, w sposób dość wyraźny przesuwało odpowiedzialność za sprawowanie się tego małego urwisa na mnie. „W przeciwnym razie..." To dość swoista metoda — pomyślałam z goryczą — zwalać na mnie cały trud, bo jakże miałam ustrzec chłopca, a raczej jego nowe otoczenie przed wyczy-

nami, jakich nie mogła uniknąć najbliższa rodzina? Stało się więc. Za udany lub nieudany pobyt nad morzem ja byłam odpowiedzialna, któż miał bowiem zważać, aby Pawełek swoim postępowaniem nie dawał powodu do skarg wczasowiczów? Marysia stała pochylona nad łóżeczkiem Karolinki. Obserwowałam ją z niepokojem. Spostrzegłam, że wstrząsa nią płacz. Powiedziałam głośno:

— Będę uważała, żeby Pawełek był grzeczny. Będziesz grzeczny? — zwróciłam się do chłopca.

— Nie — rozległo się w zupełnej ciszy. — Nie będę grzeczny.

— To nie zabierzemy twojej dziewczynki.

Pawełek roześmiał się serdecznie i tonem wyższości zakomunikował obecnym:

— Moja dziewczynka już tam jest!

Spojrzeliśmy na siebie tłumiąc śmiech.

Dom w Ustce, w którym mieliśmy zamieszkać, stał na uboczu, daleko od dworca, w uliczce cichej, spokojnej. Wille i domki tkwiły w głębi ogródków sennych i zapuszczonych, oddzielonych od ulicy drucianymi siatkami. Pachniało tu butwiejącym zielskiem, bujnymi trawami; ostatnie kiście jaśminu żółkły wysoko, zapomniane, samotnicze wśród bladego, więdnącego listowia. Nam, idącym od dworca, dokuczał upał i Pawełek, niezupełnie wyspany, powłóczył nogami, zmęczony i obojętny na nowe otoczenie. Nic nie zdołało obudzić jego zainteresowania: ani most rozpięty wysoko nad torami, ani komin wysmukły, sczerniały u wylotu i ozdobiony u szczytu wyciętą w blasze czarną rybą. Pachniało w tej części osiedla wędzarnią, rybą, dymem. Pawełek chciał w pewnej chwili pomóc chłopcu ciągnącemu niewielki, skrzypiący wózek, na który złożyłam naszą walizkę, lecz wnet zaniechał tej czynności. Może dlatego, że chłopiec wlokący wózek był mrukliwy i spojrzał na niego nieprzyjaźnie. Nasz przewodnik był opalony, lekko ubrany i podciągał opadające spodnie ruchem szybkim i zwinnym, który musiał śmieszyć. Na pytania odpowiadał opryskliwie, niechętnie. Cała postawa tego trzynastoletniego pewnie chłopca zdawała się mówić: nie mnie, dorosłemu, gadać o byle czym. To „byle co" zjawiło się istotnie w postaci pytania, postawionego przez Pawełka, gdy nas minęli jacyś ludzie w płaszczach kąpielowych, spod których wyzierały gołe nogi, obute w lekkie pantofle.

— Gdzie to morze?

— Gdzie morze? — powtórzyłam pytanie, obawiając się, że przewodnik nie zechce odpowiedzieć Pawełkowi.

— O, tam — chłopiec machnął od niechcenia ręką. Ten gest nie wyjaśniał nic.

— Daleko? — spytałam.

— Nie.

Szliśmy uliczką opustoszałą, wśród niskich, bielonych murów, za którymi toczyło się niewidoczne dla nas życie. Dochodziły stamtąd głosy dzieci, ktoś nucił. Zadzwonił łańcuch, skrzypnęła furtka.

— Babciu, tu nie ma wcale morza.

— Jest, na pewno jest, zobaczysz, Pawełku.

— Moja dziewczynka mówi mi, że tu nie ma żadnego morza.

Nasz przewodnik odwrócił się i spojrzał zdumiony na Pawełka, po czym przeniósł wzrok na mnie. Zdawał się nic nie rozumieć.

— Ona się myli — odparłam. Chłopiec idący przede mną uśmiechnął się z przekąsem.

— Nie, ona się nie myli. — Pawełek uderzył w płacz.

— To tu — powiedział przewodnik i złożył walizkę.

I tego właśnie brakowało! W chwili gdy zamierzałam przestąpić próg domu, gdzie miałam zamieszkać, zapewniwszy wpierw gospodarzy, że zachowamy się spokojnie, Pawełek rozbeczał się, ale jak! Ryczał teraz pełnym głosem, zanosząc się szlochem, jak wówczas, gdy się dziecku dzieje jakaś bolesna krzywda. Oto staliśmy w cieniu gościnnego domu, którego spokoju nie wolno nam było zakłócić, a Pawełek powtarzał uporczywie, płacząc: „Ona się nie myli, ona się nie myli!" Rozglądałam się trwożliwie, czy nas nikt nie widzi, czy nikt niepowołany nie słyszy jego płaczu. Powiedziałam spokojnie:

— Marynka nigdy się nie myli. Uspokój się.

Przewodnik ciągle czekał. W rozgardiaszu zapomniałam mu zapłacić. Teraz odprawiłam go.

Chwyciłam walizkę i otworzyłam furtkę. Od wejścia ku domowi wiodła dróżka z pojedynczych kamiennych płyt. Wlokąc drugą ręką Pawełka ruszyłam przed siebie. Dom był biały, jednopiętrowy, ozdobiony strzelistym dachem, pokrytym czerwoną dachówką. Minęliśmy ogródek, wreszcie stanęliśmy na nagim placyku, ozdobionym po bokach udeptaną trawą. Na obu jego krańcach tkwiły dwa słupki zakończone zwisającymi luźno koszami. Na samym przejściu spoczywała żółta piłka, porzucona przez nieobecnych w tej chwili graczy. Opanowała mnie nagła radość. Świetny dom! Wspaniały! Skoro jego mieszkańcy uprawiają sport, Pawełek nie potrafi tych młodych prześcignąć ani krzykiem, ani swawolą. Teraz jednak wokoło było cicho, jedynie z otwartych okien parteru dobiegał szczęk talerzy, zmywanych naczyń, dźwięczało szkło. Złowiłam gorące i smaczne zapachy, ciągnące od kuchni: była pora przygotowań do obiadu, woniało smakowicie. Weszliśmy w sionkę, stamtąd schody wiodły na parter, niebawem znaleźliśmy się w rozległym korytarzu, widnym, zakończonym oszkloną werandą.

W tej chwili ukazała się na korytarzu jakaś kobieta. Była drobna, szczupła, ubrana schludnie. Jej siwe włosy, ściągnięte od czoła ku odkrytym uszom, osłaniały twarz pociągłą, smagłą, w której pałały czarne źrenice, młodzieńcze i bystre. Okalająca jej szyję aksamitna czarna wstążeczka dodawała jej uroku postaci ze starych portretów. Zwróciła się do nas i zapytała łagodnie, przenosząc wzrok na Pawełka:

— Wy, towarzyszko, do nas? — I nie czekając odpowiedzi dodała — To chyba pomyłka, u nas w domu nie ma dzieci.

Czułam, jak Pawełek ściska rękę spoczywającą w mojej dłoni. Oddałam uścisk, chcąc mu przywrócić spokój, lecz oto chłopiec wypalił:

— Ja nie chcę tu mieszkać.

— Pawełku, przyrzekłeś mi być grzeczny.

— Nie, ja nic nie przyrzekałem. Dobrze pamiętam. Nie przyrzekałem.

— To proszę być grzecznym bez przyrzeczenia.

Siwa kobieta przysłuchiwała się naszej rozmowie uśmiechając się lekko, ale dla mnie nie była to najprzyjemniejsza chwila. Od momentu gdy tylko stanęliśmy u progu tego domu, wszystko mi się waliło. Już na wstępie Pawełek okazał się chłopcem nieopanowanym, przekornym.

Znaleźliśmy się w niewielkim pokoju wypełnionym biurkiem, szafą załadowaną teczkami. Mała kasetka, tkwiąca na biurku, ukazywała swą zawartość: leżały tam jakieś kwitariusze, bloczki o zielonych kartkach.

— Siadajcie — powiedziała kierowniczka domu. Wymieniła swoje nazwisko, które zabrzmiało jak Sierpińska czy coś w tym rodzaju. — Proszę do mnie mówić po prostu Henryka — dodała sucho. Zbierając kartki porozrzucane na biurku powiedziała: — A więc wy do nas z dzieckiem? — Jej dłoń zawisła w powietrzu w oczekiwaniu skierowania czy listu.

— Tak. Czy nie uprzedzono was, że przybędę z tym oto chłopcem? — zapytałam z lękiem. — Zięć mi mówił, że wszystko załatwił...

Gdy rozmawiałam z kierowniczką, Pawełek rozglądał się po pokoju. Widocznie nie znalazł jednak nic ciekawego, gdyż po chwili podszedł do uchylonego okna i wyjrzał na zewnątrz.

— Owszem — odparła kierowniczka — uprzedzono mnie, ale ja sądziłam, że to starsze dziecko. — Ile lat ma ten chłopiec? — Obejrzała się i patrzała na Pawełka odwróconego od nas.

— Trzy skończył niedawno.

Kierowniczka roześmiała się i dodała:

— Nie wiem, jak to będzie. My tu nie mamy absolutnie miejsca dla takiego chłopca.

— To dobrze! — Pawełek stał przy biurku i mówił — to dobrze, ja tu jestem z dziewczynką.

— Z dziewczynką? — spytała zdziwiona kierowniczka i szukając wyjaśnienia zwróciła ku mnie swe spojrzenie. Była niemal przerażona. — Z jaką dziewczynką jesteś tutaj?

— Z Marynką! Pani nie wie? Ona tu jest! — Pawełek zatoczył dłonią krąg wokół niewidzialnej postaci. — Myśmy urodzili dwoje dzieci. Mama ma jedną dziewczynkę i ja mam jedną.

Kierowniczka zdawała się pojmować powoli, o czym Pawełek opowiada.

— Tak — wtrąciłam. — Mamusia Pawełka ma Karolinkę, która się urodziła niedawno, a Pawełek ma Marynkę. Przecież ona już mieszka tu od kilku dni, a wy jej jeszcze nie znacie?

— Ach, to ta dziewczynka! — Kierowniczka roześmiała się. — Taka mała. A jakże, znam ją, to bardzo miła i grzeczna dziewczynka. Wcale jej nie słychać. A ty jak się nazywasz?

— Pawełek.

— A będziesz grzeczny?

Obserwowałam go bacznie, myśląc z niepokojem o przekorze urwisa. Kątem oczu łowiłam wyraz twarzy kobiety siedzącej w pobliżu, pragnąc wiedzieć, jak przyjmie nie dającą się przewidzieć odpowiedź. Pawełek stał z opuszczoną głową i milczał uporczywie. Kierowniczka powtórzyła:

— A więc, będziesz grzeczny?

Pawełek zaprzeczył w milczeniu.

Na twarzy kierowniczki ukazał się uśmieszek, ledwo uchwytny. Wstała i siląc się na surowość powiedziała:

— W takim razie nie możesz u mnie mieszkać. Trudno.

— Dobraaa!

Pawełek wyraził swoją aprobatę z taką obojętnością, że przez chwilę nie widziałam innego wyjścia, jak wstać, chwycić walizkę i ruszyć stąd najprędzej z powrotem na dworzec. Ten mały głuptas decydował za kierowniczkę i tak niepewną, czy ma nas przyjąć, czy nie. Musiałam ingerować.

— Pawełku, co ty wygadujesz? A gdzie my będziemy spali?

— Mam dla was pokój na parterze — powiedziała kierowniczka — ale ja rzeczywiście proszę o zachowanie całkowitego spokoju. Wasz pokój przylega do innego, zajętego przez wczasowicza w starszym wieku, wrażliwego na każdy głośniejszy dźwięk. To człowiek niemłody już i chory na serce.

Cóż, pomyślałam sobie, będę zważała, żeby Pawełek zachowywał się spokojnie, i dodałam głośno — Uczynię wszystko, aby nie było kłopotów, bo Pawełek to w gruncie rzeczy rozgarnięty i rozsądny chłopiec. — Nie wiem, co pomyślała kierowniczka. Niebawem miała się przekonać o tym, jak Pawełek potrafi się zachowywać w okolicznościach tak szczególnych, jak sąsiedztwo starego człowieka, chorego na serce...

Pierwszą czynnością Pawełka po wejściu do pokoju, wskazanego nam przez kierowniczkę, było przysunięcie krzesła do otwartego okna. Niebawem stanął na nim i wychyliwszy się przyglądał się czemuś uważnie. Zapytałam kierowniczkę:

— Gdzie mieszka ten chory, tu? — Wskazałam na jedną ze ścian.

— Nie, po tej stronie.

— A gdybyście nas ulokowali na górze? Czy to nie jest możliwe?

Rozłożyła bezradnie ręce i odparła:

— Tam nie ma właśnie nic wolnego.

Rozglądałam się po pokoju, który był obszerny, widny. Pawełek, nie zwracając na nas uwagi, tkwił ciągle przy oknie. Wreszcie zdobyłam się na odwagę i zapytałam niepewnie:

— A gdyby tak zamienić?

Kierowniczka zaprzeczyła:

— Gdybym mogła! Sąsiad wasz musi zostać na dole, jemu trudno wchodzić na piętro... A na górze nie mam mniejszych pokoi, wy jesteście przecież tylko z dzieckiem...

Nie dokończyła zdania, gdy się rozległ krzyk Pawełka, który stanął nagle na parapecie:

— Łapmy kota! Babciu, łapmy kota!

— Co takiego?

Czułam, że blednę. Pobiegłam szybko ku oknu, chcąc uspokoić chłopca, ale ten ciągle wykrzykiwał swoje:

— Łapmy kota! Łapmy kota!

Wyjrzałam oknem: wychodziło ono na placyk, który minęliśmy niedawno. Był nadal pusty, piłka leżała jak uprzednio, tylko u furtki, w cieniu jedynej sosny siedział skulony czarny kot. Obojętny na krzyki Pawełka wtulił puszysty łeb w łapy wystawione na słońce. Szarpnęłam chłopca i ściągnąwszy go na podłogę spojrzałam na niego karcąco.

— Temu towarzyszowi naprawdę potrzebny spokój — powiedziała kierowniczka patrząc na mnie z wyrzutem — trzeba dbać o ciszę.

W jej głosie było teraz więcej błagania aniżeli pouczania. Chciałam strofować Pawełka w jej obecności, nie mogłam jednak wydobyć słowa, gdyż byłam bliska płaczu. Co ja zrobię z tym urwisem, jak utrzymać go w ryzach, by nie przeszkadzał sąsiadowi i nie wywoływał gniewu otoczenia?

— Pomóż mi rozpakować rzeczy.

Wiedziałam, że mi będzie raczej przeszkadzał, ale był to chyba jedyny sposób oderwania go od okna i widoku kota, który wywołał u chłopca tyle głośnego entuzjazmu, sam zachowując doskonałą obojętność; gdyby zwiał, nie byłoby powodu do krzyku. Gdy wyjrzałam po chwili oknem, kot jak leżał, tak leżał. Cisnęłam w niego jabłkiem, ale chybiłam, a tymczasem Pawełek wykładał z walizy bieliznę prosto na podłogę, miętosząc ją i ugniatając dowoli. Zgniecioną przeniosłam do szafy i układałam, nie bardzo wiedząc, co robię. Nagle wypłynął przed moje oczy widok Pawełka stojącego na parapecie i dopiero teraz pojęłam, jakim ryzykiem była prośba o zamianę pokoju. Czy nie lepiej się stało, że mieszkamy na parterze? Podeszłam ponownie do okna i zmierzyłam wzrokiem wysokość dzielącą mnie od placyku. Była niewielka: gdyby Pawełek w pogoni za kotem wyskoczył oknem, nic by sobie nie zrobił. Placyk był wprawdzie udeptany, ale w pobliżu muru pozostało trochę zielska i traw. To prawdziwe utrapienie — pomyślałam. Muszę zważać teraz szczególnie mocno, aby Pawełek nie dawał powodów do utyskiwań, bo jeśli nas przeniosą kiedykolwiek na piętro, pilnowanie okna mogłoby się okazać zadaniem trudniejszym aniżeli nakłanianie chłopca, by się sprawował porządnie. Z tych rozważań wyrwał mnie Pawełek, który zapytał:

— Babciu, a gdzie to morze?

W ręku trzymał jakiś sweterek, który miał go chronić przed chłodem wieczornym.

— Zaraz, dziecko, zaraz.

— Dlaczego zaraz?

— Bo musimy się umyć, zjeść, odpocząć.

— Dobraaa!

Na umywalce olbrzymich rozmiarów stała miska i dwa dzbanki. Tuż obok drzwi ujrzałam wiadro na brudną wodę. Pawełek indagował o wszystko, na wszelkie pytania musiałam mieć gotową odpowiedź. Gdy zapytał o to, gdzie będzie spała jego dziewczynka, wskazałam stojące w pobliżu krzesło i powiedziałam:

— O, tu.

— A ty?

— Co ja?

— A na czym ty będziesz siedziała?

— Rzeczywiście. Musimy poprosić o trzecie krzesło.

Dopiero teraz spostrzegłam, jak bardzo muszę zważać na odpowiedzi udzielane chłopcu. Każde nieoględne słowo, każda nieopatrzna uwaga mogła od razu wywołać pragnienie realizacji przyrzeczenia, spełnienia pomysłu. Chłopiec już pytał:

— Dlaczego nie idziesz po to krzesło?

Zapukałam do pokoju kierowniczki. Uniosła głowę znad papierów i spojrzała na nas z zaciekawieniem.

— Czy coś się stało?

— Nie — uśmiechnęłam się i wyjaśniłam, że potrzebne nam jeszcze jedno krzesło dla Marynki. To dla tej dziewczynki — już wiecie, prawda?

— Zaraz to załatwimy — odparła. Mówiąc to rozglądała się za Pawełkiem, który grzebał właśnie w stosie gazet leżących na pobliskim stoliku. Nagle spośród papierów wysunęła się jakaś fotografia, którą chłopiec szybko podniósł i pokazał kierowniczce.

— Ach!

Wstała szybko i sięgnęła po zdjęcie. Jej spłoszony wzrok uciekał, unikając spotkania ze mną. Pawełek zdążył już rzucić okiem na fotografię.

— Kto to jest, babciu?

Kierowniczka otwierała powoli szufladę. Do jakiegoś zeszytu wsunęła zdjęcie.

— To jeden chłopczyk — odparła cicho. Spojrzała na mnie i dodała szeptem — To zdjęcie mojego wnuka, wiecie, Heine Medina...

— Babciu, co ta pani powiedziała?

— Nic nie powiedziała.

— Nie, ona coś powiedziała. Już wiesz, ona powiedziała, jak wtedy nad Wisłą, już nie pamiętasz?

— Nie.

Byłam wstrząśnięta. Ledwo minęło kilka dni, a oto po raz wtóry stykam się z tą straszną nazwą. Nie, nie — powtarzałam w duchu — to niemożliwe. Pawełek na swój uparty, dziecięcy sposób domagał się powtórzenia nazwy, którą usłyszał przed chwilą.

— Babciu, dlaczego nie pamiętasz?

— Pawełku, jak to będzie z tym krzesłem dla twojej dziewczynki? — zapytała kierowniczka. — Czy twoja dziewczynka jest grzeczna?

Pawełek spojrzał na mnie porozumiewawczo. Jego spojrzenie zdawało się mówić: „Babciu, ta pani naprawdę uwierzyła, że ja tu mam dziewczynkę".

Tego dnia Pawełek nie słyszał dźwięku gongu wzywającego na obiad. Umyty, spał na swoim łóżku, wyczerpany do cna niewygodami podróży oraz czynnościami wykonanymi po naszym przybyciu do domu, który się okazał gościnny i przyjazny. Posiłek podano nam do pokoju o dość późnej porze, lecz mimo to zdążyliśmy jeszcze tego samego dnia ujrzeć morze. Kierowniczka tłumaczyła nam dość długo, w którą pójść stronę, by najszybciej dotrzeć do brzegu. Po wyjściu z domu zdawało mi się, że idziemy we właściwym kierunku. Ruszyliśmy przed siebie stromą uliczką i niebawem zbliżyliśmy się do niezabudowanego placu pełnego piachu, cegieł, desek ubielonych wapnem. Nie było tam nikogo. W pobliżu czerniały drzewa kołysane wiatrem, którego tchnienia nie czuło się zupełnie. Tam mrok był gęsty. Ruszyliśmy w tamtą stronę, by niebawem trafić na wąską, krętą ścieżynę, wiodącą w głąb owej ciszy woniejącej grzybami, ziołami. Wysmukłe sosny wrosły w piach, który był złocisty, sypki. Idąc czułam wężyki miałkiego ciepła wdzierające się do pantofli.

— Babciu, mam pełno piachu.

— Nie szkodzi. W domu zdejmiemy buciki.

Ten wiatr szedł z oddali i szum morza dodawał mu mocy. Ukazało się ono

nam nagle jako błękitny, nisko rozpostarty obszar, który przetaczał się, piętrzył, kłując nasze oczy tysiącami migotliwych bryzgów i lśnień. Staliśmy oto na wysokim, piaszczystym brzegu, mając za sobą, zupełnie blisko, ścianę sosen wyniosłą i ciemną. Brzeg kończył się urwiskiem i tam huczała rozbiegana fala, cichnąca i malejąca w miarę jak podbiegała do płaskiej plaży, pełnej ludzi w barwnych kostiumach. Tkwiły tam kosze wypełnione głębokim cieniem, a w cieniu tym spoczywały postacie wystawiające na słońce gołe ręce i nogi. Wiew, który nam towarzyszył od niedawna, targał teraz konarami drzew i oto poczułam, jak moją twarz smagają drobne kropelki wody, unoszone aż tutaj, wysoko. Na dole, pod nami, u ściany urwiska, tam gdzie ludzie wypełniali piaszczystą przestrzeń, zdawała się panować zupełna cisza, niezakłócona wichrem, szumiącym tuż nad naszymi głowami. Pawełek nie pojmował nic. Urzeczony nieznanym widokiem, zaskoczony ogromem nieba, wód, stał chwilę u mego boku, poddawszy naprzód głowę o rozwianych włosach, jakby chłonął to widowisko niepojęte i szalone. Milczeliśmy oboje i nagle chłopiec wyrwał rękę z mojej dłoni. Zdołałam jedynie krzyknąć, ale Pawełek uciekał, umykał, jednakże ciągle miałam go na oku. Gnał przed siebie coraz szybciej, coraz prędzej, jakby szarpnięty gwałtownie olbrzymią siłą, brzegiem urwiska, ciągle jego brzegiem, o krok od stromej, wilgotnej ściany o barwie piachu, opadającej nagłym uskokiem ku plaży. Po chwili ujrzałam go biegnącego krawędzią urwiska w dół, ku morzu.

— Paweł! Paweł!

Biegłam w ślad za nim zdyszana, bez tchu, zmęczona. Z trudem wydobywałam stopy z piachu. Byłam u kresu sił.

— Pawełku! Paweł!

Stał na dole. Lśniąca fala podbiegała łagodnie ku ciemnemu, wilgotnemu pasmu piachu, dotykając niemal jego stóp. Oto ściągał buty, oto stawiał pierwszy krok i nie zważając na moje nawoływania tkwił nad wodą, wpatrzony w jej nieustanny przepływ.

— Paweł!

Szłam ku niemu gniewna, zła na siebie, że nie dość mocno trzymałam jego rękę. Boże, jeden fałszywy krok, a zleciałby z krawędzi urwiska w dół. Teraz, stojąc na plaży u stóp wzniesienia, zmierzyłam odległość dzielącą szczyt od dna piaszczystego pasma i doznałam zawrotu głowy.

— Pawełku, już nigdy...

— Co, babciu?

— Już nigdy, Pawełku. Nie wolno ci tutaj biegać. Tak bardzo się przelękłam.

— Dlaczego, babciu?

Rozbrajał mnie swoim spojrzeniem, nierozumnymi pytaniami, niedorzecznością postępków. Westchnęłam i pomyślałam z goryczą o tych kilku tygodniach, jakie mam spędzić z tym chłopcem, powodującym ciągłe utrapienia, zmartwienia i niepokoje.

— Już nie będziesz tam biegał — wzrokiem wskazałam wzgórze.

Zamiast odpowiedzi usłyszałam:

— A tu wolno biegać? — Wyciągniętą dłonią wskazywał rozkołysany obszar morza. Znów uczynił krok, jakby zamierzał wejść do wody.

— A nie będziesz się bał?

— Nie, na pewno nie, zabaczysz.
— Zobaczymy.
— To ja wejdę.
— W ubraniu? Musisz mieć spodenki, jak wszyscy, widzisz?

W naszym domu mieszkało niewiele osób. Przekonałam się o tym w czasie kolacji, gdy wraz z Pawełkiem zasiadłam do stolika, przy którym mieliśmy jadać. W oczekiwaniu na posiłek przyglądałam się zebranym. Siedzieli po kilkoro przy swoich stolikach, gawędząc swobodnie; z kilku stron dobiegały głośne rozmowy i śmiechy. Byli wśród obecnych ludzie starsi i zupełnie młodzi, opaleni, wysportowani, ubrani różnie. Zajadali z apetytem, niewiele sobie robiąc z nas, i przyznam, że byłam zadowolona, iż nikt nie zwrócił uwagi na obecność gościa, tak różnego wiekiem. Z niepokojem szukałam wzrokiem naszego domniemanego sąsiada, owego schorowanego człowieka, któremu tyle uwagi poświęcała nasza kierowniczka, lecz wśród obecnych nie zauważyłam nikogo, kto wyglądem i wiekiem przypominałby osobę tak czułą i wrażliwą na ewentualne wybryki Pawełka. Nieopodal siedzieli młodzi ludzie, mówiący hałaśliwie, lecz nikogo to nie dziwiło. Dziewczyna śmiejąca się głośno miała na sobie czerwoną suknię, która podkreślała jeszcze bardziej czerń jej włosów, gęstych i opadających niesfornie na oczy o pałających źrenicach, Jej towarzysz, wysmukły chłopak o twarzy niepokojąco bladej, uśmiechał się do niej z pewnym zażenowaniem. Dwaj wysportowani chłopcy, towarzyszący tej parze, mówili na przemian po francusku, wtrącając polskie słowa ze swobodą ludzi obytych z naszą mową ojczystą. Powoli wracał spokój: w pobliżu nie było tej osoby, o której mogłam przypuszczać, że mieszka obok nas. Podano nam kolację i Pawełek zaczął zapamiętale pałaszować chleb, gdy oto pomyślałam o pechu, jaki nas prześladował. Jakże wytłumaczyć Pawełkowi, że od jego zachowania zależy również opinia, jaką sobie ci wszyscy urobią o moim wnuku. Z przekąsem oceniałam skuteczność swoich zabiegów: doszłam do nieodpartego wniosku, że chłopiec niewiele będzie sobie robić z mojej argumentacji. W pewnej chwili pomyślałam, czy nie należałoby wyjść przed dom, aby poszukać kamyków, które by mi pozwoliły odpędzić kota, zanim Pawełek go spostrzeże i podniesie krzyk. Wystarczyło jednak, abym sobie przez chwilę wyobraziła, jak będę wyglądała, gdy zacznę ciskać kamieniami, by porzucić ten zamiar...

Jadalny opustoszał, opuściliśmy go jako ostatni i zmierzając do swego pokoju natknęliśmy się na korytarzu na naszego domniemanego sąsiada. Stał w uchylonych drzwiach pokoju sąsiadującego z naszym, ale nie był sam. Otoczony gronem młodych ludzi — wśród nich zauważyłam również ową dziewczynę w czerwonej sukni i jej towarzyszy, którzy teraz, ożywieni i weseli, mówili po polsku — wyjaśniał im coś głosem spokojnym, przytłumionym nieco. Był to człowiek średniego wzrostu, łysy, o twarzy pełnej, bladej. Nosił okulary, za którymi kryły się bystre oczy o figlarnym błysku. W tej chwili drzwi uchyliły się całkowicie i ukazała się w nich dziewczyna, która podawała nam do stołu: trzymając przed sobą tacę wynosiła z pokoju naszego sąsiada kubeczek, jakieś talerzyki, na których ujrzałam resztki posiłku. Stojący w pobliżu przepuścili dziewczynę i wówczas podeszłam do naszych drzwi. A więc tak — nasz sąsiad jada w pokoju.

To stwierdzenie stanowiło jeszcze jeden powód do rozterki, okazało się bowiem, że chory nie opuszcza swego pokoju nawet wówczas, gdy wszyscy wczasowicze są zwoływani dźwiękiem gongu na posiłki. Mimo woli spojrzałam na Pawełka. Chłopiec był senny i osowiały: nadchodziła pierwsza noc, jaką mieliśmy spędzić w obcym domu, w łóżku, do którego nie przywykł, z dala od ojca i matki. Ogarnął mnie popłoch. Co będzie, jeśli chłopiec przebudzi się nocą i zawoła: „mamo"? Co ja uczyniłam dobrego, wyrażając zgodę na wyjazd! Tymczasem Pawełek, umyty już, nie wykazywał żadnych objawów niepokoju. Układając się do snu zajął miejsce na brzeżku obszernego łóżka. Gdy wyraziłam obawę, że może zlecieć, odparł:

— Babciu, przecież muszę zrobić miejsce dla mojej dziewczynki — i sennym ruchem wskazał puste miejsce obok.

Usnął natychmiast i wnet okazało się, że niepotrzebnie lękałam się upadku. Po kilku minutach Pawełek rozrzucił ramiona, zajmując szerokość łóżka. Stopami dotykał niemal poduszki, na której miałam spać. Pawełek oddychał spokojnie: zapadł w głęboki sen.

Wówczas postanowiłam odwiedzić na krótko kierowniczkę. Siedziała przy swoim biurku zajęta przeglądaniem jakichś rachunków popstrzonych czerwonym i niebieskim ołówkiem. Na mój widok odłożyła robotę i wówczas zapytałam ją, nie ukrywając zaciekawienia, o naszego sąsiada.

— Nigdy bym nie przypuszczała, że to chory człowiek — powiedziałam. — Trzyma się znakomicie i nie robi zupełnie wrażenia człowieka cierpiącego. On żartował z tymi ludźmi, którzy go otaczali, gdy zmierzałam do pokoju...

— Jego zawsze otaczają ludzie — odparła — i pożartować lubi, niemniej to człowiek cierpiący i myślę ze strachem o tym, że będzie miał zakłócony spokój...

— Macie na myśli Pawełka?

Przytaknęła w milczeniu. Po chwili dodała:

— Ci młodzi zwrócili mi na to ponownie uwagę, gdy was zauważyli w jadalnym z chłopcem.

— Ależ to obcy...

— Cóż z tego?

W tej chwili rozległy się nad nami, na piętrze, dźwięki fortepianu.

— A to? — Uniosłam głowę wpatrując się w sufit. Tam ktoś grał Chopina. — A to nie przeszkadza choremu?

Kierowniczka zaprzeczyła.

— Nie. Choremu to sprawia przyjemność.

— Ach, tak.

— Ale nasi młodzi mają się z pyszna — podjęła rozmowę kierowniczka. — Gdy chcą zatańczyć, muszą odwiedzać pobliskie domy, gdzie nikt im nie przeszkadza w hałasowaniu i bębnieniu, nawet do późnej nocy.

Nagle przypomniałam sobie słupki do koszykówki i piłkę porzuconą na placyku pod naszym oknem.

— Przecież widziałam to boisko, jakże więc? Czy grający sprawują się tak cicho, że pozwalacie im na to?

— Widzicie — odparła spokojnie — najważniejsze są te godziny poranne, kiedy nasz chory sypia. W ciągu dnia trochę spaceruje, a wieczorem nikt przecież w siatkówkę nie gra...

Wracałam od kierowniczki znacznie spokojniejsza, zdałam sobie bowiem sprawę, że najtrudniejsze zadanie czeka mnie rankiem, gdy się Pawełek obudzi. To była nie lada ulga owa świadomość, że przez resztę dnia Pawełek będzie mógł dowoli hasać i wykrzyczeć się. Żeby tylko ten kot nie zjawiał się zbyt wcześnie, to wszystko już będzie dobrze...

Przebudziłam się wcześnie i nie chcąc wytrącać chłopca ze snu patrzyłam ku oknu, za którym już był jasny dzień. Niebo bezchmurne, jaśniejące pełnią blasku zapowiadało pogodę, a może i upał. Powoli sięgnęłam po książkę leżącą na stoliku i spoglądając od czasu do czasu na dziecko zabrałam się do czytania. Chłopiec był zaróżowiony, oddychał spokojnie, przez chwilę pomyślałam o zdjęciu znalezionym wczoraj przez Pawełka wśród gazet w pokoju kierowniczki, lecz wnet porzuciłam te myśli i z lubością przyglądałam się nadal śpiącemu. Nagle wydało mi się, że spod przymkniętych na poły powiek chłopiec obserwuje mnie uważnie, nieprzerwanie i to mnie zaniepokoiło. I wtedy zapragnęłam usłyszeć jego głos, ujrzeć gest ręki. Pawełek poruszył się, odwrócił na bok i przeciągając się leniwie otworzył oczy. Rozglądał się po obcym pokoju, czynił to powoli, jakby sobie przypominał miniony czas, wreszcie, w chwili najmniej spodziewanej krzyknął:

— Łapmy kota!

Już spieszył do okna, ledwo zdołałam powiedzieć:

— Tam nie ma żadnego kota.

— Ja zobaczę.

— Idź i zobacz, tylko nie krzycz, nawet jeśli go dostrzeżesz.

— To otwórz okno.

Przez dłuższą chwilę mocowałam się z opornym haczykiem: otwarte okno jęknęło przeraźliwie. Z lękiem spojrzałam ku najbliższemu oknu. Było jeszcze zasłonięte, lecz zdawało mi się, że w odbiciu szyby mignęła czyjaś twarz.

— Zobacz, tu nie ma żadnego kota. — Mówiąc to nie miałam jeszcze pewności, czy kot się nie zjawi, by swoją obecnością zaświadczyć, że znowu okłamałam dziecko.

Pawełek przysuwał krzesło, gdy nagle nastąpiło to, czego oczekiwałam, lecz czemu nie zdążyłam już zapobiec. Krzesło runęło na podłogę. Przerażona patrzyłam na chłopca, łowiąc jednocześnie echa tego wydarzenia. Za ścianą jeszcze było cicho. Pawełek również wylękniony patrzył na przewrócone krzesło. Tłumiąc gniew zapytałam:

— I co teraz będzie?

— Nic — odparł. — Podniesiesz krzesło.

Ręce mi opadły. Musiałam się roześmiać. Podeszłam bliżej ściany i nastawiłam uszu, by usłyszeć, co się za nią dzieje. Zdawało mi się, że ktoś zakasłał, dochodziły stamtąd odgłosy kroków, skrzypnęła szafa otwierana w pośpiechu. Wyobrażałam sobie, że nasz sąsiad ubiera się szybko, by natychmiast wpaść do nas lub do kierowniczki ze skargą na niesforne sąsiedztwo. Powoli dźwignęłam krzesło i przysunęłam je bliżej okna.

— Spójrz, tam nie ma żadnego kota. Tam n i g d y już nie będzie kota.

Pawełek wychylił się przez okno i rozejrzał na wszystkie strony. Pod ręką spoczywającą na jego szyi czułam ciepło dziecięcego ciała, grę mięśni, gdy odwracał głowę. Wszystko w tym chłopcu tchnęło spokojem, jakże więc nie być

łagodną wobec niego? Ile ufności było w jego spojrzeniu, w słowach, którymi wyrażał zgodę, abym podniosła krzesło, które — padając — na pewno obudziło naszego sąsiada.

Nagle Pawełek zeskoczył i chwyciwszy drugie krzesło zaczął je z całej mocy pchać ku oknu. W pewnej chwili oparło się ono jedną nogą o niewielki występ parkietu i ledwo zdołałam je chwycić.

— Co ty robisz? Po co to drugie krzesło?

— Dla mojej dziewczynki! Ona mówi, że tam jest kot, więc niech zobaczy, że go nie ma.

— Dobrze już, dobrze, daj mi krzesło, już ja je przysunę.

Paweł wychylił się przez okno i zwracając się do wyimaginowanej dziewczynki, która miała rzekomo stać tuż obok na krześle, powiedział:

— Widzisz? Mówiłem ci, że nie ma kota? Już go tam n i g d y nie będzie!

Przez kilka następnych poranków Pawełek nie dawał powodów do niepokoju. Wstawał rześki i wypoczęty, a wieczorem zasypiał szybko, zmęczony trudami dnia. Przez liczne godziny byliśmy poza domem, przesiadując bądź na plaży, bądź w chłodniejsze dni udając się na spacery ku wydmom, na których rosły z rzadka sosny i ich skarłowaciała odmiana — przysadziste, gęste krzewy. W dni szczególnie chłodne spacerowaliśmy po ślicznej Ustce, wybierając się niekiedy do centrum miasteczka, gdzie odwiedzałam sklepik, w którym kupowałam Pawełkowi ciasteczko albo czekoladkę. Najwięcej jednak czasu spędzaliśmy na plaży.

Tam chłopiec zawarł pierwsze znajomości, które się zaczynały i kończyły nader szybko, bez długich wstępów i bez bolesnych pożegnań. Byli tam jacyś chłopcy i dziewczynki, dzieci przeważnie starsze, do których Pawełek lgnął od razu całym sercem, aby niebawem zrezygnować z ich towarzystwa. Był dla nich zbyt młody, za mały do swawoli, wiecznie strzeżony przeze mnie. Na domiar złego tamci obrabowali go nader szybko z mitu wyimaginowanej dziewczynki. Dzieci już nie wierzyły w istnienie fantastycznej towarzyszki Pawełka. Zniechęcił się do nich, wyśmiano go.

Czym jest prawdziwa i trwała przyjaźń, miał się Pawełek przekonać niebawem. Któregoś dnia zjawiła się na plaży liczna gromadka hałasujących dzieci. Grupka ta, której przewodziła młoda kobieta, wpadła na plażę przekrzykując się wzajemnie. O tym, że stanowią zbiorowość zjednoczoną w jakiś sposób, świadczyły czerwone berety zdobiące główki chłopców i dziewcząt, z których najstarsza mogła liczyć czternaście lat, najmłodszy zaś — trzy. Gromadka zwróciła na siebie nie tylko moją uwagę; również inni ludzie spostrzegli idących i pięć czerwonych beretów, skupionych wokół jedynej dorosłej osoby, wywołało coś w rodzaju sensacji.

— Czerwone kapturki! Czerwone kapturki! — rozległo się z różnych stron.

— Tak, czerwone kapturki — potwierdziła kobieta, w przejściu uśmiechając się, lecz nie wiadomo było, komu potwierdziła trafność nazwy, jaką ochrzczono hałasującą gromadkę.

Dzieci, wraz ze swoją przewodniczką, oddaliły się od miejsca, gdzie było najwięcej ludzi i w pobliżu mojego kosza kobieta rozpostarła koc. Najstarsze pomagały jej w tej czynności, nazywając ją mamą. Ledwo mogłam uwierzyć, że ta młoda kobieta jest matką pięciorga dzieci. Dopiero gdy przyjrza-

łam się bliżej zgromadzonej w pobliżu czeredce, stwierdziłam niewątpliwe podobieństwo. Teraz starsze dzieci wyjmowały z koszyków jakieś wiktuały: na kocu zjawiły się kubki, z metalowej menażki matka wygarniała maliny. Młodsze, nie przestawszy hałasować, ściągały ze siebie i tak już skąpe stroje i po chwili wszystkie skupiły się w pobliżu nas, ukazując gołe, nie opalone jeszcze ciała. Dzieci pozbyły się prawie wszystkiego — jedynie czerwone berety zachowały na głowach.

— Żeby łatwiej było zliczyć? — wtrąciłam przyglądając się przygotowaniom do kąpieli i plażowania.

— Tak, proszę pani. Żeby łatwiej było zliczyć i dostrzec z daleka. Któż by upilnował taką gromadę! — Mówiąc to kobieta nie przestawała uśmiechać się ufnym, pełnym ciepła uśmiechem, jaki mają ludzie spokojni, pozbawieni lęku.

— To wszystko pani?

— A czyje? — Teraz kobieta roześmiała się głośno. Nie przestawała się krzątać. Jej czarne oczy pod wysokim, czystym czołem były filuternie przymrużone. — Gdy ojciec przyjedzie, będzie mi lżej: pomoże pilnować i liczyć, a ja trochę odpocznę.

— A dlaczego od razu nie przyjechał? Jak pani sobie radziła z tyloma dziećmi w pociągu? Przecież bagaż też musiał być pokaźny.

— Co tam podróż! Wesoło było, ludzie dopomogli. Ojciec dostanie urlop w sierpniu, wtedy przyjedzie. Dopiero będzie radość!

Wyciągniętą dłonią liczyła kubki ustawione na kocu, teraz wyprostowała się, odetchnęła i odgarnąwszy wierzchem dłoni czarne, gęste włosy, rozejrzała się za dziećmi.

— Jak pani sobie z nimi poradzi? Kiedy pani co zrobi?

— A co tam! Górnicy mają tu swój dom, tam mieszkamy, tam nam ugotują. — I znów powtórzyła — Co mi tam!

Pawełek stał już w gromadzie „Kapturków". Najstarszy chłopiec, czarniawy, szczupły, o ostrym nosku i łobuzerskim spojrzeniu, przezywany przez rodzeństwo Babuchem, rozmawiał z Pawełkiem, który był zachwycony widokiem tylu naraz dzieci w czerwonych beretach.

— A czym jest twój ojciec? — pytał Babuch.

— Kompozytorem.

— Ha! Kompozytor! Też mi zajęcie! Żebyś ty widział mojego ojca! — Wszystko było w tym chłopcu chełpliwością; nie tylko słowa. Postawa, gesty, ruchy świadczyły o pewności siebie i wyższości. Powtórzył — Żebyś ty widział mojego ojca!

— To pokaż.

— Kiedy jego tu nie ma. Na dole jest.

— Pokaż! Gdzie? — Pawełek nie spuszczał oczu z twarzy niezwykłego przyjaciela. Był rozdygotany. — No, gdzie?

Dzieci zgromadzone wokoło wybuchnęły śmiechem.

— Ale dał się nabrać! To ci frajer!

— Na dole, to znaczy w kopalni, nogo stołowa!

— Ja nie jestem noga stołowa — odparł Pawełek zbity z tropu. Spojrzał ku mnie, szukając pomocy.

— No, jak twój tata kompozytor, toś noga fortepianowa. Dobra jest!

— Nie — zaoponował raz jeszcze Pawełek.

— Toś bęben albo fujara, albo jeszcze lepiej — trąba! Jerychońska!

Tak więc zaczęło się życie w gromadzie „Czerwonych kapturków". Babuch okazał się chłopcem pełnym inwencji. Zakrzątnąwszy się wokół Pawełka przyjął bez pytania rolę przewodnika, nauczyciela. Mój wnuk podał się pod jego kuratelę bez szemrania, może nawet z uczuciem dumy, płynącej stąd, że najstarszy „Czerwony kapturek" stał się jego przyjacielem. Przysłuchiwałam się ich rozmowom, jednocześnie łowiłam reakcję matki Babucha, która tłumiła śmiech, nie chcąc płoszyć dzieci niepotrzebną ingerencją w ich sprawy. Matka Babucha niewiele miała czasu na przesiadywanie w moim pobliżu: była w ciągłym ruchu, krążyła nieustannie, rozglądając się za dziećmi, widocznymi z dala. Ciągle je liczyła i uspokojona wracała. Siadała na kocu, rozmawiała chwilę i znowu wstawała. Gdy dzieci bawiły się w pobliżu i nie było potrzeby czynienia poszukiwań, rozmawiałyśmy nieco dłużej. Dzieci klęczały nieopodal, żłobiąc w mokrym, ciężkim piachu jakieś rowy, które otoczyć miały wyniosłe wzgórza, lecz te osuwały się powoli i niknęły nieuchronnie pod naporem wody napływającej ledwo widocznymi strumykami do wykopanych kanałów. Budowniczowie byli jednak niestrudzeni. Osiadające wzgórza wyrastały od nowa za sprawą łopatek, którymi dzieci grzebały w piachu. Wokół cierpliwych budowniczych gromadziły się również inne dzieci, które nie miały jeszcze za sobą ciężkich życiowych doświadczeń ludzi wznoszących zamki na podmokłym gruncie.

— Idę do wody — krzyknął Babuch.

W jaskrawym słońcu lśniła spokojna, szeroka fala, biegnąca z oddali spienioną ławą. Woda była zielonkawa i przewalając się dźwigała wzwyż białą grzywę, która opadała niebawem w kotlinę wodną, gdzie głębia ciemniała gwałtownie.

— Idę do wody — powtórzył Pawełek.

Magda, siostra Babucha, brała Pawełka za rękę i oddalała się z nim od brzegu. Pawełek nie spojrzał nawet w moją stronę.

I wówczas przypomniałam sobie odwiedziny u Marysi, kiedy Pawełek miał zaledwie kilka miesięcy. „On odchodzi ode mnie" — krzyknęła z rozpaczą, wskazując mi raczkujące dziecko. — „On odchodzi ode mnie..."

Zapytałam matki Babucha, czy zauważyła, że Pawełek, odchodząc z Magdą, nawet nie spojrzał na mnie.

— Oni zawsze tak odchodzą...

W jej głosie było tyle bezmiernego smutku, że musiałam na nią spojrzeć, lecz wnet opuściłam oczy. Po chwili znów była wesoła, biegała ścigając najmłodsze, które chciało pójść za przykładem Babucha...

Utrapienie, jak wszelkie zmartwienia, przyszło nieoczekiwanie. Już było po kolacji, Pawełek zasypiał, gdy nad nami rozległy się dźwięki fortepianu. Pawełek usłyszał widocznie jakąś znajomą melodię, bo usiadł, a na jego twarzy ukazał się wyraz niezwykłej radości.

— Babciu, to „Mazowsze"!

— Jakie „Mazowsze"?

— No, piosenka „Mazowsza". Nie poznajesz?

— Nie pamiętam — odparłam, nie ukrywając złości.

— Przecież słyszeliśmy już tę piosenkę nad Wisłą, nie pamiętasz?

— Ach, wtedy...
— Tak, wtedy.
Siedział z uniesioną ciągle głową i nasłuchiwał w milczeniu.
Nagle powiedział:
— Zaśpiewaj, babciu.
— Nie znam żadnych piosenek — odparłam surowo. — Śpij. — Jednocześnie zdałam sobie sprawę z tego, co się stanie, jeśli chłopiec się uprze.
— Dlaczego nie chcesz śpiewać? — Chłopiec był bliski płaczu.
— Już ci powiedziałam, że nie znam żadnych piosenek „Mazowsza".
— A jakie znasz?
— Nie znam żadnych.
Pawełek mówił coraz głośniej, lecz nie to mnie niepokoiło. Nasz sąsiad jeszcze nie spał, skoro ktoś na górze grał. Martwiło mnie to, że sen pierzcha, i rzeczywiście, niebawem zjawiła się gderliwość zniecierpliwionego chłopca, połączona z uporem.
— Jutro zaśpiewam, teraz śpij. Już późno.
Nie wiem, co sprawiło, że Pawełek zasnął. Co tu działało? Zmęczenie, siła mojej argumentacji czy też to, że na górze przestano grać? Zasypiając przypomniał mi raz jeszcze, żebym jutro rano dotrzymała słowa. Przyrzekłam, że zaśpiewam.
Chłopiec już spał, a ja siedziałam ciągle i głowiłam się nad przypomnieniem sobie jakichś piosenek. Na próżno! W głowie snuły mi się jedynie poszczególne słowa lub zdania, których nie umiałam powiązać w najprostszą zwrotkę piosenki. Obok pojedynczych słów zjawiły się jakieś kruche wątki melodii, ale w tym wszystkim nie było ani ładu, ani składu. Wiedziałam, że największą radość sprawiłyby mu tak popularne piosenki „Mazowsza", ale ja ich nie znałam. Wtedy, gdy mi nucono, wówczas gdy ja jeszcze śpiewałam, nikt tych melodii nie znał. Inne śpiewałam pieśni, inne towarzyszyły mi słowa. Tekst *Mazura kajdaniarskiego,* słowa *Międzynarodówki* nie wydawały mi się najlepsze do zabawiania chłopca, który głośnym zachowywaniem się mógł obudzić sąsiada. Tak więc nie umiałam pozbyć się zmartwienia.
Ranek minął bez żadnych zakłóceń. Pawełek nawet nie pamiętał, czego się domagał ode mnie poprzedniego wieczoru i jakiego rodzaju przyrzeczenie odebrało mi spokój. Ubrałam go szybko i przeszliśmy do jadalnego, gdzie czekało na nas śniadanie. Myślałam, że sprawa już się zakończyła, gdy oto wieczorem nieznany pianista, spełniający widocznie życzenie chorego, znów zagrał piosenki „Mazowsza". Ciągłe przypominanie tych melodii sprawiło, że któregoś ranka Pawełek, obudziwszy się wyjątkowo wcześnie, ponowił swe żądanie. Na próżno tłumaczyłam i wyjaśniałam, jak niedorzeczna jest jego prośba, ale nic nie pomagało. Pawełek uderzył w płacz.
— Boże, co to za chłopak! Cały dom śpi, a on płacze. Obudzisz wszystkich!
— Powiedziałaś, że będziesz śpiewała.
— Ale ja nie umiem. — Przyglądałam się chłopcu gniewnie, nasłuchując jednocześnie, co się dzieje za ścianą i na korytarzu. Na razie było tam cicho, lecz po chwili trzasnęły jakieś drzwi, rozległy się czyjeś kroki.
— Słyszałeś? Już obudziłeś sąsiadów.
— Śpiewaj!

— Teraz każą nam spakować rzeczy i wyjechać do domu. — Zaczęłam go ubierać pośpiesznie. Ręce mi się trzęsły ze zdenerwowania.

— Śpiewaj!

— Wyjedziemy i nie będziesz się więcej bawił z „Czerwonymi kapturkami".

— Śpiewaj!

U naszego sąsiada zrobił się jakiś ruch. W wyobraźni widziałam starca przemierzającego pokój, niezadowolonego i wzburzonego. Za ścianą skrzypnęła szafa, przesunięto krzesło. Metalicznie zadzwonił dzbanek o miskę, zabulgotała woda. Do tej pory nawet nie przypuszczałam, że tak wyraźnie słychać wszystko, co się tam dzieje. Skoro zdałam sobie z tego sprawę, pojęłam, że równie dobrze słychać tam to, co się dzieje u nas.

— Ja poproszę, żeby ci zaśpiewano te piosenki, ale później, teraz jeszcze za wcześnie.

— Moja dziewczynka mi mówi, że nie jest za wcześnie.

Za ścianą rozległy się szybkie kroki. Chcąc uniknąć niepotrzebnej wizyty wzburzonego sąsiada, zapytałam w popłochu:

— Co ci mam śpiewać?

— *Kukułeczkę.*

— Nie znam żadnej *Kukułeczki.*

Kroki za ścianą stawały się coraz gwałtowniejsze i oto, w tej samej chwili, gdzieś z dna pamięci, spod uśpionych nawarstwień, przeżyć i wydarzeń, jak z gąszczów mrocznego lasu wypłynęła piosenka odległa, wyzwolona — czy ja wiem? — może pod wpływem lęku, że za chwilę zjawi się sąsiad pełen wyrzutów i gniewu.

— Słuchaj — powiedziałam — znam *Kukułeczkę.*

— No, widzisz! A mówiłaś, że nie znasz! — Chłopiec triumfował.

Chciałam zyskać jeszcze jedną chwilę, ów moment potrzebny do uzupełnienia dziur pamięciowych, gdy między członami tekstu ukazują się wyrwy, otwory nie wypełnione jeszcze tekstem, który właśnie przypływa z oddali. Za ścianą przesunięto krzesło, skrzypnęły drzwi szafy. Jeszcze zwlekałam, lecz Pawełek nie spuszczał ze mnie oczu. Zanuciłam, jak mogłam najciszej:

Kukułeczko, ptaszku miły,
dokąd lecisz co masz siły...

Na twarzy chłopca zjawiło się zdumienie, które wnet ustąpiło dziecięcemu rozczarowaniu.

— Nie tak, babciu, nie tak. To nie ta *Kukułeczka!*

— Ależ tak, to jest ta, jaką znam.

Chłopiec patrzył na mnie z niedowierzaniem, wreszcie zgodził się, abym nuciła dalej:

...lecę, lecę nad mą strzechą,
tam starości mej pociechę —
czworo dziatek mam...

Nagle to wszystko zaczęło go śmieszyć. Usłyszawszy nieznany do tej pory tekst i obcą melodię, odkrył w moim śpiewie coś, co go widocznie bawiło niezmiernie. Z twarzy Pawełka nie znikał figlarny uśmiech, którym utrwalał tajemną zmowę, jaka oto między nami powstała.

— To właśnie ta *Kukułeczka,* babciu, to ta!

...kukułeczko ulubiona,
dokąd lecisz niestrudzona...

Nuciłam, myśląc jednocześnie o tym, co się dzieje za ścianą. Zdawało mi się, że panuje tam cisza, nie zdołałam jednak tego ustalić z całą pewnością. Gdy przerwałam na chwilę, aby złowić jakikolwiek dźwięk dobiegający z tamtej strony, Pawełek zawołał:

— A teraz zaśpiewaj inną piosenkę!

— Przecież powiedziałeś, że ta piosenka ci się podoba...

— Ale ja chcę jeszcze inną.

— Jaką?

— No, taką inną, nie wiesz? Inną!

Chłopiec był już ubrany i dlatego zdobyłam się na decyzję:

— Nie znam żadnej innej, chodź, idziemy na śniadanie!

Tego dnia nie zaznałam spokoju. Ciągle wybiegałam myślą naprzód, wyobrażając sobie, co nastąpi nazajutrz, gdy uparty wnuk zacznie się domagać nowej piosenki. Skąd ją wziąć?

Na plaży powierzyłam chłopca najstarszym „Czerwonym kapturkom", Babuchowi i Magdzie, sama zaś usiadłam w głębi kosza, by w spokoju przypomnieć sobie jeszcze cokolwiek. Z pamięci wypłynęły jakieś urywki tekstów, które przebijały się ku mnie z trudem, jak kiełki, z uporem drążące twardą glebę. Doznawałam dziwnych uczuć, gdy w godzinę wspomnień na próżno przywoływałam do nowego życia naiwniutkie jakieś wątki, słowa tak odległe, jak odległa była moja matka, która mi je kiedyś nuciła. Już dawno była cieniem, wizerunkiem wyblakłym na pożółkłej fotografii, echem wspomnień, które kołatały się jeszcze we mnie życiem tak utajonym, że aż nierzeczywistym. Matkę wspominałam wówczas, gdy wydawałam dzieci na świat, przywoływałam ją wtedy daleką i nieobecną, cień, który wypowiadał teraz słowa zapomniane, bez związku. — To dla ciebie, Pawełku — pomyślałam w pewnej chwili — budzę umarłą... — Gorąca łza spadła mi na bezwolną dłoń, która spoczywała na kartce papieru. Nie zdołałam jej zapisać niczym.

— Dlaczego pani płacze? — zapytała matka „Czerwonych kapturków"?

— Nie, ja nie płaczę — odparłam zmieszana. — Czy pani widziała, że ja płaczę?

— Zdawało mi się — powiedziała niepewnie i spojrzała na mnie dziwnie, niedowierzająco.

— Proszę pani, co pani śpiewa dzieciom do snu?

— Nie rozumiem.

— No, co pani śpiewa dzieciom?

— Cokolwiek — rozłożyła ręce, dając mi do zrozumienia, że niezupełnie rozumie moje pytanie. — Bo to mało jest piosenek? Tyle tego w radio. I „Mazowsze", i „Śląsk", i „Warszawa".

Dałam spokój. Ta młoda kobieta nie mogła wiedzieć, o co mi chodzi.

W czasie kolacji stwierdziłam z zadowoleniem, że nie ma już ani pianistki, ani jej towarzyszy. Widocznie wyjechali, bo ich stolik zajęli obcy przybysze o wyglądzie ludzi zmęczonych. No — pomyślałam sobie — o jeden kłopot

mniej. Nie znajdzie się chyba tak szybko drugi pianista, który swą grą będzie Pawełkowi przypominał, jakich piosenek ma ode mnie żądać. Mimo to ja pierwsza pytałam zwykle, co mam zaśpiewać. Ledwo Pawełek otworzył oczy, już byłam przy nim, bo czyż miałam dopuścić do tego, aby chłopiec budził chorego za tą nieszczęsną ścianą, gdzie było zupełnie cicho?

— Śpiewaj *Kukułeczkę* — powiedział mi bez entuzjazmu.

— Ale *Kukułeczkę* już znasz... — Nagle spostrzegłam, że popełniłam coś bardzo nierozważnego. W ciągu ostatnich dni zdołałam przypomnieć sobie zaledwie jakieś niepełne fragmenty dwu innych piosenek, jakiż więc sens w tym dobrowolnym redukowaniu i tak już skąpego repertuaru? Jeżeli Pawełek chce, abym nuciła piosenkę o kułułeczce, czemu odmawiam mu jej, umniejszając o jedną piosenkę i tak już mizerną ilość tekstów?

Przez cały czas mego „koncertowania" za ścianą było cicho: nasz sąsiad widocznie spał, Pawełek nie zdążył go jeszcze obudzić. Mój śpiew musiał być niegłośny, skoro choremu nie przerywał snu. Po *Kukułeczce* przyszła kolej na *Kosa*, który

miał prześliczny głos,
latał pośród drzew,
nucąc piękny śpiew...

Była również piosenka, a raczej jej fragment, o pszczółkach, które

z drewnianego ula,
poleciały het na łąkę,
została matula...

a na łące fiołeczki
kielichy odkryły
i słodziutkim swoim sokiem
pszczółki nakarmiły...

Obserwowałam chłopca uważnie. Dla niego każda z tych piosenek była jeszcze jedną, nieznaną atrakcją, umilającą przebudzenie, dla mnie jednak każde słowo stanowiło nawrót w przeszłość, w dawność. Przyglądając się chłopcu, który przysłuchiwał się nuconym słowom, zyskałam spokój: wiedziałam, że naiwnymi słowami i prostymi melodiami potrafię go nakłonić do zachowania ciszy. Zyskałam powoli pewność, że okres naszego pobytu minie bez zakłóceń. Za ścianą panowała cisza, nie rozlegał się tam żaden dźwięk, żaden odgłos. Jakaż ja byłam szczęśliwa!

Niebawem jednak również te nowe piosenki znudziły się Pawełkowi. Dzień zaczynał się od wątłego, ściszonego nucenia, tak cichego, aby nie budził sąsiada, i jeśli to zasługuje na miano śpiewu, śpiewałam codziennie. Czasami taki „koncert" trwał nader krótko, nieraz jednak przedłużał się, mianowicie wówczas, gdy Pawełek się budził za wcześnie i trzeba było czekać na śniadanie. Któregoś dnia odważyłam się wyjść przed dom, ponieważ repertuar nużył zarówno mnie jak i jedynego — tak sądziłam! — słuchacza. Za ścianą panowała ciągle niczym niezmącona cisza, lecz ledwo przestąpiliśmy próg, ujrzałam naszego czarnego kota, siedzącego u furtki. Już było za późno!

— Łapmy kota! Łapmy kota!

Cóż z tego, że zdążyłam wciągnąć chłopca na schody. Gdy wróciliśmy do pokoju, usłyszałam za ścianą kroki sąsiada. Przebudzony chodził z kąta w kąt, pokasłując z lekka. Słyszałam, jak otwiera szafę, potem zadzwonił dzban, z którego wylewał wodę do miski. Nie było wątpliwości, Pawełek obudził go swoim krzykiem.

Od tego wydarzenia każdy dzień, niezależnie od tego, czy się rozpoczynał o siódmej, czy o szóstej, witany był nieodmiennie moim ściszonym śpiewem, lecz po kilku dniach stwierdziłam niepokojące zjawisko. Dopóki nuciłam, w sąsiednim pokoju było cicho, nie dobiegały stamtąd kroki starca, nie skrzypiała podłoga, nie otwierano piszczącej niemiłosiernie szafy. Ale gdy tylko mój — pożal się Boże — śpiew się urywał, chwytałam dźwięki dobiegające zza ściany. Rozlegało się tam powolne, ciche stąpanie; kroki już to się oddalały, już to zbliżały lub milkły, by znowu się wzmóc. Łowiłam przytłumiony kaszel.

Czyżby ten mój śpiew, doprowadzony niemal do szeptu, budził mimo wszystko sąsiada? Tak, nie było już dla mnie wątpliwości, że tak jest. Rano, dopóki chłopiec spał, w pokoju sąsiada było cicho; gdy rozpoczynałam swoje nucenie, cisza za ścianą panowała nadal. Dopiero gdy milkłam, gdy u nas było cicho, tam zjawiały się znaki życia.

Wystarczyło poświęcić tym obserwacjom nieco uwagi, aby dojść do nieodpartego wniosku, że budzę chorego. Nuciłam więc coraz ciszej, tak cicho, że chłopiec wpijał we mnie wzrok, by z układu ust pojąć słowa. I to zaczęło go właśnie śmieszyć: był pewien, że to nowa jakaś zabawa wymyślona przeze mnie, a polegająca na dziwacznym składaniu ust i ledwo uchwytnym wypowiadaniu słów. I mimo że przychodziło mi to z trudem, pogodziłam się również z tym nowym obowiązkiem. Czegóż bym nie uczyniła, aby nie obudzić śpiącego sąsiada? Poskutkowało — pomyślałam z radością. — Pawełek nie ma powodu do niezadowolenia, wszak nucę mu piosenki, a choremu nie przeszkadzam — zza ściany nie dochodził mnie w czasie śpiewu żaden głos, najlżejszy nawet szmer... Podczas tych nasłuchiwań wydawało mi się chwilami, że znów jestem w celi i łowię najmniejsze echo, najlżejszy dźwięk, znak życia od towarzyszy...

Nie, źle, zupełnie opacznie tłumaczyłam sobie ciszę panującą za ścianą. Musiałam widocznie jednak uczynić coś, co zwróciło uwagę sąsiada. Spostrzegłam to owego dnia, gdy nasz chory, wbrew zwyczajowi, zjawił się w jadalnym w porze obiadowej: usiadłszy samotnie przy wolnym stoliku, zwracał ku nam swoje zimne spojrzenie i nie odrywając od nas oczu przyglądał się uporczywie Pawełkowi, a może i mnie. Nie czekał jednak na posiłek, bo nagle wstał, odwrócił się, jakby chciał uczynić krok w naszym kierunku, i w ostatniej chwili ruszył ku drzwiom, za którymi zniknął.

Czyżby mu zabrakło odwagi, by podejść do mnie i powiedzieć najzwyczajniej: „Proszę pilniej uważać na chłopca, by nie krzyczał tak donośnie, jak kilka dni temu, gdy o wczesnym ranku zawołał na podwórzu to swoje: „ łapmy kota!"? Poczułam całą swoją bezradność, gdy sobie uprzytomniłam, że wszelkie prośby chorego nie zdadzą się na nic, skoro nie potrafię tak postępować z chłopcem, aby ciągle pamiętał o istnieniu naszego sąsiada, któremu dokucza każde głośniejsze słowo. Jak postąpić, aby uniknąć jego wyrzutów? Zmusić chłopca do milczenia? Nie widziałam żadnej racji ku temu, lecz gdybym ją

nawet pojęła, nie bardzo wiedziałam, co należy uczynić, by osiągnąć ten efekt. Wybrałam więc na razie najłatwiejszą drogę: postanowiłam obiad jadać w pokoju, aby nie stykać się z sąsiadem. Kierowniczka, zapytana, co sądzi o tym, odparła, że nie ma nic przeciwko temu.

— A śniadanie? — pytała w dalszym ciągu.

— Nie, skądże! — Ledwo zdołałam się opanować. Tego jeszcze brakowało, abym o rannej godzinie, tej najtrudniejszej, przebywała w pokoju. — Nie — wyjaśniłam. — Śniadanie chętnie zjemy w jadalnym.

— Dobrze — odparła kierowniczka — bo rano nasze dziewczęta są bardzo zajęte, ale obiad chętnie wam podamy do pokoju. — Urwała, by po chwili wyjaśnić, że zgadza się na to, ponieważ Pawełek jada zbyt powoli, co z kolei zmusza obsługę do czekania, aż ostatni gość opuści jadalny...

I wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby któregoś dnia Pawełek nie zażądał ode mnie nowych piosenek. Na nic się nie zdawała siła przekonywania, niewiele wskórałam przemawiając do niego gniewnie, podniesionym głosem. Już nie pamiętałam nic, żadna piosenka nie przychodziła mi na myśl. Ale Pawełek nalegał, powtarzając nieustannie swoje: „Śpiewaj, śpiewaj, dlaczego nie śpiewasz?" Byłam bliska płaczu, gdy nagle...

Do tej pory ciągle szukałam piosenek dla dzieci, dlaczegóż nie miałabym zaśpiewać Pawełkowi piosenek innych? W mojej pamięci żyły teksty tak bardzo związane z goryczą minionych lat, że skoro owa gorycz minęła, nie było już potrzeby powoływania do życia słów, które towarzyszyły tym odległym czasom. Gdy patrzyłam na Pawełka, trwającego w oczekiwaniu, pamiętałam, że przecież nie znam piosenek, które on śpiewa... Tak rodzą się pokolenia i odchodzą, tak powstają pieśni i znikają... Ja wiem, że to, co powiedziałam przed chwilą, kryje w sobie jakąś nutę biblijną, ale to nie było zwykłe tylko stwierdzenie, że mijamy i nikną z nami słowa, które nas kiedyś ożywiały. Jakież to inne treści towarzyszyły rodzicom Pawełka, Pawełkowi, całemu pokoleniu, które się ukształtowało w ostatnich dziesięciu latach w naszym kraju! Co zaśpiewa Marysia swojej Karolince za pół roku; za rok? Wiedziałam, z jaką pieśnią Pawełek przejdzie w dniu 1 Maja przez ulice Warszawy za trzy lata, za dziesięć lat, ale wiedziałam również, że już nigdy nie pozna smaku tej pieśni, z którą przebijaliśmy się środkiem ulicy, prąc naprzód pełni nadziei, struci goryczą, ogarnięci porywem, buntem. Lecz któż mógł wtedy określić porę jego spełnienia?

Tłumiłam łzy, tłumiłam głos, wzbierający uczuciem, które wdziera się z nieokiełzaną siłą i niweczy wszystkie tamy wzniesione przez rozum i rozsądek. To wszystko nie zdało się na nic. Nuciłam nie ukrywając łez i wzruszenia. Nie pamiętałam, że czynię to po to, aby Pawełek zachował ciszę. Łkając nuciłam:

Nie ma chleba,
a żyć trzeba,
robotnika ciężki los...

Pawełek patrzał na mnie z napięciem, potem jego usta drgnęły.

Smutne tony,
biją dzwony,
to kajdanów słychać głos.

Wiedziałam, że powinnam przestać. Pawełka wzruszały nie słowa, lecz moje łzy, ale ja już nie umiałam panować nad sobą. Wróciło wszystko, jak wtedy, gdy w jakimś nagłym skrócie, w ułamku sekundy, człowiek widzi całe swoje życie. Jeszcze łkałam. Chłopiec, oparłszy ręce o moje kolana, wpatrywał się uporczywie w moją twarz.

Na poduszkę główkę złóż,
nie mów nic i oczka zmruż.
Robotnika dziecię śpi
i o czarnym chlebie śni.

— Nie! Nie! — Pawełek płakał wraz ze mną. — Nie, ja nie chcę tej piosenki. Nie śpiewaj!

Uspokajał się powoli, jeszcze pochlipywał z cicha, pytając:

— Dlaczego płakałaś?

— Tak sobie. Przypomniało mi się.

— A ja nie chcę, żeby ci się przypominało. Zaśpiewaj co innego.

Za ścianą było zupełnie cicho. Nastawiłam uszu, wysilając słuch. Nic. U furtki rozległy się głosy. Wiedziałam, że to „Czerwone kapturki" przyszły, aby zabrać Pawełka. Babuch stanął zdyszany pod oknem i wspiąwszy się wsadził głowę do naszego pokoju.

— Te, noga fortepianowa, chodź, zobaczysz prawdziwego górnika. Ojciec przyjechał. Tylko nie marudź, bo idziemy z familią na plażę!

Przez kilka dni było chłodno, padał deszcz i tym tłumaczę sobie, że Pawełek sypiał wówczas dłużej niż zazwyczaj. Budził się późno, wstawał niechętnie. Nie można było oddalać się od domu, pokój stał się nieprzytulny, jakby jesień przeszła tędy i zostawiła tchnienie wiatru i wilgoci.

Wówczas to spostrzegłam, że choć Pawełek sypiał dłużej i nie musiałam mu nucić, za ścianą rozlegały się kroki sąsiada. Po chwili milkły i cisza trwała dość długo. W naszym pokoju było nadal cicho, słyszałam więc wyraźnie, że sąsiad się przechadza. Potem otwierał jakąś szufladę, następnie piszczące drzwi szafy. Skrzypnęła podłoga. I znów cisza trwająca długo.

Obserwując śpiącego, ciągle łowiłam odgłosy dochodzące z sąsiedniego pokoju. Teraz chory wstał, przechadza się, zamyka okno, usiadł. Musiał usiąść na łóżku, bo dobiegł mnie głuchy dźwięk sprężyn. I oto okazało się, że nie my jego, tylko sąsiad budzi mnie za wcześnie, o wiele za wcześnie. Miałabym ochotę jeszcze pospać trochę, a u niego ciągle słychać było jakiś ruch. Niebawem odgłosy te milkły, ale ja nie mogłam już zasnąć. Co ten człowiek wyczynia tam za tą ścianą? Do niedawna nie było go słychać, a teraz wstaje tak wcześnie i krąży po pokoju... Zdarzało się nieraz, że już, już zasypiałam ponownie, gdy oto znów skrzypnęła podłoga u niego w pokoju.

Teraz, gdy miałam całkowitą pewność, że moje „koncerty" nie budzą chorego, ponieważ wstaje wcześniej od nas, Pawełek, jakby świadom tego, nie prosił więcej o piosenki. Wiedziałam, a raczej domyślałam się, dlaczego nie zgłasza swoich żądań: znudziły go znane, a jedyna nowa była tak smutna, że wolał jej nie słuchać.

Po kilku dniach znów pokazało się słońce i w południe poszliśmy na plażę. Już z dala ujrzeliśmy gromadę „Czerwonych kapturków" i przywitanie Ba-

bucha i Magdy z Pawełkiem było szczególnie radosne: Babuch dumny z przybycia ojca, rosłego, przystojnego mężczyzny, który z lubością gładził czarne, gęste wąsy, miał wiele do opowiedzenia. Okazało się, że mimo złej pogody, mimo deszczów i wiatru, Babuch chodził codziennie z ojcem nad morze, gdzie zażywali kąpieli.

— Dwóch nas było — wykrzykiwał Babuch, machając z ożywieniem rękami. — Wyobraź sobie, nas dwóch i nikogo więcej. Wszyscy leżą pod pierzyną, a my — znów wskazał na ojca — dwaj buch do wody!

Właśnie w owe dni Babuch odkrył, że można ręką złowić meduzy. Wnet ruszył ku głębinie i pochylony przyglądał się czemuś uważnie. W pewnej chwili złożył obie dłonie, zanurzył je i unosząc wysoko ręce ociekające wodą ruszył ku brzegowi, wykrzykując radośnie:

— Meduza! Meduza!

— Babciu, Babuch ma Heine meduzę...

Nie wierzyłam własnym uszom, ledwo zdążyłam powiedzieć cokolwiek, matka Babucha krzyknęła z lękiem:

— Co takiego?

Musiałam się roześmiać i już miałam wyjaśnić przestraszonej kobiecie, w jaki sposób powstało zabawne połączenie obu wyrazów, gdy Pawełek wszczął niesamowity krzyk.

— Co ci się stało?

— Babciu, gdzie oni mają wisłaki?

— Co takiego?

— No, wisłaki, patrz!

Nieopodal ukazała się łódź motorowa, która dała wcześniej znać o sobie krótkim, urywanym pykaniem motoru. Obecnie, gdy się zbliżyła do brzegu, Pawełek zauważył, że łódź nie posiada wioseł.

— Wiosła, a nie wisłaki.

Zawstydzony przybiegł do mnie, nie zwracając już uwagi ani na łódź, ani na matowe, białawo-sine meduzy, które Babuch wpuszczał do wiaderka.

— Wyciep to świństwo, mówię ci — powiedział surowo ojciec Babucha.

— Ale jak to było z tą Heine meduzą? — nalegała matka Babucha.

Nagle, u wejścia na plażę, tam gdzie kosze ustawione obok siebie imitowały bramę, ukazał się nasz sąsiad. Poznałam go łatwo: był jedynym człowiekiem w promieniu dziesiątków metrów, który miał na sobie marynarkę, krawat, nakrycie głowy. Przystanął u wejścia, by nabyć bilet, widziałam, jak odbierał karteczkę zezwalającą na wstęp, po czym wkroczył na plażę rozglądając się na wszystkie strony. Coś mnie tknęło i powiedziałam szybko do Pawełka:

— Zbieraj się, musimy już pójść.

— A to dlaczego? — zapytała matka „Czerwonych kapturków". Uniosła głowę i wziąwszy na świadka męża dodała: — Piotrek, taka wspaniała pogoda, a pani zabiera się do domu.

— Już musimy pójść.

— Jak musicie, to idźcie sobie — rzekł górnik. Obojętnie wzruszył ramieniem. — A co mnie tam do tego...

Matka „Czerwonych kapturków" obserwowała mnie niedowierzająco i przyglądając się, jak ubieram w pośpiechu Pawełka, dodała:

— Nie rozumiem, dlaczego pani pozbawia dziecko słońca. Tyle dni nie było plaży.

— My tu jeszcze wrócimy, jeszcze przyjdziemy, ale teraz musimy już odejść. My na pewno tu wrócimy.

Nasz sąsiad kroczył powoli, rozglądając się na wszystkie strony. I wtedy przypomniałam sobie, że nie ma absolutnie powodu, abym uciekała przed nim. Przecież on mnie budzi codziennie tak wcześnie, zbyt wcześnie! To on swoim dreptaniem i łażeniem po mieszkaniu odpędza ode mnie sen. Niech więc on raczej zważa na sąsiedztwo i nie wszczyna tak wcześnie hałasów, które nie pozwalają człowiekowi spać. Oczywiście, powinnam była spokojnie zostać, ale jak wytłumaczyć matce „Czerwonych kapturków" tak nagłą zmianę decyzji? Jak pozostać, skoro przed chwilą tak nagliłam Pawełka do odejścia stąd?

— My tu na pewno wrócimy — dodałam uspokajająco i wraz z chłopcem ruszyłam w tę stronę plaży, gdzie było wyjście, prowadzące ku wzniesieniu, którym Paweł pobiegł pierwszego dnia pobytu nad morzem.

— Dlaczego idziemy tędy? — zapytał Pawełek. — Przecież mówiłaś, że tędy nie wolno chodzić.

— Tak. Masz rację, tędy rzeczywiście nie wolno chodzić. Wracamy, Pawełku.

Nasz sąsiad szedł teraz środkiem plaży rozglądając się wokoło. Kroczył w pełnej gali, pod obstrzałem oczu ludzi ledwo odzianych, zdziwionych, zaskoczonych niemal pojawieniem się człowieka, który nie zdjął nawet kapelusza.

Jeszcze byliśmy daleko od ludzi, gdy nas dostrzegł i natychmiast przyspieszył kroku. Szłam ku niemu nie myśląc nawet uniknąć spotkania lub uchylić się od rozmowy, która mogła, która powinna być przykra, ale raczej dla niego. Myśmy się zachowywali absolutnie cicho — to on nam przeszkadzał. Byłam gotowa rozmówić się z nim spokojnie, nie brakło mi argumentów, aby odeprzeć ostro jego zarzuty, gdyby je postawił.

Ujrzawszy mnie z Pawełkiem uchylił kapelusza. Uśmiechnął się zdawkowo i powiedział:

— Od tylu dni mieszkamy obok siebie, że wypada już chyba zawrzeć znajomość. — Wymienił swoje nazwisko i wnet dodał usprawiedliwiającym tonem — Nie mogłem do tej pory pomówić z wami, bo źle się czułem, ale dziś postanowiłem poszukać was, aby pogadać.

Ani z tonu, ani z wyrazu twarzy sąsiada nie mogłam wywnioskować, do czego zmierza. Widziałam blisko jego oblicze, oczy nieco wypukłe, jakby się nie mieściły w orbitach. Widziałam jego łysą czaszkę, której nie nakrył kapeluszem. Ciągle go trzymał w dłoni.

— Słucham was — powiedziałam. Spojrzałam na Pawełka, jakby szukając u niego usprawiedliwienia dla ciszy, która nagle zapanowała. Z oddali dochodziły nas krzyki „Czerwonych kapturków". Najgłośniej wykrzykiwał Babuch, który pewnie znów wracał na brzeg z bogatym połowem meduz.

— Jakby wam to powiedzieć — nasz sąsiad mówił powoli, z namysłem, przenosząc wzrok już to na mnie, już to na Pawełka. — Wy tam śpiewacie u siebie w pokoju — dodał zniżając głos do szeptu.

— A tak, śpiewam. — Czułam, że wzbiera we mnie długo tłumiony gniew.

Byłam wzburzona. — Śpiewam — powtórzyłam — i dodałam jeszcze głośniej. — A bo co? Czy to wam przeszkadza?

— Nie, nie, skądże! — Zamachał rękami, jakby się opędzał przed jakimś złośliwym zarzutem. Teraz spostrzegł, że trzyma ciągle kapelusz w ręce, więc nałożył go na głowę. — Ależ słuchajcie, nie, skądże! — Wydawał się wystraszony, przez chwilę milczał, jakby szukał słów. — Ja chciałem was prosić, ja chciałem... — Urwał, by po chwili podjąć zdanie. — Ja chciałem was poprosić, ale nie miałem odwagi, wiecie, człowiek nigdy nie wie, z czym się spotka...

— Ale o co chcieliście prosić? Ja ciągle nie rozumiem.

— Chciałem was prosić, żebyście śpiewali głośniej. Chciałem was zapytać, dlaczego tak cicho nucicie tamte piosenki. A ostatnio, toście nawet zupełnie przestali. Wiem o tym, bo wstaję wcześniej, sądząc, że może śpiewacie, zanim ja się zbudzę... Coraz wcześniej muszę wstawać i czuwać...

— Byłam pewna, że to wam przeszkadza.

— Ależ, skądże! Na pewno nie, wierzajcie mi. To strasznie męczące tak stać przy ścianie z przytkniętymi do muru uszami, żeby złowić cokolwiek. — Uniósł dłoń i wskazawszy na uszy dodał: — O zobaczcie, ja przecież uszy okaleczyłem przy tej ścianie.

— Ale dlaczego? Nie rozumiem. Co wy znajdujecie w tych piosenkach?

— Tak to strasznie dawno temu, tak strasznie dawno, że już nawet nie pamiętam słów. Dopiero wy, rozumiecie, tak jakby matka znowu nuciła, rozumiecie? — Każde słowo przychodziło mu teraz z trudem i chyba dlatego powtórzył: — To tak dawno, tak strasznie dawno. Już nie pamiętałem, że takie piosenki kiedyś istniały, o tej kukułce i o kosie...

Stałam milcząca, ściskając mocno rękę Pawełka, który przysłuchiwał się cierpliwie naszej rozmowie.

— I dałbym wam może spokój, wiecie, nie warto przecież głowy zawracać obcym ludziom z powodu tej tam jakiejś piosenki. I dałbym spokój, gdybyście kilka dni temu... Gdyby nie ta kołysanka... — Zdjął okulary i sięgnął po chusteczkę, aby nią przetrzeć szkła, ale widziałam, że to nie szkła zaszły mu wilgocią. Po jego policzkach potoczyły się dwie duże łzy, dwie młodzieńcze łzy starego człowieka.

— Wiecie, tej piosenki już się u nas nie śpiewa, ona nie jest już nikomu potrzebna, ale mnie towarzyszyła przez długie lata...

— Mnie również.

— I teraz myślę, że chyba już dobrze, że nikomu nie trzeba tej pieśni, jak myślicie? Prawda?

— Czy ja wiem? Pawełek się rozpłakał, kiedy ją usłyszał.

— Bo nie trzeba było śpiewać tego dziecku. Naszym dzieciom — poprawił się — naszym wnukom już nie trzeba tych piosenek. — Odwrócił się i uniósłszy dłoń, którą osłonił oczy przed rażąco jaskrawym słońcem, dodał:

— Widzicie, tam jest taka gromadka ludzi, o tam, gdzie te czerwone czapeczki, widzicie? Przechodziłem tam przed chwilą, to rodzina górnika. Słyszałem, jak im mówił o węglu, czy myślicie, że tym dzieciom trzeba piosenek o czarnym chlebie, który się przyśni głodnym nocą?

— Wiem, że nie, ale ja nuciłam tę piosenkę Pawełkowi, żebyście wy mieli spokój u siebie.

— Spokój? Coście powiedzieli? Żebym ja miał spokój? Od tego dnia czekałem, ciągle czekałem, kiedy znów ją zaśpiewacie. Co to za męka takie nasłuchiwanie! A wy mówicie, że to dla mojego spokoju...

„Czerwone kapturki" porzuciły z krzykiem rodziców i ruszyły ku nam, wyprzedzane znacznie przez Babucha i Magdę. Biegnąc Babuch wołał z dala:

— Paweł, co tam będziesz stał z tymi starymi! Chodź do nas, mam znowu Heine meduzy! Prędko!

Paweł patrzał na mnie niezdecydowanie, trzymałam go mocno za rękę. Sąsiad spojrzał również ku biegnącym dzieciom i uśmiechnął się. Teraz doleciał mnie głos Magdy:

— On nie pójdzie, bo się boi łodzi bez wisłaków!

Wypuściłam dłoń Pawełka z mojej. Chłopiec pobiegł przed siebie, wołając:

— A pójdę, właśnie że pójdę! Już idęęę!

Stanisław Wygodzki

Jerzy Harasymowicz

CHRABĄSZCZE

Pamiętam — przynosił do redakcji wiele, wiele wierszy.
Były one jak ogromne tuby papieru, wypełnione powietrzem, obszyte kolorowymi opakowaniami po cukierkach.
Gdy uderzało się w nie ręką — pękały z hukiem.
Przeto nie miał szans. Gdzieś w maju, gdy niebo na dobre już zarosło złotymi promieniami słońca — przestał przychodzić.
Raz wybrałem się do niego.
— Zygmunta nie ma w domu, ale może niedługo przyjdzie, niech pan zaczeka — rzekła jego matka i podsunęła mi fotel trzcinowy, śpiewający jak pijany starzec.
Naraz usłyszałem hałas, który dochodził z szuflady stolika. Podobny dźwięk czyni gęsty deszcz, ćwiczący na napiętym pergaminie. Zaciekawiony — spytałem gospodyni. Przez chwilę nie chciała odpowiedzieć, lecz potem okazało się, że są to chrabąszcze, które Zygmunt zamknął razem ze swymi wierszami.
— ...On miał dużą gorączkę — ciągnęła dalej — rzucał się, wyrywał i powiedział, że przynajmniej te chrabąszcze będą czytały jego wiersze.
— No dobrze — rzekłem — ale gdzież wobec tego jest Zygmunt, przecież mówiła pani, że miał gorączkę.
Zaczęła płakać.
— Och, co za komedia, przecież chyba nie umarł?
— Nie... Nie...
Więc już tylko wyjąkałem:
— No... dobrze... ale te chrabąszcze można... chyba wypuścić...
— Nie... na razie nie... syna odwieźli... razem z kluczykiem...

*
* *

Ojciec mój zawsze życzył sobie, bym był referentem.
Ale — proszę ojca — czy referentowi sypią się jabłka z ucha
i czy wolno mu nocą okopywać na niebie gwiazdy
łopatą szeroką jak pół sułtanowego brzucha?...

Ach, do cholery, więc może z tego chłopca
będzie robotnik — do tartaku, do drzewa.
Hm. A ja chciałbym być diabłem, ale to takim diabłem,
co zupę szczawiową gotuje zającom i śpiewa.

...Zaś potem miał być ze mnie miernik (taki, co liczy i liczy)
i pamiętam do dziś, jak szedłem do tego ścisłego, matematycznego łotra:
— Panie, pan z tego liczenia jest już taki chudy,
że pana, wraz z trumną, schowają do pępka świętego Piotra!

Więc dom się mnie wyrzekł
i zasłonili swe oczy święci nad łóżkiem wśród pajęczych sideł.
I oddalała się jak góra lodowa bezpowrotnie kariera radcy.
I poezja wzbijała się pierwszymi uderzeniami skrzydeł.

KSIĘŻYC NAD MUSZYNĄ

W Muszynie wokół pian Popradu
ciągła szermierka,
a księżyc przymierza długie, obwisłe wąsy
z gałęzi świerka.

Zaś na Górze Zamkowej, wokół ogniska, nad którym mgły-dymy płyną,
skaczą jakieś cienie.
Lecz że ich stopy mchom krzywdy nie czynią —
wzbudza to mchu zrozumiałe zdziwienie.

...Bo — cicho! — to tańczą zbójnickiego dobrych chłopców duchy,
umęczonych tu, ongiś, w katowni biskupiej.
I każdy zamiast ciupagi trzyma hak, na którym wisiał.
I żaden nie śpiewa, bo nie ma języka.

Tak paproć obok cicho zaszeptała
i srebrne pisklęta kropel rosy
do snu kołysała...

Jerzy Harasymowicz

Sławomir Kryska

UCIECZKA

Żółknący, smutny dzień lipcowy
— oklapłe piwo w brudnej szklance,
słońce zachodzi — latarniowym
w poranną mgłę zwiniętym — blaskiem.

Już prawie wieczór umęczony
niedzielną zgagą czy upałem,
w kuflu skulony leży promień;
ech!... odjechałbym stąd. Natychmiast.

Cisza. Po liściach wiatr nie pląsa,
tylko zgubiony takt muzyczny
w krześle naprzeciw mnie się rozparł
— w ucho wkręcona ważka wodna.

Pająk powiesił się na ścianie
(niedobrze, gdy się szczęście wiesza);
ja milczę, ale takt wciąż gada
i promień w kuflu wciąż się kiwa.

Małe miasteczka — niedziel nuda,
małe miasteczka — czarna rozpacz.
Wyjadę!... i nie mogę powstać,
i pływa mucha w szklance piwa.

GWIAZDA

Przed świtem nagle obudzony
przygodnym śpiewem,
z obłokiem w szybie utopionym
płynę po niebie.

Drzewo sinieje, rozhuśtane
nadrannym wiatrem;
w półśnie po szyję otulony
czuję się gwiazdą.

Świecę i niknę wśród mgławicy
— gwiazdka z choinki,
szczęście w staniolu srebrnym kasku,
biegnę nad sufit.

Nim obłok spłynie, noc zmlecznieje
— gorę wysoko,
gwiazdka na niebie, cień na suficie
— to śpiew już gaśnie.

Sławomir Kryska

Roman Śliwonik

PRZYPOMNIENIE

Słowo wojna
mówią niektórzy jak —
drzewo
kwiaty
stół.

Czy wrócicie?

Utracone płonące dnie
opadłe
na głowy przedwczesnym popiołem.

Ludzie kwiaty ziemi
przysypywane pyłem zapomnienia
pamiętajcie.

Ludzie o twarzy księżyca
sumieniu jak obojętne srebro pieniądza
chcą podpalić czas
który dzieciom waszym

rzeźbi na twarzy myśl
a oczy wasze uczy znów
radości rzeczy.

Wasz czas —
płynący ulicami miast
wstęgami spokojnego blasku
wyścielający domy muzyką
a noce uśmiechniętym snem dzieci.

Pamiętajcie o krajach
gdzie dni zbielałe jak oczy —
straszne jak błysk
który odciął im spojrzenie od świata

a pod nocami poszarpanymi przerażeniem ognia
padają ludzie
z ustami pełnymi ciemnego krzyku.

Nie pozwólcie krwi waszej
spłynąć w czerwone rzeki rozpaczy
Szaleńców przygniećcie
przekleństwem
od którego bieleją gwiazdy.

Roman Śliwonik

Bohdan Drozdowski

POKAZ GIMNASTYCZNY

Spojrzenie pierwsze

Patrz
Stadion jest jak srebrna misa
po której dnie pląsają
kolorowe ameby
Patrz!
miganie barw i kształtów
doskonałość ostateczna
Dziesięć tysięcy ludzi

jeden ruch
jedna myśl
jedno olbrzymie ciało
Poezja
muzyka
rytm

Ach powiadam ci
gromady są piękne
Czyż jeden człowiek miałby jaki sens
na ogromnym półmisku Stadionu?

Spojrzenie drugie

Patrz
dziesięć tysięcy ludzi
i ani jednej twarzy
Dęta orkiestra
stopiła je w siną plamę
I cóż z tego że
tworzą gwiazdy i prostokąty
Żaden z nich nie istnieje
Jeśli cię zapytają
który z nich tańczy najpiękniej
Odpowiesz: nie wiem
lub: wszyscy

Wolę samotnego człowieka
który jest kropką na ogromnym arkuszu Stadionu
Mogę doń podejść i rzec
Witaj bracie
I patrz jacy jesteśmy wstrętnie mali
i piękni
ponieważ posiadamy własne twarze

1955

CZEPIAJĄ SIĘ SURDUCIKA

Była na Balu Prasy
w gustownym surduciku

Nazajutrz mówili iż
ona jest w ciąży
Albowiem tylko kobiety w ciąży
noszą takie surduciki

Złamała się
jak słaba gałąź
Opuściła głowę i ręce
mówiąc
Przecież ja
znałam mężczyzn tylko ze słyszenia

A oni czepiają się surducika

ACH POZWÓL MI WESTCHNĄĆ

Kocham tempo
kocham łoskot odrzutowców
kocham jazz
natchniony łomot kół
pośpiesznego pociągu
kocham pęd
rytm
samą świadomość że jutro
polecimy do Venus

Przeraża mnie tylko
nieustanne przeciekanie
sekund

Ach
pozwól mi westchnąć
aktywisto

Bohdan Drozdowski

Jan Zalewski

NIEMIEC

Chodziłeś po kamiennych placach,
Zaglądałeś w oczy domom kamiennym,
Oślepiało cię światło latarń kamiennych.
Mówiłeś —

Oto stoi miasto
Feniks z kamienia i żelaza.
Dziwiłeś się,
Patrzyłeś na mnie,
Obejmowałeś mnie ramieniem.
Gdy obejrzałeś ziemię krwi
I dom śmierci,
Zaglądałeś mi w oczy
Pytając:
Jak przeżyłem tę ziemię?
Ściskam ci rękę,
Obejmuję cię ramieniem...
Jak przeżyłem nienawiść?
W krzesłach
Naprzeciwko nas
Siedziały dwa pluszowe niedźwiadki,
Które kupiliśmy dla dzieci.

KARNAWAŁ

Chwieją się papierowe lampiony,
Kręcą się kule kolorów,
Tańczą baloniki zawieszone na smudze światła...
Wielka architektura śmiechu
Wrasta w noc.
Z nieba spadają rozbawione gwiazdy —
Tanecznice,
Które nie utrzymały równowagi.
Tylko na środku Wisły
Skrawek cienia
Rzuca odpoczywająca pogłębiarka.

TANIEC

Płynęłaś ponad tłumem
Samotna,
Jak łódka wśród szumiącego morza.
Nasze dłonie były ci sterem

I wiatrem,
Nasze dłonie
Białe i żółte.
Był huragan i cisza na przemian,
A gdy przyszła fala ostatnia,
Wzniosłaś ręce do góry
I zeszłaś, stając się tylko kroplą
Szumiącego morza.
I tak pozostałaś z nami,
Czarna,
Brazylijska dziewczyno.

Jan Zalewski

Maria Szypowska

OBRONA

Nie zabijajcie małych poetów, miernych poetów,
Mali poeci, mierni poeci też są potrzebni.
Tak się starają, pilnie szukają — może odnajdą
gdzieś na podwórzu zgubiony w kurzu księżyca okruch srebrny.

BEZ TYTUŁU

Wiem,
że wiersze są po to,
żeby budować ład.

Oto słowem ustawiam stół,
cztery krzesła,
człowiek skronią wsparty o szybę,
pies.

Zamykam i otwieram oczy
i są przede mną
nie poddani
złudzeniom moim ani wierze.

Pomyślani,
zmienią się
w nieustający wir atomów,
fale,
drganie,
przy których cząstka chemiczna jest kosmosem.

Nawet nie zdążę krzyknąć: ratunku!

Ale otwieram i zamykam oczy,
a oni trwają
nie podlegli mojemu spojrzeniu.

Maria Szypowska

Marian Ośniałowski

PIASKI

„Gdzie najsmutniej dziewczyno
tam nasze spotkania."
Tuwim

Na Bródnie piach po kostki.
Siwy piach do samego Żerania.
Tyle szczęścia, co w krótkim wieczorze,
tyle wiosny, co w wronim krakaniu.

Młodziutkie żółte sosenki.
Papą kryty drewniany barak.
Skowronkami drgający błękit —
dymu smuga nad torem szara.

Na młodziutkie sosenki żółtawe.
Na śmietniska, baraki drewniane,
na koszary, wydeptaną trawę
spływa wieczór nad Rembertowem.

Przyjdzie jesień, na kaliny, jarzębiny
Koralowe paciorki naniże.
Nie te usta się kocha najwięcej,
co są najbliżej.

Piach na Bródnie, żółty, szary, siwy.
Pod akacjami, pod kwitnącymi
nie mam sił być dłużej nieszczęśliwy.

Płaskie pola między Ursusem,
Pruszkowem.
Tyle woni lata, co w rumianku
biało-żółtym w rowach, na budowie.

Tyle grania, co na harmonijce ustnej,
tyle chłodu, co w wąskich gliniankach.
Zaryły się w piachu z cegłą i wapnem wózki.

W górze murarze, w dole z murarskiej pomocy chłopcy,
Opalony na czarno Felek
gwiżdżąc pcha wózki do windy.
Narzeczoną zobaczy w niedzielę.
Nie każdy jak Felek jest mocny.

Marian Ośniałowski

Miron Białoszewski

KARUZELA Z MADONNAMI

Wsiadajcie madonny
madonny
Do bryk sześciokonnych
...ściokonnych!

Konie wiszą kopytami
nad ziemią.
One w brykach na postoju
już drzemią.

Każda bryka malowana
w trzy ogniste farbki
I trzy są końskie maści:
od sufitu
od dębu
od marchwi.

Drgnęły madonny
I orszak konny
Ruszył z kopyta.
Lata dokoła
Gramofonowa
Płyta,
Taka
płyta.

Migają w krąg anglezy grzyw
I lambrekiny siodeł
I gorejące wzory bryk
Kwiecisto-laurkowe.
A w każdej bryce vis à vis
Madonna i madonna
W nieodmienionej pozie tkwi
Od dziecka odchylona
— białe konie
— bryka
— czarne konie
— bryka
— rude konie
— bryka
magnifikat!

A one w Leonardach min,
W obrotach Rafaela,
W okrągłych ogniach, w klatkach z lin,
W przedmieściach i niedzielach.
I w każdej bryce vis à vis
Madonna i madonna.
I nie wiadomo, która śpi,
a która jest natchniona
— Szóstka koni
— One
— Szóstka koni
— One
— Szóstka koni
— One
Zakręcone!

I coraz wolniej karuzela
Puszcza refren
I peryfe
rafa
elickie
madonny
przed
mieścia

Wymieniają
Konne piętro
— — — — — — —
Wsiadajcie
w sześcio...!

Miron Białoszewski

Anna Rumlowa

ARAGONOWI

Prowadzi mnie jak krzak ognisty
Twój głos z dalekich winnic Francji
Twój śpiew o ludziach nieugiętych
i nieugiętej Twej miłości
Ty ocalały wśród potopu
najgroźniejszego wszystkich czasów
wielki poeto serce świata
tętniące dźwiękiem Eroiki
spraw bym się smutku nie lękała
ani miłości która gubi
by mnie wiew życia nie odrzucił
jak zeschły liść od nowych ludzi
by serce żywe pozostało
w walce choć klęska zajrzy w oczy
światłem mi bądź wśród nocy ciemnych
które niewiarą przyszłość mroczą
Niech głos Twój zawsze mnie odnajdzie
w najbardziej ciemnej życia stronie
niech ją oświetli błyskawica
Twojej miłości Aragonie

NATALIA

To za mało mieć suknię zieloną
za paskiem gałązkę konwalii
kuszące zwodnicze uśmiechy
żeby zaraz zostać Natalią

Trzeba mieć miłość wytrwałą
upartą jak promień księżyca
co szeleszczącym srebrem
sady kwitnące nasyca

Trzeba być świecą czerwoną
przy słuchaniu koncertu Bacha
blaskiem spokojnie jarzącym
który mroki z czoła odgarnia

I trzeba kochać człowieka
zwierzęta ptaki i słońce
ogarniać wszystko co żyje
uśmiechem ochraniającym

Anna Rumlowa

Jerzy Skokowski

KONCERT W ZAKOPANEM

Halinie Czerny-Stefańskiej

Pochylona, zapatrzona
w swoje ręce roztańczone,
nie dostrzegła jak wchodziłem,
obrócona w piątą stronę.

Cztery strony świata,
piąta strona — muzyka.

A to było w środku lata:
właśnie wiatr się zerwał w górach,
porozwiewał nuty w chmurach
i czytał.

Nie doczytał do końca,
bo zabrakło mu słońca,
trącił jodły zuchwale,
dmuchnął w trawy i — dalej
całym światem jak świerkiem
kołysze.

— Mocniej, mocniej w klawisze,
niechże wiatr to usłyszy,
niech oceni to sam
Zawierucha.

Wpadł przez okno zdyszany,
siadł na chmurze pod ścianą,
błyskawicą się podparł
i słucha.

— Jeśli jesteś już tutaj,
niech odezwie się nuta
inaczej.

I zagrzmiały wszystkie tony,
popłynęły w cztery strony...

a wiatr siedzi
i słucha
i płacze.

Jerzy Skokowski

Jan Himilsbach

MÓJ SYN

Mam dwadzieścia lat.
Mam już synka.
Marek ma roczek.

On jednakowo uśmiecha się
do ludzi,
konia,
kota,
psa.

Dla niego wszyscy są przyjaciółmi.
Ja w dzieciństwie
Nie każdemu dawałem uśmiech,
Mój uśmiech zabrała wojna.

Dziś, jeśli się śmieję,
to rzadko,
częściej mnie gryzie
niepokój.

Mam dwadzieścia lat.
Mój syn ma roczek.

Razem mamy dwadzieścia jeden lat.
Dwadzieścia jeden lat, to wiek rekruta.

Biorę synka na ręce,
przyglądam mu się,
Pytam.
On skacze na moich kolanach
i rączką zasłania mi usta.

Jan Himilsbach

Mirosław Żuławski

DRZAZGI BAMBUSA

(FRAGMENT)

I. DROGA KOLONIALNA

Hanoi, 10 listopada 1954 r.

Nasycam dzisiaj dawno nabrzmiałą potrzebę wypoczynku i samotności. Przez cały dzień nie opuszczam pokoju i nie odpowiadam na pukanie. Po tych dwóch tygodniach życia wśród przezroczystych ścian, na dziesiątkach wlepionych we mnie oczu, godziny spędzane w towarzystwie tylko jaszczurek, łażących po suficie, wydają mi się czymś nieskończenie błogim. Leżę na łóżku, z rękami pod głową, i wypoczywam, wypoczywam.

W ostatnich dwóch dniach nieco pochłodniało. Jest chmurno, jakby zbierało się na tajfun. Przez okno wpadają chłodne powiewy. Nie ma potrzeby używania wentylatora. W nocy jest mi nieco chłodnawo pod samym prześcieradłem.

Za oknem wrzeszczą dwa pocieszne makaki, które podarowano nam w Vinh. Zachowują się zupełnie jak ludzie. Na noc obejmują się i tak śpią, przytulone do siebie, siedząc na parapecie tarasu. Kiedy usiłuje się je rozdzielić, wydają żałosne okrzyki. Jeden z nich jest duży, ma ponad rok, drugi zupełnie mały, ssący jeszcze własny kciuk. Przyjaźń tych małpek jest wzruszająca. Starsza opiekuje się młodszą jak najtroskliwsza matka, przybiega do niej na każde zawołanie, niezmiernie zaniepokojona. Mimo że dopiero co schwytane w lesie, oswoiły się zupełnie i już tęsknią za pieszczotą ze strony człowieka. Kiedy zbliżam się do nich, wskakują mi na nogi, obejmują je i trzymają się kurczowo, przymykając z zadowolenia oczy. Kiedy je odrywam od łydek, wpadają w żałosną pasję. Byłyby urocze, gdyby nie to, że nie można ich nauczyć porządku. Paskudzą tam, gdzie stoją.

Pod wieczór wydaje mi się wreszcie, że moja potrzeba samotności została jako tako nasycona. Coraz częściej staję przed ścianą, na której zawiesiłem kolorową mapę Wietnamu. Truong-Son zapewnia, że przed szesnastym nie ruszymy się z Hanoi. Mam co najmniej pięć dni absolutnie wolnego czasu. Tu mógłbym w tym czasie wysłuchać paru niezbyt zajmujących referatów na temat sytuacji w mieście. A tam...

Na mapie to wygląda niezwykle. Czarna kreska drogi pnie się w górę pomiędzy czerwonymi plamami gór i zielonymi wyspami rejonu wysokich wapniowców. Z Hanoi do Lang-Son, stamtąd do That-Khe, Dong-Khe, Cao-Bang...

tą samą drogą kolonialną nr 4, którą prowadziłem w *Rzece Czerwonej* kolumnę Chartona... Przecież od chwili, w której dowiedziałem się, że jadę do Wietnamu, nie marzę o niczym bardziej, jak o skonfrontowaniu mego marzenia z rzeczywistością. Gdyby tak skorzystać teraz z tych kilku dni, które wypadły jakoś z terminarza Truong-Sona, gdyby samemu, z szoferem tylko i tłumaczem, pojechać ku najdziwniejszej przygodzie, jaka może spotkać pisarza, na spotkanie z drogą, której każdy kilometr stworzyłem własną wyobraźnią, a która przecież istnieje naprawdę...

Im dłużej stałem przed mapą, tym mocniej czułem, że nie mogę zostać w Hanoi. Powoli zaczęła mnie ogarniać jakaś obsesja tej drogi. Od dawna już nie pragnąłem niczego tak mocno i tak wyłącznie. Jeszcze raz przemierzyłem wzrokiem czarną kreskę na mapie. Mógłbym odbyć tę drogę w cztery, pięć dni. Mógłbym wracać z Cao-Bang okrężną drogą, przez Bac-Can, samotny, czerwony krążek, tkwiący w sercu dziczy. Mógłbym...

Przy kolacji powiedziałem to wszystko Truong-Sonowi. Powiedziałem mu, że nie mogę sobie dać rady. Zdziwił się trochę, że chce mi się puszczać w samotną drogę, zwłaszcza że nie wypocząłem jeszcze po poprzedniej. Ale powiedział, że rzecz jest możliwa i że nad nią pomyśli. Wiem, że zrobiłby dla mnie wszystko, ale niepokoi mnie absolutny brak entuzjazmu, przejawiony w stosunku do mojej zachcianki.

Hanoi, 11 listopada

Przed śniadaniem przyszedł do mnie Truong-Son z wiadomością, że kierownictwo zgadza się na moją wyprawę i że jutro o świcie mogę jechać. Dostaję „gazika", a za towarzyszów drogi — Thiepa, Donga i najlepszego z kierowców, Ty. Jestem piekielnie zadowolony. Nareszcie będę sam panem własnego czasu i własnych poruszeń. Wyściskałem Truong-Sona, który teraz już nie ukrywa radości, że udało mu się załatwić moje życzenie.

Lang-Son, 12 listopada

Przybyliśmy tu o 14.30, po czterogodzinnej jeździe. Upał, niebo bez chmurki. Mimo to nie odczuwam tego stałego zmęczenia, jakie mi się daje we znaki pod tropikami. Jestem przyjemnie podniecony, to jest przecież moja wyprawa. Droga była niezmiernie urozmaicona. Przez pierwsze dwie godziny przebiegaliśmy Deltę z jej niezliczonymi fortami na płaskich wzgórzach, z jej „białymi zonami" wśród ryżowisk. Jechaliśmy długo wzdłuż linii kolejowej Hanoi — Lang-Son, na której wre praca. Tysiące wieśniaków w czarnych spodniach, rudych bluzach i słomianych kapeluszach pracują nad uporządkowaniem nasypów. Później pojawiają się wzgórza i nieodłącznie im towarzysząca dżungla. Mijamy małe ryżowiska wśród dżungli, na których odbywają się właśnie żniwa listopada. Jeszcze później wjeżdżamy w górską sawannę, przez którą kręta droga wspina się bez końca. Mamy dwie przeprawy, jedna z nich jest szczególnie piękna, przez rzekę płynącą środkiem niezwykle gęstej dżungli. Od sawanny widać poprzez „trawy słoniowe" jakieś groźne, zębate góry, wznoszące się jak piła na południowym zachodzie. Są pokryte zwełnionym kożuchem lasu. W sawannie spotykamy pierwsze kobiety z plemienia Tho. Nie noszą stożkowatych kapeluszy, tylko wielkie, skomplikowane zawiązadła, w których jest

im bardzo do twarzy. Nie noszą, jak Wietnamki, spodni, tylko granatowe, długie spódnice. Uciekają z chichotem, kiedy kieruję na nie obiektyw, albo zasłaniają twarze rękami.

W Lang-Son zajeżdżamy do miejscowego Komitetu Administracyjnego, który przyjmuje nas serdecznie i lokuje w tym samym hoteliku dla przejezdnych gości, w którym spędziliśmy kilka godzin w noc przyjazdu do Wietnamu. Od razu na wstępie niemiła wiadomość: nie możemy jechać dalej drogą nr 4, gdyż na rzece nie ma promu. Musimy jechać okrężnie, przez terytorium chińskie, to jest przez Ping-Siang, ten sam Ping-Siang, w którym wysiedliśmy z pociągu dokładnie przed pięcioma tygodniami! Miejscowe władze już nam wystawiły potrzebne do przekroczenia granicy papiery. Z początku jestem wściekły. Ale kiedy słyszę, że z Cao-Bang będziemy musieli jechać do Bac-Can nową szosą, prowadzącą przez Dong-Khe i That-Khe, uspokajam się natychmiast. Przecież to nawet lepiej, pojadę bowiem drogą odwrotu Chartona nie „pod włos", tylko dokładnie tak, jak on szedł.

Ping-Siang, tegoż dnia

Z Lang-Son wyruszamy zaraz po obiedzie. Droga nieciekawa. Łyse, nagie góry, skąpa roślinność. Ludność po obu stronach granicy mieszana. Na terytorium wietnamskim widać przeważnie chińskie kapelusze, podgięte niczym dachy pagody, a za to na terytorium chińskim głównie wietnamskie, stożkowate.

Ping-Siang robi na mnie wrażenie czegoś zupełnie nierealnego. Leży w kotlince, otoczone fantastycznymi skałami i górami, o kształtach, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Jakbym się nagle dostał w jakiś nierealny świat, istniejący tylko w dziecięcych snach. Na tej zaczarowanej, górskiej kotlince kończy się linia kolejowa. Ping-Siang jest mniej ciche niż Lang-Son, no bo jest tu nie tylko kolej, ale i Chińczycy, naród bardzo hałaśliwy. To, co w Lang-Son uderza przede wszystkim, to cisza. Cisza ruin, granicy, miasta bez ludzi.

Zrobiliśmy dziś 197 kilometrów. Tylko ten, kto zna wietnamskie drogi, wie, czy to dużo. Brawo, towarzyszu Ty!

Przyjmuje nas bardzo gościnnie kierownik miejscowego ośrodka recepcyjnego. Jest to starszy człowiek, pochodzący z okolic Pekinu, co ma szczególne znaczenie, gdyż Thiep mówi biegle narzeczem pekińskim, ale nie rozumie zupełnie kantońskiego. Możemy się więc porozumiewać z naszym gospodarzem. Lokuje nas w jednym z małych domków, stojących dwoma rzędami w zakolu fantastycznych skał. Wszystko odbywa się sprawnie, skromnie, przyjemnie. Thiep narzeka, że Chińczycy mają lepszą niż Wietnamczycy organizację. To prawda. Pocieszam go, że po pięciu latach rewolucji i pokoju i u nich będzie lepiej.

Wieczorem, po kolacji, moi towarzysze zbierają się u mnie. Proponują, by dokonać krytycznej i samokrytycznej oceny ubiegłego dnia. Proszą, abym powiedział, jakie mam uwagi. Mówię im wprost, że równo przed pięcioma tygodniami stanąłem na ziemi wietnamskiej, ale że od tego czasu jeszcze nigdy podróż nie poszła tak sprawnie, z równie małą stratą czasu i równie przyjemnie jak dziś. Thiep, Dong i Ty są wyraźnie niezadowoleni z braku krytyki w mojej ocenie. Usiłuję coś znaleźć, co mógłbym im zarzucić, po prostu po to,

by im zrobić przyjemność. Ale nie znajduję niczego takiego. Mają tak zawiedzione miny, że robi mi się głupio.

Zarządzam krótko udanie się na spoczynek z wybiciem godziny ósmej, a pobudkę na piątą rano. Jest za osiem minut ósma, kiedy kończę pisać te słowa. Idę spać. Jeszcze tylko ostatnie, najlepsze myśli kieruję do żony. Jakże daleko jest mój dom, skoro na tym niebie nie widać nawet Wielkiej Niedźwiedzicy!

13 listopada, godzina 6.10

O piątej zbudził mnie Ty. Jest jeszcze zupełna noc. Na środku nieba ogromny księżyc, zupełnie srebrny. Wychodzę przed dom umyć się. Przed każdym progiem stoi Chińczyk z ręcznikiem na szyi i czyści zęby. Nigdy w życiu nie zapomnę tego widoku. Czarne kły gór, księżyc jak lampa i kilkudziesięciu Chińczyków czyszczących zęby nad betonowym rowkiem, którym biegnie woda.

Przed samą szóstą chińskie śniadanie: zupa, dwa mięsa, jaja, mleko. Świta. Wyjeżdżamy.

Tegoż przedpołudnia, w wiosce Tho

Pogoda jak złoto. Zaraz po wyjeździe z Ping-Siang wpadliśmy w górach w mgły wstające z rzeki. Szyba naszego „gazika" pokryła się natychmiast matową zasłoną, tak że nic nie było widać. Podnieśliśmy szybę, aby Ty mógł prowadzić na górskich serpentynach. Po paru minutach byliśmy zupełnie mokrzy. Woda ściekała nam po twarzach, jakby kto w nie chlusnął z wiadra. Po kwadransie zziębliśmy do szpiku kości. Ty zrobił się szary, usta miał fioletowe. Na szczęście droga odbiła się wkrótce od rzeki w suche sawanny, pełne młodziutkiego słońca. Jechaliśmy później szeroką, płaską doliną, na środku której stała maleńka budka. Przed budką stół i parę krzeseł. Okazuje się, że to punkt graniczny. Siedemdziesiąt cztery kilometry dzielące Ping-Siang od granicy zrobiliśmy w dwie i pół godziny. Formalności graniczne trwają krótko. Przybito nam na przepustkach dziwaczne chińskie pieczęcie, uściśnięto ręce i pokazano w uśmiechu zęby. Nie wiadomo skąd zbiegła się w tej głuszy spora grupa gapiów, którzy chyba nie często mają możność oglądania tu Europejczyka.

Droga od granicy bajkowo piękna: wapniowce, potoki, dzikie góry. Spotykamy wiele kobiet Tho, ale tylko dwie udaje się nakłonić do pozowania przed obiektywem. Inne uciekają na pierwsze słowa Thiepa. Sfotografowałem wszystkie, jak galopują drogą, zasłaniając twarze.

W pierwszej napotkanej wiosce — tej samej, w której piszę te słowa — odbywa się właśnie wielki jarmark. Setki Tho zeszły się z całej okolicy. Plemię Tho dzieli się na Tho białych, czarnych i srebrnych. Biali wzięli nazwę od koloru spódnic swych kobiet i podobnych do fezów czapek mężczyzn. Srebrni obwieszają się ozdobami ze srebra. Dziewczęta są tak śliczne, że oczy rwą. Robię dużo zdjęć trzaskając na prawo i lewo jak z mitraliezy. Kupujemy na targu duże naręcze bananów i wypijamy w bambusowym kiosku po parę filiżanek znakomitej herbaty.

Zaraz za wsią wjeżdżamy w dżunglę, nad którą sterczą wielkie czuby wapniowców. Jesteśmy w rejonie słynnym w historii walk wyzwoleńczych. Tu leżały pierwsze bazy ruchu niepodległościowego i rewolucyjnego. Wśród tych

wapniowców naszpikowanych niedostępnymi grotami ukrywali się pierwsi partyzanci.

Niebo nad dżunglą jest jak kryształ. Koło południa wszystko staje się czarno-białe, wszystko jest albo cieniem, albo światłem. Stajemy na chwilę u ścieżki, jaką zstępują ku drodze dwaj mali chłopcy, niosący cętkowanego lisa, który złapał się w nocy w paść. Dowiadujemy się od nich, że do Cao-Bang mamy nie więcej niż pół godziny jazdy. Jestem piekielnie podniecony. Za chwilę zobaczę miejscowość, którą opisałem w *Rzece Czerwonej*. Boję się tej konfrontacji obawą człowieka, którego wiodą na miejsce zbrodni. Cała ta sprawa urasta we mnie niedorzecznie do rozmiarów jakiegoś zasadniczego problemu. Cao-Bang nie może wyglądać inaczej niż w *Rzece Czerwonej*, nie może...

— Co ci jest? — pyta zaniepokojny Thiep — źle się czujesz?

— Nic, mój drogi, nic. Jedźmy naprzód, jedźmy...

Kręta droga wyprowadza nas spośród wapniowców i niskiej dżungli. Przed nami złoci się w słońcu obszerna dolina, przerżnięta rzeką, sfalowana od wzgórz. Po drugiej stronie rzeki bieleje bezładne miasteczko, wypalone i wyburzone wśród pustki. Nie, to nie może być tu. Rzeczywiście, nie skręcamy ku miasteczku, tylko dalej jedziemy wzdłuż rzeki. Uspokojony, odwracam się i zapytuję:

— Co to jest?

Thiep i Dong odpowiadają równocześnie:

— Cao-Bang.

Doznaję uczucia straszliwego rozczarowania. Jak to, więc to jest Cao-Bang? Ależ w tym widoku nie ma nic egzotycznego, miasteczko wygląda jak jakieś polskie, podkarpackie, nijakie wśród nagich wzgórz, bez śladu dżungli. Tylko wysokie, wapienne góry otaczają je szerokim kręgiem. Budzi się we mnie jakiś gwałtowny, opętańczy protest przeciw rzeczywistości. Gdybym był to opisał tak jak jest, byłoby wszystko nudne, szare, nieciekawe... Przez chwilę żałuję nawet, że wybrałem się w tę podróż na sprawdzenie *Rzeki Czerwonej*. Ale zarazem wiem, że inaczej nie mogłem. Trudno, jedźmy dalej. Jest jeszcze droga z Cao-Bang do That-Khe. Czepiam się jej teraz wszystkimi nadziejami. Ale już wiem, że będzie inna, niż to sobie wyobrażałem. Chodzi już tylko o to: o ile inna?

Ty skręca drożyną prosto na rzekę. Jest w tym miejscu płytka. Przejeżdżamy ją w bród. Motor krztusi się wodą, ryczy wspinając się na stromy brzeg. Wjeżdżamy do Cao-Bang.

Cao-Bang, godz. 19

Przewodniczącego miejscowego Komitetu Administracyjnego odnaleźliśmy w wielkim, zimnym, ceglanym baraku, który pozostał chyba w spadku po francuskim garnizonie. Człowiek, który wyszedł nam naprzeciw, jest chudy, szary, bardzo zmęczony. Nazywa się Nguyen-Tong. Trudno odczytać wiek z tej twarzy ziemistej, z tych znużonych oczu. Kiedy siedzimy później nad kubkami herbaty w baraku, w którym przeciągi hulają przez otwory okienne bez futryn i szyb, Nguyen-Tong wygłasza króciutką samokrytykę: choroba nie pozwala mu pracować tak, jak by należało. Dwie operacje żołądka, malaria... Uśmiecha się blado. Kadry są zmęczone... Kadry chcą wypocząć... A tu nie ma kiedy i nie ma jak...

Po południu zwiedziłem Cao-Bang. Miasto jest jedną ruiną. Na wzgórzu, u stóp cytadeli sterczą w oślepiającym słońcu resztki murów: siedziba gubernatora prowincji, francuskiego rezydenta, komendanta garnizonu... Wszystko zarasta wysoka, ostra trawa.

Cytadela robi na mnie ogromne wrażenie. Betonowe kazamaty, potężne wieże z żelbetu, setki metrów podziemnych korytarzy — cały blok betonu, utopiony w trzymetrowej trawie. Jakże tu szybko zieleń pochłania ruiny! Przedzieramy się ku kopule obserwacyjnej, dominującej nad całą okolicą. Stąd dopiero widać, jakie znaczenie miała twierdza: zbudowana na wysokim wzgórzu, w widłach dwóch rzek, dawała wspaniały wgląd w nieckę Cao-Bang, aż po granicę chińską. Od strony gór, niebezpiecznie bliskich na wschodzie, zabezpieczono cytadelę ziemnymi fortyfikacjami, których kretowiska widać jeszcze na czubach wzgórz. Nad rzeką, za miasteczkiem leżącym u stóp cytadeli, leżały dwa lotniska. Teraz rośnie na nich maniok. Wszystko razem sprawia wrażenie nie posterunku w dżungli, lecz wycinka Linii Maginota. Dopiero tu rozumiem w pełni, dlaczego dowództwo francuskie nie mogło tak długo zdecydować się na ewakuację Cao-Bang, mimo że droga nr 4 była od dawna stracona i całe zaopatrzenie twierdzy dokonywane było z powietrza.

Pod wieczór jedziemy do słynnej groty, gdzie mieściła się pierwsza wietnamska fabryka amunicji i gdzie przechowywano „skarb państwowy", składający się w olbrzymiej części z zapasów ryżu. Ale nie dojeżdżamy. Mamy trudności z placówką wojskową, strzegącą promu, który dziś jest zarezerwowany dla przeprawiających się oddziałów. Za to oglądamy ze wzgórza, na którym sterczą ruiny posterunku armii marionetkowej, bardzo piękny i groźny pejzaż górski.

Nguyen-Tong pokazuje nam górę, czarną od dżungli. Jest tam grota, w której ukrywał się Pham-Van-Dong. Niebo jest przez pół złote, przez pół zielone, słońce leci przez skłon firmamentu, za chwilę leży już na zębiskach gór, jeszcze trochę a cały ten fajerwerk zgaśnie jak zdmuchnięta świeca.

Zostaję na chwilę sam na drodze, gdyż moi wietnamscy towarzysze pojechali do pobliskiej placówki wojskowej po benzynę. Lubię tę chwilę, kiedy można posłuchać budzącej się nocy. Z dżungli, z sawanny i ryżowisk podnosi się nie wiadomo kiedy granie świerszczy, rechot żab, ponure pohukiwanie ropuch. Cały horyzont poczyna grać jak olbrzymie organy. Jest groźnie, jest dziko. Na czarnym tle lasu świetliki wypisują ogniste wykresy.

— *Que faites vous par ici, monsieur?*

Odwracam się zaskoczony. Za mną stoi sylwetka w hełmie z palmowca. Czujne oczy patrzą bacznie, z odrobiną zdziwienia. Samotny Europejczyk w tym miejscu, o tej porze nie trafia się tu widać co wieczora.

— *Camarade...* — poprawiam go odruchowo.

Widzę, jak błyskają w ciemności jego zęby. Salutuje i kiwa przyjaźnie głową. Po chwili już go nie ma, jakby wsiąknął w tonkińską noc.

Tegoż dnia, godz. 19

Wieczorem moi trzej towarzysze przyszli na naradę. Okazuje się, że droga z That-Khe, o której mówiono nam w Lang-Son, nie istnieje. Będziemy więc musieli wracać z That-Khe z powrotem do Cao-Bang i dopiero stąd jechać dalej, do Bac-Can. Przeliczyłem się więc poważnie z kilometrażem tej wy-

prawy. Obliczałem ją na jakieś 500 km, a już w tej chwili mamy na liczniku 380. Zaczynam mieć wyrzuty sumienia: cała ta wyprawa, to przecież mój osobisty, intymny porachunek z *Rzeką Czerwoną*. Gnębi mnie to tym więcej, że moi towarzysze domagają się koniecznie krytycznych uwag. Kiedy odpowiadam, że nie mam żadnych, oświadczają, że za to oni mają: nie zbadali należycie trasy, nie rozpytali dostatecznie o drogę.

Przy kolacji Nguyen-Tong wygłasza całą samokrytykę. Popełnił błąd wobec mnie i wobec swoich przełożonych: dopuścił do tego, że wartownik nie chciał nas wpuścić na teren objęty ćwiczeniami wojskowymi; nie przygotował przeprawy promem; nie miał przy sobie papierów, stwierdzających, że jest przewodniczącym Komitetu Administracyjnego. Mimo że zaprzeczałem wszystkiemu i nie chciałem przyjąć jego samokrytyki, powracał nieustannie do tego tematu. Oświadczył, że zbadał dokładnie swoje sumienie i jest pewien, że popełnił błąd.

Muszę przyznać, że sposób dokonywania samokrytyki przez tych ludzi jest imponujący. Jest to naprawdę szczera, głęboka, nie zawierająca żadnej pozy ni fałszywej nuty samokrytyka. Każde zdarzenie, niechby najbardziej powszednie, służy do wyciągania wniosków, do zdania sobie sprawy z własnych braków i słabości, do nauki na przyszłość.

Dong-Khe, 14 listopada, godz. 7

Nie mogę ochłonąć z wrażenia, jakie na mnie zrobiła droga do Dong-Khe. Wyjechaliśmy z Cao-Bang o 4.20. Noc, mgła, księżyca prawie nie widać. Niesamowicie. Mijamy posępne ruiny fortu, zarosłe dzikim zielskiem. Jedziemy sawanną dobre pół godziny. Później mgła gęstnieje i droga przechyla się w dół. Chwilami księżyc przeziera poprzez mgłę i wtedy widać chmurę dżungli, jak przesuwa się ponad naszymi głowami. Chmura ta napiera coraz bardziej, pęta drogę, coraz krócej odskakuje przed reflektorami. Noc, dżungla, nad dżunglą mgła, nad mgłą księżyc. Udziela mi się nastrój grozy, wypełniający niebo i ziemię. W podobną noc Charton wyszedł ze swymi ludźmi z Cao-Bang i szedł tą samą drogą, wśród tej samej grozy, której dreszcz czuję na własnych plecach.

W jakimś ciemnym, zatęchłym tunelu Ty zatrzymuje na moją prośbę samochód. Teraz słychać nocny oddech dżungli. Idę kilkadziesiąt kroków. Droga jest twarda, błoto pory deszczowej wyschło na niej już dawno. Nad drzewami pulsuje świt. Mgła różowieje. Po chwili to, co było dotąd strzępiastą chmurą, szarym widmem we mgle i w księżycu, staje się jadowitą zielenią. Ta zieleń leje się po prostu zewsząd, kapie jak zastygły ołów, jak nasycony chlorofilem wosk. Ta zieleń jest koloru trucizny — można ją chyba szybko znienawidzić, nie można jej chyba nigdy polubić. Jest obca, groźna, złowroga.

Droga wije się nieprawdopodobnie, wyrąbana w zboczach. Nguyen-Tong i strażnik, który mu towarzyszy, chorują przez cały czas, nie przyzwyczajeni do jazdy samochodem. Na każdym zakręcie chwytają ich torsje. Nguyen-Tong leży na burcie wozu, nakryty moim płaszczem, blady jak nieboszczyk. Strażnik zwisa na zewnątrz, zwinięty na swoim automacie jak szmata. Wreszcie droga wyprostowuje się nieco. Prowadzi teraz wspaniałym lasem. Chwilami nie chce się wierzyć, że to dżungla, a nie angielski park. Słońce wyszło zza wzgórza,

mgła leży już rosą na liściach drzew. Gdzieś w zielonej ścianie zaczynają krzyczeć ostrym głosem ptaki.

Tu właśnie, gdzie dżungla wygląda jak rajski ogród, pokazują mi miejsce, w którym Charton spalił samochody. Wiedział już, że jest otoczony, i postanowił wejść w dżunglę. Na drodze leżą jeszcze wraki ciężarówek, obrane z wszystkiego, co tworzy ciało maszyny.

Dong-Khe wygląda tak, jak to sobie wyobrażałem. Ciasna niecka doliny, groźne wapniowce wokół, dżungla napierająca ze wszech stron. Pejzaż niemal znajomy.

Dzień jest jeszcze młodziutki, nie dalej jak pół godziny temu ukazał się nad dżunglą pierwszy jasny skrawek nieba. Kobiety Tho wracające z lasu z pękami długich bambusów na ramionach wskazują nam siedzibę Komitetu Administracyjnego. Jest to kamienna szopa, w której dziury od granatów załatane są luźno ułożoną cegłą. W szopie zastajemy przewodniczącego, młodego Tho o energicznym obliczu. Jest uprzedzony o naszym przyjeździe, oczekuje nas od świtu. Przy herbacie, jaką nas częstuje, zjawiają się jeszcze dwie młode dziewczyny w czarnych spodniach, czarnych welurowych kaftanikach i wielkich, czarnych chustach. Mówią tylko językiem Tho, więc Thiep każe sobie wszystko tłumaczyć Nguyen-Tongowi na wietnamski i z kolei przekłada na francuski. Malutka Dinh-Thi-Dong, sięgająca mi po pachę, opowiada, jak w czasie ataku na Dong-Khe ranny żołnierz wietnamski został pomiędzy liniami. Poprosiła o pozwolenie pójścia po niego, ale oficer nie chciał się zgodzić. — Jesteś słabą kobietą — powiedział — nie uniesiesz go. — Ale ona przekonała oficera. Wzięła rannego na plecy, przywiązała do siebie pasem i poniosła. Wtedy nadleciały francuskie samoloty. Widząc to, ranny powiedział — Zostaw mnie, bo zginiemy oboje. Ratuj się. — Ona jednak nie zostawiła go, tylko doniosła mimo bombardowania do punktu opatrunkowego.

Druga dziewczyna, Dinh-Thi-Man, opowiada, że kiedy zobaczyła, jak Thi-Dong dźwiga rannego trudną ścieżką, pobiegła jej na pomoc. Thi-Dong była już u kresu sił. Zmieniały się co chwila w dźwiganiu żołnierza. Obie są odznaczone medalem ruchu oporu. Thi-Dong jest obecnie sekretarzem ligi kobiet. Thi-Man jest aktywistką wiejskiej *guerilla*, która po wojnie przejęła główny ciężar pokojowych zadań, jak w czasie wojny dźwigała ciężar walki zbrojnej. Wtedy naczelnym zadaniem *guerilla* była walka z wrogiem, niszczenie dróg, zasadzki na konwoje. Dziś głównym jej zadaniem jest organizacja systemu podatkowego, naprawa dróg i wzmożenie produkcji rolnej.

Obie dziewczyny są tak drobne, łagodne, kobiece — że trudno je sobie wyobrazić przed francuskimi zasiekami, z rannym na plecach. Za to długi i cienki dryblas, który opowiada z kolei swoją historię, ma wygląd na tyle dziki, że nie musi się wysilać wyobraźni, by uwierzyć w każde jego słowo. Nazywa się Dinh-Van-Dich, pochodzi ze szczepu Man. Kiedy zaczęła się wojna, postanowił wziąć w niej udział na własną rękę. Nie miał broni, ale zrobił sobie prostą strzelbę, nabijaną od przodu i odpalaną lontem. Z tej strzelby zabił czterech Francuzów. Później wszedł jako nosiciel do fortu Dong-Khe i uprawiał propagandę wśród żołnierzy armii marionetkowej. Razu pewnego wzięto go do robót ziemnych przy budowie nowego posterunku. Nie chciał jednak przykładać ręki do dzieła, skierowanego przeciw armii ludowej. Zaatakował

gołymi dłońmi strażnika i zabrał mu karabin. Bardzo dobry karabin, angielski, dziesięciostrzałowy. Ma go do dziś dnia i używa do polowań na dziki.

Van-Dich mówi dla odmiany tylko językiem Man, toteż aby się z nim porozumieć, trzeba całego łańcucha tłumaczy. Malutka Thi-Man przekłada jego słowa na język Tho, Nguyen-Tong na wietnamski, a Thiep na francuski. Van-Dich śmieje się z tego w najlepsze i zapewnia nas, że podobne trudności językowe nie przeszkodziły mu w wyspecjalizowaniu się w szerzeniu propagandy za dezercją w fortach nieprzyjacielskich. Ba, razu pewnego udało mu się nawet namówić do ucieczki ośmiu europejskich legionistów. Używał w tym celu drukowanych ulotek, które dostarczała mu konspiracyjna organizacja wiejska. Ulotki te rozrzucał na drogach przemarszu Francuzów i w barakach.

W czasie zdobycia Dong-Khe służył atakującym je wojskom za przewodnika. Aby atakować z powodzeniem, trzeba było znać dobrze obyczaje wroga. Atakowano zwykle w czasie, kiedy wróg zabierał się do posiłku. Europejczycy przywiązują zawsze zbyt wielką wagę do posiłków, najłatwiej ich wtedy atakować. Często też atakowano forty w chwili apelu i oddawania honorów sztandarowi. Atak na konwoje i maszerujące kolumny musiał być szybki, musiał doprowadzić do przecięcia kolumny na dwoje, później na czworo, później do otoczenia każdej grupy.

Van-Dich służy nam za przewodnika w zwiedzaniu fortyfikacji Dong-Khe. Wspinamy się na dzikie wzgórze, zarosłe mokrą od porannej rosy trawą. Słońce wisi jeszcze nisko. Wapienne kopce poprzecinane są siwymi smugami mgły. Na grzbiecie wzgórza wszystko jest rozbebeszone, wszystko tonie w parometrowych zielskach. Van-Dich pokazuje miejsce pośród lejów, w których wietnamski bohater narodowy odciął sobie bagnetem zdruzgotaną odłamkiem rękę, bo przeszkadzała mu w wykonaniu zadania bojowego. Przyczołgał się do bunkra, umieścił jedyną ręką, jaka mu pozostała, ładunek trotylu w ambrazurze i wysadził wszystko w powietrze. Z leja po wybuchu tryska w górę pięciometrowy pęk trawy o liliowym kwieciu.

That-Khe, godz. 9

Na przejechanie z Dong-Khe do That-Khe przez przełęcz Long-Phai trzeba nam było 50 minut. Ale ta droga musiała się dłużyć w nieskończoność francuskim konwojom, które na przełęczy z reguły atakowano. Long-Phai znaczy dosłownie „Przełęcz Ognia". Tu właśnie rozbity został garnizon z Cao-Bang i spieszący mu na odsiecz garnizon z That-Khe. W górach otaczających przełęcz, w wapiennej grocie zostali wzięci do niewoli dowódcy operacji, pułkownicy Charton i Lepage.

Przełęcz jest istotnie groźna i wspaniała. Jest to skalny wąwóz, pokryty gęstą dżunglą, krawędzią którego wije się droga. Ze wszystkich stron kapie jadowita zieleń i wznoszą się czarne czuby wapniowców. Z prawej strony nieprzenikniona wełna dżungli, z lewej przepaść zarośnięta chaszczami, wypełniona bulgotem niewidocznego potoku. Wyobrażałem sobie, że Long-Phai jest raczej naga w najwyższej części. A ona jest wprost nieprzyzwoita od rozpasanej zieleni. Pióropusze bambusów, z których leje się i kapie dziki bluszcz, rozczapierzone dłonie paprociowców, parasole palm, czerwone wybuchy kwiatów bananowca na tle przeraźliwej barwy czystego chlorofilu... Olbrzymie drzewa

obwieszone łachmanami lian i pnączy, podobne z dala do eksplozji ciężkich pocisków. Tego nie można sobie wyobrazić, nie można opisać, zanim się nie zobaczyło na własne oczy. To jest zielone szaleństwo!

That-Khe, to kilkanaście domków z bambusa pomiędzy ruinami dawnego miasteczka, na środku dużej, płaskiej doliny, którą dżungla obramowuje dalekim rąbkiem. Na ryżowiskach odbywają się jesienne żniwa. Stożkowate kapelusze żółcą się pośród misternych snopków *paddy*. Pozostajemy tu chwilę tylko, tyle, ile trzeba na umycie się i ogolenie. Wietnamczycy z podziwem przyglądają się, jak co rano skrobię się żyletką. Dla nich Europejczyk, to zarost plus nos.

Przewodniczący miejscowego Komitetu Administracyjnego pragnąłby nas zatrzymać choć do wieczora, ale od tych ruin, chatek i doliny wieje taką pustką i nudą, że odmawiam grzecznie, lecz stanowczo. Zwiedzamy tylko jeszcze francuską cytadelę, parę długich budynków z cegły, otoczonych ceglanym murem, w którym wybito otwory strzelnicze tuż nad ziemią. Cóż tu jeszcze jest ciekawego? Przewodniczący myśli chwilę, ale też niczego nie znajduje.

Siedzimy jeszcze trochę w cieniu murowanego, na wpół zrujnowanego domu. Myślę z niechęcią o zalanej ciężkim słońcem ścieżce, którą trzeba pójść do samochodu.

Cao-Bang, godz. 13.10

A więc mam już za sobą tę moją drogę kolonialną. Między 4.20 a 12.40 odbyłem podróż Cao-Bang — That-Khe i z powrotem. Ja, który przeszedłem już raz tę drogę w wyobraźni, nie mogę otrząsnąć się z wrażenia, jakie na mnie zrobiła. Cóż za zielone piekło! W *Rzece* jest może równie groźna, ale o ileż mniej wspaniała! Nie mogę zamknąć oczu, bo pod powiekami tańczyć mi zaczyna zielony fajerwerk dżungli. Nawet kiedy piszę te słowa, litery układają mi się w obłąkany kształt puszczy. Cały mój notatnik wypełniony jest plątaniną gałęzi, lian, bambusów. Dżungla jest we mnie jak zła gorączka.

Po obiedzie podano znakomitą kawę, Nguyen-Tong opowiadał, że przed wojną były tu duże plantacje kawy. Po rewolucji rozparcelowano je między ludność. Ale ludzie uważali, że kawa nie ma wartości i zamienili plantacje na ryżowiska. W okolicy znajdowały się też słynne z hodowli afrykańskich koni stajnie. W Wietnamie nigdy nie było koni, dopiero Francuzi je tu sprowadzili. Te małe koniki, które spotyka się tu na każdym kroku, są w prostej linii potomkami Arabów.

Po obiedzie mam chwilę psychicznej zapaści. Odczuwam tęsknotę za krajem i domem, która wydaje się nie do zniesienia. Zgodziłbym się natychmiast, gdyby jakaś dobra wróżka zaproponowała mi przeniesienie się na MDM. Staję się nagle dziwnie skłonny do wzruszeń. Jest mi czegoś straszliwie żal, sam nie wiem czego... W dodatku przy obiedzie podano na deser tak zwane „mleczko". Przypomniało mi się, że w dzieciństwie prosiłem często matkę o zrobienie tego smakołyku. Już drugą noc z rzędu śni mi się niezwykle wyraziście, że jestem w domu, mam we śnie poczucie czegoś niedokonanego, niespełnionego do końca, a w chwili przebudzenia cieszę się, że jestem jeszcze w Wietnamie. Może z godzinę leżałem w półmroku, przy zasłoniętych matami oknach, układając plany i terminy powrotu. Muszę być chyba zmęczony.

Godz. 21.30

Po południu zwiedziliśmy grotę Ngom-Boc, do której nie mogliśmy dojechać wczoraj. Wielka wapienna jaskinia, wypełniona skrzyniami i żelastwem, mrokiem i szumem podziemnego potoku. Od strony doliny osłonięta jest półkolistym wałem morenowym, który znakomicie ułatwiał obronę. Trzy ataki Francuzów załamały się na tym wale.

U jaskini spotykamy pięknego starca o długich włosach, związanych na tyle głowy w węzeł i przepasanych chustką. Jest to Le-Van-So z plemienia Tho, osobisty przyjaciel Ho-Chi-Minha i jeden z bohaterów miejscowego ruchu oporu. Ma szlachetną postać biblijnego pasterza. Gwarzymy długo, aż zmierzch napędza chmarę moskitów.

A w ogóle zanadto mnie ponosi. Kiedy jestem w domu, myślę, żeby wyjechać. Jak wyjadę, myślę, żeby wracać. Kiedy jestem w Cao-Bang, myślę, aby już być w Bac-Can. Kiedy pojadę tam, będę chciał już znaleźć się w Tai-Nguyen. W Hanoi o niczym innym nie myślę, tylko o wyjeździe. Jak wyjadę, natychmiast pragnę znaleźć się z powrotem w Hanoi. Za dużo jest w tym wszystkim pogoni za czymś, czego nie ma. Za dużo niepokoju. Do domu też zawsze tęsknię niesamowicie i pędzę jak nieprzytomny, a jak przyjadę, jestem rozczarowany, od razu się zniechęcam byle czym i żałuję, że się tak śpieszyłem. Teraz, prawdę powiedziawszy, nie mam się czego śpieszyć. Na widzeniu się z Groszem, który przyjeżdża w poniedziałek, tak bardzo mi nie zależy. Na wyjeździe z Kożin na reformę rolną do Phu-To, też nie. Po cóż więc gonię siebie i ludzi? Wydaje mi się, że w Dong-Khe znajdę to, czego nie znalazłem w Cao-Bang, a w Bac-Can... i tak dalej.

Po kolacji dobra, krótka, fachowa, poparta mapą konferencja wojskowa na temat historii walk w prowincji Cao-Bang w latach 1940-50. Pierwsze bazy Vietminbu powstają tu właśnie w latach 1940—1944. Ruch rewolucyjny ogarnia szczepy Man i Tho. *Mot d'ordre:* otworzyć drogi dla połączeń z Deltą. Pierwsza z nich wiedzie przez Bac-Can, druga przez Lang-Son. Zadanie polityczne: wyszkolenie kadr, mobilizacja mas. Wróg robi wszystko, by przeszkodzić pracy kadry w wioskach. Stosuje represje i terror. Francuzi ogłosili, że za każdego członka kadry płacą 1 000 piastrów i 4 kg soli, a za członka kadry wyborowej 10 000 piastrów i kwintal soli; 4 kg soli za głowę, nawet odciętą... Sól jest cenna w tych okolicach.

Wioski, jedna po drugiej, poddawane były brutalnej akcji pacyfikacyjnej. Mimo to wkrótce powstaje pierwsza wojskowa kompania propagandowa, grupująca najlepsze kadry. Prowadzi ona pracę we wsiach będących pod kontrolą nieprzyjaciela. W marcu 1945, kiedy armia francuska poddaje się Japończykom, oddziały partyzanckie rozbrajają posterunki wojsk marionetkowych i zdobywają bezcenną broń. Kiedy po kapitulacji Japonii Francuzi wracają, prowincja Cao-Bang staje się pierwszą bazą oporu. Tu miała miejsce pierwsza większa akcja bojowa — atak na Dong-Khe. Tu odbyła się pierwsza wielka operacja — zniszczenie garnizonu Cao-Bang i oczyszczenie granicy chińskiej.

W czasie wojny położenie ludności było trudne. Handlem zajmowały się tylko żony żołnierzy marionetkowych, gdyż na linii Cao-Bang — Lang-Son — Hanoi chodziły tylko francuskie samochody wojskowe. Francuzi tworzyli „białe zony", a ludność grupowali wokół fortów. Ludności tłumaczono, że cho-

dzi o ochronę jej życia i mienia przed Vietminhem. W miejscowościach, gdzie ludność była skoncentrowana, wybuchały epidemie.

Po wyzwoleniu rozpoczęto uprawę ziemi w „białych zonach". Rozwinięto tkactwo bawełniane, nawiązano handel z Chinami. Prowincja dawała produkty leśne, Chińczycy przemysłowe. Rozpoczęto eksploatować kopalnie węgla w Tinh-Tuc, gdzie pracowało ośmiuset robotników. Poziom życia ludności szybko wzrastał.

Po Genewie ludzie poczęli wracać do miast i wsi oraz urządzać targi. Pokój przyjęty został z entuzjazmem. Tylko wielcy przedsiębiorcy i właściciele ziemscy nie wrócili już po zawieszeniu broni do Cao-Bang...

Bac-Can, 15 listopada, godz. 16.20

Nieprędko zapomnę ten dzień. Droga z Cao-Bang do Bac-Can jest zupełnie bajkowa. Zwłaszcza przełęcz Lea jest pod względem rozmaitości, bogactwa i potęgi przyrody niezrównana. Górskie sawanny, wspaniałe lasy ciągnące się dziesiątkami kilometrów, doliny z rwącymi potokami pełnymi ryb, barwne stroje Tho w dolinach, a Meo w górach...

Wyjechaliśmy z Cao-Bang wśród mgły zakrywającej słońce.

Była godzina 6.30. Prezydent Nguyen-Tong podarował mi na pożegnanie trzy śliczne ludowe serwetki. Na jednej z nich było napisane „Żołnierzowi z Dien-Bien-Phu". Nguyen-Tong powiedział, że daje mi ją, gdyż żołnierze pod Dien-Bien-Phu walczyli o pokój, a ja, jako pisarz, robię to samo. Pożegnaliśmy się bardzo serdecznie.

Mgła ustąpiła dopiero w suchych górach, pokrytych wysoką żółtą trawą. Góry-sawanny ciągną się dość długo. Za nimi widać wysokie, zębate szczyty. Pierwsza przełęcz była niska i łysawa, ale nieco dalej wpadliśmy w Przełęcz Lea, wobec potęgi i grozy której blednie Long-Phai. Dżungla typu górskiego, surowa i nie ociekająca tak jadowitą zielenią, ale potężna i niezmierzona. Pod ogromnymi drzewami spotkaliśmy rodzinę wypalaczy węgla, jak budowała z gliny wielki piec. Żyją całymi miesiącami wśród nieprzebytej puszczy, nękani malarią i podchodami dzikich zwierząt. Spotkaliśmy też kilku myśliwych z prymitywnymi strzelbami na ramionach. Przed jakąś samotną chatą zauważyliśmy świeżo zdjętą skórę sarnią, a obok odcięty łeb rogacza. Ale w chacie nie było nikogo.

Kobiety Meo noszą kolorowe krajki. Nie pozwalają się fotografować. W dodatku nikt z moich towarzyszy nie mówi narzeczem Meo.

Po przełęczy Lea musieliśmy przeskoczyć jeszcze jedną przełęcz, znacznie niższą, ale bardzo piękną, o dżungli równie jadowitej i kapiącej jak na Long-Phai. Śniadanie zjedliśmy w dolinie, nad strumieniem, na skraju bambusowej puszczy. Dong otworzył konserwy, a Thiep rozpalił ogień i zagotował w starej puszce wodę na herbatę. Czekając na posiłek powłóczyłem się trochę wzdłuż potoku. Odkryłem opodal, za załomem lasu, ogromne bambusowe koło, obracające się powoli: poruszany prądem czerpak, doprowadzający wodę do *arroyos* — małych kanałów nawadniających ryżowiska. A więc gdzieś w pobliżu musi być wieś. Po chwili zauważyłem jeszcze wielkiego bawołu, przepływającego leśny strumień. Ale moi towarzysze nie objawili żadnego zainteresowania dla mojego odkrycia. Co z tego, że jest wieś, kiedy z tymi Meo i tak

dogadać się nie można. Ty nie chciał też rzucić w potok granatu ręcznego, mimo że mu pokazywałem na głębinie ryby. Twierdził, że jest ich za mało.

W czasie śniadania z drzewa, pod którym siedzieliśmy, rozległ się dźwięk przypominający dzwonienie telefonu. Podniosłem głowę. Co, u diabła? Moi towarzysze parsknęli śmiechem. Thiep wyjaśnił mi, że to owad *sau* — co znaczy „monotonny", który „nie ma innego zadania, jak wydawać ten dźwięk". Sau dzwonił przez cały czas, jakby się uwziął.

Do Bac-Can przyjechaliśmy o drugiej po południu. Tak pięknie położonej miejscowości jeszcze nie widziałem. Mieścina oprawiona jest w zieleń, jak w szmaragd. Dżungla podchodzi ze wzgórz pod same zabudowania. Na horyzoncie wznoszą się wielkim kręgiem wysokie, podbite zielonym kożuchem góry. Malutka dolina przecięta jest jasną rzeką, jak wstęgą. Wszystko śmieje się słońcem i rozszalałą roślinnością. W środku doliny wznosi się strome wzgórze, na którym niegdyś stał dom gubernatora prowincji. Teraz jest tam wielki, bambusowy bungalow, w którym przyjmuje nas młody przewodniczący miejscowego Komitetu Administracyjnego. Upał zmęczył nas potężnie, toteż poprosiłem o odroczenie obiadu i pozwolenie wykąpania się w rzece. Ze wzgórza widać ją było, jak płynęła, chłodna i czysta. Przewodniczący wysłuchał mnie i zadumał się na długą chwilę. Wreszcie powiedział coś do Thiepa głosem, w którym dźwięczało zakłopotanie.

— Co on mówi?

Thiep przełożył z całą powagą:

— On zapytuje, czy Komitet Centralny zgodzi się na to, by towarzysz z Polski kąpał się w rzece.

Znałem już na tyle Wietnamczyków, aby wiedzieć, że to nie jest żart. Kąpiel w tutejszych rzekach jest podobno dla Europejczyków niebezpieczna, dostaje się po niej złej gorączki. Jestem jednak tak zmęczony, zlany potem, okryty czerwonym kurzem i zgrzany, rzeka w dole migoce tak cudownie w słońcu i szumi tak nawołująco, że ponawiam prośbę, oświadczając, że nie będę w stanie niczego przełknąć, zanim się nie wykąpię. Przewodniczący kapituluje z wyraźną niechęcią. Sam prowadzi nas uroczymi ścieżkami wśród palm i kaktusów nad rzekę. Moi towarzysze są zachwyceni i wymieniają między sobą jakieś uwagi, obrzucając mnie przy tym pełnymi uznania i wdzięczności spojrzeniami. Włazimy zaraz w czysty i chłodny nurt i pluszczemy się przez dobrą godzinę. Potem Thiep, Dong i Ty biorą się do prania. Piorą wszystko — spodnie, mundury, koszule, slipy. Dong chce koniecznie wyprać przy okazji moje amerykańskie spodnie, z których jestem tak dumny. *„Sale, très sale"* — powtarza, wykonując dłońmi gest prania. Rzeczywiście, na moich spodniach mam całą dżunglę z jej wszystkimi sokami, cały nasz samochodzik z jego smarami, oliwą i benzyną, wszystkie nasze posiłki pod gołym niebem, Hanoi, Deltę i rejon wysokich wapniowców. Właśnie dlatego odmawiam. Te spodnie, to kronika naszych wypraw. Nie wolno niczego wymazywać z kroniki. Dong jest ze mnie wyraźnie niezadowolony. Odtąd przy każdej okazji będzie obrzucał bolesnym spojrzeniem moje *„pantalon de brousse"* i powtarzał, czyniąc dłońmi gest prania: *„Sale, très sale, faut laver..."*

Po kąpieli czujemy się jak nowonarodzeni. Według planu mieliśmy zostać w Bac-Can tylko na obiedzie i zaraz jechać dalej, do Tai-Nguyen, aby tam zanocować. Ale ja tak zachwyciłem się pięknem tego miejsca, że zaproponowa-

łem towarzyszom, abyśmy tu zostali na resztę dnia i na noc. Zgodzili się z wielkim entuzjazmem. Jeszcze bardziej zachwycony był przewodniczący, którego moja kąpiel w rzece usposobiła zrazu marzycielsko. Przyznał mi się później, że nie mógł darować swemu koledze z Tai-Nguyen: dlaczego mielibyśmy spędzić noc tam, a nie tu, w Bac-Can? Nie co dzień zdarza się w tej głuszy sposobność rozmowy z Europejczykiem, a w dodatku z Polakiem.

Podczas znakomitego obiadu — ryż, zupa *my*, ryba pieczona, gulasz z psa, banany — przewodniczący wprowadza nas w sprawy prowincji. Uważam, że zwyczaj ten jest nieoceniony. Sadza się gościa za stołem i w sposób bezbolesny podaje mu się niezwykle ciekawe wiadomości o miejscu, w którym się znajduje. Dzięki takim obiadom, w których obok przewodniczącego biorą z reguły udział jego najbliżsi współpracownicy oraz sekretarz miejscowej organizacji partyjnej, dowiedziałem się o Wietnamie znacznie więcej, niż mógłbym znaleźć we wszystkich książkach, jakie na temat tego kraju napisano.

Prowincja Bac-Can liczy 80.000 mieszkańców, przeważnie Tho, Meo, Man czerwonych — barwią na czerwono włosy — i srebrnych. Samo miasto liczy dwieście rodzin. W prowincji chodzi do szkół 10.000 dzieci, wobec 900 za rządów francuskich. W mieście jest biblioteka publiczna. Jest tu około 20 rodzin katolickich. Ksiądz znikł bez śladu w chwili odejścia Francuzów. Ludność katolicka jakoś nie upomina się o duszpasterza. Podobno daje sobie radę bez chrztów, ślubów, pogrzebów i nabożeństw. Miasto zostało doszczętnie zniszczone przez garnizon francuski podczas ewakuacji. Opuścił on twierdzę, bardzo zresztą prymitywną, w roku 1949, na skutek zupełnej izolacji. Cała ludność uszła w góry, a droga do Tai-Nguyen została przerwana przez partyzantów, uniemożliwiając aprowizację posterunku. Przewodniczący pokazuje mi górę o trzech szczytach, wiszącą niedaleko nad dżunglą: tam właśnie Giap formował swą armię. Tu w Bac-Can okrążony został w 1947 przez desant spadochroniarzy pierwszy sekretarz KC, Truong-Chin, i w ostatniej dosłownie chwili zdołał wymknąć się i ujść w góry. Cała prowincja to góry i dżungla. Ryżowisk bardzo mało. Ludność uprawia maniok i kukurydzę. Eksport drzewa do Hanoi znajduje się dopiero w stadium organizacji. Poziom życiowy ludności jest bardzo niski.

W czasie rozmowy dowiaduję się, że w Wietnamie nie ma przymusu szkolnego, czasów ochronnych dla polowań ani obowiązku posiadania pozwolenia na broń. Każdy może posiadać broń i polować przez cały rok, na co mu się żywnie podoba. To samo dotyczy rybołówstwa. Nic w tym zresztą dziwnego. Poza Deltą zaludnienie kraju jest niezmiernie rzadkie, a ogromne obszary nieprzebytych dżungli i traw słoniowych dają zwierzynie wszelką szansę. Dzisiaj sprzed samochodu zrywały się co sto kroków parami dzikie gołębie, choć łowi się ich tu i spożywa dość dużo.

Pierwsza baza rewolucyjna powstała w roku 1941 na północnym wschodzie prowincji, w Thanh-Tam, wśród szczepu Man. Stąd rozpoczęto rozszerzanie bazy ku południowemu zachodowi, aż do Tai-Nguyen i okręgu, gdzie w czasie wojny było Centrum. Drogę biegnącą od Bac-Can do Tai-Nguyen otworzył dla połączeń z Deltą generał Giap. Nazwano ją „Nam-Tien" — „Drogą Rewolucji na Wschód". Od Man ruch niepodległościowo-rewolucyjny przerzuca się na szczep Tho. Francuzi stosują „biały terror", jak wszędzie. W latach 1943 — 1944 terror ten osiąga największe nasilenie. W tym czasie mnożą się przy-

kłady rewolucyjnego ducha Man i Tho. Kiedy towarzysz z kadr Houan został rozstrzelany przez Francuzów w wiosce, gdzie uprawiał rewolucyjną robotę, jego matka nie powiedziała ani słowa skargi, tylko dalej uprawiała ryżowisko, z którego żywiła Giapa i jego sztab. Pewien Tho z rodziny Kim-Tinh w czasie akcji pacyfikacyjnej we wsi podpalił własną chatę i poszedł do partyzantów.

Po japońskim zamachu stanu ludność trzech dystryktów uszła w góry i rozpoczęła walkę zbrojną. Wtedy powstały pierwsze grupy *guerilla*. W 1947 Francuzi opanowali przy pomocy desantu spadochronowego Bac-Can i rozpoczęli pacyfikację sąsiednich dystryktów. Ludność odpowiada na akcję wroga niszczeniem wsi, domów, ogrodów i ucieczką w las. To była właśnie słynna „taktyka domu i ogrodu do zera". Wokół Bac-Can poprzecinano drogi, zwalając na nie drzewa. Francuzi naprawiali w dzień drogi, partyzanci niszczyli je w nocy. Tylko obszar w promieniu 4 km wokół Bac-Can kontrolowany był przez nieprzyjaciela.

Nocami zbocza gór wokół Bac-Can płonęły. To ludność wypalała na nich trawy pod uprawę manioku. W głębi dżungli urządzano małe targi i zakładano sklepiki. Tam też przez cały okres okupacji działały szkoły.

Po wyzwoleniu prowincji w roku 1949 ludność skupiła się wokół miasta, ale nie w mieście, ze względu na bombardowania. Uprawa roli zwiększa się wydatnie. Rząd rzuca hasło „zwycięskich żniw października". Od roku 1952 rozpoczynają się ciężkie ataki nieprzyjacielskich bombowców na drogę Cao-Bang — Bac-Can. Mimo to ruch na drodze został utrzymany dzięki mobilizacji ludności do natychmiastowej naprawy szkód. Na osiemdziesięciu kilometrach drogi, jaka przechodzi przez prowincję, naloty przerywały ją stale w siedmiu miejscach. Nad przełęczą Bang, tam gdzie droga wiedzie samą krawędzią skały, wisiały bez przerwy bombowce. Co dzień droga była przerywana i co noc naprawiana od nowa.

Drugi wielki problem to był ryż. W tych okolicach od wieków zbierano tylko jeden urodzaj ryżu rocznie. Dopiero od roku 1949 rozpoczęto sadzenie „ryżu z Nam-Ninh", który wytrzymuje powódź. Obecnie już 1 700 *mau* obsadza się „ryżem z Nam-Ninh". Ten ryż przekonał ludność, że rząd dba o jej los. Ryż ten w ilości zaledwie kilku kilogramów przynieśli żołnierze graniczni z Chin do Lang-Son. Z początku ludność nie wierzyła w korzyści ryżu z Nam-Ninh. Z trudem namówiono niewielką ilość ludzi do podjęcia próby jego uprawy. To był ryż, który miał później ocalić prowincję przed głodem. Wymagał on tylko 4 miesięcy pracy przy zbiorze w miejsce dotychczasowych 5 czy 6, wytrzymywał powodzie, a co najważniejsze, dawał dwa zbiory rocznie. Trzy czwarte ogólnego zasiewu ryżu z Nam-Ninh w Wietnamie znajduje się właśnie w prowincji Bac-Can.

W czasie wojny przeprowadzono znaczne prace irygacyjne. Obecnie prowincja ma 1 063 kanały doprowadzające wodę do 8 000 *mau* ryżowisk. Odbudowuje się zapory wodne, zburzone przez Francuzów.

Równie ważny jak ryż jest maniok. W prowincji jest 1.430.000 szczepów manioku. Wieśniaczka Nong-Thi-Chi sama zasadziła 10.011 szczepów. Zorganizowano 1.214 ośrodków samopomocy chłopskiej, które skupiają prawie 16.000 mężczyzn i kobiet na 44.000 zdolnych do pracy mieszkańców prowincji.

Jest jeszcze uprawa bawełny, ale tu sprawa skomplikowała się niezwykle. Tutejsi Man i Meo mają zwyczaj przysięgania duchom przodków, że do końca

życia nie będą uprawiać bawełny ani wyrabiać maszyn tkackich. Wzięło się to stąd, że dawno, dawno temu jakaś kobieta spadła z maszyny tkackiej i zabiła się. Trzeba było niemało perswazji i wysiłku, aby przełamać stary przesąd. Obecnie są już wsie Man, w których połowa ludności uprawia bawełnę, a w pewnej wsi uprawiają ją nawet 22 rodziny na 24.

Zagadnąłem o sprawy oświaty. Przewodniczący odpowiada z pewną troską:

— Mamy w szkołach 10.645 uczniów, w tym 3.000 dziewcząt, co jest w porównaniu z okresem okupacji prawdziwą rewolucją. Mamy 8 szkół pięcioletnich, cztery sześcioletnie i dwie siedmioletnie, podczas gdy za okupacji nie mieliśmy w ogóle szkół średnich. Ale na troje dzieci w wieku szkolnym tylko jedno chodzi do szkoły. Nie mamy ani dość kadr nauczycielskich, ani dość pomocy szkolnych, by zapewnić wszystkim dzieciom naukę. Same szkoły to fraszka, widzieliście, jak wyglądają. Parę bambusów, dach z palmowca i szkoła stoi.

Później opowiada o zawieszeniu broni.

— Zaczęliśmy natychmiast wracać do miast i wsi albo budować domy na skraju dróg. Dom, w którym siedzimy, zbudowany został zaledwie przed miesiącem. Odżywa z każdym dniem handel. Podczas wojny cierpieliśmy na dotkliwy brak soli. Dziś mamy jej dość i jest tańsza. Sprowadza się ją znad morza drogą przez Hanoi i Tai-Nguyen. W czasie wojny kilo soli kosztowało 450 dongów, dziś kosztuje 200. Rozpoczynamy nareszcie eksploatację lasów. Rozwinęliśmy niezwykle dochodową produkcję znanego chińskiego leku *sa-nhan*, wyrabianego z rośliny podobnej do ryżu. Jest to popularny środek wzmacniający, nie gorszy od wywaru z kości tygrysa. 44 tony *sa-nhan*, jakie produkujemy rocznie, mają wartość 524 milionów dongów.

— Mimo zniszczeń i cierpień nie mamy w prowincji ani jednego żebraka, ani jednego człowieka, który by wyciągał rękę...

Nie wiem, może to wszystko jest nudne. Ale kiedy słyszy się ten prosty raport tu, wśród dżungli podchodzącej pod pierwsze chatki osady, w tej głuszy przewiercanej ostrymi krzykami dochodzącymi z bezmiernych lasów, pod tym słońcem, które zamienia dziedziniec w biało-czarną wycinankę ze światła i cienia, każde jego słowo wydaje się piękne jak werset psalmu.

Nong-Van-Zuang, młody Tho pełniący obowiązki przewodniczącego prowincjonalnego Komitetu Administracyjnego, mówił dalej:

— Jesteśmy teraz w pełni akcji obniżania czynszów dzierżawnych, które sięgały 50 a nawet 70 procent zbiorów. Obniżamy je zgodnie z dekretem o reformie rolnej do 25%. Przy sposobności mobilizacji mas wokół obniżki czynszów dzierżawnych szkolimy ludność politycznie. W dwóch dystryktach przeprowadziliśmy już w zupełności obniżenie rent dzierżawnych. Niektórzy właściciele ziemscy nie obniżyli renty mimo dekretu. Zmuszamy ich teraz do oddania dzierżawcom tego, co od nich niesłusznie pobrali. Są tacy, którzy winni są ludności po dziesięć ton *paddy* z tego tytułu.

— Zakończyliśmy niemal walkę z analfabetyzmem, ale rozbudowujemy ciągle akcję szkolenia dorosłych. Przy wielkich trudnościach personalnych i technicznych organizujemy kursy publiczne. Musimy wyszkolić naprzód kadry spośród biednych chłopów, dopiero one będą mogły uczyć innych. Ludzie ci dziś jeszcze często są półanalfabetami. Uczymy kobiety mające małe dzieci, które nie mogą chodzić na kursy. Wiele z nich umie już przeczytać gazetę.

— W bibliotece publicznej mamy gazety i książki. Mamy zamiar założyć biblioteki także w stolicach dystryktów, a nawet po wsiach. W ciągu dziesięciu lat mieliśmy w prowincji dwa przedstawienia kinowe... Od konferencji genewskiej nie mieliśmy u siebie jeszcze kina... Mamy zamiar stworzyć zespół teatralny i ludowe zespoły tańca i pieśni. Wybraliśmy już pewną ilość tańców i pieśni naszej prowincji i przekazaliśmy je do Hanoi.

— Mamy w prowincji bardzo ciekawą sztukę ludową: tkactwo, wyroby kowalskie, odlewnictwo i koszykarstwo. Mamy 127 kowali wyrabiających piękne ozdoby, ale brak nam bardzo żelaza i stali. Na ogół jednak rzemiosło zaspokaja własne potrzeby rodziny, nie mamy jeszcze rozwiniętego rzemiosła na handel. A popatrzcie, jakie piękne są wyrabiane u nas maty...

Maty są rzeczywiście bardzo piękne, obramowane krajką, jak chusty i spódnice Meo.

Później przewodniczący oprowadził mnie po mieście i pokazał niektóre pamiątki historyczne, takie jak drzewo o postrzelanych konarach, zburzony most, wysadzone w powietrze blokhauzy.

To wojewódzkie miasto składa się z paru ścieżyn i kilkudziesięciu bambusowych szop. Mężczyźni Tho mają długie włosy, splecione w kok i przepasane kawałkiem płótna. Kobiety przywdziewają chińskie, odmienne od wietnamskich kapelusze lub też zawoje odmiennie wiązane na znak panieństwa czy zamęścia. Stożkowate kapelusze wietnamskie mają tu ciemny szlaczek na brzegu ronda. Bardzo piękne są błękitne, długie szaty kobiet Tho, noszone na spodniach.

Piszę przy lampie naftowej. Za ażurowymi ścianami chaty noc gada. Słychać z daleka wielki bęben. Na targowisku błyszczą żółte ogniki kaganków. Dong rozkłada w kącie mój śpiwór i zawiesza moskitierę.

Jestem niezmiernie zadowolony z mych towarzyszy podróży. Są mili, niesłychanie uczynni, prości, uważający, a nawet bardzo subtelni. Mają w sobie tę naiwną, cudowną prostotę ludzi lasu. Warto zapamiętać: ta armia nie uległa pokusom Kapui. Żołnierz wietnamski jest dumny i pełen godności. To, że się bił i zwyciężał, dało mu godność i poczucie dumy, które przenoszą się z kolei na cały naród. Sprawa godności ludzkiej — oto temat. Jak się ją zdobywa, jak się do niej dochodzi, jak się ją traci, często nie wiedząc o tym.

Mam trudności z zaśnięciem. To chyba ta niewinna, zielona herbata jest taka zdradliwa. Toteż leżę sobie i myślę. Jestem bardzo zadowolony z odbycia tej wyprawy. Ileż się podczas niej nauczyłem! Co z niej będę miał dla mojej literatury? Nie wiem. Pisarzowi trzeba nieraz miesięcy doświadczeń i przeżyć, by powstało z nich jedno zdanie książki. Czasem zaś wystarczy jedno mgnienie myśli, by z niego powstał cały tom.

Jutro skończy się moja wyprawa na spotkanie *Rzeki Czerwonej*, drogi kolonialnej nr 4, Cao-Bang i kolumny Chartona. Pierwsza wyprawa, w czasie której byłem *„maître au bord"*.

Dobranoc, żono. Żegnajcie marzenia, które się ziszczacie...

Hanoi, 16 listopada, godz. 22

Wyjechaliśmy z Bac-Can o 6.30. Przewodniczący ofiarował mi na drogę olbrzymi kosz świetnych tamtejszych pomarańcz, które mi tak bardzo smako-

wały. „Nic innego nie mamy do ofiarowania"... Przy śniadaniu opowiadałem im o cudach zimy w Zakopanem. Słuchali jak zaczarowani. Okazuje się, że tylko Thiep widział śnieg, i to w kinie.

Nad dżunglą leżała ciężka mgła, słońca nie było widać, mimo że o tej porze stać musiało już na nieboskłonie. Za Bac-Can wjechaliśmy we wspaniały las bambusowy. Bambusy strzelały w mgłę jak zielone race. Było zbyt ciemno, bym mógł zrobić zdjęcie.

Podróż bez historii. Jechaliśmy jednym tchem. Wszędzie naprawiają drogi.

Do Hanoi przybyliśmy o 11.20 po przejechaniu 168 km. Licznik w chwili wyjazdu z Hanoi 7617, w chwili powrotu 8513. To znaczy, że zrobiliśmy 896 km.

W naszym uroczym hoteliku Gia-Long małe zmiany. Calamandrei odleciał wczoraj polskim samolotem do Pekinu. Burchett poleciał do Sajgonu. Beba i Strielnikow pojechali oglądać plantacje kawy koło Thai-Nguyen. Nie ma już „Targu Nieba" pod oknami, bo go przeniesiono w inne miejsce. Dzielnica zrobiła się cicha i senna. Większą małpkę komuś podarowano, mniejsza tęskni za nią widać, bo jest smutna.

Po południu przechadzałem się z Thiepem po dzielnicy wietnamskiej. Ulica Jedwabiu, ulica Cukru, ulica Żagli, ulica Papieru... Wyparowuje ze mnie zmęczenie. Wieczorem kładę się wcześnie. Różowa jaszczurka wybiegła po ścianie i znieruchomiała na suficie.

Zza okna słychać bambusowe kołatki sprzedawców zupy: klik, klik, klik, klik — klak!

II. NAD RZEKĄ JASNĄ

22 listopada

Tuyen-Quang jest małą dziurą zagubioną w dżungli. Jak wszystkie miasta wolnej strefy zostało w początkach wojny rozebrane, cegła po cegle. Obecnie, kiedy mieszkańcy wrócili z lasu, Tuyen-Quang powstało znowu, tym razem jednak jako miasto nie z cegły, a z bambusa. Odnajduję tu ten niezapomniany nastrój małej mieściny, otoczonej wkoło dżunglą. Tak samo mieszkam w domu na wzgórzu, gdzie kiedyś stał murowany gmach gubernatora prowincji. Chwilami zdaje mi się, że jestem jeszcze w Bac-Can, w sercu puszczy.

— Najpierw sandały — mówi Truong-Son — będziesz potrzebował sandałów z opony samochodowej. W dżungli nie da się chodzić w skórzanych sandałach.

Przez cały ranek chodzimy po bambusowych chatach głównej ulicy miasteczka w poszukiwaniu sandałów. Jest ich krocie, całe stosy sandałów. Cóż z tego, kiedy w całym Wietnamie nikt nie ma stopy o rozmiarze 42. Co gorsza, kawałki opon, służące do robienia sandałów na zamówienie, również są przycięte dla rozmiaru mniejszego. Wreszcie znajdujemy odpowiedni kawałek opony w małym sklepiku, którego właściciel jest szewcem, a oprócz tego księgarzem, farmaceutą i piekarzem.

Sandały mają być gotowe za dwie godziny. Mamy jeszcze sporo czasu przed obiadem, udajemy się więc na zwiedzenie jedynego zabytku miasta, jakim są ogromne, bambusowe baraki, w których przebywali po bitwie o Dien-Bien-Phu jeńcy Korpusu Ekspedycyjnego. Później wracamy do domu na wzgórzu. Przewodniczący Komitetu Administracyjnego oznajmia mi z dumą, że na moją

cześć uruchomiono podręczną elektrownię, składającą się z motoru na węgiel, kabla i żarówki. Będziemy więc mieli wieczorem światło.

Światło wieczorem mamy istotnie. Mruga nieco i gaśnie raz po raz, ale jesteśmy z niego wściekle dumni. To jedyna elektryczna żarówka, jaka pali się w dżungli — w promieniu setki kilometrów. Toteż z całej okolicy zlatują się do niej żuki wielkości kurzego jaja. Różowe jaszczurki ścienne wiszą w kręgu jej ciepła u sufitu, jakby zasłuchały się w opowieść o tygrysach, niedźwiedziach, małpach, dzikach i jeleniach. Przewodniczący zaklina się, że jeśli chcę zobaczyć tygrysa, wystarczy udać się dwa kilometry w górę rzeki i poczekać trochę. Niemal każdego dnia tygrysy przepływają w biały dzień Rzekę Jasną.

Późno wieczorem przychodzi meldunek, że konie już wysłane, będą nas oczekiwać nazajutrz u progu dżungli. Posłano również do odległej wsi, gdzie mieszka myśliwy ze szczepu Man, posiadający dubeltówkę. Wygadałem się niechcący, że jestem myśliwym, więc teraz robią wszystko, żeby mi dostarczyć strzelby.

Rozmowa toczy się długo w noc. Przewodniczący K. A. i sekretarz K. W. odkryli we mnie złotą żyłę: polskie doświadczenia w ułożeniu stosunków między Kościołem a państwem. Jest tu w prowincji nieco katolików, pozbawionych zupełnie duszpasterzy. Troską władzy jest odbudowa ich życia religijnego. Ale jak to zrobić?

Przed północą wychodzę jeszcze na chwilę przed dom. Noc rechocze i muzykuje. Jest chmurno, chłodno. Błogosławię mój puchowy śpiwór.

Nazajutrz przeprawiamy się promem przez słynną z zaciętych walk przeprawę, Binh-Ca. Samochód podrzuca nas na skraj wielkich lasów. Tu, na progu „zony bezpieczeństwa" czekają na nas dwa małe koniki. Dojechaliśmy naszym „gazikiem" tak daleko, jak się dało, chyba ze trzydzieści kilometrów od Tuyen-Quang. Dalej nie ma już drogi. Zjadamy obiad w opuszczonej chacie, przykrytej gęstym kożuchem tropikalnej roślinności. W dole szumi czysty potok. Podczas czekania na obiad usiłowałem wraz z Ty łowić w nim ryby, ale bez powodzenia.

Nasz kucharz to geniusz. Zrobił wietnamski obiad, godny królewskiego stołu. I to wszystko na zwykłym ogniu, w dżungli. Jest przy tym zadziwiająco inteligentny. Mówi po francusku najlepiej ze wszystkich moich wietnamskich towarzyszy i rozprawia rozsądnie o najpilniejszych zadaniach władzy ludowej.

Po obiedzie troczymy konie. Proponują mi, abym dosiadł jednego z nich, ale odmawiam. Ładujemy więc na kucyki wszystkie nasze bagaże i prowianty. Wyruszamy o 13.30. Jest nas siedmiu: dwóch młodych żołnierzy do prowadzenia koni, tłumacz Thiep, moja niania Dong, kucharz, przewodnik i ja. Żegnamy się z szoferem, towarzyszem Ty. Ma nas oczekiwać za trzy dni po drugiej stronie dżungli, o 75 kilometrów stąd. Jestem radośnie podniecony. Ma to być mój pierwszy marsz pieszo przez dżunglę. Ruszamy.

Zrazu idziemy małą dolinką wśród ryżowisk, później jakąś taką pół-dżunglą, bardzo gęstą od bambusów. Ze wzgórz porosłych wielkimi drzewami i palmami dochodzą przeraźliwe krzyki i rozdzierające jęki. Nie wiadomo, ptactwo czy małpy. Przewodnik niesie dubeltówkę, którą wręczył nam na drodze odnaleziony myśliwy ze szczepu Man, wraz z sześciowa nabojami: śrut jak na byka, nulka i loftki. Co chwila przelatują nad nami wspaniale upierzone

ptaki o zielonych brzuchach i czerwonych skrzydłach, podobne z kształtu i lotu do sroki. W jakiejś kępie bambusów drze się coś ponuro, jak puszczyk. Zaglądam tam i widzę wspaniałego bażanta, zupełnie czarnego, o rdzawych skrzydłach. Przyzywam przewodnika ze strzelbą, ale ten wyjaśnia mi, że bażant jest niejadalny, jego mięso odznacza się wyjątkowo przykrym zapachem. Później wychodzimy z bambusowej puszczy w rozkoszną dolinkę, zarosłą pięciometrowej wysokości „trawą słoniową". Przez ścieżkę przebiega piechotką dzika kura. Tracimy sporo czasu na tropienie jej w trawach. Wreszcie przewodnik daje za wygraną. Idąc przy nim ścieżyną dowiaduję się z rozmowy, że nazywa się Hai-Thai, jest członkiem Komitetu Administracyjnego w Tuyen-Quang oraz że jest odpowiedzialny przed KW za organizację mas. I takiego człowieka, który u nas jeździłby tylko samochodem, dają mi na przewodnika! Źle powiedziałem: dają, to on sam się zgłosił na ochotnika. Nazywają go „geniuszem okolicy", bo zna każdą ścieżkę w dżungli. Pochodzi ze szczepu Tho. Dlatego zgłosił się na przewodnika, bo przecież towarzysz z Polski nie może tracić czasu na błądzenie po lesie. On zna całą okolicę, ludzi i ścieżki. Nie darmo nazywają go „geniuszem okolicy".

Hai-Thai idzie bardzo szybko, tak że po dwóch zaledwie godzinach marszu dnem dolinki jestem potężnie zmęczony. Niebo pokryte jest ołowiem, a mimo to dżungla dyszy żarem i wilgocią.

Mieliśmy zamiar dojść jeszcze tego wieczora do Tan-Trao, to jest pierwszej siedziby rządu wietnamskiego czasu wojny, ale noc zapadła szybko z powodu dużego zachmurzenia i „geniusz okolicy" zaproponował zatrzymanie się w wiosce Le, do której przybyliśmy właśnie o zmroku. Przyznam się, że nie protestowałem. Upadałem wprost na nos ze zmęczenia. Źle dopasowane sandały z opony samochodowej piły mnie niemiłosiernie w nagie stopy. Korkowy hełm ciążył mi na głowie, jakby był z ołowiu. Koszula lepiła mi się do pleców, nie wysychających w tej wilgoci.

Stajemy na noc w chacie zwietnamizowanego Tho. Piękna chata z bambusa i liści palmy, w której nas przyjął, została wybudowana po rozejmie. Przedtem mieszkało się w lesie. Po drodze widzieliśmy wiele takich bambusowych chat na palach, stojących pod wielkimi drzewami dżungli. Były zupełnie niewidoczne z pewnej odległości, odkrywało je się dopiero wówczas, kiedy stało się od nich o krok.

Zostawiamy sandały na dole i wchodzimy po drabinie do chaty. Mniejszości narodowe budują zawsze chaty na palach. Dzień zgasł jak zdmuchnięta świeca. Wokół chaty noc gada. Gospodarz pali wielką faję z bambusa, w której bulgoce woda. Opowiada, że miał dwanaścioro dzieci, z których żyje tylko dwoje. Reszta zmarła na malarię. Słucham go, leżąc wygodnie na macie. Na dworze gdacze zarzynana dla mnie kura. Dong mocuje się z moją moskitierą. Przygotowuje mi wszystko do spania — śpiwór, pidżamę, coś pod głowę — niczym najlepsza nursa. Nie jestem w stanie zdobyć się na to, by mu choć dopomóc. Leżę i palę papierosa. Noc ćwierka i brzęczy wokół. Dziwna noc wietnamska, która nie zna ciszy. Dong kończy mocować się z moskitierą. Podchodzi i stawia obok mnie butelkę koniaku.

— Napij się przed kolacją — mówi — bo inaczej nie będziesz miał ochoty wstać.

Kiedyś pochwaliłem koniak. Od tego czasu Dong ma zawsze w sakwach bu-

telkę „Martela". Twierdzi, że to zabija w zarodku jelitowe pasożyty. Gestem ostrzeżenia wskazuje mi wydęte brzuchy dzieci.

Przychodzi stary, brodaty Tho i siada bez słowa. Wyjmuje zwitek betelu, wkłada do ust, żuje i spluwa czerwoną śliną. Thiep szepce mi w ucho wietnamskie przysłowie: żucie betelu jest zaczątkiem rozmowy. Istotnie stary odzywa się po chwili. Chciał powiedzieć, że dzieci ze szkoły przyjdą zaśpiewać mi kilka piosenek. Słucham ich później długo w noc, aż dbający o mój sen jak niańka Dong przepędza wszystkich. Przed spaniem, jak zwykle, wychodzę jeszcze przed próg posłuchać dżungli i popatrzeć w niebo. Noc jest czarna i bez gwiazd, zawleczona tumanem. Dżungla rechoce, pulsuje nocną pieśnią. Dzieci oddalają się ścieżyną, zapaliwszy bambusowe łuczywa.

Kiedy wracam pod dach, Dong schyla się i omiata mi stopy światłem latarki. Bada je długo i drobiazgowo. Domyślam się, czego szuka. Jest przy mnie parę tygodni, a robi to po raz pierwszy. Cóż, jesteśmy w dżungli. Dong bada, czy nie wczepiły mi się w skórę małe pijawki drzewne, zwane *kon-vat.*

23 listopada, godz. 6.20

Zbudziło mnie przeraźliwe siorpanie. To nasz gospodarz palił wodną fajkę. Różowy świt wstawał nad dżunglą.

Błogosławię mój pekiński ekwipunek: śpiwór, nieprzemakalny worek podróżny, moskitierę, dwie wiatrówki — tropikalną i ciepłą, tropikalne koszule, lekki, nieprzemakalny płaszcz. Wszystko to pozwala mi puszczać się na takie harcerskie wyrypy. Nie dziwię się, że moi hanoiscy towarzysze nie palą się do nich wcale, skoro nie zaopatrzyli się w nic poza miejskimi ubraniami.

Dong przyniósł miedzianą misę pełną gorącej wody. Co za komfort! Umyłem się i zlazłem po drabinie na dół, w poszukiwaniu sandałów.

Wyruszamy za chwilę. Jestem już po śniadaniu: kawa ze skondensowanym mlekiem, chlebek ryżowy, pasztet z puszki, banany. Na skraju dżungli Hai-Thai dopilnowuje troczenia koni. Zawsze ślamazarny Thiep kończy melancholijnie wycieranie ciała wilgotnym ręcznikiem. Spał obok mnie, zawinięty w swoją bawełnianą kołderkę wraz z głową, w obronie przed moskitami. Thiep jest w stałej niezgodzie z przedmiotami. Wiecznie zamyślony, porusza się jak lunatyk. Ale odkąd wleźliśmy w dżunglę, stracił całą swoją melancholię. Nawet jego francuszczyzna stała się żwawsza. Uczę się od niego tysiąca rzeczy. Gdzieś w okolicy Thiep kierował przez kilka lat leśną szkołą.

Godz. 19.40

Cały dzień dzisiejszy był jednym niezwykłym przeżyciem. Po obiedzie weszliśmy w dżunglę. Z gęstwiny dobiegało pianie dzikiego koguta. Szliśmy ścieżyną wśród bambusów, to znów wśród wielkich drzew. W maleńkiej, zielonej dolince natknęliśmy się na piękny przysiołek Kim-Nong, gdzie w 1945 r. mieszkał gen. Giap. Pokazują mi zarosłe bujną trawą miejsce, gdzie stał jego dom. Pod tłustym kożuchem zieleni kapiącej z góry poukrywały się stojące na palach chatki nielicznych mieszkańców, którzy nie mogą się rozstać z doliną i skąpymi ryżowiskami. Przypadkowo usiadłem na korzeniu wielkiego badamowca, na co moi towarzysze wszyscy na raz zaczęli wołać, że Ho sia-

dywał na nim, ilekroć tędy przechodził, i patrzył na cudowny widok dolinki objętej wzgórzami i dżunglą.

Doszliśmy aż do przełęczy leśnej De, gdzie Giap stoczył swoją pierwszą bitwę. Mając zrzutową broń amerykańską dla czterdziestu ludzi, zniósł zupełnie japońską kolumnę liczącą 125 ludzi, wysłaną do Tan-Trao dla zlikwidowania wietnamskiej bazy oporu. Obejrzałem zarosłe trawą słoniową miniaturowe lotnisko, które Ho kazał zbudować na dnie doliny dla przyjmowania alianckich samolotów i zrzutów. Pokazują mi wreszcie wielki badamowiec o odrąbanych konarach, w których uwiązł w 1945 r. amerykański spadochroniarz. Było to jeszcze w czasach, gdy jedność wśród aliantów istniała i Amerykanie zrzucali Ho-Chi-Minhowi broń do walki z Japończykami.

Na wąskiej ścieżce w głębi dżungli spotkaliśmy myśliwego ze szczepu Man, dźwigającego wielką strzelbę kapiszonową, ładowaną od przodu. Zaprosił nas do swej chaty, leżącej na stoku dzikiego wzgórza wśród czarnej plamy wypalonej sawanny. Opowiadał, że pilnuje bydła, bo od kilku nocy kręci się wokół chaty duży tygrys, którego dobrze widać w świetle księżyca.

W chacie wita nas uprzejmie kilka kobiet. Przy pomocy skomplikowanego systemu kilku tłumaczy dowiaduję się, że na zboczu mieszka siedem rodzin Man. Jeszcze w tym roku zbiorą tu maniok i kukurydzę, po czym przenoszą się w inne miejsce, gdzie zaczną karczować dżunglę, wypalać trawy i orać, bo tutaj ziemia przestała rodzić. Man i Meo są częściowymi nomadami, pozostają w jednym miejscu zaledwie parę lat. Chata jest obszerna, silnie zbudowana. W kącie leży ryż w snopkach, białe gałki ryżowe do wyrobu alkoholu i stępa do łuskania ryżu. A co najdziwniejsze, w chacie jest wodociąg. Tak, prawdziwy wodociąg z bambusowych rur, doprowadzający wprost do „kuchni" świeżą wodę z górskiego źródła. Na ścianie rozwieszone są rybackie sieci, z których można korzystać tylko w okresie pory deszczowej, kiedy strumienie zamieniają się w rzeki.

Porobiłem całej ludności zdjęcia. Kobiety włożyły z tej okazji świąteczne stroje, a mali obywatele otrzymali na chwilę bielutkie szaliki z czystych ręczników. Szalik jest tu oznaką elegancji, jak u nas krawat.

Już wracając spotkaliśmy na ścieżce innego myśliwego. Szedł do ołtarza bogów w dżungli złożyć im ofiarę, gdyż jedyne żyjące dziecko dostało ataku malarii. Dałem mu kilka pastylek paludryny i chininy radząc, aby po złożeniu ofiary leśnym bóstwom dawał dziecku regularnie pastylki. Zaręczyłem mu, że dopiero jedno z drugim połączone odnosi w takich wypadkach pełny skutek.

Moje nogi zniosły świetnie 25 kilometrów marszu, ale moje stopy gorzej. Nowe, źle dopasowane sandały z opony samochodowej dają mi się we znaki. W dodatku koń nastąpił mi na stopę. Ledwie mogę chodzić. Przechodziliśmy w ciągu dnia ze dwadzieścia większych i mniejszych potoków, płynących doliną. Z rozkoszą zanurzałem w ich zimnej wodzie obolałe, pokaleczone stopy. Najgorsze są nadłamane pręty bambusa, sterczące zewsząd. Są ostre jak brzytwy i kaleczą głęboko za lada muśnięciem. Toteż podziwiałem Tiepa, który połowę drogi zrobił o jednym sandale, drugi niosąc w ręce. Pękł mu gumowy pasek i dopiero w chacie koczowników naprawiono mu go.

Zmęczeni marszem i dusznym upałem zatrzymaliśmy się na krótki wypoczynek u wielkiego głazu, leżącego w pośrodku potoku. Mocząc nogi pojada-

liśmy kleisty ryż, wyrobiony z młodą fasolką, który Dong taskał w swych sakwach, owinąwszy go troskliwie w liść palmy. Zdjąłem ze stopy już drugiego czy trzeciego *kon-vata*, kiedy Dong zaproponował mi postrzelanie z rewolweru. Tłumaczył mi długo, jak się celuje i jak naciska spust. Cóż, był żołnierzem, a ja cywilem. Słuchałem uważnie, myśląc, że oni muszą uważać mnie za straszną fajtłapę. Zwłaszcza po nadepnięciu mi na nogę przez tego kretyńskiego konia. Dręczyło mnie to już od dawna, złościły mnie wszystkie objawy troskliwości i uwagi, jaką mnie otaczali. Nie ma co, brali mnie za ofermę i tyle. Wziąłem od Donga rewolwer. Wskazał mi za cel drzewo grube jak baba, odległe o dziesięć kroków.

— Nie — powiedziałem — uważaj. Strzelam do tego cieniutkiego bambusa na skraju ścieżki, o dwadzieścia pięć kroków.

Dong zarżał jak koń.

— W to w ogóle nie można stąd trafić z pistoletu. Strzelaj do drzewa.

Kiedyś dobrze strzelałem z pistoletu. Putrament świadkiem. Trafiałem złotówkę na dziesięć kroków, bez pudła.

Podniosłem pistolet i strzeliłem dwa razy z rzędu. Thiep poszedł sprawdzić.

— Nic nie ma — zawołał, machając ręką.

Ze swego miejsca widziałem, że jest. Jeden jasny wyprysk na wysokości oczu, drugi trochę niżej.

— Podnieś głowę, Thiep. Szukaj wyżej. Możesz wsadzić palce jednej ręki w obie dziury.

Odzyskałem twarz. Przestali mnie traktować jak ofermę.

Wieczorem odbyło się u mnie samokrytyczne zebranie. Okazuje się, że nasz kucharz jest członkiem egzekutywy w Tuyen-Quang, jest odpowiedzialny za organizacje społeczne i ma w najbliższym czasie zwołać zebranie księży i bonzów całej prowincji. Poradziłem mu, aby na wszelki wypadek zwołał dwa osobne zebrania. W prowincji dominuje kult przodków i dzikich zwierząt, katolicyzm nie czynił żadnych postępów wśród mniejszości, pagód buddyjskich też po wsiach nie widywałem. Katolickie kościoły i buddyjskie pagody po miastach miały wyłącznie prawie klientelę *Kinh*, to jest rdzennie wietnamską. *Kinh* znaczy dosłownie „ludzie ze stolicy". Tym terminem w okręgach mniejszościowych określa się Wietnamczyków.

Samokrytyka dotyczyła przede wszystkim potrącenia mnie przez konia.

Na noc wróciliśmy do Tan-Trao. Przyszedł mnie powitać chłopczyk, delegat szkoły. Ma lat szesnaście, a jest o głowę mniejszy od mojego czternastoletniego syna.

Wieczorem, koło dziesiątej, kiedy już zaciągnąłem po szyję zamek śpiwora, przyszedł Thiep i oznajmił, że pionierzy z trzech okolicznych wiosek przyszli mnie pozdrowić. Istotnie, słyszę dźwięki piszczałki i widzę poprzez ściany chaty płomienie bambusowych pochodni. Naciągnąłem więc portki i wyszedłem. Przeszło trzydzieści sztuk młodzieży obojga płci w wieku od piętnastu do szesnastu lat. Śpiewamy, tańczymy i przemawiamy przy ognisku z suchych bambusów.

Później przychodzi szef wiejskiej milicji i melduje, że zmobilizował wszystkie swe siły do pilnowania mnie w nocy. Rzeczywiście, widzę, jak kilku uzbrojonych chłopaków kręci się koło chaty.

24 listopada

Pobudka o 6 rano. Pada drobny kapuśniaczek. Wilgotno. Na śniadanie ser Gruyère z puszki, chlebek ryżowy i kawa. Spałem znakomicie, zaszyty w śpiwór jak w kokon.

Idziemy od 7 do 12 dżunglą, wysokimi trawami słoniowymi, przekraczając liczne potoki i jedną sporą rzekę. Trzeba było zdjąć spodnie i wejść w wodę po pas. Nareszcie mam dżungli powyżej uszu. Jest mokro, deszcz przestał padać, ale od wilgotnych traw i liści mamy zupełnie przemoczone nogawki i rękawy. Od wsi prowadzi nas miejscowy przewodnik wąziutką ścieżyną wśród krzewów i wysokich traw, torując drogę przy pomocy *coupe-coupe*. W samo południe dochodzimy do samotnej chaty Man w głębi dżungli. Tu jemy z ogromnym apetytem obiad. Byłem głodny jak wilk. Po obiedzie kładę się na macie chaty i przesypiam ze dwie godziny. Śni mi się niemiła przygoda z apaszem w Paryżu.

Budzi mnie przybycie dwóch przewodników z wioski odległej o parę kilometrów. Prowadzą nas długo bocznymi ścieżynami przez dżunglę, pomiędzy piękną rzeką, a ścieżką, którąśmy przyszli. Pomiędzy drzewami widnieją na wpół zburzone chaty wśród płaskiej, gęstej dżungli. Tu mieściła się w latach wojny siedziba Pham-Van-Donga. Zewsząd zwisają wielkie liany. Leśne poszycie zostało oczyszczone, ziemia jest naga i twarda. Pokazują mi resztki domu, w którym mieszkał Pham-Van-Dong, jego schron wykopany w górskim zboczu. Stąd trudną ścieżką, schowaną wśród traw i gęstwy, dochodzimy do jadalni, domku i schronu Ho. Ogarnia mnie bezsilna wściekłość: domek Ho, cudownie położony na zboczu pod ogromnymi drzewami, z widokiem na rzekę i przeciwległe zbocze, osłonięty firanką lian, jest spalony. Kilka osmalonych bierwion sterczy wśród poczerniałej ziemi. Thiep widzi moje wzburzenie. *„Mésure de sécurité"* — bąka. Protestuję gwałtownie. Powiadam, że ja zrobiłbym z tego domu pamiątkę narodową, do której wkrótce ciągnęłyby pielgrzymki młodzieży z całego kraju. Czy można zdać sobie sprawę, czym to miejsce będzie dla ludzi z Południa, kiedy kraj zostanie zjednoczony? Moi towarzysze są wyraźnie zakłopotani. Wyjaśniają mi, że był rozkaz niszczenia każdej opuszczanej sadyby. Że wykonano po prostu powszechnie obowiązujący nakaz, dyktowany przez ostrożność czasu wojny. Robi mi się głupio, bo widzę, że moi towarzysze wzięli bardzo do serca mój odruch. Nie pojmują w pełni mojego europejskiego rozumowania. Dla nich problem pamiątek wojny wyzwoleńczej, rozsianych po dżunglach, jeszcze nie istnieje. Ta chatka na palach, w której Ho-Chi-Minh spędził kilka historycznych lat, z której kierował walką całego kraju, przestała mieć jakikolwiek sens z chwilą, kiedy prezydent przeniósł się do wspaniałych komnat starego Pałacu Cesarskiego w Hanoi.

Robię kilka zdjęć, po czym schodzimy ku rzece. Kąpiemy się w uroczysku, gdzie rzeka przedziera się przez dżunglę, roztaczającą wszystkie swe barwy. Woda jest głęboka na dwa metry, chłodna i mętna. Na przeciwległym brzegu wznosi się ogromna ściana lasu. Z pochylonych nad wodą wielkich drzew zwisają grube jak ramię liany. Maleńka, piaszczysta plaża otoczona jest kępami trawy słoniowej o liliowych kiściach. Dalej kraśnieją szkarłatne kwiaty dzikiego bananowca i ogromne paprociowce rozczapierzają swe liście. Nad wszystkim zachodzi duże, bezrzęse słońce.

Wracamy o pięknym zmierzchu. Dwa dzikie koguty odpowiadają sobie po obydwóch brzegach rzeki. Wchodzimy w wysoką dżunglę, w zupełny mrok. Kiedy dochodzimy do chaty, gaśnie słodkie, pastelowe niebo. Stoję jeszcze chwilę przed chatą i patrzę, jak zmierzch zapada nad dżunglą.

Wieczorem, jak co dzień, zebranie z samokrytyką i ustaleniem planu na dzień następny. Stary Man przysłuchuje się milcząco, paląc z przeraźliwym chlipaniem swą faję z bambusa. Pod ścianą jego wnuczka, jak ciemny posąg. Tylko oczy i zęby śmieją się i świecą. Zasypiam słuchając pieśni lasu.

25 listopada

Pobudka o 6. Wymarsz o 7. Rosa. Pogodnie. Z drzew spadają z mlaskaniem grube krople. Niebo całe w różowych chmurkach. Stary Man powiada, że mało ryżu. Pokazuje leżącą na stryszku niewielką kupkę *paddy* z ostatniego zbioru. „Starość niedobra — mówi. — Kiedy dużo pracujesz, twoja miseczka jest pełna ryżu. Jak nie możesz pracować, twoja miseczka jest próżna..." Mieszka tu z dwojgiem wnucząt, którym wojna zabrała rodziców. Przez cztery miesiące w roku żywią się maniokiem i dzikimi bulwami, wygrzebywanymi w dżungli. Dziewczyna i chłopiec odprowadzają nas, miejscowym zwyczajem, dobry kawał drogi.

Hai-Thai namawia mnie, abym ze względu na poranione stopy dosiadł konia. Ale uparłem się, że pójdę piechotą jak inni. Mamy przed sobą jeszcze tylko pół dnia drogi przez dżunglę, koło południa powinniśmy spotkać się z Ty i jego „jeepem".

Zwiedzamy po drodze miejsce, gdzie lokowano cudzoziemców, położone nad małą rzeczułką, w głębi dżungli. Domy częściowo zajęte przez miejscową ludność, reszta w rozsypce. Miejsce jest niemiłe, wilgotne i duszne. Wydostajemy się z niego krętą ścieżką, wiodącą bez przerwy pod górę. Wkrótce dżungla robi się wyjątkowo wspaniała, pełna dzikich kwiatów, olbrzymich drzew i dzikiego bluszczu, spadającego na ścieżkę jak zielony wodospad. Thiep pokazuje mi w gęstwinie ołtarz bogów. Stoją na nim niebieskawe, fajansowe naczynia ofiarne.

Za dziką przełęczą ścieżka rozszerza się w zarosłą chwastami drożynę. Nie ma jeszcze południa, a już jestem śmiertelnie zmęczony. Upał ciężki i wilgotny, pachnący pleśnią i fermentującym chlorofilem, upał obezwładniający mózg... Zwalniam kroku, ilekroć wchodzimy po kolana w zimne wody strumieni. Nie mam siły, by schylić się i oderwać *kon-vata*, który wpił mi się w stopę. Niech żre... Szmaragdowe ptaki o czerwonych skrzydłach drą się całym stadem nad naszymi głowami. Ostry żwir rzeczny siedzi mi w sandałach i szoruje boleśnie. Nie warto go wytrząsać, za chwilę znów będziemy przechodzić potok.

Chciało mi się dżungli, mam dżunglę. Nie darmo Ty kpił ze mnie przy rozstaniu. Zaśmiewał się jak z najlepszego kawału: *„Toi dans la brousse... en plaine forêt...* Ha, ha, ha... *Et pas de voiture... Soixante quinze kilomètres à pied..."* Pokładał się ze śmiechu nad kierownicą. Nie mogłem zrozumieć, co w tym widzi śmiesznego.

Nagle wpadamy na leśnej dróżce na Ty i jego auto. Uciecha niezmierna. Ty rzuca się na nas i wycałowuje każdego z osobna. Przybył tu wczoraj wieczorem i nocował w lesie. Urządził wielkie pranie: w poprzek dróżki wisi na

sznurku dziesięć sztuk różnych części garderoby. Ty nie czeka, aż to wszystko wyschnie, robi wielki, mokry tobół i wrzuca do „jeepa". Łamiemy się ostatnim ryżowym chlebkiem z obydwoma żołnierzami, którzy wraz z końmi wracają tą samą drogą. Za trzy dni będą z powrotem w Tuyen-Quang.

Nigdy w życiu nie jechałem po tak złej drodze. Po czterech godzinach jazdy po straszliwych koleinach, głazach i wertepach dojeżdżamy wreszcie do jakiej takiej drogi. Obiad jemy w przydrożnej karczmie u stóp ponurego pasma Tam-Dao. Niedaleko jest wioska, w której Ho-Chi-Minh i rząd przebywali w okresie Konferencji Genewskiej. Zwiedzamy opuszczone chaty, ukryte w czymś w rodzaju pół-dżungli. Nagle widzę, jak przed jakąś chatą odbywa się groźna scena. Stary Man stoi na progu i krzycząc głośno wymachuje *coupe-coupe'*em nad głową schylonego przed nim młodzieńca. Myślałem, że to kłótnia, która może skończyć się zabójstwem. Okazało się, że to tylko wypędzanie duchów z chaty.

We wsi trzeba przejść przez most. Położyli cztery drążki z gładkiego bambusa i każą mi bez żadnej poręczy przejść po tym nad potokiem, huczącym o dziesięć metrów poniżej. Na samym środku tego czarciego mostu byłem pewny, że zlecę. Nie byłem w stanie przekroczyć grubego węzła z lian, którymi związane były bambusy. Jakoś jednak wziąłem się w garść i przeszedłem. Po zwiedzeniu piętrowego domku Ho przewodnik pyta, czy nie chcę zwiedzić jeszcze domku, gdzie mieszkał Truong-Chin. Gdzie ten domek? Przewodnik wskazuje w innym niż most kierunku. — Ale trzeba przechodzić ten potok w bród — powiada. Godzę się, zgodziłbym się na wszystko, byle tylko nie przechodzić raz jeszcze tego diabelskiego mostu. Wyobrażam sobie, jakie to piękne zebranie samokrytyczne odbyłoby się wieczorem, gdybym był zleciał.

Kiedy przechodzimy koło karczmy, dostrzegam w niej czterech białych. Przez chwilę staliśmy naprzeciw siebie, zaintrygowani. Byli to Niemcy, którzy uciekli z Legii i przeszli na stronę Wietnamczyków. Dowiedziałem się od nich, że w okolicy jest obóz byłych legionistów, a w nim są Polacy. Nie zastanawiałem się ani chwili. W godzinę później byliśmy już w obozie.

Zobaczyłem wielkie baraki z bambusa na skraju plantacji herbaty, czarne pasmo Tam-Dao w głębi i kilkudziesięciu *raliés* grających w piłkę. Od wielu dni widywałem tylko gładkie, ciemne twarze Wietnamczyków lub Man, małe nosy, smukłe sylwetki, czarne i błyszczące oczy. Nagle wokół mnie gromadzić się poczęły istoty o czerwonych twarzach obrosłych rudą szczeciną, sylwetki brzuchate o włochatych piersiach, wielkie, zaczerwienione nosy, kosmate ramiona upstrzone piegami. Więc tak my wyglądamy? Boże, jesteśmy chyba najbrzydszą rasą na ziemi!

W komendzie obozu przyjął nas szczupły, łysawy Niemiec w szortach i koszulce khaki. Jest zastępcą nieobecnego komendanta. Opowiada, że zaciągnął się do Legii w 1945 roku w obozie jenieckim, *„pour ne pas crever dans le camp"*. Natychmiast po wylądowaniu w Wietnamie przeszedł na stronę ludową. Toż to cały mój Schmidt z *Opowieści atlantyckiej!* Ożenił się z Wietnamką, ma śliczną córeczkę o czarnych oczach, ale jasnych włosach.

W obozie jest 220 ludzi, a w sąsiednim, odległym o sześć kilometrów, około dwustu. Przebywają tu wyłącznie byli legioniści, którzy są *repatriables*, to jest tacy, którzy mogą wrócić do NRD. W innych obozach przebywają obywatele NRF lub krajów, do których repatriowanie byłoby równoznaczne z na-

rażeniem się na wyrok wojskowego sądu za dezercję i zdradę, jak Marokańczycy, Algerczycy, Senegalczycy.

W obozie przebywa sześciu Polaków. Czterej byli właśnie nieobecni, poszli z wizytą do sąsiedniego obozu. Przejrzałem ich kartoteki i wynotowałem nazwiska i adresy rodzin w Polsce, które trzeba będzie zawiadomić. Na moją prośbę posłano po dwóch pozostałych. Najpierw przyszedł młody, drobny chłopak o typowym wyglądzie warszawskiego cwaniaka. Zameldował się służbiście zastępcy komendanta. Kiedy dowiedział się, o co chodzi, bardzo się zmieszał. Zrazu gadał ze mną jak z rewizorem z Petersburga. Po chwili przyszedł ten drugi, młody olbrzym o czarnej brodzie, bardzo nieśmiały w obejściu. Zanim przystąpiłem do pytań, opowiedziałem im coś niecoś o sobie. Pokazałem fotografie żony, dzieci. Poprosiłem, czy nie mogliby mnie poczęstować papierosem. Zaczęli mnie wypytywać o kraj, o Warszawę, kiedy wyjechałem i kiedy wracam. Później już sami, jeden przez drugiego, opowiedzieli swoje proste historie. Mieli po piętnaście lat, kiedy wywieziono ich do Niemiec. Propaganda londyńska po wyzwoleniu, praca w Belgii i Francji, bezrobocie, wreszcie Legia, jako łatwa deska ratunku. Dlaczego uciekli z Legii? Bo mieli dość psiego traktowania, okradania przez oficerów i draństwa podoficerów. Jak uciekli? Pierwszy zwierzył się w Hanoi wiozącemu go rikszarzowi, że ma dość. Rikszarz zaprowadził go na tajny punkt przy szosie wylotowej na Phu-Ly. Drugi powiedział to samo ulicznej dziewczynie. Zaprowadziła go gdzie trzeba. Obaj zostali nazajutrz przeprowadzeni w chłopskich przebraniach, ryżowiskami, w biały dzień, na oczach posterunków, aż do wietnamskich linii. Z ich słów wynika, że ucieczki z Legii przybierają niebywałe rozmiary. Niemal każdy, kto dał się nabrać na Legię, marzy tylko o tym, żeby zwiać. Wielu powstrzymuje tylko obawa przed srogimi karami w razie niepowodzenia ucieczki. Z kartotek, które przeglądałem, widać jasno, że powodem dezercji jest przede wszystkim rozczarowanie. Niewielu tylko przeszło na stronę wietnamską z powodów natury politycznej czy ideologicznej. Ale są i tacy. W obozie opowiadają o Polaku, który przeszedł na stronę ludową w 1946, dał się poznać jako wybitny specjalista od moździerzy, został dowódcą grupy, brał udział w bitwie o Dien-Bien-Phu, odznaczył się wyjątkową odwagą, awansował i jest obecnie szefem sekcji.

Już miałem odjechać, kiedy zjawił się komendant obozu, młody Wietnamczyk o marsowym wyglądzie. Okazało się, że jest wybitnym humanistą i człowiekiem o niebywałych zaletach umysłu i charakteru, uwielbianym przez tych brodatych gburów. Pokazywał mi rubrykę w kartotekach, gdzie byli legioniści wpisują wszystkie przestępstwa, jakich dopuścili się wobec ludności. Szczerość niektórych wypowiedzi jest rozbrajająca. Jeden z Polaków wymienił wszystkie akcje pacyfikacyjne, w jakich brał udział, przyznał się do maltretowania jeńców i ludności cywilnej, wyliczył rabunki, jakich się dopuścił. Wobec przyznających się do zbrodni nie wyciąga się żadnych konsekwencji karnych. „Kiedy przychodzą do naszych linii — mówił komendant — mają tylko dość Legii. Kiedy od nas odjeżdżają do swoich, są już innymi ludźmi."

Wyjechaliśmy z obozu o 17. Po trzech godzinach jazdy i przebyciu pięknej Przełęczy Mangowców przybywamy do Tuyen-Quang. Noc jest czarna, tylko żółte płomyki kaganków przeświecają z wnętrza bambusowych chat. Ani jedna gwiazda nie drży nad Rzeką Jasną.

Tuyen-Quang, 26 listopada, godz. 8

Z Tuyen-Quang mieliśmy właściwie wracać do Hanoi. Ale młody i zapalczywy przewodniczący miejscowego K. A. dowiedziawszy się, że mam zamiar odbyć wyprawę do Dien-Bien-Phu, zaczął mnie przekonywać, że powrót do Hanoi nie ma sensu, że najkrótsza i najlepsza droga do Dien-Bien-Phu wiedzie właśnie z Tuyen-Quang, że zobaczę po drodze najpiękniejsze doliny kraju Thai. No i skutek jest taki, że siedzę spakowany na moim worku i czekam, kiedy Ty skończy tankować benzynę.

Przewodniczący spędził wiele lat wśród Thai i Man. Opowiada niezwykle zajmujące rzeczy o ich obyczajach. Zapytałem go, dlaczego w wioskach Man nie widać nigdy, żeby chłopcy chodzili z dziewczętami. Wyjaśnia mi, że według starych wierzeń takie chodzenie chłopców z dziewczętami przyciąga duchy.

Dowiaduję się jeszcze, że kiedy w kraju Thai umiera ojciec rodziny, ciało jego pali się na stosie, a głowę odcina i zakopuje. Po trzech latach pierworodny syn ma obowiązek wykopać głowę ojca i pochować ją w innym miejscu. W praktyce obowiązek ten spada zawsze na drugiego syna, gdyż pierwszy nie jest zupełnie pewny z uwagi na panujące w kraju „prawo pierwszej nocy".

Ruszamy. Według mapy można być w Dien-Bien-Phu w dwa dni.

Yen-Bay, godz. 11

Pięćdziesiąt dwa kilometry z Tuyen-Quang przejechaliśmy w dwie i pół godziny. Droga dobra, ale pejzażowo nieciekawa. Niskie wgórza porosłe bambusami. Chmurno, jakby zbierało się na deszcz.

Dziś mijają dwa miesiące od mego wyjazdu z Warszawy. Trudno mi powiedzieć, czy to długo, czy krótko. Tu czas ma zupełnie inny wymiar. Straciłem niejako jego poczucie. Został mi tylko kalendarz.

Nigdy jeszcze dom nie wydał mi się tak daleki, a godzina powrotu równie odległa. W obliczu tej ciężkiej wyrypy, jaka mnie w najbliższych dniach czeka, niedobrze jest mazgaić się. Ale przeżywam dzisiaj napad silnej tęsknoty. Zdrzemnąłem się na chwilę od upału i śnił mi się dom.

Yen-Bay leży na styku dróg, wiodących w cztery strony świata. Rzeka Czerwona nazywa się tu Thao. Jest taka piosenka ludowa, którą tu śpiewają: „Rzeka Thao ma wody, które nie są przejrzyste. I ludzie tutaj są czarni. Ale ten, kto przybywa tutaj, zapomni zupełnie ścieżki, co wiedzie do jego rodzinnej wsi".

Thiep jest zdania, że kobiety pomiędzy Phu-To a Yen-Bay są szczególnie piękne i że ta okoliczność tłumaczy właściwy sens piosenki.

Prowincja ma 140 tysięcy mieszkańców. Z tego 46 tysięcy ludności wietnamskiej. Reszta przypada na mniejszości Thai, Tho, Nung, Man, Meo, Xa-Cao. Wietnamczycy mieszkają wyłącznie w stolicach dystryktów i w dolinie Thao. W Yen-Bay została podjęta w roku 1930 nieudana i krwawo stłumiona próba nacjonalistycznego powstania.

W górach zamieszkałych przez ludność Meo panuje stały głód. Meosi uprawiają opium, nawet dzieci u nich palą. Żywią się przeważnie kukurydzą, ma-

niokiem i dzikimi bulwami. Xa-Cao, których jest zaledwie czterystu, zastępują sól pieprzem. W każdym domu Meo jest kuźnia Wyrabiają tu piękne rzeczy, bo mają dość żelaza z rozebranych torów kolejowych linii Hanoi — Lao-Kai. Za to brak soli jest tak dotkliwy, że w niektórych okolicach używa jej się tylko jako lekarstwa dla dzieci. Ludność Meo była w prowincji pierwszą bazą ruchu rewolucyjnego i niepodległościowego. Meosi przywiązani są do wolności. Jest to szczep bitny i hardy.

Po Genewie warunki życia ludności poprawiają się, głównie dzięki dość znacznej eksploatacji lasów w okręgach nadrzecznych. Widziałem na Rzece Czerwonej wielkie ilości drzewa, spławiane do Hanoi. W okolicy opowiada się legendy o takich, co podobno zarabiają przy wyrębach po 30.000 dongów tygodniowo, co jest sumą jak na tutejsze stosunki astronomiczną, odpowiadającą wartości 100 kg ryżu. Miesięczna pensja nauczyciela wynosi 40 kg ryżu.

Reforma rolna została już częściowo przeprowadzona. W niektórych dystryktach przeprowadzono na razie tylko obniżkę rent dzierżawnych, w innych rozdzielono ziemię gminną, a w najbardziej zaawansowanych politycznie rozparcelowano majątki obszarników, skazanych przez sądy ludowe za zdradę lub okrucieństwo. Daleko posunięte są prace przy odrabianiu ugorów w „białych zonach", zwłaszcza wokół słynnej francuskiej twierdzy Ngha-Lo. Największą trudność sprawia posiew nienawiści narodowościowej, pozostawiony w spadku republice przez francuską politykę. Nienawiść istnieje ciągle jeszcze nie tylko między mniejszościami a Wietnamczykami, lecz również między poszczególnymi szczepami. Cytowano mi przysłowie Man, które brzmi: „Walczyć z Kinh, aby mieć sól, walczyć z Tho, aby mieć ryż". Przysłowie to było żywym i praktycznie przeprowadzanym hasłem politycznym jeszcze przed paru laty. Narodowościowe sprzeczności i niechęci przejawiają się przy reformie rolnej i utrudniają ją. Toteż wcale mi nie było do śmiechu, kiedy przewodniczący wziął mnie dyskretnie na bok i spytał, czy nie zechciałbym podzielić się z nim polskimi doświadczeniami w polityce wobec mniejszości narodowych. Był bardzo rozczarowany, kiedy usłyszał, że nie mamy żadnych mniejszości. W górnych rejonach, zamieszkałych przez Meo, nędza jest taka, że spotkano starca zupełnie nagiego. Trzeba mu było dać spodnie, zanim zaczęto z nim mówić. Spotyka się dzieci, żywiące się tylko leśnymi bulwami, tak wynędzniałe, że w wieku sześciu lat nie umieją jeszcze mówić. W każdym domu znajduje się *then* — ołtarz kultu duchów. Życie rodzinne opiera się o silną władzę ojca. Bywają wypadki, że skarcone przez ojca dzieci zjadają trujące zioła. Porywanie kobiet jest tradycyjną formą małżeństwa. Młodszy brat zobowiązany jest poślubić żonę zmarłego starszego brata. Kultura i sztuka przejawiają się w tańcu i pieśni. Każdy Meo umie tańczyć, śpiewać i grać na kobzie. Rdzennie swoistą sztuką Meo jest granie na liściu. Nie chce się wprost wierzyć, że ze zwykłego, zerwanego z drzewa liścia można wydobyć takie tony.

Najliczniejszą mniejszością są Thai, których jest 28 tysięcy, Tho jest 20 tysięcy, a Meo 19. W prowincji są bogate złoża siarki, grafitu, węgla, ale ich eksploatacja wymaga budowy dróg. Przemysłu nie ma zupełnie. Nie ma nawet tartaku. Rzemiosło jest reprezentowane przez wyroby z palmowca i bambusa, garncarstwo i kowalstwo.

W prowincji Yen-Bay narodził się taniec *sap* — ów taniec bambusów, który jest dumą całego Wietnamu.

godz. 19, przed Ngha-Lo

Przybyliśmy przed chwilą, po nocnej jeździe wśród przełęczy i ogni palących się na zboczach, do małego przysiołka o 10 km przed Ngha-Lo. Zatrzymaliśmy się na noc w urzędzie pocztowym, zbudowanym z bambusa i liści palmy jak wszystkie chaty Thai, tyle że nie na palach. Kierownik poczty mówi dobrze po francusku. Szerokolicy, w mundurze i w berecie na głowie, robi wrażenie starego żołnierza na synekurze.

Jestem bardzo zmęczony i czuję się źle. Na kolację ledwie przełknąłem trochę Neski z mlekiem skondensowanym. Wszystko mi dokucza, żołądek i serce. Kiedy czekaliśmy na prom u Rzeki Czerwonej, miałem moment słabości, prawdziwy kryzys. Czułem się załamany fizycznie i psychicznie. Byliśmy właśnie u rozwidlenia dróg, z których jedna prowadzi do Phu-Tho i Hanoi. Omal nie poprosiłem o powrót do Hanoi. Byłem zupełnie ogłupiały. Ale przemogłem się i nie dałem niczego po sobie poznać. W drodze nie bardzo odbierałem wrażenia zewnętrzne. Mogłem tylko myśleć o domu i o dawnych latach. Wszystko stawało mi przed oczyma, lata przedwojenne, wojna, wszystko. Na postoju zobaczyłem w świetle lampki swe odbicie w szybie samochodu. Wokół tropikalna noc, ciemna rzeka i czerwone ognie, pulsujące w głębi dżungli. Wszystko zupełnie bez sensu. Co ja tu robię?

Przez cały dzień nurtuje mnie jedno szalone pragnienie: żeby ktoś odezwał się do mnie po imieniu.

Samotność, zmęczenie, brak kogoś bliskiego powodują te przykre stany. Kiedy dołączy się do tego złe samopoczucie fizyczne, jestem „gotów". O niczym wtedy nie myślę, tylko o powrocie. Trzeba sporej samokontroli, aby się przemóc i opanować. Wszystko w takich chwilach wydaje się wstrętne, obce, nienawistne. Ludzie o ciemnych twarzach, jadowita zieleń dżungli, żarłoczna obfitość wszelakiego zielska, szary pył wsi i dróg, brązowa ziemia obnażonych brzegów, oleista woda rzek.

Dziś mija siedem tygodni od mego przyjazdu do Wietnamu. Kończy mi się ten Wietnam.

27 listopada, godz. 20.20, w domu Thai, za doliną Quang-Huy, nad Rzeką Czarną

Piszę przy małym kaganku. Obok grupa młodych pracowników budowlanych skanduje melodyjnie, jakby odprawiała zbiorowe modły: uczą się geometrii.

Dzień był męczący i pełen wrażeń. Przejechaliśmy wszystkiego jakieś dziesięć kilometrów od miejsca noclegu w urzędzie pocztowym. Potem trzeba było wyjść z auta, bo przez głęboką rzeczkę rzucono tylko most z mat, pływający na bambusowych pontonach. Poszliśmy do Ngha-Lo pieszo. Ogromna dolina wśród wysokich gór, długa na dwanaście, a szeroka na sześć kilometrów, zasnuta jest mgłą poranną. Nic nie widać. Czekamy w Komitecie Administracyjnym aż mgła opadnie. O godzinie dziewiątej wyłaniają się ze wszystkich stron łyse góry, podszyte rzadką dżunglą. Wszystko razem przypomina bardzo Huculszczyznę. Na miejskim targu cała mozaika typów regionalnych. Kobiety Thai w długich, obcisłych sukniach, mężczyźni Meo o włosach opadających z tyłu na ramiona.

Gospodarze przyprowadzają rowery, na których mamy pojechać aż do pod-

nóża fortu. Próbuję jeden po drugim, jest ich osiem, ale wszystkie są dla mnie za niskie. W dodatku przy żadnym nie ma klucza do podnoszenia siodełka. W końcu wsiadam na rower jak dla krasnoludka. Męczy mnie ta pozycja z kolanami na wysokości brody. Ale przychodzę w czołówce.

Wdrapujemy się na strome wzgórze, na którym leży główny fort Ngha-Lo, zdobyty w październiku 1952 po zaskakującym, czterdziestopięciominutowym natarciu. Wierzyć się nie chce, że piechota wietnamska mogła tu dojść. Fort wisi nad doliną, kontrolując najmniejszą ścieżkę. Zbocza są łyse i gładkie. Z wierzchołka wzgórza rozciąga się przepiękny widok na ogromną dolinę i szczyty, po których chodzą obłoki. Dzień wstał wściekle upalny. Pocę się i męczę jak szatan. Nigdzie krzty cienia.

Pokazują mi długą i nagą grań, leżącą poniżej. Tędy poszło główne natarcie. Fort miał umocnienia ziemne, które źle wytrzymały ogień dwóch dział i tuzina moździerzy. Obronę Francuzów wspierało lotnictwo. Na wzgórzu pełno lejów od bomb. Upadek Ngha-Lo otworzył wojskom Giapa bramy kraju Thai, a dla francuskiego dowództwa był zupełnym zaskoczeniem. Był to pierwszy udany atak wietnamski na wielki i zorganizowany posterunek francuski o znaczeniu strategicznym dla całego rejonu.

Dolinę zamieszkują Thai biali i czarni. Po zejściu z fortu zatrzymujemy się w najbliższej wiosce. Proszę, aby pozwolono mi wejść do pierwszego z brzegu domu. Na nasz widok podnosi się piękna kobieta, zbudowana jak bóstwo, o nagich ramionach i plecach. Wita nas kilkoma słowami i zaraz roznieca ogień w kącie chaty. Pod nami, między palami, na których stoi chata, czochrają się bawoły. Kiedy pijemy herbatę, wchodzi druga kobieta, z dzieckiem na plecach, kształtna i bujna jak kariatyda. Truong-Son nic nie przesadził. Cóż za kobiety mają ci Thai!

We wsi spotykamy wielu Meo, którzy zeszli z gór na targ. Mają głowy z przodu ogolone, a z tyłu długi chwost jak koński ogon. Są smukli i zgrabni. Na pierwszy rzut oka przypominają Indian. Meo byli w kraju Thai podporą ruchu oporu. Thai natomiast popierali często Francuzów. Tu też znajdowały się główne więzienia dla politycznych. Uciec z nich było trudno, gdyż Thai przynosili z reguły Francuzom głowy zbiegów. Cała polityka francuska w tym rejonie polegała na podsycaniu rasowej nienawiści Thai do Meo i Wietnamczyków.

Meo mówią mi, że jestem pierwszym Europejczykiem, który tu przybył, jeśli nie liczyć tamtych z fortu. Jakaś kobieta twierdzi, że jestem jak dwie krople wody podobny do pewnego francuskiego porucznika, który miał słabość do kobiecego zespołu pieśni i tańca, jakie istnieją w każdej wiosce Thai. W czasie obiadu ludność z całej doliny przychodzi pogapić się na mnie. W odróżnieniu od Man i Meo kobiety Thai bardzo chętnie dają się fotografować, byle tylko je o tym uprzedzić i poprosić o pozwolenie. Nie uprzedzone, odwracają się natychmiast plecami, zasłaniając ramieniem twarz.

Po południu wracamy pieszo do samochodu, odprowadzani przez całą dzieciarnię Ngha-Lo. Później samochód wspina się długo krętą drogą na wspaniałą, groźną przełęcz Lung-Lo. Drożyna wije się pomiędzy olbrzymimi drzewami o pniach tysiącletnich dębów. Trzydziestometrowej długości liany zwisają zewsząd, utrudniając jazdę. Las jest surowy i górski, pozbawiony poszycia, już nie tak zwełniony jak dżungla w Viet-Bac. Wspinamy się ciągle. Chwi-

lami widać w dole trzy i cztery dopiero co przebyte serpentyny drogi. Na najwyższym szczeblu przełęczy natykamy się na ślady potężnych bombardowań. Droga omija zakolami ogromne leje, pełne gnijącej wody. Olbrzymie pnie drzew są potrzaskane, jak przez huragan. Towarzyszący nam naczelnik poczty opowiada, że podczas bitwy o Dien-Bien-Phu znalazł się pewnej nocy w tym miejscu. Padał ulewny deszcz. Na drodze pracowało ponad tysiąc Thai i Meo. Nagle nadleciały nocne bombowce i straszliwie zbombardowały drogę. Wśród deszczu, nocy i ognia wydawało się, że to koniec świata. Ludzie nawoływali się długo w ciemnościach. Ale rankiem okazało się, o dziwo, że nie ma prawie strat w zabitych. Zbudowano wtedy dla bitwy o Dien-Bien-Phu 94 kilometry nowej drogi przez przełęcze i dżungle, co zadecydowało o powodzeniu całej operacji.

Z przełęczy Lung-Lo zjechaliśmy w przepiękną, najeżoną trawiastymi szczytami, zalaną zachodzącym słońcem dolinę Quang-Hy. Tak musiał wyglądać chyba raj ziemski. Dolina jest sucha, porosła wysoką trawą, pełna uroczych kotlinek, w których stoją domy na palach. Zamieszkuje ją szczep białych Thai. Spotykamy kobiety w białych spódnicach, kaftanikach i zawojach. Niemal każda ma odkryte piersi. W najlepszym razie noszą kaftaniki, zakrywające tylko górną część biustu. „Czarne" Thai odsłaniają brzuchy, „białe" piersi. Kobiety Thai są bujne, duże i pełne temperamentu, a mężczyźni ponoć dosyć ślamazarni. Więc kobiety robią, co mogą; odsłaniają brzuchy, piersi, łona.

Dzieci są zupełnie nagie, brązowe, o ogolonych do skóry główkach. Nawet dwunastoletnie noszą jako jedyny strój ogromne, kute w srebrze bransolety na szyjach. Widać na pierwszy rzut oka, że kraj Thai i jego lud nie podlegały wpływom cywilizacji chińskiej i że filozofia Konfucjusza nigdy tu nie dotarła. Thai są bliscy Laosowi, a więc Indiom. Swoboda obyczajów jest tu większa, kobiety śmielsze, widać nareszcie chłopców i dziewczęta chodzących parami, trzymających się za ręce. Thai są o wiele ciemniejsi od Wietnamczyków. Ich kobiety mają w ruchach i postaci cudowny wdzięk. Odziane w obcisłe, długie do ziemi spódnice, z głowami nakrytymi kunsztownym rąbkiem, przypominają jakieś renesansowe Madonny. Jestem pod zupełnym urokiem tego ludu.

Z żalem opuszczamy zaczarowaną dolinę „białych Thai". Nadaremnie obiecuję sobie w myślach, że wrócę tu jeszcze. Nie ma powrotu do utraconego raju...

U wylotu doliny spotykamy trzech myśliwych, uzbrojonych w kusze i krótkie, cieniutkie strzały z bambusa. Wracają z polowania na ptactwo i węże. Jeden z nich upolował pytona, grubego jak ramię. Opisuje nam szczegółowo różne sposoby przyrządzania węży, które uchodzą tu za wyjątkowy przysmak.

Jest już ciemno, kiedy znów ruszamy. Zboczem trawiastej góry wspina się długa linia ognia. To Meo użyźniają ziemię, paląc wysokie trawy.

Dolina Quang-Huy leży wysoko. Zjeżdżamy od niej ku Rzece Czarnej i wkrótce wpadamy w dżunglę, jak w ciemną studnię. Na wąskiej, błotnistej drodze, ściśniętej z obydwóch stron lasem, natykamy się na kilka wojskowych ciężarówek, blokujących przejazd. Przeprawa przez Rzekę Czarną nie jest czynna po zachodzie słońca, toteż szoferzy nocują na drodze. Nasz poczciarz radzi jednak minąć koczujące w dżungli ciężarówki. Zna opodal dużą chatę w wiosce Thai, w której obiecuje znakomity nocleg. Skłonienie szoferów do

„dania drogi" i sama operacja trwa z godzinę. Ty denerwuje się piekielnie. Jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie. Pogodny i spokojny zazwyczaj, tym razem dygoce cały. Kiedy wreszcie dostaje drogę, rzuca się całym pędem na wielki kamień, który jeden z szoferów ustawił na środku drogi i opatrzył wiechą, diabli wiedzą po co, skoro od strony nieczynnego promu i tak nikt nie mógł nadjechać. Ty musiał być bardzo zniecierpliwiony czekaniem w dżungli, skoro nie starczyło mu cierpliwości, aby poczekać, aż któryś z nas odwali kamień. Chciał go odsunąć ciężarem maszyny. W rezultacie wygiął widły kierownicy i znów staliśmy w lesie przez godzinę, zanim nie naprawiono uszkodzenia. Thiep i Dong nie powiedzieli pod adresem Ty ani słowa wyrzutu. Thiep szepnął mi tylko, że nie rozumie, co się z Ty stało, to najlepszy szofer, któremu nigdy nie zdarzyło się uszkodzić z własnej winy samochodu. Ty nie powiedział nic, tylko z zaciśniętymi ustami pracował przy maszynie. Ja nie żałowałem tego nieprzewidzianego postoju, gdyż każde zatrzymanie się nocą w dżungli ma dla mnie niewypowiedziany urok. Poszedłem sobie dobre pół kilometra drogą, by oddalić się od samochodów i nasłuchać rechotania dżungli, której czarna ściana pokreślona była zygzakami świetlików. Po chwili dognał mnie zaniepokojony Dong.

— Nigdy tu nie odchodź sam — strofował mnie. — Rzeka Czarna to gniazdo tygrysów.

Kiedy przybyliśmy przed obiecaną chatę Thai, Ty położył się na kierownicy. Wyciągnęliśmy go z wozu. Był gorący jak ogień. Cały dzień prowadził w ostrym ataku malarii, nie powiedziawszy nikomu ani słowa. Nadziany chininą, leży teraz pod moskitierą i szczęka zębami.

Thiep nie ma najmniejszego poczucia rzeczywistości. Dziś rano powiada do mnie: — Nie martw się, przyjedziemy według planu. W Ngha-Lo zostaniemy do jedenastej, potem pojedziemy do Son-La. Będziemy tam wieczorem.

Odpowiadam mu: — Jakim cudem? Wyjedziemy z Ngha-Lo nie o jedenastej, lecz o drugiej, bo zechcą nas zatrzymać na obiad. Do Son-La mamy 225 kilometrów, to jest pełnych dziesięć godzin jazdy. Zrobimy dziś najwyżej połowę.

Sprawdziło się co do joty. Wyjechaliśmy o drugiej, a do wieczora przebyliśmy 114 kilometrów. Mamy jeszcze 330 km do Dien-Bien-Phu, jedną bardzo trudną przełęcz, kilka przepraw i drogę, która robi się coraz gorsza. Teraz rozumiem, dlaczego przewodniczący z Tuyen-Quang uśmiechał się tylko, kiedy mu mówiłem, że chcemy dojechać do Dien-Bien-Phu w dwa dni.

28 listopada, w Thuan-Chau

Zrobiliśmy dziś ponad 180 kilometrów. Jesteśmy w sercu kraju Thai, na który składają się cztery prowincje północno-zachodnie o łącznej powierzchni 40.000 km², gdzie mieszka około pół miliona ludności, w tym 200 tysięcy Thai i 100 tysięcy Meo. Poza tym żyje tu około dwadzieścia różnych narodowości. Dzicz zupełna. Droga nr 13 zbudowana została po kampanii 1953 roku, w ciągu sześciu miesięcy. Nazywają ją drogą zwycięstwa. Wielu z Thai i Meo, którzy ją budowali, stało później na jej skraju z miseczkami ryżu w rękach i czekało, by zobaczyć pierwsze w swym życiu samochody.

Zwiedziliśmy słynną dolinę Na-San, gdzie podczas zeszłorocznej kampanii Francuzi stawili zacięty opór. Dolina jest wąska i wypełniona kopulastymi

wzgórzami, jakby stworzona do obrony. Dziś zarasta ją dzika trawa i pokrywa cisza pobojowiska, na które długo jeszcze nie wrócą dawni mieszkańcy. Udana, zakończona ewakuacją garnizonu obrona Na-San skłoniła Francuzów do powtórzenia doświadczenia w Dien-Bien-Phu. W ataku na Na-San Wietnamczycy ponieśli bardzo ciężkie straty, głównie na skutek braku odpowiedniego poparcia artyleryjskiego i niedostatecznego zaopatrzenia w amunicję. W rezultacie obie strony wyciągnęły z kampanii o Na-San odmienne wnioski i jak się to zwykle zdarza, wnioski z powodzenia były fałszywe, natomiast wnioski z niepowodzenia słuszne. Kampania o Dien-Bien-Phu była bezpośrednim następstwem wniosków z Na-San.

W Son-La nadaremnie szukaliśmy prowincjonalnego Komitetu Administracyjnego. Okazało się, że jego siedzibą jest niedalekie Thuan-Chau. Zwiedzamy więc tylko ruiny słynnego więzienia dla politycznych, w którym siedziała większość działaczy niepodległościowych. Son-La leży w głębokiej dolinie, przywalone ciszą i upałem.

Thuan-Chau leży w malutkiej kotlince wśród wysokich wapniowców. Jest tu kilkanaście chat Thai i cudem ocalały, murowany dom na wzgórzu. Całość wygląda trochę jak Hala Gąsienicowa. Przed chatami pełno „różowych" Thai, w czerwonych kaftanikach i zawojach. Smukłe dziewczęta zstępują długim sznurem z gór, niosąc na ramionach bambusowe drążki z koszami. Chciałoby się tu zostać na długo.

Przewodniczący K. A. przedstawia nam pułkownika Bang-Giang, który zawiezie nas do Dien-Bien-Phu. Pułkownik dowodzi 148 pułkiem piechoty, stojącym po drugiej stronie górskiego pasma. Jest to niemłody już człowiek o żywych oczach, buchający energią i wesołością. Od razu bierze wszystko twardo w garść. Radzi, byśmy dziś jeszcze przeskoczyli przełęcz i spędzili noc u niego w pułku. Wszelki opór byłby daremny wobec tego wspaniałego człowieka. Opowiada nam podczas obiadu o operacjach, którymi dowodził w czasie kampanii o kraj Thai. Główną troską, która spędzała sen z oczu kadrom, był problem zaopatrzenia armii. Czterdzieści procent ryżu dla całej kampanii zostało dostarczone przez ludność. Był wypadek, że pewna rodzina zebrała 600 kg ryżu, z czego 500 kg oddała dla wojska. Ludzie żywili się dzikimi bulwami, byle wojsko miało co jeść.

Bang-Giang przybrał to nazwisko dlatego, że rzece Giang, płynącej przez Cao-Bang, zawdzięcza ocalenie. Ścigany przez patrol francuski skoczył w rzekę i przebywał w niej, z trzciną w ustach, do zmroku.

W czasie ataku na Ngha-Lo pułkownik dowodził odwodami. Po upadku Ngha-Lo dowodzący fortecą major zwierzał mu się, że miał rozkaz, by opierać się przez cztery dni, gdyż później Vietminh będzie musiał odstąpić z powodu braku żywności i amunicji.

— Instrukcja była słuszna — powiada Bang-Giang — ładnie byśmy wyglądali, gdybyśmy musieli walczyć o Ngha-Lo aż przez cztery dni! Ale myśmy walczyli przez cztery godziny i nazajutrz jedliśmy już dobrą zupę z francuskich konserw.

Notuję miejscowe przysłowie: o kobiecie Thai powiadają, że usta jej śpiewają, plecy dźwigają dziecko, ręce pracują, a nogi poruszają stępę do łuszczenia ryżu.

29 listopada, w Tuan-Giao, godz. 8

Jesteśmy w kwaterze generalnej pułkownika Giang. Wielka chata na palach, rozpalone ognisko na środku izby, żołnierze przykucnięci wokół kotła. Jemy wietnamskie śniadanie i pijemy ryżową wódkę.

Wczoraj w Thuan-Chau pożegnała nas zła wiadomość: droga do Dien-Bien-Phu możliwa dla samochodu tylko na przestrzeni 75 km. Pozostałych 66 km trzeba iść pieszo, chyba że będą konie. Ładna historia. Sześćdziesiąt sześć kilometrów pieszo czy wierzchem, toż to całe trzy dni.

Wyjechaliśmy z Thuan-Chau o piątej po południu. Słońce wisiało już nisko. Zrazu jedziemy przepiękną, trawiastą doliną, wśród wysokich wapniowców. Później od razu straszliwa przełęcz Meo i tuż za nią jeszcze trudniejsza, najwyższa w całych Indochinach „Przełęcz Nieba i Ziemi". Nazywa się tak dlatego, że tam wysoko rzeczywiście nie ma już niczego poza nagą ziemią i nagim niebem. Podziwiamy przez chwilę z wierzchołka przełęczy rozległy pejzaż górski, nad którym pali się zielone niebo. Gołe, wysokie, trawiaste szczyty, gdzieś w dole ciemne plamy dżungli, ognie wzniecane przez Meo, pełzające wśród nocy po zboczach. Droga nosi ślady potężnych bombardowań. Co trochę biegnie krawędzią ogromnych lejów. Jest to słynna droga 41, o której tak głośno było na Konferencji Genewskiej, gdyż Francuzi wznowili jej bombardowanie mimo układu o ewakuacji rannych z Dien-Bien-Phu. Pamiętam doskonale tę konferencję prasową, na której rzecznik delegacji francuskiej odczytał krótki komunikat: „Dziś o świcie nasze siły powietrzne wznowiły operacje nad drogą kolonialną nr 41." Nie przypuszczałem wtedy, że wkrótce będę omijał na tej drodze leje po bombach wśród wspaniałości i grozy „Przełęczy Nieba i Ziemi".

Pod samą przełęczą spotykamy grupę mężczyzn i kobiet Thai, wędrującą na piechotę. Jakaś bardzo stara kobieta prosi, czy nie moglibyśmy jej zabrać do samochodu, gdyż jest zmęczona i nogi ją bardzo bolą. Ściskamy się jakoś w „jeepie" i babina mieści się w końcu. Dobre uczynki nigdy nie pozostają bez nagrody, toteż zaraz dowiadujemy się od niej, że od biedy można podjechać autem na 25 km od Dien-Bien-Phu. Oddychamy z ulgą. Zawszeć to nie 66.

Już wśród zupełnej nocy dojeżdżamy do małego przysiołka. Przewodniczący miejscowego K. A. przyjmuje nas z wielką serdecznością i zaprasza na herbatę. Oświadcza z miejsca, że ofiarowuje mi skórę zabitego onegdaj tygrysa. Mało mu tego. Przed paru dniami koledzy jego zastrzelili przypadkiem spotkaną panterę, której skórę również mi ofiarowują. „Będzie to na pamiątkę, by towarzysz Polak wiedział, jak wyglądają dwa największe drapieżniki naszych lasów." Jestem zmieszany i oszołomiony.

Przewodniczący opowiada o przebiegu polowania. Tygrys porwał ze wsi największego wieprzka. To go zgubiło. Nie mógł go zeżreć od razu, więc to, co zostało, zakopał w krzakach. Wieprzek krwawił mocno, toteż przewodniczący w towarzystwie dwóch kolegów poszedł za śladem farby. Z łatwością trafili do miejsca, w którym tygrys ukrył zdobycz. Myśliwi zaczaili się w gąszczu. Wieczorem tygrys widać zgłodniał, bo wrócił dokończyć uczty. Wtedy wszyscy trzej równocześnie wystrzelili ze swoich wojskowych karabinów. Tygrys padł w ogniu. „Był od razu zupełnie nieżywy" — jak tłumaczył mój nieoceniony Thiep.

Podziwiamy obie piękne skóry, rozciągnięte na bambusach. Niech przeschną, zabierzemy je w drodze powrotnej za kilka dni.

Jakiś poczerniały staruszek rozprawia z ożywieniem przy herbacie. Wietnamczycy raz po raz wybuchają śmiechem. Wreszcie Thiep decyduje się tłumaczyć. Stary był najbogatszym człowiekiem we wsi, miał wiele *mau* ryżowisk i dziesiątki bawołów. Kiedy wybuchła wojna, ofiarował wszystko, co miał, rewolucji, a sam poszedł do partyzantki w dżungli. Opowiada z rozrzewnieniem, jak brał udział w powstaniu nacjonalistów w roku 1930. Złapał wtedy na drodze i rozbroił kilku Francuzów. Zaprowadził ich w okoliczny las, gdzie ich najzwyczajniej w świecie ukatrupił. Straszny staruszek.

Opuszczamy przysiółek koło ósmej. Do kwatery pułkownika mamy tylko kilka kilometrów. Droga wiedzie wzdłuż rzeki, pomiędzy niskimi krzakami a dżunglą. W pewnej chwili na skraju drogi rozbłyskują jakieś ślepia jak latarki. Dostrzegłem długi, cętkowany ogon, znikający powoli w chaszczach. Pantera? Nie, tutejszy drapieżnik wielkości lisa, zwany przez Francuzów *chat tigre*. Pułkownik pluje sobie w brodę, że nie miał w ręku automatu. Jeszcze nie skończył odgrażać się, kiedy na drogę wychodzi, nie śpiesząc się wcale, drugi kot i defiluje powoli w świetle reflektorów o dwadzieścia kroków. Wszyscy łapiemy za jeden i ten sam automat. Zwierz wchodzi na ścieżkę znikającą w dżungli, ogląda się, patrzy na naszą szarpaninę, błyska raz jeszcze oczyma. Pułkownik zawładnął wreszcie automatem. Ale para latarek zgasła w dżungli jak zdmuchnięta.

W kwaterze pułkownika przyjmują nas delegaci pułku. Siedzimy długo w noc przy ognisku, pod wielką strzechą chaty na palach. Noc jest górska i chłodna. Opowiadamy sobie historie okupacyjne, ja im polskie, oni mnie wietnamskie. Odnajdujemy podobne sytuacje, te same metody konspiracji, wiele jednakowych śmierci. Chłopcy są młodzi, roześmiani, pełni wiary i ciekawości.

Opowiadają, w jaki sposób armia wietnamska pozyskała podczas kampanii sympatię Thai. W dobie bitwy o Dien-Bien-Phu ludność opuszczała wioski i pracowała przy naprawie dróg lub w transporcie. Ale w wioskach zostawało bydło i dobytek. Kiedy oddział żołnierzy wchodził do wioski, nie zajmowano chat, tylko obozowano wokół nich. Ale żołnierze doglądali bydła i nierogacizny. A kiedy wieśniacy wracali do wsi nocą, obmacywali brzuchy świń i przekonywali się, że są pełne. Toteż wkrótce Thai przyjmowali wszędzie żołnierzy armii wyzwoleńczej z otwartymi rękami. Kampania o Dien-Bien-Phu zwaliła za jednym zamachem cały system rasowych nienawiści, na jakim Francuzi opierali swe wpływy w kraju Thai.

Bang-Giang opowiada z kolei, że jeden z jego oficerów otrzymał już po zawieszeniu broni zadanie dotarcia do odległej wioski w górach, zamieszkałej przez plemię Xa. Chodziło o akcję politycznej mobilizacji mas. Ale na ścieżce w dżungli spotkano wysłannika naczelnika szczepu, niosącego groźne ostrzeżenie: każdy, kto się zbliży do wioski, powitany zostanie z kusz zatrutymi strzałami. Oficer, choć młody, wiedział dobrze, że to nie są żarty. Zawrócił więc i stanął w sąsiedniej wiosce, zamieszkałej przez Meo. No — i zaczął od żywienia mieszkańców. W okolicy panował dotkliwy głód. Przez dwa miesiące oficer dożywiał swych Meo ryżem i kukurydzą, czekając cierpliwie. Wreszcie wojowniczy naczelnik Xa nie wytrzymał nerwowo. Przysłał tegoż samego posła z zaproszeniem, by żołnierze Kinh weszli do jego wioski.

Koło północy pułkownik zapędza nas spać. Nie pozwala Dongowi na rozłożenie mojego śpiwora: będę spał na prawdziwym posłaniu Thai, składającym się z materacyka, kołdry wełnianej i małego wałka. Nareszcie jakiś lud, który nie śpi na macie ryżowej, z kułakiem pod głową! Wszystko to jest jak na mnie trochę przykrótkie i wąskie, toteż w nocy budzi mnie parokrotnie uczucie zimna. Sięgałem już po mój puchowy śpiwór, leżący bezużytecznie obok, ale wyobraziłem sobie, jaką minę będzie miał pułkownik, kiedy się dowie, że posłanie Thai mi nie posłużyło — i zrobiło mi się gorąco. Nie chciałbym być nigdy odmiennego niż on zdania.

Na dobranoc dobra wiadomość: do Dien-Bien-Phu można dojechać na odległość dwóch kilometrów od doliny.

Zbudziło mnie przeraźliwe pianie kilkudziesięciu kogutów i stukanie stęp do łuszczenia ryżu. Dong spędza mnie zaraz z posłania. Przed chatą czeka cała kompania, żołnierze mają do mnie jakąś sprawę. Złażę do nich po drabinie. Poprzedniego wieczora wspomniałem żartobliwie, że moi synowie zażądali, bym im przywiózł z Wietnamu żywego tygrysa. Teraz zastępca dowódcy pułku trzyma do mnie taką mowę:

— Całą noc myślałem, jak zaspokoić prośbę twoich dzieci. Ale o żywego tygrysa nie jest wcale łatwo, nawet w Wietnamie. Moglibyśmy go schwytać w ciągu paru dni, ale wydaje się, że miałbyś pewne trudności z przewiezieniem go do Polski. Wobec tego przyszło mi do głowy co innego. My tu nazywamy imperialistów „papierowymi tygrysami". Chcielibyśmy ci więc ofiarować dla twoich dzieci takiego „papierowego tygrysa".

Wręcza mi przed całą kompanią wspaniały biało-czerwony hamak, utkany z amerykańskiego spadochronu. To był pierwszy spadochron, jaki spadł w listopadzie 1953 na Dien-Bien-Phu. Zdobyła go kompania, przed którą stoję.

Później pułkownik dekoruje mnie odznaką Dien-Bien-Phu, która przysługuje tylko uczestnikom tej bitwy. — „To była bitwa o pokój — powiada — a ty też walczysz o pokój". Przyjmuję ją jako najdroższą pamiątkę.

Tegoż dnia, godz. 16

Stoimy w pełnej dżungli, o osiem kilometrów od Dien-Bien-Phu. To nie droga, to zielone piekło. Towarzysze pod wodzą pułkownika Bang-Giang zasypują kamieniami ogromną wyrwę, zrobioną w poprzek drogi przez wody pory deszczowej. W poprzek drogi? Droga dawno już się skończyła. Jedziemy od kilku godzin dziką ścieżką, odrzucając co kilkaset kroków zwały ziemi, jakie obsunęły się ze zboczy w porze deszczów, usuwając zwalone przez tajfuny pnie drzew, rąbiąc tasakiem liany i zielska. Od ósmej rano nie możemy przebyć tych siedemdziesięciu kilometrów. Nigdy nie przypuszczałem, że jazda po takiej drodze jest w ogóle możliwa. Gdyby nie Bang-Giang, na pewno zrezygnowalibyśmy z dotarcia do Dien-Bien-Phu. Ale pułkownik to diabeł wcielony. Za każdą przeszkodą zakasuje rękawy, zwołuje grupki mężczyzn i kobiet Thai spotkanych po drodze i dokonuje czynów wielkoluda. Podziwiam go od początku podróży. Zmrużone, uśmiechnięte oczy, głęboka pierś, niespożyta energia. Dla każdego ma łatwe, trafiające prosto w serce słowo. Zna tysiące ludzi w okolicy.

Wokół wspaniała dżungla, pełna bananowców i wysokich drzew. W dole

burzy się i huczy potok. Bang-Giang przypatruje mu się bacznie. W jakimś wybranym miejscu zatrzymuje wóz. Zmitrężyliśmy zbytnio w drodze, skończył się nam kleisty ryż, jesteśmy potężnie głodni. Idziemy na ryby. Dong i Ty rozbierają się do naga i stają w pogotowiu na brzegu leśnej rzeki. Giang odpala od papierosa lont ładunku teolitu, owiniętego w liść palmy jak wietnamskie pasztety. Ciska ładunek w miejsce, gdzie silny prąd wpada w czarną głębinę. Przykucamy na brzegu. Tępy wybuch idzie po wodzie, wznosząc gejzer mgły. W chwilę później błyskają wśród ciemnego nurtu białe brzuchy ryb. Dong i Ty skaczą w wodę, nurkują, wypływają z wielkimi rybami w zębach. Zebraliśmy tego ze cztery kilo. Pieczemy je później w dżungli na płaskich kamieniach i zjadamy z aptetytem. Giang opowiada, że w czasie kampanii o Dien-Bien-Phu każda sekcja otrzymywała ładunki teolitu do głuszenia ryb. Ułatwiało to znacznie aprowizację wojsk.

Dien-Bien-Phu, 30 listopada, godz. 13.45

Wydostaliśmy się wreszcie wczoraj z tej straszliwej drogi. Około piątej wjechaliśmy w słoneczną dolinę Dien-Bien-Phu. Wrażenie wielkiego szczęścia: zalana późnym słońcem szeroka dolina, cała w wysokich trawach. Wisi nad nią wielka cisza i jakiś tkliwy smutek. Giang mówi, że jeszcze przed rokiem była to zielona, pełna palm areku i drzew badamowych, ludna dolina. Dziś wygląda jak bezmierny, nagi i pusty step. Francuzi, po opanowaniu jej z powietrza w listopadzie ubiegłego roku, zrobili z doliny Dien-Bien-Phu pole bitwy jeszcze przed bitwą. Wszystkie drzewa zostały wycięte, trawy wypalone, ludność przesiedlona. Żyzne ryżowiska zarosły dzikim zielskiem. Dziś wszystko pokrywa wysoka trawa, w której ukryć się może człowiek na koniu. Dawna zielona dolina i wczorajsze pobojowisko znikły pod nią, jak pod falami morza.

Jestem bardzo zmęczony, ale mimo to zaraz po kolacji robię krótki spacer po wiosce Dien-Bien-Phu. Wygląda ona trochę jak obóz Indian. Wszędzie rozbito namioty z francuskich spadochronów, a wokół kręcą się przybyłe z gór kobiety Meo o ciemnych twarzach i dziwacznych strojach.

Dien-Bien-Phu znaczy: dystrykt na samej granicy.

Dziś rano wstałem późno, bo mgła leżała nad doliną i nic nie było widać. Dopiero koło dziesiątej mgła ustępuje.

Czuję się piekielnie daleko nie tylko od swoich, ale i od Hanoi. Tu już nie chodzi tylko o kilometry. Nauczyłem się mierzyć nie na kilometry powrotną drogę, ale na te wszystkie zerwane mosty, wyrwy w drogach pożeranych przez dżunglę, zwalone pnie dziwacznych drzew. Na wilgotny upał południi ziąb ranków, na noce w chatach Thai, na bicie znużonego serca.

Pobojowisko przedstawia posępny widok. Wszędzie walają się szczątki maszyn i oręża. Ziemia pokryta jest białymi i kolorowymi plamami spadochronów, w niektórych miejscach chodzi się po grubym dywanie z brudnego nylonu. Strzępy spadochronów wiszą na krzakach i wśród kiści ostrych traw. Giang mówi, że w dolinie leży trzydzieści tysięcy spadochronów.

Dobrze, że dojechaliśmy tu samochodem. Pozycje francuskie zostały zbudowane w ogromnej elipsie o długości 15, a szerokości 6 kilometrów. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby przyszło zwiedzać to wszystko pieszo.

Do południa zwiedzamy lotnisko, fortecę centralną, bunkier kwatery gene-

rała de Castries, oraz główny obiekt walk, wzgórze A 1, nazwane przez Francuzów „Eliane". Słońce szaleje na tej pozbawionej krzty cienia ziemi. Na szczycie „Eliane" znajdujemy skąpy stożek cienia rzucanego przez coś w rodzaju kolumny z bambusa i spadochronowego jedwabiu, wzniesionej na cześć poległych zdobywców. Ale okupował go spory oddziałek wojska. Zresztą i tak stożek ów robi się z każdą chwilą krótszy, bo słońce staje w zenicie.

Ty włazi do każdego wraka czołgu czy samochodu i śmiejąc się jak dziecko wymontowuje różne potrzebne części. Na straszliwych bezdrożach pogubił jakieś szpunty, śrubki i zawory, pozastępował to wszystko bambusowymi kołkami, a teraz wymienia co się da. Zrobił sobie z kawałka spadochronu pokaźny worek, w którym dźwiga całe to żelastwo.

Na lotnisku stoją jeszcze dwa olbrzymie B-29, postrzelane jak sito. Cztery samoloty myśliwskie, helikopter i cztery czołgi walają się w trawie opodal. Wzdłuż dróżki prowadzącej do centrum twierdzy stoją lufami do ziemi działa 105 mm, nieco dalej wielka paszcza 155-ki rozdziawia się w niebo. Pryzmy równiutko poukładanych pocisków i wystrzelonych łusek rdzewieją w szczerym polu.

Interesuje mnie tu każdy szczegół, bo część akcji drugiego tomu zamierzonej trylogii wietnamskiej zamierzam umieścić w Dien-Bien Phu. Penetruję zbocza „Eliane" i „Dominique", brzegi mulistej rzeczki Nam-Youm, przecinającej centralny dyspozytyw, fotografuję widoki z różnych punktów oporu. Dong idzie przede mną, węsząc jak pies. Pełno tu jest min, tylko wąziutkie ścieżki wśród traw zostały rozminowane.

Kwatera główna generała de Castries wygląda jak rozkopane kretowisko. Jakiś młodziutki żołnierz, który przyłączył się do nas na „Eliane" wchodzi do zawalonej ziemianki i znika gdzieś w jej czeluściach. Po chwili wyłania się i dziewczęcym gestem wręcza mi plik papierów. Znalazł je pod ziemią, niech to będzie dla mnie pamiątka z kwatery głównej de Castries. Przerzucam je pobieżnie. Rozkazy bojowe z podpisem komendata twierdzy, lista proponowanych odznaczeń, lista strat... Ale także rzecz niezwykle cenna — dziennik oficera artylerii, zawierający szczegółowe notatki, prowadzone dzień po dniu od 1 marca do 7 maja, to znaczy do dnia kapitulacji twierdzy. Radość moja nie ma granic. Wraz z zielonym kajetem unoszę stąd kawałek autentycznej historii, pisanej na gorąco przez nieznanego mi nawet z imienia i nazwiska człowieka. Czyż może być zdarzenie bardziej dla pisarza szczęśliwe?

Teraz już nie żałuję trudów drogi. Trzeba było koniecznie zobaczyć na własne oczy Dien-Bien-Phu, jeśli chce się o nim pisać. No i ten dziennik...

Tegoż dnia, godz. 22

Po południu zwiedziliśmy „Isabelle", o osiem kilometrów na południe od centrum, oraz „Béatrice", „Gabrielle" i „Anne Marie" na północy. Raz jeszcze przejechałem całe ogromne pole bitwy. Wysłuchałem z ust pułkownika Giang opowieści o walkach na „Isabelle" i ugrupowaniu północnym. Przeczytałem dziennik francuskiego oficera, którego opisy i cyfry potwierdzają jota w jotę relację Gianga. Jeszcze raz wdrapujemy się na wierzchołek „Eliane", stąd rozciąga się rozległy widok na pobojowisko. To był klucz całego systemu obronnego, kamień filozoficzny bitwy. O to wzgórze walczono przez czterdzieści dni

i nocy. Kiedy Vietminh zajmował jego wierzchołek, Francuzi kontratakowali dwoma batalionami z pozycji odległych o 250 metrów. Równocześnie obrońcy wzgórza, ukryci w podziemnych kazamatach, o których istnieniu Wietnamczycy nie wiedzieli, wyruszali do przeciwnatarcia. Wietnamczycy stracili tu ponad tysiąc ludzi. Z niektórych atakujących kompanii zostawało po kilku żołnierzy. Podnóża „Eliane" usiane są mogiłami. Dopiero udany atak na sąsiednie wzgórze „Dominique" otwarł drogę atakowi na „Eliane", którą zdobyto rankiem 7 maja. Tegoż dnia twierdza padła. Utrata „Eliane" uczyniła dalszą obronę bezskuteczną.

Z fali atakującej 7 maja po południu Centrum dotarło do kwatery de Castries'a czterech ludzi. Z okopu wyleciał ku nim granat ręczny. Wtedy jeden z żołnierzy cisnął w odwet swój granat zaczepny. Z kazamaty wynurzyli się oficerowie z białą flagą. Cały sztab poddał się czterem ludziom. Podobno de Castries, na ich widok, mruknął: „Chciałbym dowodzić takimi".

Zjeżdżamy z pola bitwy dopiero wówczas, gdy czarna jak nieszczęście noc przesłania wszystko.

Mieszkam w ślicznym domeczku z cienkich, bambusowych prętów, pod sufitem z jedwabiu spadochronowego. Mam amerykańskie polowe łóżko. Po raz pierwszy od dwóch tygodni śpię na łóżku. Przed domkiem gromadzą się mężczyźni z całej doliny, z dziećmi na plecach, śpiącymi w lnianych płachtach, i zaglądają do środka. Najbardziej ich interesuje, kiedy się golę. W Dien-Bien-Phu odbywa się zebranie delegatów z całego dystryktu poświęcone podatkom, toteż wieś pełna jest różnorakich mniejszości, egzotycznych strojów i dziwacznych obrzędów.

Wieczorem odbywa się uroczysta kolacja pożegnalna. Bierze w niej udział naczelnik dystryktu, Meo, i jego zastępca, Thai. Wkładają mi na szyję kuty w srebrze naszyjnik noszony przez Meo, na znak, że jestem przyjacielem. Pijemy ryżową wódkę pod gulasz z psa. Później odbywa się przy ogniskach wielki pokaz tańców i pieśni. Thai tańczą „taniec bambusów", Meo grają na kobzach. Niebo nad doliną jest jak czarny kryształ.

Dziś imieniny mojego syna. Posyłam mu stąd w myśli najlepsze życzenia. Cholernie daleko.

Czuję już porę powrotu. Ale jestem jeszcze bardzo daleko od domu, w samym sercu dziczy.

1 grudnia, godz. 13, w Ban-Banh

W nocy było bardzo zimno. Przeziąbłem nawet w moim polarnym śpiworze. Rano, jak zwykle, mgła.

Przed wyjazdem z Dien-Bien-Phu odwiedziła nas delegacja ludności: jeden Meo i dwie dziewczyny, Thai i Laocjanka. Przynieśli podarunki: wyszywaną torbę i chustkę Thai, kobzę i serwetki Meo. Wzruszyłem się szczerze i z emocji przekręciłem film w aparacie. Do wieczora nie będę mógł robić zdjęć.

Odcinek złej drogi przejechaliśmy nadspodziewanie szybko. Od dwóch dni pracują na nim brygady ochotnicze, gdyż spodziewany jest przyjazd gości chińskich z Hanoi. Mieliśmy zaledwie trzy przeszkody w postaci rozebranych mostków. Ale ułożyło się na poczekaniu prowizoryczne kładki z bambusów, podparło je drągami i jakoś poszło.

Pułkownik Giang cały czas myślał o dzisiejszej kolacji. Znalazł wyborne miejsce w górskim potoku, głębokie na dwa metry, tuż przy silnym nurcie. Wybuchu prawie nie było widać, tyle że na wodzie powstał wirowaty garb. Wyciągnęliśmy około dziesięciu grubych ryb, w tym dwie jak udo. Kiedy się ubierałem na brzegu, wpił mi się w stopę *kon-vat*. Zauważyłem go, kiedy był już tłusty jak kiełbaska. Zlikwidowałem go przy pomocy zapalonej zapałki. Ale noga krwawi dalej.

Przypadkowo odkryłem pod siedzeniem Ty dobre pięć kilo teolitu, owiniętego w liście palmy. Ty zaopatrzył się w to w Dien-Bien-Phu. Gdybyśmy wylecieli w powietrze, nie byłoby śladu, żeśmy kiedykolwiek istnieli. Z trudem wyperswadowałem mu w Dien-Bien-Phu zabranie dwóch nowiuteńkich pocisków do moździerza 80 mm, które znalazł w krzakach u pozycji artyleryjskich na „Isabelle". Były jeszcze opakowane w wodoszczelne płaszczyki. I tak wieziemy już w bagażniku z cetnar różnych części wymiennych do samochodu.

Godz. 21, Thuan-Chau

Serdeczne rozstanie z Giangiem, który wraca do swego pułku. Podarował mi fotografię swego synka z jakąś wietnamską dedykacją. Wyprawiliśmy sobie na pożegnanie prawdziwą ucztę ze złowionych ryb. Jestem tak zmordowany, że nie mogę się zdobyć nawet na zrobienie notatek. Ty twierdzi, że wie, jak wygląda piekło dla szoferów: każą im co dzień przejeżdżać „Przełęcz Nieba i Ziemi".

IV. RZEKA CZARNA

2 grudnia, godz. 21.45, w Hoa-Binh

Przejechaliśmy dziś 277 km po drodze, której niesposób zapomnieć. Dolina Rzeki Czarnej jest chyba najdziksżą okolicą Wietnamu. Dolina? To jest raczej skalisty parów, ciemny od dżungli, wypełniony czarną od głębi wodą, zamknięty ze wszystkich stron czubami wysokich wapniowców o fantastycznych kształtach. Droga jest nadspodziewanie dobra, gdyż w górnym dorzeczu Rzeki Czarnej nie było Francuzów, nie było partyzantów, a co za tym idzie, nie było potrzeby niszczenia dróg.

Od Ban-Banh jechaliśmy czas jakiś wśród wapniowców podszytych niską dżunglą. Dopiero nad Rzeką Czarną wpadliśmy w ogromne lasy. W jednym takim miejscu, gdzie dżungla stoi jak morze u stóp stromej skały, po której leci z rykiem siklawa, stanęliśmy na krótki popas. Ty wprowadził maszynę między wielkie drzewa. Zagrzaliśmy konserwy z kiełbaskami, wkładając je po prostu do motoru. Dang wyciągnął butelkę z ostatkiem koniaku.

— Wiecie — powiada ze smutkiem — że to nasze ostatnie śniadanie w dżungli?

Zapiliśmy smutek rozstania, który już leżał między nami. Ostatnia nasza wyprawa skończy się jutro.

Przysiadł się do nas chudy i zabiedzony Meo. Miał nie więcej niż trzydzieści lat, a wyglądał na dziadka. Już drugi dzień wędruje po sól. Podzieliliśmy się z nim kurą na zimno i kleistym ryżem z zieloną fasolką, takim samym, jaki

przyrządza się na ofiarę dla duchów przodków. Największą jednak radość sprawiła mu butelka po piwie i puszka po konserwie. Meo są tu szczególnie zacofani. W okresie kultu przodków smarują na trzy miesiące głowy woskiem i miodem. Później siadają całą gromadą wokół ognia, nachylają głowy, by wosk topniał, i wyrywają sobie znad czoła kosmyki włosów, kalecząc się do krwi.

Nasz Meo opowiada o wyzysku naczelników szczepów, jaki do niedawna panował w tych okolicach. Obowiązywała tu odwieczna zasada prawna, głosząca, że całe mienie ludu i wszystkie dziewczęta są własnością naczelnika szczepu. W prowincji nie ma buddyzmu, jest tylko pierwotny kult przodków, duchów i naczelników szczepu.

Ryżu starczy na dwa do trzech miesięcy w roku. Zbiera się tylko jeden urodzaj, który przypada w czerwcu lub w lipcu. Dopiero ostatnio rozszerza się uprawa ryżu z Nam-Ninh.

Malaria gnębi jeszcze ludność, ale już przynajmniej nie wzbogaca naczelników szczepów. Do niedawna panował tu zwyczaj, że za każdy atak malarii chory ofiarowywał bóstwom jedną nogę świńską. Po czterech atakach trzeba było brać świnię na powróz i wieść ją do naczelnika szczepu, który miał wyłączne prawo składania ofiar bogom.

Rewolucja oparła się tu, podobnie jak w Cao-Bang i Bac-Can, na ludności Man. Do postępowej części ludności należą tu, o dziwo, Thai. Chyba dlatego, że stanowią wyzyskiwaną mniejszość.

Kiedy odjeżdżamy, nasz Meo odchodzi ścieżką i znika w otchłani pni, lian, bluszczu i listowia. Ma jeszcze kawał drogi po swoją sól.

Droga odbija się od Rzeki Czarnej i biegnie wspaniałą sawanną wśród wysokich gór. Dolina jest porosła trawą słoniową i dzikimi ziołami, pyszna w słońcu i pachnąca. Sucha drożyna przecina ją, jak czerwonawa nić. Motor charczy, kaszle, jak człowiek, którego zatkało. Ty zatrzymuje się i podnosi maskę. Zaczopował się przewód benzyny. Ruszam z Thiepem naprzód piechotą, pomiędzy trawy. Cykady dzwonią wokół, jakby cały horyzont wypełniony był niewidocznymi cymbałami. Nagle stajemy jak wryci. Na drogę wypada z trawiastej ściany olbrzymia pantera. Przesadza ścieżkę dwoma susami, jakby kto cisnął garścią plam słońca i cienia. Thiep chwyta mnie za ramię. Mówi, że coś ją musiało spłoszyć, pantery nie mają zwyczaju przechadzania się za dnia. Wracamy do samochodu i żeby lepiej widzieć ponad morzem traw, wyłazimy na maskę motoru. Z płaskiego pagóra pełznie ku nam wąż ognia i ściana dymu. To Muong wypalają sawannę.

Pod wieczór wjeżdżamy znów w niezwykle dziką dżunglę, wśród której Rzeka Czarna robi ogromną pętlę. Kiedy czekamy na prom, zawieruszony gdzieś na przeciwnym brzegu, mija nas kilku myśliwych Muong z kuszami na ramionach. Górski krajobraz jest groźny i ponury na tle czarnych i popielatych chmur. Czarna jest ogromna głębia rzeki, czarny las na jej brzegach, czarna noc, która nadchodzi. Robi się nagle zimno.

Zdawało się, że nie dojedziemy do Hoa-Binh. Prom podjechał w końcu, ale wkrótce potem zatrzymał nas w malutkiej wiosce członek miejscowej kadry: drewniane pale na mostku przegniły i przejazd samochodem jest niemożliwy. Od razu zbiera się wokół nas gromada ludzi. Więc co, mamy wracać, skoro Hoa-Binh jest tuż? Następuje krótka narada, z której nie rozumiem ani słowa. Członek kadry zwraca się do gromady, która otoczyła samochód, i wypowiada

kilka słów, zakończonych akcentem pytania. Kilkunastu mężczyzn i chłopców podnosi w górę ręce. Oblepiają nasz wóz i tak jedziemy ku nieszczęsnemu mostkowi. Tam ludzie wchodzą w potok, podpierają ramionami z obydwóch stron most. Wysiadamy z samochodu. Ty wjeżdża ostrożnie na mostek i tak, cal po calu, przejeżdża. Nie wyobrażam sobie, co by było, gdyby ramiona ludzi nie wytrzymały. Mostek trzeszczał, jakby się miał zawalić, i giął się, jakby był z gumy. No i akurat w tej chwili musiało mi przyjść do głowy, że Ty siedzi przecież na ładunku teolitu, wystarczającym do wysadzenia w powietrze mostu wraz z całą wioską i dobrym kawałkiem dżungli.

Do Hoa-Binh przyjechaliśmy już po nocy. Odnaleźliśmy jakoś wśród pustkowia i zgliszcz siedzibę Komitetu Administracyjnego. Przewodniczący, jednooki Muong, i sekretarz organizacji partyjnej, Wietnamczyk, wydają się zachwyceni odwiedzinami. Z miejsca zapoznają nas z terenem. Prowincja liczy 160 tysięcy mieszkańców, w tym 120 tysięcy ludności Muong, a tylko 10 tysięcy Wietnamczyków. Poza tym jest 6 różnych narodowości. Jednooki powiada, że ludność dręczyły dwie plagi, z których jedna — naloty francuskich bombowców — należy już na szczęście do przeszłości. Drugą plagę stanowią tygrysy. W ciągu ostatniego roku porwały dziewięćdziesiąt osób. Napadają ludzi w biały dzień, w niektórych wioskach ludność boi się wychodzić do lasu po drzewo, w innych mieszkańcy nie sypiają nocami, bo co chwila trzeba odpędzać tygrysy biciem w bębny.

Dziwi mnie ta tygrysia klęska w Hoa-Binh. Jednooki wyjaśnia, że tygrysy rozsmakowały się w ludzkim mięsie w czasie wielkich bitew o drogę kolonialną nr 6, jakie toczyły się na przełomie lat 1951/52. Obie armie nie miały czasu zbierać poległych i rannych. Od tego czasu tygrysy ściągają na odgłos strzałów.

Urządza się przeciw nim obławy, w których biorą udział całe wsie. Sekretarz O. P. odczytuje mi sprawozdanie gospodarcze, z którego wynika, że w ciągu ostatniego roku zabito w prowincji osiemdziesiąt tygrysów. Stanowią one ważną pozycję dochodową, gdyż mięso uważane jest za szczególny przysmak, a cena jego jest kilkakrotnie wyższa od ceny mięsa wieprzowego. Również kości tygrysie sprzedaje się za słoną cenę do wyrobu słynnego leku wzmacniającego.

Jednooki namawia mnie do późna, bym został w Hoa-Binh pięć dni. Obiecuje mi zorganizowanie polowania na tygrysy. Właśnie przed kilku dniami upolowano w okolicy kulawego tygrysa, którego kilka wsi pomawia o porywanie w biały dzień kobiet zbierających w lesie suche bambusy.

3 grudnia, w południe

Spałem źle. Całą noc śniło mi się, że tygrys dobiera się do chaty.

Dzień jest szary, chłodny. Zwiedzamy Hoa-Binh, drogę nr 6, o którą walczono zajadle, lotnisko porosłe trawą, na którym wylatują co trochę w powietrze na minach pasące się bawoły. Wszystkie murowane budynki w Hoa-Binh, jak siedziba francuskiego rezydenta, dom komendanta garnizonu, wille kupców chińskich, pochłonięte są przez zachłanne zielska. W środku wielkiej doliny, na której krzyżują się drogi ze wschodu na zachód i z północy na południe, stoi kilka nędznych chatek z bambusa. Rzeka Czarna, wielka i posępna, przecina miejscowość na dwoje. Przeprawiamy się przez nią dwukrotnie sampangiem. Prószy zimny, dokuczliwy kapuśniak. Zapuszczamy się dobry kawał

po drodze łączącej prowincje północno-zachodnie ze starą cytadelą ruchu niepodległościowego, Hanh-Hoa, w środkowym Wietnamie. Cała operacja Hoa-Binh, opracowana przez Delattre de Tassigny, miała na celu odcięcie Północy od Hanh-Hoa. Nigdzie do czasu Dien-Bien-Phu walki nie były równie zaciekłe. Francuzi nie utrzymali Hoa-Binh, a w dwa lata później prowincja Hanh-Hoa dała dla bitwy o Dien-Bien-Phu 220 000 nosicieli i ponad 12 tysięcy rowerów. Cena, jaką Giap zapłacił za odbicie tej lichej górskiej drogi, zwróciła mu się stokrotnie.

W drodze do Hanoi mijamy liczne miejsca, wsławione przez krwawe boje. Wzdłuż drogi leżą rozbite samochody. Pejzaż jest ponury, dziki i pełen grozy. Ogromny cień góry Ba-Vi wisi nad horyzontem. Ta sceneria dziwnie godzi się z dramatyczną historią bitwy. Najeżona wapniowcami o stromych ścianach, przecięta Rzeką Czarną, usiana pagórkowatymi dolinami, podbita dżunglą, odpowiada o wiele bardziej naszym pojęciom o egzotycznych miejscach wymienianych w komunikatach wojennych wojny indochińskiej, niż łagodna dolina Dien-Bien-Phu.

Dziś po południu wracamy do Hanoi. Dziś żegnam się z dżunglą. Kiedy piszę te słowa, widzę jej zielony, bogaty kożuch, wspinający się zboczem góry aż po sam łysy wierzchołek. Rozróżniam rozpadliny, w których przycupnęły dzikie bananowce o czerwonym kwiecie. Dostrzegam gołym okiem wielkie paprociowce wśród wodospadu bluszczu, olbrzymie drzewa obrosłe lianami, cały ten splątany, zwełniony, wzburzony chaos puszczy.

To chyba ostatnie spojrzenie na dżunglę. Pociągała mnie, zachwycała, zostawiała niedosyt. Czasami nie mogłem na nią już patrzeć, przejmowała mnie odrazą, nienawidziłem jej. Teraz patrzę na nią niemal z czułością. Nie gryzie mnie w oczy jej jadowita zieleń. Nie jest zła, skoro udzieliła schronienia walczącemu narodowi. Będę chyba tęsknił do jej szkarłatnych kwiatów, do jej szmaragdowych ptaków, do ostrych krzyków wydobywających się z jej wnętrza, do tej wspaniałej dziczy, w której spędziłem parę tygodni.

Za chwilę odjeżdżamy z Hoa-Binh. „Hoa-Binh" znaczy po wietnamsku „Pokój".

Hanoi, 8 grudnia

Dziś mijają dwa miesiące od chwili, w której pierwsza wietnamska dziewczyna uśmiechnęła się do mnie. Obchodzę ten dzień w łożu boleści. Lekarz, którego do mnie zawezwano, powiedział: *„Vous n'êtes pas le premier à être mis à plat par la brousse..."*

Mam leżeć kilka dni, brać zastrzyki, przestrzegać diety. Nie wolno mi wstawać ani pracować. *„Répos complet, physique et intellectuel..."*

Nie mogę zupełnie spać. Nerwy mam rozdygotane, serce w gardle, niepokój w mózgu. Cały aparat fizyczny i psychiczny w proszku. Nieludzko tęsknię do domu.

Za oknami gwar dziecięcy jest taki sam, jak w Warszawie. Niebo też równie szare, zadeszczone. Boże, Boże, jak ja już bardzo chciałbym być w domu!

Odczuwam przeraźliwy chłód ludzi i rzeczy. Dopiero tu rozumiem, co znaczą słowa „pożerany przez tęsknotę".

Kożin, Strielnikow, Beba i Burchett odwiedzają mnie po kilka razy dziennie.

Ale oni wszyscy już odjeżdżają. Ty pojechał na nową wyprawę z Hindusami. Thiep i Dong przychodzą i bez słowa siedzą przy moim łóżku, pełni dobrej woli.

10 grudnia

To nie do wiary, jak można ziębnąć pod zwrotnikami. Mam na sobie ciepłą bieliznę, wełnianą koszulę, pulower, wiatrówkę podbitą flanelą. W pokoju pali się elektryczny piecyk. A ja marznę.

Przeżywam ciężkie chwile. Nerwowo jestem wyczerpany. Każdy dzień wydaje mi się wiecznością. Co noc błądzę w półśnie po Rzece Czarnej. Co rano czuję, jak narasta we mnie niepokój.

Codziennie o piątej bije gong w pobliskiej pagodzie, naśladując dzwony naszych kościołów. Doprowadza mnie to do obłędu. Przez kilka dni jakiś zespół ćwiczył gdzieś obok taniec *sap*. — Sap, sap, sap-klik! — Sap, sap, sap-klik! — Można było oszaleć.

Nareszcie pozwalają mi wychodzić. Całe miasto drży z zimna. Wietnamczycy poowijali szyje szalikami, ale są zupełnie niezabezpieczeni przed zimnem. Nie mają ciepłej bielizny ani płaszczy. Tylko niektórzy posiadają watówki. Thiep trzęsie się bez ustanku, jest siny i posmutniały. Hanoi zszarzało przez to zimno. Niebo jest ołowiane. Dziewczęta powdziewały jakieś wełniane wdzianka. Sprzedawca, u którego kupowałem trzewiki, nie mógł słowa wymówić, tak szczękał zębami. Brzegi „Małego Jeziorka" są puste. Zamilkły świerszcze, cykady, żaby i jaszczurki.

11 grudnia

Rano zbudziłem się o szóstej. Leżałem do ósmej, czując, jak znów narasta we mnie niepokój. Jeszcze w czasie zastrzyku żaliłem się młodziutkiemu lekarzowi, że wcale mi się nie polepsza. Obecny przy tym Beba pokiwał poważnie głową. „Za daleko odbiłeś od brzegu" — powiedział. Brzmiało to niemal jak diagnoza.

Ale naraz później przyszedł opiekujący się teraz nami Quat. Towarzyszyli mu Thiep, Dong, Huan i jakiś malutki człowiek o chińskich rysach. Rozmowa wyglądała mniej więcej tak:

Quat: — To jest nasz krawiec. Weźmie ci miarę na ubranie.

Ja: — Nie chcę ubrania.

Quat: — Musisz mieć ubranie, bo jest zimno.

Ja: — Ależ patrz, mam ciepłą bieliznę, ciepły sweter, ciepłą wiatrówkę.

Quat: — Tak, ale w drodze do granicy będzie jeszcze zimniej.

Ja: — Przecież lecę samolotem.

Quat: — Ale w Pekinie jest bardzo zimno. Musisz mieć ciepłe ubranie.

Ja: — W Pekinie zostawiłem walizkę z ciepłym ubraniem. Po co mi drugie?

Quat: — W Pekinie możesz sobie zrobić trzecie, jeszcze cieplejsze. A tu musi ci się zrobić ubranie.

No i zrobili.

Od tej historii z krawcem poczułem się lepiej. Poszedłem z Thiepem do Pagody Wielkiego Buddy, do świątyni konfucjańskiej, do Muzeum Finot. Cały

wieczór włóczyliśmy się po ulicy Srebra, oglądając prześliczne wyroby jubilerskie.

Jest jeszcze zimno, ale dziś po południu ustał tajfun.

13 grudnia, o północy

Jutro o świcie odlatuję samolotem polskiej misji. Jestem jeszcze wyczerpany, sypiam po parę godzin, w czasie których wciąż błądzę brzegami Rzeki Czarnej, apetytu nie mam za grosz. Ale lekarz pozwolił mi lecieć. Twierdzi, że w Europie przyjdę do siebie w ciągu tygodnia.

Wszyscy już odjechali. Został Kożin i ja. Truong-Son, który teraz organizuje departament w ministerstwie informacji, przyszedł na pożegnalną kolację. Wzruszyliśmy się wszyscy bardzo. Przyrzekłem jemu, Thiepowi, Dongowi i Ty, że nic z tego, co z nimi przeżyłem, nie zostanie zapomniane. Pożegnałem się z nimi z uczuciem, jakbym rozstawał się z braćmi.

Żegnaj, Wietnamie! Jutro już cię nie zobaczę z powietrza poprzez poranne mgły. Będę wypatrywał kraju, do którego grudniowych śniegów tak bardzo tęsknię.

*

P. S.

Warszawa, 29 grudnia

Już po wszystkim. Śpię jak suseł, jem za dwóch, wyleczyłem serce z niepokoju a stopy z pasożytów dżungli. Ale nie wyleczyłem snów z tęsknoty. Bywają jeszcze noce, w które błądzę brzegami Rzeki Czarnej. Przepływam w sampangu brunatne wody, wchodzę w bambusowe chaty stojące wśród palm, idę długo grobelkami wśród zielonych ryżowisk, na których przysiadły białe bociany, przejeżdżam rajską dolinę Quang-Huy, gdzie piękne kobiety „białych" Thai piorą chusty, wędruję ścieżynami przez dżunglę Viet-Bacu, widuję inne twarze i wielkie, dziwaczne gwiazdy.

Podobno trudno się z tego wyleczyć. Francuzi nazywają tę chorobę *coup de bambou*. Kto raz ugodzony został uderzeniem tropikalnego bambusa, nosić już będzie w sobie jego drzazgi.

Mirosław Żuławski

Włodzimierz Majakowski

„150.000.000"
(FRAGMENTY POEMATU)

Towarzysze dziennikarze,
nie żądajcie danych,
czy była ta bitwa,
w którym miejscu świata.
W pięciominutówce
tu ześrodkowano
byłych i niebyłych bitew lata.

Nie dla Lenina wiersz rozrzewniony.
W twardej rozprawie
śpiewam miliony,
widzę miliony,
miliony sławię.
Słuchajcie więc, historycy i wieszcze,
tego, co widział bitwy nie stoczone jeszcze!

„Wyklęty powstań, ludu ziemi" —
radosna zagrzmiała nowina.
W odzew
głosy milionowemi
rozlegało się:
„Rozkaz!"
„Zaczynać!"
„Bóg niech Wilsona chroni.
Potężne są jego dzierżawy" —
oni
głos podnieśli chropawy.

Zaśpiewało pół ziemi czerwoną pieśń.
Pół ziemi białą pieśń zaśpiewało.
I oto
za pieśnią czerwoną,
I oto
za pieśnią, za białą —

w przyszłość tarany biją grzmiąco,
zamiotły, szurnęły
szczeciną promieni.
Rozrosły się ręce,
które lekko rozplączą
nieznane wymiary duszy i ziemi.
Poderwani przez buntu miotlisko,
sklepikarze,
rzuciwszy zyski i manka,
rozbiegli się jak zlane ukropem mrowisko
z magazynów,
z kantorów,
z banków.
Na cielska stłoczonych bulwarów i tam
do miast
z oceanów
ruszyły wody.
Słupy telegrafu i tu
i tam
podrywały katedry na przewody.
Porzuciwszy wysiedziany fundament,
za drapaczem drapacz parł,
jak tygrys w zwierzyńcu —
mięso
funtami,
paszczęką bram pałacyki żarł.
Same się gwałtem wyrywając z jezdni —
właścicielu, gdzie masz głowę? —
w lustrzane szyby sklepów jubilerskich
grzmotnęły kamienie brukowe.
Bez obawy, że na mieliźnie osiądą,
że brzuch rozprują o szczyt dzwonnicy,
wieloryby
kroczyły lądem
jak zwykli śmiertelnicy.
To, co czerwone,
i co barwę ma białą,
walczyło z sobą
i walcząc śpiewało.

. . . . . .

Lecz Wilson w pałacu jeszcze się opiera,
naciska złote sprężyny
i ustawia się tyraliera —
z nieludzkiej drużyny.
Straszniejszy od czołgów,
od pułków żołnierzy,

ruszył bezbrzuchy,
milion zębów wyszczerzył,
stugębny
runął głód.
Miażdży miasto — jakby orzechy gniótł.
Zgarnął wieś — jak drzazga pryska.
A ludzi,
ludzi i zwierzęta —
garścią wpycha prosto do pyska.
Ucho natęża
i drogę bada
przed nim idąca zagłada.
Dyszą zakłady.
Zagłada słyszy.
Słyszy zagłada — fabryka dyszy.
Rąbnie w zakłady —
gruzy z zakładów.
Ściśnie fabryki —
z fabryk ni śladu.
Tłucze maczugą — odłamkiem szyny.
Wszystko się wali.
Zatrata.
Ruiny.

Baczność!
Do ataku!
Pracuj!
Twardziej!
Stryczkiem kolei żelaznych
zaciśniemy gardziel głodu,
zagłady gardziel!

A kiedy krajów oddech urywany
z głodu prawie ustawał,
wtedy,
rozhuśtawszy pociągów tarany,
ruszyły transportów zestawy.
Wichrzyła się siwa broda lokomotyw,
walczą,
głód obalony,
a po nim,
szczątki zżerając —
z łoskotem
przeszły ładowne zbożem wagony.

. . . . . .

Wilsonowi jęk się wydziera —
na głód, na choroby przepadły nadzieje,

ostatnie wojska zbiera —
wojska — jadowite idee.

Nim o co chodzi
ktoś się zorientował,
od filozofii
już pęka mu
głowa.
Topią człowieka w romansów szlamie.
Uwodzą śpiewem.
Kuszą obrazami.
Nabiwszy
łby puste
balastem książek,
za profesorem
profesor dąży.
Przeciw nim młodzi ruszyli ławą.
Nacierają z lewa i z prawa! —
Runęło rzymskie prawo
i jeszcze jakieś tam prawa.
Ażeby mydlić pospólstwu oczy,
Piekłem mroczyć,
rajem uroczyć,
Łyse jak kolano,
kudłate jak zwierzę,
z gusłami zaklęć,
z ewangeliami wierzeń,
sutanną kurz wzbijając pod stropy,
armią ruszyły różnej maści popy.
Pod gradem dekretów czerwonej lawiny
rozbiegły się
popy,
mułły,
rabiny.
Ej, cudotwórcy,
śmiertelny pot
otrzyjcie, wstańcie!
Na miejscu krwawego sporu
legła wiary podpora —
Piotr
z roztrzaskaną głową swojego soboru.
Wówczas
poeci wzbili się w chmury,
by jak z samolotu
strzelać z góry.
Kuszono ich
przynętą akademickich racji,

czekając końca
powietrznych akrobacji.
Poeci spadali jak kamień —
z wyskubanymi
rymów piórami!
W „Dzieł pełne wydania“
niczym w norki
skryli się klasycy.
Nie ma zmiłowania!
Próżno
wytartym autorytetem
Gorki
jak kwoka
skrzydłem ich osłania.
Konstrukcją nóg odwalając mile,
kranami ramion — drogi otwarte,
futuryści
przeszłość rozgromili,
confetti kulturki rzucając z wiatrem.

Ostatnie starcie.
Sam Wilson wystąpił.
I w przerażeniu
wilsonowcy drżący
widzą —
obrócił się w popiół,
kiedy chciał zadkiem przydusić słońce.
Któż wspomni wodzów nieznanych imię,
okrytych zwycięstw chwałą gromadną?!
W międzynarodowej zagrzmiawszy Cuszimie,
eskadra starzyzny poszła na dno.

Fabrykami depcząc wszystko minione,
przyszłość zawrzała kominów trylionem:
„Ablem, Kainem —
zwijcie jak się zdarzy,
nas to ni ziębi, ni parzy!
Przyszłość nadeszła!
Przyszłość - triumfator!
Wieki,
hołd złóżcie jej za to!“
Horyzont przed słońcem rozwarł się na ścieżaj.
I ledwo co
świata połowę przebiwszy,
Kain geniuszem swym w promień uderza,
jak muzyk, który uderza w klawisze.

Przełożył
Seweryn Pollak

Ilia Erenburg

MY ZWYCIĘŻYMY

Dotkniesz gałązki, zaszumi gałązka,
Zielony sen, jak młodość, jest naiwny.
Człowieka może pocieszyć drobnostka:
Szum liści albo letni deszcz szmerliwy,

Gdy opłakany, umyty, zroszony
Lśni świat w nawisłej jednej kropli małej,
Gdy pachną miodem wystałym i wonnym
Kwiaty, co nigdy przedtem nie pachniały.

Znam naszych lat wyłomy i nie gładką
Drogę podobną pętli szubienicznej;
O nie, człowieka pocieszyć nie łatwo.
Jednak o deszczach i gałązkach piszę:

My zwyciężymy! Z nami świeżość ziemi,
Wszystkie nasiona i pędy, i zioła,
Błękit na wyrost, co barwnie się mieni,
Jak kurtka chłopca małego wesoła.

Z nami dźwięk każdy, wszystkie formy, barwy
I dzieci, które bawią się piłkami,
I niebywale dźwięczne ptaka gardło,
I prostoduszne łzy rybaczek z nami.

1939

Przełożył
Włodzimierz Słobodnik

Aleksander Prokofiew

JAROSŁAWNA

Śladów twych ulewy strzegą strugi,
Burze, śnieżne zim rosyjskich skrzydła,
Blasku, dniu mój, wieku mój niedługi,
Jarosławno, światło me z Putywla.

Gdzież on, gdzie posłaniec ten skrzydlaty
Z dobrą wieścią od groźnego brzegu?
To kołczany, kopie i bułaty
Przed wrogami ci Igora strzegą.

Widać to — nierówny spór z wiatrami.
Jedno wiem ja, przyjaciółko dawna:
Zawodziła płaczem przed wiekami
Na Putywla murach Jarosławna.

To ku twoim ulubionym, miła,
Z uwielbieniem pochylam się drogom:
Ku tej ziemi, po której chodziła,
Ku tej wodzie, która twoją wodą.

Jesteś taka prosta i tak jasna,
Tak rosyjska w swego domu ścianach.
Nigdy niech ta droga nie zarasta,
Która do twych progów wydeptana.

Przełożył
Bogdan Ostromęcki

Simon Czikowani

ODWIEDZINY RYBAKA

Serce kąsają takie noce,
Pomysły szumią wierszy lotem,
To złożą skrzydła wątlejące,
To podrywają się z trzepotem.

Za drzwiami deszcz — majowe mżenie
Wilgocią dyszy zalęknioną
I nie chce mu się zejść na ziemię,
Nad Kurą zwisa mgły zasłoną.

Wtem wracający w noc z połowem
Rybak w mym oknie blask zobaczył.
Gdzież tu rym wiązać giętkim słowem?
Wszystko przesłonił sadz rybaczy.

Ale dom ludzki nie jest tonią,
Chociaż pod mocnym dachem ryba —
Dygoce jakby ją zraniono
Lub jak wstrząsana deszczem szyba.

Mieszkance głębinowych dziedzin
Cóż przyjdzie z życia na powierzchni,
A wiersz mój w domu nie usiedzi,
Żyje dopiero, gdy w świat pierzchnie.

Czułość go moja nie ustrzeże,
Niech się spod pióra wydostanie,
Już dom porzuci i wybierze
Z duszy do duszy wędrowanie.

Takich mnie myśli wicher porwał
Wczorajszą zakłócając ciszę,
Gdy rybak, pokazawszy towar,
Zgarnął go i z mieszkania wyszedł.

Żegnam cię, mój przybyszu nocny!
Idź z dobrą myślą o gościnie,

Niech cię w nagrodę wiatr pomocny
Na twojej drodze nie ominie.

Sięgnęliśmy do firmamentu,
W stepach, nad brzegiem wód żyjemy,
W narodzie, w jego żywym tętnie,
W odurzającym tchnieniu ziemi.

Po twarzach przesuwamy dłonie —
Pamięć na zawsze je utrwala.
Poezji sieć rzucamy w tonie —
Niewód kolorów zwraca fala.

Jest w nich twarz ojca, postać wdowy,
Pył z ksiąg na brwiach osiadający,
Praca człowieka, sad wiśniowy,
Cichy w Mingrelii zachód słońca.

Wszystko to życie gna ku ujściom,
Lecz ono nie zna dni bliźniaczych.
Czasem się rybę z rąk wypuści,
Drugi raz połów jest bogatszy.

A kiedy nadchodząca starość
Jak świt srebrzyście nas pobieli,
Pasji porannej ujmie żaru,
W dojrzałość zmieni młodą zieleń,

Wtenczas — jak śród szuwarów cisza
Razem z wstającym dniem zalega —
Uczucia w naszych rękopisach
Staną uspokojone w brzegach.

Przełożyła
Irena Piotrowska

Kazimierz Wyka

FREDRO, PISARZ LUDOWY

I

Strach nastraszony, Intryga na prędce, Nowy Don Kiszot, List, Nikt mnie nie zna, Damy i huzary, Nocleg w Apeninach, Dyliżans, Gwałtu, co się dzieje, wątek z chłopa król w *Panu Jowialskim* — o ten zespół utworów i zjawisk fredrowskich chodzić będzie. O zespół przeto, który w równej mierze dowodzi świetności Fredry jako budowniczego akcji i intrygi w gatunkach lżejszego kalibru, co świadczy o składnikach jego sztuki, niewątpliwie plebejskich.

Przebieranka, zamiana ról, krótko lub długotrwałe nieporozumienie, połajanka pod niewłaściwy adres skierowana na skutek przebieranki, zmyślone położenie, prymitywnie uzasadnione *qui pro quo* — wszystko to stanowiło wspólne pod każdą szerokością dobro teatru. Dobro zarówno komedii *dell'arte* jak paradyzowej publiczności lwowskiej teatru Kamińskiego z lat Fredry. Wszystkie te sposoby zakładały pod każdą szerokością geograficzną zestaw typów scenicznych o psychice zautomatyzowanej, reagujących zgodnie z jej uregulowanym schematem w każdej, najbardziej nieoczekiwanej sytuacji. Gra ustawicznego zmyślenia i zmiany sytuacji po jednej stronie, po drugiej zaś — usztywnionych, niezmiennych wad i właściwości w obrębie psychiki postaci, to dwaj konieczni partnerzy ludowego teatru.

Łańcuch utworów od *Intrygi na prędce* po *Gwałtu, co się dzieje* świadczy, że Fredro znakomicie był zorientowany w wymaganiach tych dwóch partnerów. Potrafił bowiem ze starych jak świat schematów krzesać nowe blaski, potrafił je ułożyć w konsekwencje i sytuacje dotąd niedostrzeżone. Jako reprezentatywne ogniwo tego łańcucha weźmy jednoaktówkę *Nikt mnie nie zna.*

Z pozoru — cały arsenał staroświeckiego i ludowego chwytu teatralnego. Przebieranka Marka Zięby, ażeby sprawdzić wierność żony. Przebieranka służącego Kaspra, która wobec pani Kasprowej wciągnie go w rzadko spotykane perypetie. Przebieranka Czesława, ażeby oduczyć Marka jego maniakalnej nieufności. Potrójny chwyt z ówczesnego, najbardziej popularnego repertuaru, a zarazem — genetycznie patrząc — komedii *dell'arte.* Istnieje sztuczka Dmuszewskiego *Szkoda wąsów* (1814), w której młodzik Erast przyprawia sobie sarmackie wąsy i przybiera odpowiedni ubiór, hreczkosiej Orgon goli takowe i przystraja się na fircyka, wszystko w celu narzeczeńskiego podstępu i wszystko niepotrzebnie.

Fredro tam rozpoczyna swoje mistrzowskie zabiegi, gdzie jego partnerzy już dawno wyczerpali inwencję. Nie doprowadza do łatwego rozpoznania i naiwnego morału. Groteskowe założenie sztuki tak długo utrzymuje, tak świetnie je obraca przeciwko nieufnemu Markowi, że powstają sytuacje zupełnie gogolowskie, oparte bowiem na podobnej zasadzie groteski i humoru. Ta szczególnie (sc. XXII), kiedy Marek Zięba chcąc służbę przekonać, że on jest naprawdę jej gospodarzem, powiada o sobie wszystko to — a gospodarzem był naprawdę przykrym i dokuczliwym — czego by w innej okoliczności nigdy nie powiedział, czego na myśl w ogóle by nie dopuścił.

Oczyszczenie postaci z zakorzenionych w niej przywar nie dokonuje się przeto w sposób automatyczny, zewnętrzny i nie budzący wiary, lecz w położeniu, które psychologicznie daje temu podstawę, chociaż jest zupełnie niespotykane. Chociaż realną rzeczywistość tak przekrzywia, że sam widz zatracać się poczyna, gdzie jest prawda, a gdzie pozór. Niczym służący Kasper, co płacze nad własnym zgonem, o którym mu opowiada Marta, Kasper budzony do realności słowami, że już czeka kandydat do małżeństwa, z jakim żona za jego życia go zdradzała, Kasper od własnej małżonki wszystko to słyszący. W tych szczytowych momentach intrygi znajdujemy się na podobnej granicy kpiny ze zdrowego rozsądku i prawdopodobieństwa, a jednocześnie groteskowej prawdy wyodrębnionego faktu, jak w *Nosie* Gogola.

Jedną z uderzających właściwości teatru popularnego i ludowego jest, jak wiadomo, automatyzacja postaci. Jedynie akcja posiada prawo do niespodzianki. Współczesny Fredrze repertuar teatralny polskiego pochodzenia zaopatrzony był w liczny zestaw postaci scenicznych o wyglądzie i charakterze ustalonym, wiadomym w swoich cechach i postępkach.

Dzięki temu poczynał się rysować w latach 1795—1830 jeden ze wstępnych warunków teatru ludowego. Trochę jak w komedii *dell'arte* powtarzały się te same okazy fircyków, bawidamków, sarmatów, uczciwych a nudnych sensatów, wciąż identyczne wykazując cechy i wykonując gesty. Oczywista, ażeby ujrzeć ten istotny stan repertuaru teatralnego w latach młodości Fredry, zmienić trzeba perspektywę, zapomnieć o propagandzie pseudoklasyków na rzecz kilku dostojnych tragedii, stanowiących znikomą część owego repertuaru, a pamiętać natomiast, że sentymentalna drama, komedioopera, wodewil, gatunki lekkie i dostępne, były codzienną strawą widza. Odsyłam do takich opracowań, jak B. Korzeniewskiego *Drama w warszawskim Teatrze Narodowym podczas dyrekcji L. Osińskiego (1814—1831)* (1934) czy E. Szwankowskiego *Teatr Wojciecha Bogusławskiego w latach 1799—1814* (1954).

W teatrze współczesnym Fredrze należy wszakże wyróżnić dwa rodzaje zautomatyzowania postaci. Mimo że niejednokrotnie pokrywają się te rodzaje z sobą, nie są przecież identyczne i posiadają odrębną genealogię. Występuje w nim automatyzacja postaci, będąca wynikiem tego faktu, że komedia stanisławowska konflikty i warunki swojego czasu ukształtowała w łańcuch reprezentatywnych typów, że typy te z kolei uległy schematyzacji i jako cienie o wciąż tych samych odruchach błądzą na deskach sceny lat 1795—1830. Geneza tych cieni jest jednakowoż społeczna, daje się sprowadzić do określonych warunków i określonego czasu, kiedy posiadały one kości i mięśnie. Jeśli nie za rampą, to w rzeczywistości, bo za rampą zawsze były trochę papierowe.

Do jednoaktówek Fredry najbardziej powiązanych z satyryczną i komediową

tradycją polskiego Oświecenia należy *Zrzędność i przekora*. Kiedy w *Zrzędności i przekorze* jako ewentualni kandydaci do ręki Zofii występują utracjusz Kasztelanic, skąpiec Smętosz, fircyk Szambelan Dorancki, to mimo całą automatyzację psychologiczną ich sylwetek, sylwetki te były niegdyś ludźmi. Nawet współcześnie z utworem Fredry spotykać się jeszcze dają po dworach i na ulicach miast. Te postacie narodziły się w określonych warunkach społecznych polskiego Oświecenia i oznaczały konkretne typy w obrębie ówczesnego społeczeństwa.

Kiedy jednak Marek Zięba i Orgon, mężowie w *Nikt mnie nie zna* i *Liście*, w sposób maniakalny, gdyby ich postępki mierzyć normalnym prawdopodobieństwem psychologicznym, nie dowierzają swoim żonom — sylwetki ich stają się całkowicie zautomatyzowane, poruszane jedną jedyną sprężyną, lecz taka automatyzacja posiada inny punkt wyjścia. Jej geneza nie jest historyczna, nie daje się sprowadzić do określonego czasu i warunków. Jedna jedyna przywara psychologiczna, poruszając całym osobnikiem, wskazuje na genezę ludowej konwencji teatralnej, komedii *dell'arte* i jej rozlicznego, nieraz dalekiego potomstwa w różnych kulturach narodowych.

Zakładać nie będziemy katalogu wyliczającego, które z postaci Fredrowskich zautomatyzowane są psychologicznie na pierwszy, które na drugi sposób. Bywa przecież i tak, jakże często, że te dwa ujęcia występują jednocześnie w mechanizmie jednej i tej samej osoby. Najbardziej oryginalne twory teatru Fredrowskiego, Papkin bądź Łatka, to rezultat jednoczesnej automatyzacji i ujednolicenia osobnika zarówno wokół jego głównej właściwości, jak wokół warunków, które ją uprawdopodobniają.

Nie o katalog bowiem chodzi, lecz o świadomość, że dwie wspomniane tendencje warunkowały konstrukcje Fredrowskich postaci scenicznych, dwie tendencje, poddane jednolitej władzy akcji jako czynnika decydującego. To zaś oznacza prostą mądrość ludowego teatru, mądrość zdolną wyjaśnić, dlaczego dorobek Fredry tak skutecznie oddziaływa na ludowego widza nowych czasów.

Najbardziej własne, a zarazem narodzone z pradawnej mądrości teatralnej zdobycze fredrowskiej intrygi, konstrukcji postaci i scenicznej psychologii kształtują się głównie w analizowanym łańcuchu utworów. Przepleciony z zespołem oświeceniowej komedii Fredry, stanowi on ożywczy odczynnik w stosunku do utworów rozwiązujących tradycyjne problemy komedii polskiej. Na pożywce tych problemów nigdy by teatr Fredry nie nabrał swego blasku i rozmachu. Owego rozmachu przydały mu wszystkie, najdalej sięgające konsekwencje *Intrygi na prędce*.

Konsekwencje te dotyczą świata Fredrowskich postaci, ich rekrutacji społecznej i zasięgu tej rekrutacji. Rzecz to wiadoma, że swoje główne arcydzieła pisarz umieścił pod dachem najbliższych jego sercu dworów średnioszlacheckich, w sferze, którą najlepiej znał. Wraz z dokonaną przez potomnych apologią Fredry jako piewcy swojszczyzny pogłębiło to złudzenie, jakoby owa sfera posiadała wyłączność w dziełach komediopisarza.

Prawda, że główne komedie Fredry, z pełną psychologicznie, nie zautomatyzowaną postacią, komedie oparte na konflikcie właściwym jego czasom, uczuciowym bądź ideowym, dzieją się na ogół w sferze pani Dobrójskiej ze *Ślubów panieńskich*. Prawda zarazem, że w całości komediowego dorobku pisarza to otoczenie nie jest jedynym, które on zna i które go ciekawi, że widzi

on i wciąga w swoje dzieło środowiska pozaszlacheckie. Prawdą jest także, że te ostatnie nigdy nie dorastają do rangi artystycznej i prawdy przedstawienia zastrzeżonej w dorobku Fredry ludziom *Zemsty* i *Ślubów panieńskich*.

Te trzy prawdy są niewątpliwe. Nasuwa się tylko pytanie: dlaczego układają się one wzajemnie w przytoczonym porządku?

II

Najpierw fakty. Fredro jako miejsce akcji bardzo chętnie wybiera zajazdy, oberże, gospody, karczmy, hotele, a więc tam akcję umieszcza, gdzie w sposób naturalny i prawdopodobny spotykają się ludzie różnego stanu. *Intryga na prędce, Nowy Don Kiszot, Odludki i poeta, Nocleg w Apeninach, Dyliżans, Dożywocie.* W pierwszym okresie twórczości więcej jest u Fredry gospód niż salonów. Największe skupienie tych tak chętnie dobieranych przez pisarza miejsc przynosi *Dyliżans;* ekspedytura dyliżansów, oberża, komora celna, kawiarnia, „salon w oberży w Toruniu". Wszystkie trzy akty *Dożywocia* rozgrywają się w „sali oberży".

Ochocki w swoich *Pamiętnikach* potwierdza, że w dawnej Polsce stacje pocztowe trzymała z reguły zamożna szlachta. Niemcewiczowski pan Nowina, co wyzbył się gospodarowania na roli na rzecz pocztowego zajęcia, nie jest więc wymysłem pisarza, lecz fotograficznie wiernym osobnikiem. Fredro w postawie swojej przypomina owego pana Nowinę, bo podobnie jak on ciekaw jest, co dzieje się na gościńcu przecinającym rodzinną wioskę. Z tą wszakże dobitną różnicą, że pan Nowina, w karykaturalny sposób wyszydzany przez Niemcewicza, interesuje się jedynie wydarzeniami politycznymi ze świata najbardziej egzotycznego i najmniej mu znanego i te wyłącznie wiadomości wydobywa od podróżnych. Fredro ciekaw jest samych podróżnych, bez względu na to, z jakiej wywodzą się sfery. Obydwu te same, wiejskie i ziemiańskie, spotykają trafunki i przygody:

> Co za bieda! ktoś stanął, a tu koni nie ma,
> Bartek po snopy w polu pojechał czterema,
> Dwa ze zbożem u młyna, pięć poszło na trawę,
> Siwosz ma nosaciznę, a reszta kulawe.

Akcję tych utworów, które są najbliższe repertuarowi teatralnemu jego czasów i pospólstwu z galerii, umieszcza Fredro w takich oto środowiskach: *Nikt mnie nie zna,* czyli przygody kupca i liweranta; *List, Odludki i poeta,* czyli romantyczno-sentymentalne zapały w drobnomieszczańskiej sferze; wreszcie arcydzieło tego gatunku, jak *Gwałtu, co się dzieje,* sarmackie miasteczko, w równym stopniu mieszczańskie klasowo, co szlacheckie obyczajowo. Dodajmy zupełnie zdeklarowany adres artystyczny takich utworów, jak *Nowy Don Kiszot, Nocleg w Apeninach,* adres do paradyzowego widza.

Wymowa tych faktów jest oczywista. Nurt obserwacji realistycznej, skierowanej na nowych ludzi, na obyczaj i typ mieszczański, na przesuwanie się figur z różnych środowisk społecznych, był u Fredry bardzo silny. W żadnym wypadku nie można go sprowadzić do wzorów i typów ludzkich komedii osiemnastowiecznej w Polsce. U pisarza przesuwają się typy nowe, w dobie wojen napoleońskich i po nich wyrojone w zmieniającym się społeczeństwie.

Całkowity odpowiednik znajduje ten nurt zarówno w zainteresowaniach współczesnych Fredrze komediopisarzy *minorum gentium*, jak w gatunkach scenicznych, w jakich te zainteresowania realizowały się w ówczesnym teatrze. Były to podobnie jak u Fredry jednoaktówki, komedioopery, wodewile, podczas gdy gatunki starczające na cały spektakl sięgały albo do wyższych środowisk, albo pozostając nawet w otoczeniu mieszczańskim do innych ujęć artystycznych, bardziej ckliwych i bardziej serio niż ówczesna drama mieszczańska.

Do wzorów i typów komedii oświeceniowej nie można tego nurtu sprowadzać nie tylko ze względu na oryginalność i prawdę Fredrowskiego humoru i realizmu. Darmo takiego Kaspra Zięby i jego sługi z *Nikt mnie nie zna* szukać w owej komedii.

Chodzi o sposób, w jaki z tematem i środowiskiem mieszczańskim, z przesuwaniem się stanów, postępowała komedia stanisławowska. Tocząca się podówczas walka o sojusz szlachecko-mieszczański, o równouprawnienie trzeciego stanu nie zawsze była na scenie sprzymierzeńcem realizmu w przedstawieniu typów i ludzi tego stanu. Chodziło o ideologię w ich obronie, mieszczanin stawiany być musiał trochę na moralnym koturnie, a nie w pantoflach i szlafmycy. Na owym koturnie etycznym oglądamy go przecież w *Ojcu familii* Diderota i jego polskiej adaptacji, oglądamy również w *Burmistrzu poznańskim*.

Dlatego w komedii osiemnastowiecznej zachodzą dwa jeszcze zjawiska. Bardzo obficie — na ilość — reprezentantów stanu mieszczańskiego wprowadza do swoich utworów Bohomolec; kupcy Towarski i Zarobski w *Figlackim, polityku teraźniejszej mody;* kupiec Trofaldyn w *Nieroztropności swym zamysłom szkodzącej;* samochwał, młodzian kupieckiego stanu w *Chełpliwcu;* kupiec Towarski w *Figlackim, kawalerze z księżyca;* starzec Anzelm i jego małżeństwo z Dorimeną, córką mieszczanina Alkantora w *Radzie skutecznej;* bogaty mieszczanin Anzelm i zubożały młody Kleander w *Ubogim pokornym;* Amuld, kupiec z Wiednia w *Staruszkiewiczu*.

Ta Bohomolcowa obfitość tylko ilości dotyczy, a nie psychologicznej prawdy postaci i społecznej prawdy konfliktów, mogących się zrodzić na zetknięciu stanów. Słowem, nie realizmu ona dotyczy. Ani w swojej psychologii, ani w wywołanych przez siebie konfliktach nie są to postacie pobrane z polskiego środowiska mieszczańskiego. W kraju przeżywającym całkowity upadek tego stanu nie było ku temu materiału obserwacyjnego.

Konsekwencją tego będzie fakt, że kiedy Bohomolec dołącza się do promieszczańskiej propagandy ideologów polskiego Oświecenia, także i wówczas nie wygrywa na tym jako realista. Temu propagandowemu założeniu służy w *Małżeństwie z kalendarza* masztalerz, mieszczanin Chudecki — „który wszakże mieszczaninem jest tylko dlatego — jak dowcipnie zauważa Chrzanowski — żeby Agata mogła wyjść za mieszczanina i pouczyć Staruszkiewicza, że Polak może nie być «ani chłop, ani szlachcic, może być coś średniego»; czyli innymi słowy: Chudecki jest mieszczaninem nie dlatego, żeby Bohomolec chciał go scharakteryzować jako mieszczanina, tylko żeby mógł wystąpić w obronie mieszczaństwa".

Drugie zjawisko to mieszczanie Moliera w polskich adaptacjach jego dzieł. Byli oni tak prawdziwi psychologicznie, tak scharakteryzowani w swoich wadach i śmiesznostkach, że wypruć z nich tę zawartość realistyczną, uczynić

instrumentem budującej propagandy, było to zadanie zgoła niewykonalne. Należało tę zawartość uszanować. Jedynym skutecznym sposobem było przenieść ich i przesadzić w środowisko średniej szlachty polskiej. Tam przecież istniały podobnie powszechne wady ludzkiej obłudy, skąpstwa, zadzierania nosa wyżej swego stanu. Już Czartoryski w przedmowie do *Panny na wydaniu* zachęcał do takiego postępowania.

Słowem, postulując mieszczanina, polska komedia oświeceniowa jeszcze nie posiadała w polskich warunkach realistycznego budulca na jego postać. Zresztą na tym budulcu specjalnie jej nie zależało. Stąd wszelkie charakterystyczne dla niej objawy: przebieranki Molierowskich mieszczan w polskie kontusze lub pozorne bogactwo reprezentantów tego stanu u Bohomolca. Stąd wreszcie mieszczanie po fredrowskich gospodach, którzy nie do wzoru w tradycji, lecz do wzoru w życiu współczesnym pisarzowi się sprowadzają.

Mieszczan swoich nie awansował Fredro wyżej jednoaktówki, a jeśli nawet awansował, to tylko w stanie groteski. Przeciwstawiając czujność Fredry na nowe środowiska społeczne brakowi realizmu psychologicznego i obyczajowego w przedstawianiu mieszczaństwa przez komedię oświeceniową, nie zmierzamy do sądu — sąd taki byłby sprzeczny z faktami — że owym długo oczekiwanym realistą w sprawach stanu trzeciego okazuje się on. Oberże, zajazdy, stacje pocztowe i zaludniający je tłumek odgrywają u Fredry inną, swoistą dla tego pisarza rolę.

Postępowanie artystyczne Fredry z tym ludkiem posiada wieloraki sens. U tego pisarza, który nigdy się nie wypowiadał na temat teorii gry w szachy, a natomiast zawsze grał swoimi figurami w poszczególnych utworach i całymi ich zespołami na scenie, grał w myśl bardzo wyraźnych założeń — na każdy ruch trzeba uważać. Każdy coś oznacza w sferze stosunku komediopisarza do istniejącej teorii i praktyki na szachownicy sztuki teatralnej i obyczajów.

Nie awansując drobnomieszczan wyżej jednoaktówki lub awansując wyżej tylko w ramach groteski, w samych tych jednoaktówkach każąc im wypełniać gesty sceniczne, służące kpinie autorskiej, Fredro wyraźnie wypowiada się przeciwko praktyce współczesnego mu teatru w kwestii dramy mieszczańskiej. W teatrze Bogusławskiego, Osińskiego i Kamińskiego program Diderota, podejmowany przez polską komedię oświeceniową, zwulgaryzował się w tym czasie w ciąg dramy mieszczańskiej, której dostawcami byli Kotzebue i jego świta. Elementy takiej dramy mieszczańskiej występują również u Dmuszewskiego i Bogusławskiego w jego późniejszych utworach.

Onegdajsza propaganda mieszczanina mającego pójść na barykady przerodziła się w tym gatunku w ckliwy dydaktyzm wobec mieszczanina, który na stałe zajął miejsce nad księgą dochodów i ekspensów. „Drobnomieszczaństwo tu przygląda się sobie z zachwytem. «Osoby» bowiem tych dram, owi rubaszni starzy majorowie, wierne żony, tkliwe dzieci, poświęcający się mężowie, to po prostu gromada opasłych aniołów spędzona srogim zrządzeniem losu za kantory bankierskie i do małżeńskich sypialni." (B. Korzeniewski).

Jeden z ówczesnych krytyków napisał, że drama to „stan trzeci między monarchami trajedii i ludem komedii". Fredro wypowiada się przeciwko monarsze tragedii, bo był on pseudoklasyczny, i przeciwko stanowi trzeciemu dramy mieszczańskiej, drama mieszczańska broniła bowiem interesów nie ludu prawdziwego, nie plebsu, lecz kapitalistów, kupców, „facjendarzy", Geldgoldów

i Złotołowów, a w tych twórca *Pana Geldhaba* dostrzegał konkurenta swojej klasy, nie jej sprzymierzeńca.

Fredro jest za ludem komedii. Jest wszakże za tym ludem w sposób dosyć dwuznaczny i ograniczający w pewnej mierze prawa ludu. To znaczy nie ogranicza on praw komedii, nadaje im wyłączność w swoim dorobku, ale ludowi w jej ramach pozwala się poruszać swobodnie tylko do pewnych granic i tylko w celach przez siebie samego autorytatywnie ustalonych.

Jaki jest bowiem punkt obserwacyjny Fredry wobec typów ludzkich przesuwających się przed jego oczyma, kiedy akcja utworu przystanęła w zajeździe lub rozwija się wraz z podróżą? Chyba najwięcej o tym punkcie obserwacyjnym mówi *Dyliżans*.

Chcąc zrozumieć akcję tej komedii trzeba założyć, że napisał ją ktoś obok doktora Fulgencjusza, Filonka, Rozaury, Maciusia podróżujący własnym pojazdem. Kto nie gniecie się z nimi w jednej bryce, lecz z drugiej obserwuje przepełniony dyliżans. Ktoś, kto przez szyby i przy wspólnym stole na postoju wszystko widzi i słyszy, ale się nie wtrąca, ale zakłada, że figurki obok niego działające mają tylko ruchy, nie posiadają zaś namiętności i pragnień. Niedorozwój całkowity od strony psychiki, a zatem i rzeczywistego konfliktu, dowcipna charakterystyka od strony gestu i intrygi, jak gdyby wszystko na świecie składało się jedynie z gestu i intrygi.

Fredro więc trochę z góry i po szlachecku, spoza szyb pojazdu szlagona podróżującego własnym ekwipażem lub trzymającego pocztową stację, patrzył na tłumek ludzki snujący się po zajazdach i postojach dyliżansu. Ale tego tłumku był ciekaw i sam podróżował. Podróżował poprzez różne ludzkie stany jak też i dosłownie. Proza sentymentalna, wątła spadkobierczyni powieści wielkich dróg, także poprzez podróż, chociażby wyimaginowaną, naprowadzała na szlaki realistyczne. Ale z tej wątłej spadkobierczyni, też poprzez dyliżans, podróż, coraz to nowe gospody starej Anglii narodzi się *Klub Pickwicka* Dickensa. Jego członkowie statutowo się zobowiązują, że podróżując będą poznawać ludzi i gromadzić postrzeżenia. Fredro dzieli z Pickwickiem i Dickensem tę skłonność, jakże zrozumiałą u ludzi, co w epoce napoleońskiej przemierzyli Europę i zarówno tęsknili za domowym zaciszem, jak wiedzieli, że wędrówka uczy świata i ludzi.

Skłonność tę napotykamy również w prozie rosyjskiej. Jej znakomitym przykładem będą Puszkinowskie *Opowieści Biełkina*, pochwała poczmistrza, pochwała dróg pocztowych. Stary Fredro, kiedy skończą się podróże pocztą, z dawnego nałogu na dworcach kolejowych będzie umieszczał swoje komedie, bo tam równie ciekawie miesza się i zderza dla obserwatora rodzaj ludzki.

Chętnie podróżowali i chętnie wrażenia swoje wprost z kozła podróżnego notowali tacy ze współczesnych Fredrze wybitniejszych pisarzy, nie licząc pomniejszych, jak Skarbek i Niemcewicz. Niemcewicz to jedyny pisarz polski, który prawie współcześnie z uczestnikami klubu Pickwicka wędrował po gościńcach zielonej wyspy, wędrował i notował. Nawet wierszem notował widoki oglądane przez przyjaciół wybitnej osobistości Dickensowskiej:

> Jakimkolwiek po Anglii puścisz się zawodem,
> Każda wioska jest miastem, każdy kraj ogrodem,
> Wszędy plennego zboża liczne sterczą brogi,

Wszędy ładowne wozy zapełniają drogi.
Pasą się po wesołych błoniach liczne trzody,
Po roli lemiesz ręka prowadzi swobody.
Te nawy, co je wały oceanu wznoszą,
Ze wszystkich części świata bogactwa przynoszą,
I na lud, co go wolność i przemysł zasila,
Obfitość róg swych darów aż do dna wychyla.

Cóż, optymistą był ten przybysz polski. Uczestnicy spotkań w gospodach „Pod Białym Jeleniem" czy „Pod Skórzaną Butelką" na pewno rzęsistym oklaskiem powitaliby jego przychylny, jak i oni, przemysłowi i wolności wierszyk.

Kiedy zaś Skarbek wzorem Sterne'a wyrusza na kartach *Podróży bez celu* w drogę, każe zadbać swemu służącemu Pawłowi, ażeby ten zabrał do podróżnego tłumoka odpowiednie książki, wzory wędrówek literackich, uczących poznawania świata.

„...Wystarczyło przelotnej uwagi, by odczytać ich tytuły. Była wśród nich prócz «niezrównanego Sterne'a» powieść pisarza francuskiego, «który Podróż około pokoju napisał». To Xaviera de Maistre *Vayage autour de ma chambre* (1794). W rękach turysty znalazł się jeszcze *Diabeł kulawy* (1707) Le Sage'a [spotykamy go u Fredry w *Nikt mnie nie zna* — przyp. K. W.]. [...] Gdyby Paweł porządkował biblioteczkę swego pana nieco później i z większą pedanterią, pojawiłyby się w niej także: Jędrzeja Śniadeckiego *Filozoficzno-próżniacka podróż po bruku* (1818), zamierzona powieść Ludmira *Ludmir szalony, czyli Bohater i autor w jednej osobie,* o której mowa w *Panu Jowialskim* (1832), «dziwactwo» Kraszewskiego *Podróż po mej szkatułce (1834),* może nawet nieznanego autora *Podróż po ziarnku piasku,* którą Kraszewski wyśmiewał, karta z Fryburga w dzienniku Klementyny Hoffmanowej (25 sierpnia 1837), nade wszystko *Trzy po trzy* Aleksandra Fredry..." (T. Mikulski: *Spotkania wrocławskie)*

Rejestr można pomnożyć. Już jako filomata młody Mickiewicz był sternistą. Jego późniejsze listy poprzez sternowskie i sentymentalne zaciekawienie światem oglądanym w podróży ukazują dalsze konsekwencje owego zaciekawienia: realistyczną deziluzję, romantyczną melancholię. Fredro jako twórca *Trzy po trzy* te właśnie konsekwencje rozwinie, na nich się oprze oryginalność jego pamiętnika-testamentu.

Z Hamburga Mickiewicz donosi Malewskiemu pod datą 2. VI. 1829: „Powinienby nastąpić rozdział sentymentalny: wiedz albowiem, że stałem się trochę sentymentalny i że nawet piszę dziennik podróży, ale na ten raz nie udzielę ci wyjątków, bo niepewny jestem, czy list dojdzie. Nie chciałbym nadaremnie konceptów depansować. Powiem tylko ogólnie, że mię podróż bawi, że wszystko wkoło siebie znajduję dobrym, pięknym, ciekawym. [...] Ja, ociężały, ja nie lubiący nic szukać, nie chcący o nic starać się, biegałem trzy godziny po Travmünde szukając koni, targowałem się, liczyłem marki i szylingi, robiłem redukcją monet z całą zimną krwią bankierską. Leniwa jazda i popas co sto kroków nie bardzo mię nudziły. Prowadzę gawędkę z oberżystami, którzy mię klepią po ramieniu. Wypytuję się o wszystko, oglądam wszystko [...] słowem, jestem prawdziwy *tourist* i mógłbym, nim wyjadę do Altony, tom podróży napisać."

Początki podróży są więc optymistyczne, świata ciekawe, typowo sentymentalne. Konsekwencję realistyczną napotykamy już w liście do Aleksandra Chodźki z 9. X. 1830: „Zresztą, łatwo sobie wyobrazisz podróż po Europie: oberże, dyliżanse i wszechmocne pieniądze znasz dobrze."

Konsekwencja romantyczna i melancholijna odezwie się w liście do Odyńca pod datą 19. XI. 1830: „Wracałem przez Simplon i smutno mi było w tych miejscach i pokojach stawać, gdzieśmy niegdyś piechotne, wesołe miewali noclegi, bo niezawodnie tamta podróż była ze wszystkich najprzyjemniejsza."

Konsekwencje takie osiągnie Fredro dopiero jako autor *Trzy po trzy*. Jego pierwsza próba prozy sentymentalnej, osnuta na wielokrotnie przez pisarza odbywanej podróży ze wsi do Lwowa, tak daleko nie sięga. Chodzi o *Nieszczęścia najszczęśliwszego męża* (1829). Astolf, szczęśliwy mąż Amalii, po trzech latach spokojnego małżeństwa zapragnął na karnawał pojechać do Lwowa. Spotykają go przygody bardzo pechowe i zgoła farsowe. Wykosztował się, grubo przegrał w karty, pojedynek niepotrzebny odbył na tle zazdrości, powrócił przeto na wieś uleczony z marzeń o podobnych eskapadach.

Ku czemu zmierza sens tej historii, opatrzonej humorem i przygodami z ludowej groteski pisarza? Mieści się w niej pochwała szczęścia domowego, uroków wsi we dwoje, wykonana *à rebours*, we właściwy Fredrze przekorny sposób. Równocześnie z jaką mimowolną prawdomównością historia ta odsłania podszewkę codziennego obyczaju w sferze pisarza: przyjaciele z lat kawalerskich, karty, teatr, bal, szampan, szlichtada, teatr amatorski etc.

Materia opisu i postrzeżeń życiowych traktowana jest z tym drobiazgowym i zabawnym cyzelowaniem szczegółów, jakie obserwujemy np. w opisie kolaski panny Marty z *Pierwszej lepszej*. „Przyszło do wsiadania — opisuje Fredro wyjazd Astolfa. — O mój Boże! kto raz pierwszy jechał w karecie z najukochańszą żoną, wie, jak okropny widok przedstawia się oku jego za otwarciem nieszczęsnych drzwiczek, jak bolesny obraz staje mu przed myślą: ta szkatułka w dole grozi kurczem prawej nodze; te druty wyglądające z kieszeni są postrachem oka albo ucha; kapelusz w chustce zawiązany i zaczęta na kanwie robota, przypięte między przednimi oknami, zasłaniają zupełnie konie, drogę i okienne światło; karton z kwiatkami za siatkę włożony nie daje nawet powstać nadziei, aby można wyprostować się choć raz jeden w ciągu całej podróży; zresztą, tysiące drobiazgów jeszcze w ręku panny służącej roszczą prawo do jednego pozostałego miejsca: do kolan męża."

Tak więc podróżujący Fredro to podróżnik typowy dla drogi do realizmu poprzez dickensowskie konsekwencje prozy sentymentalnej, zwiedzającej nowe, kapitalistyczne społeczeństwo. Granice podróży w obrębie tego społeczeństwa były zakreślone jego rzeczywistym rozwojem, pozycją mieszczaństwa w historii danego narodu. Te granice inne zupełnie były w Anglii, w półtora wieku po rewolucji demokratyczno-burżuazyjnej w tym kraju, inne więc dla Dickensa; odmienne w Polsce, w kraju czekającym dopiero uwłaszczenia chłopa pańszczyźnianego, odmienne więc dla Fredry. Dlatego *Pan Nowina* Niemcewicza, *Dyliżans* Fredry, listy Mickiewicza to są na polską, proporcjonalną do tej dysproporcji miarę odpowiedniki dyliżansów, którymi podróżują przyjaciele pana Pickwicka.

Tym przyjaciołom nadane zostały wszystkie właściwości ludzkie, wszystkie śmieszności, cnoty i uczucia, jakimi rodzaj ludzki rozporządza, bo ich klasa

społeczna była dla Dickensa całym tym rodzajem. Człowiek o pochodzeniu społecznym i doświadczeniu życiowym Fredry nie mógł tak postąpić. Rodzaj ludzki w jego rozmaitości, pełni i prawdzie psychologicznej reprezentowała dla niego jego sfera, tę znał najlepiej, w tej umiał odczytać każde drgnienie ambicji, serca i honoru.

Dlatego elementom nieszlacheckim w swoim dorobku Fredro nigdy nie nadał pełnych praw psychologicznych ani też praw do konfliktu zdolnego przemówić swoją prawdą. Dopiero w *Panu Jowialskim* i w *Dożywociu* sytuacja zacznie się zmieniać. Dlatego wreszcie, chociaż od komediopisarzy oświeceniowych o wiele bardziej realistyczny w odtworzeniu ludzi trzeciego stanu, Fredro nie jest tym poszukiwanym przez ówczesnych ideologów realistą, który by polskiemu światkowi mieszczańskiemu oddał słuszność artystyczną.

III

Lud w komediach Fredry ma swoiste i tylko temu twórcy właściwe cele. Cała twórcza oryginalność Fredry ujawnia się w jego postępowaniu ze składnikami ludowymi jako nosicielami groteski, składnikami ludowymi jako reprezentantami zdrowego rozsądku. By otrzymać pełną odpowiedź dotyczącą funkcji tych składników, trzeba w dotychczasowym kręgu dowodów zwrócić uwagę na utwory, w jakich Fredro wypowiada się przeciwko romantyzmowi. W nich bowiem ta funkcja szczególnie dobitnie występuje. *Nowy Don Kiszot, Pierwsza lepsza, Odludki i poeta.*

Wroga postawa Fredry wobec romantyzmu miała powody, które tutaj tylko w sposób szkicowy wspomnimy. Dojrzewając jako pisarz przed r. 1820, Fredro stykał się tylko z preromantyzmem, z jego historyczno-feudalnymi skłonnościami, stykał się z sentymentalnymi zaczątkami uczuciowości romantycznej. Uwrażliwiony na zjawiska związane z przemianami ludzi i obyczaju, jakie towarzyszyły codziennemu dojrzewaniu kapitalizmu w społeczeństwie polskim, realistycznie i trzeźwo czujny na te fakty, nie mógł dostrzec niczego prawdziwego w objawach rodzącego się prądu. Nie rozumiał też później, że w ogólnikowym buncie romantyka była zapowiedź tematyki wyzwoleńczej i patriotycznej.

Rzecz w tym, jakimi argumentami bronił się przed nadciągającym romantyzmem. Argumenty pochodziły z arsenału realistycznej groteski i zdrowego rozsądku, widzącego życie w jego rzeczywistych proporcjach. Urojenia i śmieszące go pomysły romantyczne Fredro kompromituje ustawiając je pośród intrygi mało wybrednej, tę intrygę traktując jako coś bardziej realnego i poprzez kontrast z nią ośmieszając owe urojenia. Lub też kompromituje ustawiając je pośród życia w jego zwykłym, codziennym wyglądzie.

Ten drugi sposób znajdujemy w *Odludkach i poecie.* Chociaż ważny dla poznania stosunku Fredry do romantyków, sposób taki nie jest innowacją. Po prostu kontrast między iluzją a rzeczywistością, sprowadzenie iluzji do wymiarów rzeczywistości poprzez precyzyjne ukazanie, jak ta druga naprawdę wygląda. Edwin okazuje się godnym ręki Zuzi, chociaż pan Kawka to tylko oberżysta w małym miasteczku, godnym się okazuje nie przez swój talent, lecz przez nagle otrzymany majątek. „Na, masz, bierz; szczęść ci Boże! Teraz rymuj sobie!"

Bardziej fredrowskie, w sensie nowatorstwa własnej wyobraźni i użytkowania składników teatru ludowego, są inscenizowane argumentacje antyromantyczne *Nowego Don Kiszota* i *Pierwszej lepszej*. Może dobitniej w *Pierwszej lepszej*, ta bowiem jednoaktówka rozpoczyna to, co stanowić będzie istotę tak niesłychanie fredrowskich utworów, jak *Gwałtu, co się dzieje* i *Pan Jowialski*.

Jest tą istotą nagromadzenie kilku płaszczyzn intrygi i aluzji, ich wieloznaczność przy zachowaniu wątku, zdawałoby się, naiwnego w swej niewybrednej prostocie. Za tą rzekomą niewybrednością kryje się tymczasem mądrość plebejskiego teatru, od nowa odczytana i nowymi środkami oraz postaciami używotniona przez Fredrę.

Założenie dramaturgiczne *Pierwszej lepszej* jest niesłychanie proste, aż prostackie: pierwsza spotkana w parku publicznym kobieta zostanie żoną Alfreda. To założenie to zaledwie pierwszy plan utworu, plan dobitnie i celowo groteskowy w zestawieniu z zamiarem Alfreda. Plan drugi to zaplecze psychologiczne dziwacznej decyzji Alfreda, wynikające z romantycznego znużenia światem. Plan trzeci sceny to osobiste pojęcia Fredry o kobiecie i małżeństwie, rozegrane w tej absurdalnej sytuacji, mimo niej zwycięskie. Napięcia groteski i kontrastu, które przy takim założeniu muszą się nagromadzić, stanowią arsenał Fredrowskiej argumentacji przeciwko urojeniom i iluzjom. Nie trudno dostrzec, że chociaż nakierowane ku innej sprawie, są to napięcia wypływające z równie prostego punktu wyjścia, co w *Nikt mnie nie zna*.

W tym niewielkim utworze ponadto pojawi się osoba z ludu miejskiego. Jedna z bardzo rzadkich u Fredry, jeżeli chodzi o jej szkicową wprawdzie, lecz realistycznym piórkiem nakreśloną psychikę. „Z ludu lwowskiego jest wzięta w *Pierwszej lepszej* epizodyczna postać Zosi, w której uwydatnił poeta nie tylko wdzięk naiwny, ale cnoty tak piękne, jak przywiązanie do swego środowiska, brak podziwu dla wyższych stanów i poprzestawanie na swoim. Ofiarowane jej przez Alfreda małżeństwo i błyszczące widoki zostania «wielką panią» odrzuca bez wahania, a wszelkie ponętne obietnice zbywa grzecznie, wracając ciągle do swego: «Bardzo dziękuję! Ja Pawełka wolę.»“ (E. Kucharski). Druga podobna postać i podobna jej funkcja w utworze to przybrana przez Ludmira w *Panu Jowialskim* maska szewczyka Ignacego Kurka z „Horoszczyzny pod numerem sto jeden i trzy, kole szynku pana Mikołaja“.

Rolę elementu ludowo-plebejskiego w dziele Fredry najpełniej odsłania *Gwałtu, co się dzieje*. Ukazuje ta komedia również stosunek poety do romantyzmu. Dotyczy typu realizmu w takich utworach, jak *Pan Jowialski*, oraz postawy Fredry wobec romantycznego historyzmu. Dlatego nieco więcej uwag o *Gwałtu, co się dzieje*, uzasadnionych także krzywdą, która tę znakomitą groteskę stale spotykała i spotyka.

Gwałtu, co się dzieje, czyli *Sprawa w Osieku*, rozbudowana została wedle dwóch pradawnych facecji plebejskich. Pierwsza z nich, wyznaczona głównym tytułem utworu, to anegdota o świecie rządzonym przez kobiety. Spotykana w folklorze i literaturze wielu narodów anegdota plebejska, której najdawniejsze źródła stwierdzić się dają w poprzedzającej Arystofanesa komedii staroattyckiej i pod jego piórem jako twórcy klasycznej komedii greckiej. Druga fabuła, o kowalu, co zawinił, i ślusarzu, którego powiesili, w polskim folklorze zlokalizowana została w Osieku. Bohomolec, który tak chętnie sięgał po inne wątki plebejskie, obydwu tych wątków nie zna. Pierwszego być może stąd, że

teatr konwiktowy, ograniczony do ról męskich, uniemożliwiał jego wprowadzenie.

Dwa więc wątki plebejskie jako punkt wyjścia, z tym, że pierwszy z nich — o świecie zawojowanym przez białogłowy — stanowi fundament główny *Gwałtu, co się dzieje.* Kilka pięter aluzji buduje Fredro na tym fundamencie z mistrzostwem, którego dowody na mniejszych budowlach składał w *Pierwszej lepszej* i w *Nikt mnie nie zna.*

Jest to po pierwsze sama zawartość anegdoty, pseudohistoryczna facecja plebejska, rzucająca światło na stosunek pisarza do historii i do historyzmu romantycznego. Chociaż *Gwałtu, co się dzieje* utrzymane zostało w ramach całkiem innej poetyki aniżeli *Zemsta,* przecież w nie mniejszym stopniu stanowi przygotowanie dojrzałego historyzmu pisarza aniżeli poprzedzające *Zemstę* powieści poetyckie romantyków na tematy z historii narodowej.

Jest to po drugie aktualna aluzja polityczna. Aczkolwiek nie należy analogii przerysowywać, aczkolwiek wypada ją pozostawić tylko w ramach przytyku i aluzji, trzy stare baby w sposób całkowicie nonsensowny rządzące Osiekiem to trzej zaborcy. Samo ich panowanie w Osieku jest podobną bzdurą wobec zdrowego rozsądku historii, co rozbiory Polski.

Jest to po trzecie aktualna aluzja obyczajowa. W sprawach obyczaju małżeńskiego Fredro we wszystkich swoich utworach wypowiadał się w sposób jednolity. Po stronie praw uczucia i nowego obyczaju erotycznego, po stronie praw kobiety. Ale i na tę bliską jego sercu kwestię potrafił spojrzeć koso, z ambiwalencją właściwą wielkim humorystom. Ukazał bowiem świat w stanie całkowitej bzdury, skoro kobiety nad nim zapanowały.

Gwałtu, co się dzieje można czytać w sposób antyfeministyczny. Tak jak można czytać w sposób antyaustriacki. I czytać w sposób wymierzony przeciwko pojmowaniu historii jako napuszonego widowiska. Słuszne zaś jest czytać tę groteskę jednocześnie w trojaki sposób.

Tym kilku równoczesnym aluzjom wcale nie służą jakieś trzy oddzielne wątki. Aluzje rozpostarte są na kanwie jednej i tej samej akcji, prostej w założeniu, zaskakującej w swych konsekwencjach. Wielka przebieranka, świat zawładnięty przez niewiasty, wątła nić starań Doręby i Grzegotki o rękę Kasi, to wszystko. Groteskowa prostota klucza nakręcającego cały mechanizm przy zaskakującej wielości obrotów owego mechanizmu — w tym jest mistrzostwo Fredry.

Bodaj jednemu problemowi przypatrzmy się dokładniej w tej tak wieloznacznej sztuce — jej historyzmowi. Chociaż położony na mapie groteski, Osiek Fredrowski jest całkowicie realny. Są w nim księgi sądowe i miejskie. Jest komórka na stare akta, do której od dawien dawna nikt nie zaglądał. Na rynku osieckim dzieją się normalne małomiasteczkowe sensacje: „Czy wpadł w wodę, czy końmi roztratowany?" Jest spiżarnia z miodkiem.

I cały ten Osiek, opłynięty jakąś rzeczułką, wtopiony został w wiejski krajobraz, ni to miasteczko z sadami, ni to wielka wieś z resztką miejskich budowli. Całkiem jak wszelkie tego rodzaju zapadłe miejscowości polskiej prowincji, które z rzędu miasteczek spadały po najazdach szwedzkich do rzędu wsi.

We wszystkich tych zewnętrznych oznakach środowiska jednego brakuje: jakichkolwiek oznak romantycznego upiększania przeszłości. Łatwo to sprawdzić zestawiając Osiek z wizją podobnej miejscowości, dawaną przez wielkiego

romantyka, nawet kiedy ów romantyk pragnie być realistą — chodzi o *Złotą Czaszkę* Słowackiego. Zupełnie inny jest dobór realiów, zupełnie odmienna ich funkcja artystyczna w historyzmie Fredry. Źródła tego doboru można by się dopatrywać we właściwym prozie sentymentalizmu kulcie znaczących drobiazgów i artystycznej baczności na ich użytkowanie.

Doręba, zwoławszy mieszczan, by zagrzać ich do walki z panującymi kobietami, tak rozpoczyna przemowę agitacyjną: „Kiedy rzucę okiem po wystruganych głowach, kutasistych czuprynach, po nosach czerwonych, świadczących dostatek domowy, zdaje mi się, że tylko proporców nad nimi brakuje, abym widział przed sobą jeden z najdzielniejszych hufców Rzeczypospolitej. — Ale, przebóg! Gdy spojrzę dołem, o boleści, o sromoto, w fałdzistych spódnicach wzrok mój tonie!"

To, co widzi Doręba, widzi jednocześnie widz. Fredro na sarmackie nosy i głowy każe mu spozierać bez jakiejkolwiek czołobitności, z groteskową dosadnością nakazuje je zapamiętać. Przecież są śmieszne, skoro dołem fałdziste spódnice je zdobią. Taka dosadność to zarazem forma oceny właściwa humoryście.

Fredro na Osiek patrzy takim samym okiem humorysty, który poprzez śmieszne realia kompromituje wielkie wmówienia, jakim Astolf w *Odludkach i poecie* ogląda miasteczko, gdzie pan Kapka trzyma oberżę:

Ha, cóż to do widzenia? Co? Jakie sklepienia
Podziemnych lochów, więzień, gdzie dla ciekawości
Dotąd jeszcze w łańcuchach trupieszeją kości?
Zabytki złotych wieków, tych wieków prostoty,
Za którymi utulić nie umiem tęsknoty!...
A może wieża, kolos, co chmury roztrąca,
Pomnik sławy jednego — ucisku tysiąca?
[. . . . . .
Cóż — jakie żebro tura albo ząb olbrzyma?
Jaki pręgierz wspaniały ze sztuczną obręczą,
Gdzie zwykle większe łotry mniejszych łotrów męczą?
Albo skałę, co diabeł upuścił z niemocy,
Jak kogut we wsi zapiał o północy?

Aluzja groteskowego humoru wobec przeszłości szlacheckiej posiada specjalną wymowę na tle dziesięciolecia 1820—1830. Pierwsze gałęzie wypuszcza w tej porze historyzm romantyczny. Tradycjonalista, pod wieloma względami przywiązany do przeszłości, Fredro z niejaką zazdrością spoziera na te gałęzie. Z pnia własnej twórczości próbuje je również podpędzić. Podejmuje utwory mające dorównać romantycznym wymaganiom kultu historii narodowej — *Sęp Jeremiasz, Kamień nad Liskiem*. Artystycznie są one mdłe, chociaż podobne im utwory pobudziły w stosunku do Fredry uwagę Mickiewicza; ideologicznie stawiałyby twórcę po stronie reakcyjnego historyzmu.

W latach poprzedzających napisanie *Zemsty* ważą się u Fredry szala romantycznego historyzmu i szala realiów obowiązujących obserwatora i realistę wszędzie, także wobec przeszłości. Ideowy stosunek Fredry do przeszłości szlacheckiej był zasadniczo aprobatywny. On to powodował, że pochwałę rycer-

stwa, szlacheckich cnót, bitewnych czasów, tradycyjnych zalet historii szlacheckiej, pochwałę na ogół reakcyjną, artystycznie ogólnikową, pisarz przyjmował i próbował sił w odpowiednich poematach.

W takim kontekście osobistym *Gwałtu, co się dzieje* nie jest głosem na rzecz historyzmu romantycznego. Fredro jako artysta i jako ideolog był daleki od jego problematyki, od krytycyzmu i szukania w przeszłości wzorów postępu. To tylko szala zawierająca groteskowe realia, dużo zdrowego rozsądku, jeszcze więcej dociekliwej pasji humorysty, nakazującej od podszewki spojrzeć na sprawy skądinąd poważne. Znaczna część zawartości tej szali wejdzie w skład koncepcji artystycznej *Zemsty*.

Tradycja literacka, obecna w *Gwałtu, co się dzieje*, była w pierwszym dziesięcioleciu romantyzmu polskiego absolutną rzadkością. Nie umiemy wskazać żadnego utworu w tym czasie, w którym by z równą stanowczością artystyczną doszły do głosu dążności plebejskiego folkloru, o pochodzeniu tak prastarym i godnym poszukiwanej przez romantyków dawności.

Powstaje stąd pytanie zasadnicze: czy plebejski, wędrujący poprzez stulecia, nie dający się sprowadzić do ludowości w sensie „poezji gminnej", ludowości chłopskiej, charakter wątków podjętych przez Fredrę pozostaje w opozycji wobec ludowości uznawanej przez romantyków? Czy też stanowi odmianę szeroko pojmowanej ludowości, odmianę, której nie potrafili dostrzec i ocenić romantycy, kierowani zasadami estetycznymi prądu i jego stylem, dostrzegł natomiast i ocenił urodzony realista?

Odpowiedź może być tylko jedna. Plebejska, satyryczna, groteskowa ludowość Fredry stanowi tylko nie dostrzegany przez romantyków wariant szerokiej tradycji ludowej. Nie jest wroga ani sprzeczna ze stosunkiem romantyków do tej tradycji. Poszerza go i dopełnia w sposób zgodny z indywidualnością artystyczną Aleksandra Fredry.

Lud w komediach Fredry odegrał przeto tylko u tego pisarza spotykaną w epoce romantycznej rolę. W stosunku do elementów ludowych Fredro nie był realistą w tym sensie, ażeby je odtwarzał. Prawie nigdy nie wprowadził do swojej komedii chłopów. Zosia z *Pierwszej lepszej*, wyimaginowany szewczyk Kurek z *Pana Jowialskiego*, to bardzo niewiele jak na plebs miejski. Reprezentantom ludu nigdy nie nadał Fredro pełnej struktury psychologicznej i nie pozwolił im uczestniczyć w konfliktach o rzeczywistym walorze. Realistycznie widział kapitalistów i lichwiarzy, Geldhabów i Łatków, ale ci już do ludu nie należą. Widział ich realistycznie jako przeciwników swojej klasy, nie w zamiarze rozumiejącego i przychylnego odtworzenia. Na żadnym więc stopniu wobec nieszlacheckich żywiołów nie był Fredro odtwarzającym je realistą.

A przecież poszedł dalej niż pisarze sentymentalni, roztkliwiający się w jego epoce nad krzywdzonym kmiotkiem. Nie dochodząc do pozycji identycznych z romantykami, w dziełach swoich zużytkował sens ludowej groteski, ludowego rozumu. Używając w sposób demaskatorski automatyzmu i groteski, użył ich w funkcji rzetelnie realistycznej. Chociaż spierał się z ludowością romantyczną, do literatury swojego czasu wniósł ludowość plebejską, siostrę rodzoną chłopskiej ludowości romantyków.

I w tym sensie nazwany być może Fredro pisarzem ludowym.

Kazimierz Wyka

Maciej Żurowski

CO ŁĄCZY

(ZAGAJENIE FESTIWALOWEGO SEMINARIUM HISTORII LITERATURY POŚWIĘCONEGO ZAGADNIENIU TRADYCJI HUMANISTYCZNYCH W LITERATURZE WSPÓŁCZESNEJ)

Zapraszamy was, drodzy goście, do dyskusji nad literaturą naszych czasów z punktu widzenia tradycji humanizmu. Wyobrażamy sobie, że jest to zagadnienie szczególnie aktualne, szczególnie pobudzające do refleksji i wymiany poglądów dziś, kiedy pojęcie ludzkości stało się tak konkretne jak nigdy dotąd; dziś, kiedy troska o losy cywilizacji uprzytamnia nam ogrom i wagę tej wielowiekowej tradycji filozoficznej i artystycznej, której jesteśmy spadkobiercami.

Zapraszamy was zatem do dyskusji nad zagadnieniem, które w pewnym sensie rozszerza się na całą historię kultury, ale o którym równie dobrze można powiedzieć, że jest zasadniczym zagadnieniem historii literatury jako nauki. To by na przykład wynikało z definicji tej gałęzi wiedzy, jaką daje w swojej książce *Allgemeine Literaturwissenschaft* Max Wehrli, profesor uniwersytetu w Zürichu. „Nauka o literaturze — powiada on — nie jest tylko specjalną, zamkniętą dyscypliną. Może się ona rozwijać jedynie w najściślejszym powiązaniu ze świadomym lub nieświadomym obrazem siebie samego i świata, wytwarzanym przez człowieka." Problematyka jej — powtarza szwajcarski uczony — „jest zawsze podporządkowana problemowi, na czym polega istota człowieka".

Jak ten obraz człowieka, który stworzyła literatura XX wieku, przedstawia się w porównaniu z tradycją humanistyczną? Odpowiedź na to pytanie może nam wytłumaczyć wiele jasnych i ciemnych stron literatury współczesnej, związanych z najgłębszymi problemami naszej epoki. Może też ukazać nam nieoczekiwane perspektywy. „Właśnie w zakresie literatury i sztuki — pisał przed kilku laty w swoim dzienniku znakomity poeta niemiecki, Johannes R. Becher — bywamy odkrywcami w tym sensie, że odkrywamy odkrycia. To znaczy, że w przeszłości kryje się ogromna ilość bezcennych, istotnych dla rozwoju literatury i sztuki odkryć, które z powodu różnych okoliczności popadły w zapomnienie ze szkodą dla prawdziwej literatury i autentycznej sztuki... Po wydobyciu ich z przeszłości i obudzeniu do życia, wiele dzieł wielu artystów okaże więcej związków z przyszłością niż niejedno aktualne zjawisko, które wydaje się nowoczesne, supernowoczesne."

Czy ciągłości tradycji humanistycznej i tych starych odkryć, które mogą rzucić nowe światło na naszą epokę, mamy szukać konfrontując literaturę współczesną z najdawniejszą, klasyczną tradycją humanizmu? Niewątpliwie,

w dwudziestym wieku znajdujemy pisarzy, którzy nas pod tym względem zdumiewają. Na przykład Rabindranath Tagore wywodzi swój wielki, szlachetny humanizm w sposób niezmiernie bezpośredni z klasycznej filozofii indyjskiej. Filozofia Anatola France'a łączy się nie mniej bezpośrednio ze starożytną, grecką i rzymską koncepcją człowieka. Ale to są oczywiście zjawiska dosyć wyjątkowe. Ich wyjątkowość jest zupełnie zrozumiała. Tradycja humanistyczna jest czymś historycznym, zmieniającym się pod wpływem rozmaitych czynników. Do nas dotarła w postaci bardzo złożonej, wzbogaconej o zdobycze i różnorodne doświadczenia stuleci.

Nie można więc mówić o tradycji humanistycznej w ogóle, o jakiejś przeciętnej kolejnych epok. Taki obraz człowieka i jego stosunku do świata byłby bardzo abstrakcyjny i bardzo ubogi. Powinniśmy raczej mówić o wielorakiej tradycji humanizmu, o poszczególnych koncepcjach człowieka wyrażających ideały poszczególnych epok. Zdaje się, że pouczającego przeglądu przemian humanizmu możemy dokonać dla celów naszej dyskusji na dziełach sześciu wielkich twórców, których rocznice obchodzi się we wszystkich krajach z inicjatywy Światowej Rady Pokoju. Tak się składa, że na przestrzeni trzystu pięćdziesięciu lat, od *Don Kiszota* do *Źdźbeł trawy*, reprezentują oni rozwój nowożytnego humanizmu we wszystkich jego głównych momentach.

To by zatem była pierwsza propozycja. Pomówmy o Cervantesie, Monteskiuszu, Schillerze, Mickiewiczu, Andersenie i Whitmanie.

Pierwszy z jubilatów Światowej Rady Pokoju należy do najgenialniejszych przedstawicieli epoki Odrodzenia, której zawdzięczamy fundamenty nowoczesnej koncepcji człowieka jako istoty nie tylko dążącej — na wzór starożytnych — do wszechstronnego rozwoju swoich ludzkich cech, ale także świadomie kształtującej swój los i historię. Zawdzięczamy tej epoce, jak powiada jej angielski badacz, John Addington Symonds, „naszą duchową solidarność, nasze poczucie intelektualnej tożsamości, nasze przyzwyczajenie, żeby znosić w jedno miejsce z różnych stron osiągnięcia wzbogacające skarbiec niezniszczalnego doświadczenia". Epoce Odrodzenia zawdzięczamy też, jak dalej mówi Symonds, uzasadnione przekonanie, że „rozwój ludzkiej aktywności i świadomości bez przerwy postępował naprzód od zarania dziejów do chwili obecnej i jego przeznaczeniem jest nieustanny postęp w ciągu stuleci, które są przed nami"; że walka między tym, co jest stare, a tym, co nowe, „stanowi w sprawach ludzkich istotę życia".

Żaden — poza Szekspirem — pisarz renesansowy nie wyraził tak jak Cervantes patetycznej wielkości tej walki, której nieodwołalna konieczność pcha człowieka nawet wtedy, gdy swój ideał, niejako instynktownie zwrócony ku przyszłości, ujmuje on w kategoriach całkowicie już przebrzmiałych, skompromitowanych, do niczego niezdatnych. W szamotaniu się Don Kiszota ze światem przesłoniętym ułudą zawiera się posłannictwo humanizmu według Cervantesa. Ale to arcydzieło jest też dla nas dowodem, że stosunek do tradycji humanistycznej, że ogólniej mówiąc sens dzieła literackiego, to także, a nawet przede wszystkim, zagadnienie metodologiczne, problem interpretacji. Spójrzmy tylko przez chwilę, jak się na ogół rozumie myśl humanistyczną, którą nam Cervantes przekazuje w swojej wielkiej powieści.

Dosyć powszechnie przyjętą, i to od dawna, interpretację tego utworu sformułował w roku 1928 w sposób najzwięźlejszy, a zarazem szczególnie jaskra-

wy, wybitny romanista, Helmut Hatzfeld. *Don Kiszot* to według niego „rozprawa nieskończenie pogodnego optymizmu z fałszywą romantyką jego czasów, a jednocześnie zajęcie przez arystokratycznego ducha i poetę stanowiska w obronie prawdziwego idealizmu, który może tkwić także w fałszywej romantyce — przeciwko prozaicznej postawie proletariacko-materialistycznej, dla której każdy ideał jest śmieszną przesadą". Zupełnie taką samą interpretację znajdujemy w wydanej przed kilku laty monografii Augusta Rűegga: „Nie egoistyczny realista, nie chłop Sanczo, ale bezinteresowny rycerz Don Kiszot ma rację" — twierdzi Rűegg. Czy rozumienie postaci Sanczo Pansy jest czymś istotnym dla sprawy humanizmu Cervantesa? Oczywiście. Z dyskwalifikacji Sancza wynika ważna konsekwencja — humanizm staje się ograniczony, elitarny, arystokratyczny; prawdziwe człowieczeństwo przestaje być dostępne dla prostego człowieka. Na taką interpretację nie można się zgodzić.

Nie można, ponieważ wiadomo, że w epoce Odrodzenia istniał bardzo wyraźny nurt demokratyczny; ponieważ bez trudu da się udowodnić, że Cervantes niedwuznacznie ten nurt reprezentował, ponieważ wreszcie tekst *Don Kiszota* wcale nie dyskwalifikuje poczciwego Sancza, jak tego chcą Hatzfeld i Rűegg. Prawdziwa interpretacja tej powieści nie może polegać na gloryfikowaniu Don Kiszota kosztem Sancza jako ordynarnego prostaka — myśl Cervantesa zawiera się w przeciwieństwie między szlachetnym, ale beznadziejnym marzycielstwem pana z jednej strony i ludowym rozsądkiem giermka z drugiej; w przeciwieństwie, które dopiero obydwoma swoimi biegunami razem wyraża — skomplikowany, lecz jakże głęboki — humanistyczny postulat Cervantesa.

Nie zdziwiłbym się, gdyby przy tej okazji padło pytanie, czy taka interpretacja — według której zarówno szlachetny rycerz jak i naiwny chłop wyrażają humanizm Cervantesa — wymaga, żeby przyjąć marksistowskie założenia metodologiczne. Na takie pytanie odpowiedziałbym, że moim zdaniem w tym i w wielu podobnych wypadkach nie jest to bynajmniej konieczne, gdyż marksistowska historia literatury nawiązuje do wszystkich osiągnięć burżuazyjnej historii literatury, które nie retuszują prawdy historycznej i oczywistości artystycznej pod wpływem niechęci do demokratycznych elementów światopoglądu danego pisarza. Nie trzeba chyba uzasadniać, że kiedy Hatzfeld mówi o proletariacko-materialistycznej postawie Sancza, patrzy on na epokę Cervantesa poprzez swoje uprzedzenia polityczne i chce nadać *Don Kiszotowi* wymowę zgodną z tymi uprzedzeniami.

Zatrzymałem się przy interpretacji *Don Kiszota* trochę dłużej, żeby zwrócić uwagę, że nasza dyskusja nie może, a właściwie i nie powinna, obejść się bez poruszenia problematyki metodologicznej — żadna chyba poważna i zasadnicza dyskusja o literaturze nie może ominąć problemu metody.

Monteskiusz, następny w chronologicznym porządku jubilat, jest znakomitym przykładem, jak w literaturze epoki Oświecenia, dzięki szybkiemu postępowi nauk ścisłych i coraz mocniejszemu powiązaniu myśli filozoficznej z życiem społecznym, tradycja humanistyczna wzbogaca się przez położenie silniejszego akcentu, niż to bywało kiedykolwiek przedtem, na racjonalizmie. *Listy perskie* są olśniewająco subtelnym i barwnym dokumentem racjonalistycznej krytyki wszystkich dziedzin życia społecznego. *Rozważania o przyczynach wielkości i upadku Rzymian* to wyraz wiary w możliwość racjonali-

stycznego tłumaczenia biegu historii. I w końcu monumentalny traktat *O duchu praw*, ukoronowanie życia i twórczości Monteskiusza, głosi przekonanie, że możliwa jest racjonalna organizacja państwa i życia politycznego.

Harmonijny obraz świata urządzonego przez rozum nie miał jednak, jak wiadomo, wystarczyć epoce Oświecenia. Ostatnia faza tej epoki wzbogaca koncepcję człowieka o preromantyczny bunt jednostki przeciwko przygniatającym tę jednostkę stosunkom społecznym. Schiller, genialny poeta przełomu między XVIII i XIX wiekiem, utrwala ten nowy rys w *Zbójcach*, dramacie, który bardzo wydatnie przyczynił się do ukształtowania postawy romantycznej. *Wilhelm Tell*, późniejsze jego arcydzieło dramatyczne, dodaje do tej postawy ideę patriotyzmu i suwerenności ludu, zespolenie bohatera z losami narodu. Syntezę i najwyższy wzlot swojego humanizmu zamknął Schiller w nieśmiertelnej odzie *Do radości*, uskrzydlonej później muzyką Beethovena.

Mickiewicz, największy poeta polski, należy do romantyków, którzy najsilniej zaakcentowali związek swojej poezji z kulturą ludową — żaden poeta jego epoki nie wystąpił z dziełem tak organicznie wyrosłym z tradycji pieśni ludowej swojego kraju, jak *Ballady i romanse*. Mickiewicz jest też zapewne w całym romantyzmie poetą najbardziej namiętnie i najbardziej boleśnie zrośniętym z walką swojej ojczyzny o niepodległość — dlatego też mimo bariery, jaką język jego utworów stanowił dla publiczności zachodniej, Konrad, zbuntowany i cierpiący bohater *Dziadów*, nieraz oddziaływał mocniej nawet niż Faust Goethego albo Manfred Byrona. „Konrad to już nie człowiek zwątpienia, człowiek rozpaczy, to człowiek życia" — pisała o nim George Sand. Ten sam Mickiewiczowski Konrad nawiedzał jeszcze w wiele lat później przed innymi postaciami bohaterów romantycznych niespokojną wyobraźnię Lautréamonta, twórcy *Pieśni Maldorora*.

W porównaniu z Schillerem i Mickiewiczem następny z naszych jubilatów, Andersen, może na pierwszy rzut oka wydawać się postacią podrzędną w tym błyskawicznym przeglądzie: autor bajek, pisarz dla dzieci... Myślę, że nic by nie było bardziej błędne niż taki sąd. Właśnie Andersen w wyższym stopniu niż którykolwiek z pisarzy jego epoki jest znamiennym przykładem, jak ogromnym wzbogaceniem tradycji humanistycznej w literaturze było odkrycie przez romantyzm ludowości. Andersen jest bowiem jedynym w dziejach literatury pisarzem, który światową sławę, równą sławie największych poetów i prozaików, zdobył sobie twórczością opartą wyłącznie na poetyce ludowej i na ludowym widzeniu rzeczywistości.

U Walta Whitmana, ostatniego jubilata Światowej Rady Pokoju, uderza nas z miejsca dalsza demokratyzacja tradycji humanistycznej, jej ogromne unowocześnienie i potężny optymizm. Whitman to piewca jednostki szczęśliwej z istnienia i zarazem piewca mas, który mówi o sobie:

> Opiewam siebie, pojedynczą, osobną osobę,
> Ale goszę i słowo Demokratyczny, słowo En Masse...
> Śpiewam o życiu ogromnym w namiętności, tętnie i potędze,
> O życiu szczęśliwym, stworzonym dla najswobodniejszego działania przez [boskie prawo,
> Opiewam Nowoczesnego Człowieka.

Whitman jest entuzjastą pokojowej pracy:

Nie odrzucam cennych owoców pokoju, widzę ludne miasta, pełne
[niezmierzonych bogactw,
Widzę niezliczone farmy, widzę farmerów pracujących na polach
[i w stodołach,
Widzę pracujące maszyny, widzę, jak wszędzie powstają domy, jak rosną
[albo już stoją gotowe...

Whitman jest piewcą międzynarodowego braterstwa. Mówi o nim słowami, które tu, w tych dniach Festiwalu, nabierają szczególnego życia:

Jestem z Londynu, Manczesteru, Bristolu, Edynburga... Należę do mieszkańców Moskwy, Krakowa, Warszawy albo północnej Krystianii, albo Sztokholmu, albo syberyjskiego Irkucka, albo jakiejś ulicy na Islandii...

Autor *Źdźbeł trawy* — zarówno przez treść swoich utworów jak przez ich formę — jest pomostem między stuleciami. Jest już poetą dwudziestego wieku.

Czy mam podkreślać, że ten przegląd historyczny nie miał na celu choćby w przybliżeniu kompletnego scharakteryzowania wymienionych pisarzy? Będzie się tu jeszcze o nich mówić bardziej szczegółowo i bardziej kompetentnie. Moja dosyć bezceremonialna w swojej pobieżności charakterystyka wystarcza jednak, mam nadzieję, do uzasadnienia, że sprawę tradycji humanistycznej w naszej epoce warto jest ująć w postaci kilku zagadnień. W jakim mianowicie stopniu literatura dwudziestego wieku jest kontynuatorką renesansowej afirmacji życia? Ile przejęła z wiary XVIII wieku w potęgę rozumu? Co w niej żyje z romantycznej walki o prawa jednostki i z właściwego romantyzmowi przywiązania do kultury i losów mas ludowych? Jak wreszcie literatura współczesna przechowała i rozwinęła demokratyczne ideały epoki poromantycznej?

Gdyby chcieć zanalizować pod tak wielorakim kątem widzenia tylko twórczość tych pisarzy, którzy są głównymi i powszechnie już uznanymi klasykami XX wieku — jak Bernard Shaw, Maksym Gorki, Rabindranath Tagore, Romain Rolland, Teodor Dreiser, Tomasz Mann — powstałby wspaniały obraz żywotności tradycji humanistycznej w naszej epoce.

Im dłużej zatrzymamy się przy tych szczytach, tym wyraźniej wyłoni się i drugi problem — jak jednocześnie ten tradycyjny fundament humanizmu jest ustawicznie podmywany przez tendencje schyłkowe, irracjonalistyczne, antyrealistyczne. To ważne zagadnienie ma już swoją długą historię w krytyce i nauce o literaturze, co najmniej od książki Juliana Bendy *Belphégor*, wydanej w roku 1919, po dzieło wielkiego uczonego węgierskiego György Lukacsa *Zerstörung der Vernunft*, opublikowane w zeszłym roku. Który z przejawów tych schyłkowych tendencji zasługiwałby na dyskusję przed innymi? Może egzystencjalizm — zwłaszcza że problem, czy egzystencjalizm jest humanizmem, był już postawiony zarówno w sensie pozytywnym jak i w negatywnym, a ostatnio czołowy przedstawiciel tego kierunku daje tak piękny, budzący najwyższy szacunek i przekonywający dowód, że egzystencjalizm ze swoją negacją wiary w sensowność jakiejkolwiek walki nie może człowiekowi wystarczyć, a więc jest bardzo ubogi w elementy humanistyczne.

Jakie zagadnienia szczegółowe, ukazujące w płaszczyźnie artystycznej oddziaływanie tendencji schyłkowych na literaturę, należałoby przedyskutować? Myślę, że gdy chodzi o powieść, to zagadnieniem takim jest ogólnie mówiąc

postać powieściowego bohatera naszych czasów, a w szczególności zjawisko bardzo trafnie scharakteryzowane m. in. przez angielskiego filozofa Cyrila E. M. Joada w jego popularnej książce z roku 1932 *Guide to Modern Thought.*

Joad mówi tam o procesie, który go uderza we współczesnej powieści angielskiej, a który on nazywa „inwazją psychologii na literaturę". Autor ten stwierdza, iż współcześni mu pisarze hołdują zasadzie, że „czynne życie nie jest jedynym rodzajem życia, nie jest nawet rodzajem najważniejszym. Naprawdę ważne jest wewnętrzne życie myśli i uczucia". W oparciu o współczesną psychologię burżuazyjną pisarze pojmują jednak wewnętrzne życie człowieka inaczej, niż to czynili ich wielcy poprzednicy z XIX wieku. „Jednostka ludzka nie jest żadną osobowością — streszcza Joad ten pogląd — jest ona tylko ciągiem przemijających osobowości, z których każda trwa tylko przez psychologiczną chwilę." Na tej podstawie formułuje się wniosek, że łączenie w zorganizowaną, ciągłą całość tych momentów egzystencji jest fałszowaniem rzeczywistości, i w rezultacie z powieści usuwa się osobowość ludzką, wyraźne charaktery, fabułę. Joad opisuje więc zjawisko, które jest dosyć ogólne i było nieraz analizowane przez krytyków. Dla nas w tej dyskusji jest ono bardzo interesujące jako wyraz kryzysu tradycji humanistycznej w powieści — zanik tradycyjnej aktywnej postaci powieściowej, która działając afirmuje swoją osobowość i otaczający ją świat.

W związku z tym zjawiskiem trzeba zauważyć, że całkowicie zostało ono wyjaśnione dopiero przez marksistów. Szczególnie dokładnie uczynił to Ralph Fox w rozdziale swojej książki *The Novel and the People* zatytułowanym *Śmierć bohatera.* Fox stwierdza przede wszystkim, że psychologiczna atomizacja współczesnych postaci powieściowych jest ostatnią fazą ewolucji, która zaczęła się zarysowywać już w XIX wieku i wynika — czego Joad nie dostrzega — z pogłębiającego się od czasów Flauberta rozczarowania pisarzy do stosunków panujących w świecie kapitalistycznym. W miarę jak zaostrzają się sprzeczności kapitalizmu, coraz trudniej jest powieściopisarzowi burżuazyjnemu urządzić swojego bohatera jako człowieka pełnego, działającego w tym świecie groźnych konfliktów. „Tak więc w naszej nowoczesnej powieści umarł bohater, zarówno sympatyczny jak i antypatyczny. Osobowość istnieje już tylko jako migotliwe wycinki naklejane niczym preparaty na mikroskopowe szkiełka. Te wycinki są często niezmiernie ciekawe, interesujące i piękne, ale to nie są żywi mężczyźni i żywe kobiety. Wraz z rozbiciem indywidualności zastąpionej teraz przez przeciętną jednostkę w przeciętnej sytuacji albo przez jakiś fragment osobowości mechanicznie wyizolowany z jej psychiki, zaczęła się likwidacja struktury powieści, jej epickiego charakteru. Człowiek nie jest już jednostkową wolą w konflikcie z inną jednostkową wolą czy z innymi osobowościami, bo dzisiaj wszelki konflikt musi pozostawać w związku z ogromnymi konfliktami społecznymi, wstrząsającymi i zmieniającymi nowoczesne życie — dlatego właśnie konflikt znika z powieści i zastępują go wewnętrzne walki, wątki miłosne albo abstrakcyjne dyskusje" — konkluduje Fox.

Oto zagadnienie: jak dalece zanik aktywnego bohatera, nadmiar psychologii i uwiąd akcji we współczesnej powieści oznaczają pogrążenie się w pesymizmie, opuszczenie rąk wobec trudności naszych czasów i odejście od wielkiej tradycji humanistycznej, która w praktycznej aktywności zawsze przecież widziała jeden z istotnych i zaszczytnych atrybutów człowieka.

Bardzo uprościlibyśmy dyskusję, gdybyśmy poprzestali na stwierdzeniu, że takie konsekwencje pociąga za sobą nadmiar psychologii w powieści. Dążenie do uzyskania jak najgłębszego, najsubtelniejszego obrazu psychiki człowieka jest samo przez się na wskroś humanistyczne i nie ma w sobie nic schyłkowego. Wspaniale to określił już w roku 1793 niemiecki jakobin, Georg Forster: „Świadomość jest naszą pierwszą i ostatnią sztuką, w której codziennie możemy robić postępy, nigdy jej jednak całkowicie nie opanowując ani nie wyczerpując do dna."

Johannes R. Becher w swojej niedawno wydanej książce *Poetische Konfession*, podobnie jak jego wspomniany tu już dziennik pełnej niezmiernie głębokich uwag na temat literatury, przypomina zdanie Jean Paula Richtera: „Język jest najdrobniejszą podziałką liniową nieskończoności" i opatruje to zdanie takim komentarzem: „Jean Paul chce uwypuklić znaczenie, jakie język ma w nadawaniu postaci skończonej temu, co nieskończone, to znaczy w uczłowieczaniu nieskończoności, w przyswajaniu sobie natury przez człowieka. W tym procesie język odgrywa rolę szczególnie precyzyjnego instrumentu, ponieważ potrafi chwytać w pojęcia nawet najdelikatniejsze odcienie tego, co się pojęciu opiera, potrafi wyrażać niewyrażalne i nadawać konkretną namacalność temu, co się daje tylko mgliście wyczuwać." Parafrazując zdanie Jean Paula i ten piękny komentarz Bechera, można powiedzieć, że język zorganizowany w dzieło artystyczne jest jeszcze bardziej szczególnym i precyzyjnym instrumentem, bo w pewnym sensie wielowymiarową podziałką nieskończonego bogactwa ludzkich doświadczeń. Czy można sformułować ogólną zasadę, która by uchroniła ten instrument od funkcjonowania w próżni i nie byłaby identyczna z postulatem równowagi między światem wewnętrznym i zewnętrznym, czego nas właśnie uczą wszyscy humaniści wszystkich czasów?

Kurczenie się podstawowego elementu powieści, jakim ponad wszelką wątpliwość powinna być aktywność postaci powieściowych, wywołuje rozmaite reakcje, którym warto się przyjrzeć, aby ocenić rozmiary tego zjawiska. Tu należy opinia powtarzana co pewien czas od wielu lat, że powieść jest w ogóle rodzajem literackim, który spełnił swoją misję i nie ma już nic więcej do powiedzenia. Niedawno wystąpił znowu z tym poglądem powieściopisarz angielski Harold Nicolson, motywując go bardzo ciekawie. Powieść to przede wszystkim fabuła — powiada słusznie Nicolson. „Urok powieści, zarówno dla autora jak dla czytelników, polega na tym, że dzięki niej przechodzimy z codzienności w niecodzienność, z monotonii w sensację, z banału w niezwykłość." Aby osiągnąć to przejście, ten kontrast, trzeba żyć i tworzyć w świecie bardziej ustabilizowanym niż współczesny. Nasze bowiem czasy — twierdzi angielski powieściopisarz — są tak niecodzienne, sensacyjne, niezwykłe, że wyobraźnia artysty nie może ich prześcignąć i wskutek tego stworzenie frapującej fabuły jest niemożliwe. Pisarzom nie pozostaje nic innego prócz intymności powieści psychologicznej, która jednak szybko natrafia na nieprzekraczalne granice, gdyż droga jej musi prowadzić przez egotyzm do jałowego i na dłuższą metę bardzo nudnego solipsyzmu. Na to znamienne wyznanie odpowiedział Arnold Zweig, że w przyszłość powieści możemy patrzeć spokojnie — „świat jest w ogromnej jeszcze części nie odkryty, zarówno ten wewnętrzny, jak i ten, który rośnie między ludźmi".

Nie mniej znamiennym faktem jak zwątpienie o losach powieści jest natu-

ralne ujście, jakie znalazł sobie nieodparty postulat humanistyczny, postulat bohatera z krwi i kości, uwikłanego w prawdziwe zdarzenia. Tym ujściem jest w naszych czasach powieść biograficzna, *vie romancée*. Jak wytłumaczyć ogromne powodzenie tego marginesowego gatunku literackiego inaczej niż przyjmując, że odpowiada on żywiołowemu zapotrzebowaniu niezliczonych tysięcy czytelników na te humanistyczne treści, na ten typ bohatera, który tak często u współczesnych pisarzy zanika?

Problem przerostu psychologizmu w powieści wiąże się ściśle — a na pewnym odcinku nawet dokładnie się pokrywa — z ważnym zagadnieniem naturalizmu. Wątpię, czy można je tu ominąć.

Podwójny postulat teorii naturalistycznej — to znaczy dążenie do ujmowania człowieka w aspekcie przyrodniczym i do nieinterwencji autora w opowiadaniu — w swojej najradykalniejszej postaci zdecydowanie zrywa z tradycją humanistyczną. I tu wszakże granice biegną zygzakiem, w sposób interesujący dla naszej dyskusji. Zilustrujmy trudność i wagę problemu na opowiadaniu Hemingwaya *Zabójcy*.

Wystarczy, jeżeli się raz przeczytało tę nowelę, aby ją dokładnie pamiętać. Mamy tam dwóch niesamowitych płatnych morderców, którzy przychodzą do baru, gdzie spodziewają się spotkać człowieka, na którego są nasłani; nie mogąc się go doczekać, odchodzą, dzięki czemu jeden z pracowników baru może uprzedzić owego klienta o niebezpieczeństwie; ten jednak, chociaż silny i zdrowy mężczyzna, jest zaplątany w jakąś straszną intrygę i nie zamierza się bronić — odwraca się na łóżku do ściany i czeka. To wstrząsające opowiadanie mogłoby być uznane za typowy przykład antyhumanistycznego naturalizmu. Tak się też stało. „Oba zbiry — pisze wybitny krytyk Erwin Muir — są zmechanizowanymi mordercami, a ich ofiara zmechanizowaną ofiarą; wszyscy są potraktowani zupełnie jednakowo; nie można o nich powiedzieć nic oprócz tego, że wywołują ten sam rodzaj współczucia i grozy, jaki nas nawiedza, kiedy patrzymy na zwierzę ścigające i zabijające swoją zdobycz... Mordercy nie mają ani śladu wyrzutów sumienia, ofiara nie czuje nic oprócz zwierzęcej rezygnacji. Najprymitywniejsza żądza zabijania, najprymitywniejszy strach przed śmiercią — niczego więcej tu nie ma.“ Osobiście nie jestem zdania, że Muir ma rację. Myślę, że w tej oszczędnej, surowej formie opowiadania, która charakteryzuje wielu pisarzy współczesnych, może się kryć protest, właśnie humanistyczny protest, który nawet tym silniej przemawia, im bardziej jest skondensowany między wierszami. Potrafiłbym wykazać — przynajmniej tak mi się zdaje — że to opowiadanie nie jest naturalistyczne, choć jednocześnie myślę nie bez melancholii, że metoda Balzaka i Dickensa, która kazała pisarzowi uczestniczyć w losach swoich postaci, głośno się nimi przejmować, cieszyć się i rozpaczać, miała swoją wielkość i że niesposób nie postawić wyżej tej starej metody.

Już poprzednio, wymieniając nazwisko Maksyma Gorkiego, wymieniłem pisarza, który we współczesnej literaturze pierwszy reprezentuje realizm socjalistyczny, jako główny jego prekursor i teoretyk. Poetyka realizmu socjalistycznego to niewątpliwie jedno z najważniejszych zagadnień objętych tematem naszej dyskusji. Oto literatura mogąca się poszczycić wieloma arcydziełami. Oto poetyka, która przezwyciężyła wszelkie pokusy ulegania tendencjom schyłkowym, której zasady przejęli świetni pisarze wielu krajów.

Oczywiste jest zagadnienie, jak osiągnięcia literatury realizmu socjalistycznego, właściwa tej literaturze koncepcja aktywnego, pełnego, szczęśliwego człowieka, wiążą się z ideologią i filozoficznymi podstawami ustroju socjalistycznego. Istnieje jednak i druga strona tego zagadnienia, jak głęboko realizm socjalistyczny ujął tradycje humanistyczne literatury światowej, jak bardzo pozostał im wierny i jak je konsekwentnie rozwija. Że to przywiązanie do światowej tradycji humanizmu nie jest jakąś tylko abstrakcją, wystarczy przypomnieć wypowiedzi Gorkiego o klasykach literatury zachodnio-europejskiej, wypowiedzi, które są dowodem najgłębszego uwielbienia oraz poczucia wspólnoty i ciągłości ogólnoludzkiej tradycji kulturalnej. Myślę, że tym aspektem realizmu socjalistycznego uważnie zajmiemy się w naszej dyskusji.

Tu znowu nie zdziwiłbym się, gdybym usłyszał pytanie, czy przypadkiem nie wyobrażam sobie, że z takiej dyskusji może lub powinien wyniknąć wniosek, że na przykład Ernest Hemingway, którego twórczość nie tchnie nadmierną radością życia, dobrze by zrobił, gdyby i on przejął w całości albo chociaż w części zasady realizmu socjalistycznego. Na takie pytanie odpowiedziałbym, że niczym bym nie był bardziej zmartwiony niż perspektywą tego rodzaju — Hemingway jest tak znakomitym pisarzem, że byłbym bardzo zaniepokojony, gdyby zaczął coś zmieniać w swojej metodzie pisarskiej.

Mógłby też mnie ktoś zapytać, dlaczego w swoim zagajeniu mówiłem tylko o kilku konkretnych problemach jednego rodzaju literackiego, powieści. Zrobiłem to z rozmysłem. Moje zagajenie proponuje tylko, dla wygody naszej dyskusji, jeden z możliwych wariantów porządku dziennego i przypomina, jak interesujący jest temat tego seminarium — nie chce natomiast wskazywać wszystkich zagadnień konkretnych. Rzecz jasna, że na przykład w dyskusji nad poezją nie może nie wystąpić sprawa bardzo dla tego gatunku ważna — ścieranie się w naszych czasach poezji sensu i nonsensu, komunikatywności i hermetyzmu; i tak dalej.

A więc zapraszamy was, drodzy goście, do dyskusji nad sprawami różnorodnymi, ważnymi, pulsującymi aktualnością. Punkt widzenia, który wam proponujemy, nie jest zresztą całkiem nowy, bo pojmowanie historii literatury jako nauki, która może na swój sposób wzmocnić więzy przyjaźni międzynarodowej, przyświecało już tak zwanej literaturze porównawczej. Znakomity uczony francuski, Fernand Baldensperger, jeden z jej współtwórców, nazwał kiedyś tę dyscyplinę „literacką Ligą Narodów". Nasz polski uczony, Aleksander Brűckner, ubolewał, że ilekroć przystępuje się do charakteryzowania poszczególnych literatur utartym od pokoleń systemem szufladkowym, to zawsze „za mało wystąpi to, co je łączy, za słabo zabrzmi rytm wspólnej pracy, za silnie uwydatni się, co je dzieli".

Spróbujcie więc szukać tego, co je łączy, zastanówcie się nad rytmem wspólnej pracy epok i kultur, który zastygł w historii literatury, oceńcie, co z tego rytmu żyje w literaturze współczesnej, co powinno żyć dla sprawy postępu i pokoju. Trzeba przyznać, że starym profesorom to przedsięwzięcie, chociaż leżało im na sercu, nie bardzo się udało — może dlatego, że byli za starzy, że nigdy nie zebrali się, aby podyskutować na ten temat w atmosferze takiej, jak atmosfera waszego Festiwalu, która się cała streszcza w *Odzie do młodości* Mickiewicza.

Maciej Żurowski

Andrzej Lam

MŁODZIEŻ ŚWIATA O LITERATURZE

Przed spotkaniem tym odczuwaliśmy pewien, usprawiedliwiony chyba, niepokój. Nie wiedzieliśmy przecież, co usłyszymy od naszych gości i czego oni oczekują od nas: zdecydowanego wyłożenia naszego stanowiska czy może raczej kompromisów, możliwych dzięki takiemu wyborowi problematyki, na jaki zgodzi się zarówno marksista, jak liberalny wyznawca autonomii w sferze zjawisk duchowych. Wydawało się sprawą bardzo istotną i interesującą także z teoretycznego punktu widzenia, czy porozumienie osiągnąć można właśnie kosztem kompromisów, czy też odbiór dzieła literackiego może przerzucić pomost ponad różnicami ideologicznymi. A jeśli tak, to czy chodzi tu o gust estetyczny, o przywiązanie do tych czy innych dzieł z powodu dość powszechnie przekazywalnych kategorii odczuć ludzkich, czy o możliwość zbliżonego rozumienia procesu rozwojowego literatury. Fakt, że nie dysponujemy jakąś pełną wiedzą w zakresie powiązań, jakie istnieją między sytuacją historyczną a samym procesem twórczym, umożliwia dyskusję nie tylko wewnętrzną, między marksistami, pozwala on nam rozmawiać także z sympatykami, którzy mają zastrzeżenia w kwestii pryncypiów filozoficznych, ale uczciwie uznają fakty i materialny związek zjawisk; gdy się już stanie na tej racjonalistycznej płaszczyźnie, wiele zależy od estetycznej wrażliwości osobistej, inteligencji i odkrywczości umysłu. Natura, jak wiadomo, jest dość kapryśną szafarką tych darów. I tak może się toczyć dialog z obopólną korzyścią.

Zwłaszcza że o ile młodzi marksiści występują z ugruntowanymi podstawami systemu, o tyle sympatycy i potencjalni sprzymierzeńcy zdają sobie na ogół sprawę z kryzysu metodologicznego burżuazyjnej nauki o literaturze, ale tyle się przeważnie nasłuchali zamrażających wiadomości o uproszczeniach, popełnianych przez schematyzujących i pryncypialnych marksistów, że wolą na wszelki wypadek zachować tzw. samodzielność, dystans i przygotowaną na różne niespodzianki rezerwę. Lecz właśnie dlatego słuchają nas z wyostrzoną uwagą, są szalenie ciekawi, chcą poznać prawdę. Profesor Żurowski w czasie przerwy po wygłoszeniu referatu został otoczony kołem młodzieży z Ameryki Łacińskiej i zasypany prośbami o wskazówki bibliograficzne, które by pozwoliły młodym adeptom marksizmu w literaturze stać się dojrzałymi marksistami. Pięknie przygotowany wykaz został oczywiście rozdzielony. Kiedy w parę dni później wędrowałem po warszawskich księgarniach, spotykałem

świeżych przyjaciół, rozpytujących o dzieła Foxa, Lukacsa i o zbiór wypowiedzi Marksa i Engelsa o literaturze i sztuce. Tłumaczyli, że w ich krajach o te rzeczy trudno. Początkowy optymizm słabnął w miarę, jak otrzymywali w odpowiedzi uprzejme rozłożenie rąk sprzedawców. Zdziwienie było wielkie, a mnie nie zawsze wystarczało cierpliwości, by ujawniać skomplikowaną prawdę o książkach, które mają przecież swoje losy.

Gdyby pokusić się o zestawienie powojennych zjazdów młodzieży polonistycznej, obfitujących w wiele krótkich spięć, z międzynarodowym spotkaniem studentów literatury (2 i 3 sierpnia br.), o którym właśnie piszemy, różnice w samym tonie dyskusji mogłyby się okazać pouczające i godne zastanowienia. Oto w miejsce ostrych starć światopoglądowych i metodologicznych spotkaliśmy się z gorliwym poszukiwaniem takich tradycji literatury światowej, na które wszyscy mogliby przystać. Okazało się, że całej zgromadzonej na spotkaniu młodzieży zależy ogromnie na literaturze aktywnej wobec rzeczywistości, a nie na irracjonalnej i atomizującej świadomość analizie psychologicznej, która wyraża bezsiłę i zagubienie we współczesności. Staje się to zrozumiałe na tle walki ludów kolonialnych i zależnych o samodzielność narodową, na tle dynamizmu i atrakcyjności ideologii klasy robotniczej i całej lewicy krajów kapitalistycznych przy równoczesnej bezpłodności współczesnego idealizmu, objawiającego się w przeżuwaniu abstrakcyjnie rozumianej psychologii lub w oderwanych poszukiwaniach strukturalnych. Oczywiście, na Festiwal przybyła młodzież w jakimś stopniu wyselekcjonowana. Ale wystawiona na obstrzał najróżniejszych stanowisk, rozbudowanych szkół, które jakże często pozorują bogactwo burżuazyjnej estetyki. I mimo to nie ulegająca im w rozumieniu spraw zasadniczych, jak właśnie istota i społeczne oblicze humanizmu. Opowiadał mi pewien Islandczyk, którego ojciec jest właścicielem dwóch statków handlowych, że jego ładnie zapowiadająca się kariera naukowa stoi pod znakiem zapytania, ponieważ zdecydował się na podróż do Warszawy. Wiedział o tym wyjeżdżając. Kiedy wyrażam swoje oburzenie, śmieje się: prawda jest ważniejsza, a życie trzeba przeżyć uczciwie.

Profesor Żurowski w swoim wstępnym referacie, w którym mówił o zasadzie wyboru tradycji literackiej, o wybranych pisarzach i o węzłowych problemach ideowo-formalnych współczesnej powieści, potrafił doskonale połączyć szczegółowe analizy utworów z dygresjami teoretycznymi. Czytelnik *„Twórczości"* sam oceni trafność właśnie takiego ujęcia referatu. Tu chciałbym tylko wspomnieć, jak precyzyjnie przewidział referent jeśli nie tematykę, to charakter i klimat dyskusji. Połączenie sprawy humanizmu z ustosunkowaniem się do zasadniczych konfliktów epoki, umiłowaniem własnego narodu i stwierdzenie wynikającej stąd aktywności bohaterów literackich, którzy wyrażają działające w społeczeństwie siły, to właśnie była ta najszersza płaszczyzna porozumienia. To była także droga wyjaśnienia zaplecza i poetyki realizmu socjalistycznego. Przykład *Zabójców* Hemingwaya podany w momencie, gdy wywody referenta zmierzały do wykrycia elementów humanistycznych we współczesnej literaturze, pozostawał tylko w pozornej sprzeczności z postawioną tezą.

Aktywność humanistyczna pisarza wyrażałaby się tu zasygnalizowaniem bankructwa idei biernej wegetacji, która jest samobójstwem. Można mieć oczywiście różny stosunek do tego typu metafory literackiej i jej realistycznych wartości; nie miejsce tu, by motywować stanowiska i konfrontować sądy, cho-

dzi raczej o ukazaną w zagajeniu dyskusji szerokość perspektyw interpretacyjnych, jaką daje marksiście jego filozoficzny punkt wyjścia, nie przekreślający bynajmniej możliwości różnych poznawczo-estetycznych działań tego samego utworu literackiego, co rzeczywistość dobitnie potwierdza. Dla słuchaczy była to dobra lekcja żywotności i uniwersalności marksizmu i zarazem argument przeciw oskarżycielom, którzy pomawiają nas o dogmatyzowanie albo łaskawie wydzielają obszary faktów społecznych, poddających się materialistycznemu wyjaśnianiu. U nas nie są to odkrycia. Ale dla wielu uczestników spotkania marksizm w badaniach literackich przestał być postrachem (ponieważ zuboża rzekomo zakres badań „w głąb") i — co warto zanotować — jakby odczuwając ulgę z powodu tego stwierdzenia i wdzięczność dla nauczyciela, seminarzyści zgotowali prof. Żurowskiemu burzliwą, jak to się mówi, owację.

Oklaski zebrał również Paweł Beylin, gdy składając na obradach plenarnych sprawozdanie z posiedzenia sekcji publicystyki i filozofii, gdzie doszło do dyskusji między marksistami i katolikami, stwierdził ze swobodą, że w czasie godzinnej wymiany zdań sprawy istnienia czy nieistnienia Boga nie rozstrzygnięto jednomyślnie. Wszędzie można było spotkać dowody bardzo właściwej oceny sytuacji politycznej, a radość z tak wyraźnie zarysowanych możliwości porozumienia się i rzeczowej, przyjacielskiej dyskusji okazała się wprost transcendentna.

Zdarzała się jednak i polemika; czasem wywoływało ją nieporozumienie spowodowane nieuwagą albo „głuchym telefonem", w jaki zamieniały się niekiedy kabiny tłumaczy. I tak Amerykanin, Abe Čapek, który wygłosił płomienne przemówienie o Whitmanie, usiłował przekonać prof. Żurowskiego, że trudno doszukiwać się humanistycznych wartości w pisarstwie Hemingwaya. Przedstawiciel Kolumbii, Palazzio, mówił w bardzo eseistyczny i filozoficzny sposób o *Don Kichocie,* różnicował sprawę donkichotyzmu, dostrzegał twórcze, humanistyczne wartości w romantyce błędnego rycerza, śmieszność w postawie nieliczenia się z rzeczywistością i nie zgadzał się, by tylko Sancho miał reprezentować stosunek do świata, który jest dla nas cenny. Oczywiście, referentowi pozostawało tylko przytakiwać z uznaniem słowom mówcy. Dowodem współczesności *Don Kichota* były fakty przytoczone przez młodego Hiszpana; dowiedzieliśmy się, że władcy faszystowscy usiłowali usunąć dzieło Cervantesa z programu nauczania szkolnego. Portugalczyk, pisarz, wspominał o terrorze panującym w jego kraju, gdzie wszelka myśl o organizacji pisarzy jest już przestępstwem i gdzie drakońska cenzura uniemożliwia swobodną twórczość. Takich wystąpień i skarg było więcej. Delegat Algeru, przemawiający na sekcji poezji, której przewodniczył Abe Čapek (obrady w sekcjach toczyły się drugiego dnia przed południem), scharakteryzował politykę kulturalną rządu francuskiego, utrudniającą ludności Algeru dostęp do kultury. Polityka ta wywołała samorodną ofensywę kulturalną, której szczególnie interesującą cechą jest rola, jaka przypadła ludowej, niepisanej poezji arabskiej nie tylko w wyrażaniu dążeń ludności algerskiej, ale także w ożywieniu klasycznej poezji arabskiej.

W ogóle dała się w dyskusji zauważyć dość powszechna tendencja do pełnej reaktywizacji ludowych cech narodowej twórczości, szczególnie u narodów z tradycjami walki narodowo-wyzwoleńczej lub aktualnie tę walkę toczących. Mówił o tym obszernie prof. Zdzisław Libera w swoim referacie o Mickiewi-

czu, wysłuchanym z uwagą przez zebranych; ludowość wyobraźni Andersena charakteryzował duński profesor Christensen, młody filolog islandzki Eiriksson podkreślał znaczenie sag islandzkich dla kształtowania się laickiej kultury narodowej Islandii i ich wielką współczesną popularność, zadokumentowaną pięknymi wydaniami, które wraz z szeregiem innych książek naukowych i literackich (oraz słownikiem islandzko-angielskim) przekazał w darze Uniwersytetowi Warszawskiemu. Prof. Żurowski podawał w sekcji poezji przykłady bardzo płodnego wzajemnego przenikania się współczesnej poezji europejskiej i poezji narodów kolonialnych. Szczególnie interesujący wydaje się tu przykład współczesnego poety murzyńsko-francuskiego, Aimé Césaire'a, który ukształtował swoją poetykę głównie pod wpływem Apollinaire'a, ale bardzo szczęśliwie stopił te europejskie elementy z tradycjami murzyńskiego folkloru.

Warto tu może wspomnieć o tym, że przywiązanie do tradycji narodowych kojarzyło się niektórym uczestnikom spotkania z nacjonalizmem, nieporozumienia takie szybko jednak topiły się w klimacie seminarium. Na sekcji dramatu, obradującej pod kierunkiem prof. Jana Kotta, mowa była o szczytowych osiągnięciach różnych dramaturgii narodowych i o znaczeniu wzajemnego wzbogacania się doświadczeniami (m. in. Japonka Noriko charakteryzowała nieznany nam bliżej teatr Japonii na tle teatru ludów Azji), na sekcji prozy, prowadzonej przez Anglika Freya, Rosjanin Skorow mówił o przywiązaniu narodu radzieckiego do tradycji literatury światowej; powszechne uznanie różnorodności stylów i bogactwa właściwości narodowych było zresztą niepisanym i tak oczywistym, że nie formułowanym nawet prawem spotkania, które właśnie dlatego, mimo ogromnej rozpiętości tematów, zjednoczyło się wokół spraw konstruktywnego wyboru i oceny dzieł literackich, a więc humanizmu i realizmu.

Kończyliśmy obrady, słuchając podsumowania i podziękowań przedstawiciela MZS-u, praskiego Burmańczyka Kou Tun Sheina, w przeświadczeniu, że nasze początkowe wątpliwości nie były należycie uzasadnione. Nikt nie atakował marksizmu i zgodnego z nim rozumienia realizmu w literaturze; obserwowaliśmy żywiołowy proces dochodzenia do jak najwłaściwszych kryteriów wartościowania literatury i wyznaczania jej roli we współczesnym świecie. Nieufność mogła czasem wynikać z przeświadczenia o błędach, jakie popełnialiśmy pod szyldem marksizmu i realizmu socjalistycznego. Skoro stało się jasne, że na te błędy sami spoglądamy z dystansem, droga do porozumienia otwarta została szeroko. Przyjazna człowiekowi literatura okazała się jeszcze raz znakomitym łącznikiem między ludźmi, pragnącymi żyć w przyjaźni. A pojmowanie procesów literackich, metodologia? Może za słabo jeszcze dostrzegamy, jak pod starymi terminami fermentuje i burzy się nowa treść, określana mocnym pragnieniem polepszania bytu człowieka i coraz głębszą świadomością środków do tego celu prowadzących. Ona sama określa z kolei rozumienie dynamiki rozwoju literatury, ponieważ pokazuje jej współczesną funkcję. Tak się właśnie działo. Dlatego, jak w każdym żywym procesie, nie zawsze istotne były terminy, decydowała treść wspólnych dążeń.

Andrzej Lam

Wincenty Danek

SPRAWA PROCESU I SKAZANIA KRASZEWSKIEGO

W numerze 7/55 *„Twórczości"* ukazał się artykuł Haliny M. Dąbrowolskiej pt. *Zagadka procesu J. I. Kraszewskiego,* w którym autorka roztrząsa naprzód znane jej fakty biograficzne z życia i działalności Kraszewskiego, oświetlające sprawę jego „korespondencji" o treści, zakwalifikowanej przez sąd pruski jako robota wywiadowcza, w drugiej części analizuje sam proces, akt oskarżenia i wyrok.

Uwagi poniższe dotyczą zasadniczo pierwszej części artykułu. Prostując niektóre, mylnie przez autorkę przedstawione fakty i opierając się na nie ogłaszanym dotąd materiale źródłowym, tj. zarówno korespondencji Kraszewskiego, jak i do niego kierowanej, artykuł niniejszy stawia sobie za zadanie oświetlić tę pasjonującą w swoim czasie ogół polski sprawę z nowego punktu widzenia.

Przede wszystkim sprawa faktów historycznych. Rozpoczęcie słynnych „korespondencji" przez Kraszewskiego nie stoi w jakimkolwiek związku ze sprawą Komuny i jej upadkiem. Nie wiadomo, na podstawie jakich źródeł umiejscowiła autorka rozmowę Kraszewskiego z T. T. Jeżem w r. 1871. T. T. Jeż zarówno w swoich pamiętnikach *(Od kolebki przez życie* t. III, rozdział XX, str. 228), jak i we *Wspomnieniach o Kraszewskim* (str. 31 i nast.) pisze w sposób nie dopuszczający żadnych wątpliwości, iż jego rozmowa z Kraszewskim, w której ten ostatni wypowiadał się, że trzeba „ze czterech rogów Europę zapalić" i wywołać rewolucję ogólnoeuropejską, odbyła się w Paryżu, ale w r. 1864. Wtedy rzeczywiście to „podpalenie Europy" miało sens, jako pomoc dla upadającego powstania. Był to najbardziej „czerwony" okres twórczości powieściowej Kraszewskiego *(Dziecię Starego Miasta* i *Para czerwona)* oraz w jego publicystyce. Wtedy przecież pisał gwałtowne i antyugodowe artykuły do wychodzącej w Lipsku *„Ojczyzny"*, przez które władze drugiego cesarstwa konfiskowały dochodzące do Francji egzemplarze pisma. Okres ten był stosunkowo krótki i zakończył się przejściem autora na pozycje pracy organicznej i moralnych środków działania. Niemniej jednak wypowiedzi „rewolucyjne" Kraszewskiego, umiejscowione w tym właśnie czasie, mają pokrycie historyczne i biograficzne. Poza tym ujawniona do tej pory znajomość faktów z życia Kraszewskiego i T. T. Jeża nie wskazuje na ich pobyt w tym roku w Paryżu.

Następnie parę uwag na temat osoby Bronisława Zaleskiego, wprowadzo-

nej przez autorkę do rozważań. Bez wątpienia jest on postacią centralną, jeśli chodzi o poznanie dziejów słynnych „korespondencji" Kraszewskiego. Autorka suponuje możliwość udziału tego człowieka w tajnych związkach wojskowych, zbliżonych do Jarosława Dąbrowskiego. Przypomnieć należy, że Bronisław Zaleski był to człowiek głęboko powiązany z czartoryszczyzną, długoletni pracownik i sekretarz paryskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego. W r. 1871 ogłosił broszurę: *Rzym jako stolica państwa włoskiego,* zdecydowanie wsteczną, wręcz obskurancką, broniącą idei niezawisłości terytorialnej państwa kościelnego, atakującą zjednoczenie Włoch itd. Kraszewski napisał o niej w numerze 255/71 *„Kraju"*, że Rzym jest w niej oglądany „z jakiejś celi klasztornej i okna zakrystyjnego". W r. 1878 wydrukował Zaleski pochwalną broszurę o księdzu Hieronimie Kajsiewiczu, ideowym przywódcy zmartwychwstańców, zgromadzenia zakonnego, które się tak smutnie zapisało w naszych dziejach rozbiorowych drugiej połowy XIX wieku. Wszystko to są fakty, które uniemożliwiają łączenie osoby Bronisława Zaleskiego z jakimikolwiek akcjami, ideowo wiążącymi się z Komuną. Dochowane resztki jego korespondencji z Kraszewskim dowodzą zażyłej znajomości tych dwu ludzi, nawiązanej jeszcze w czasach wołyńskich, co jednak nie wykluczało krytycyzmu ze strony Kraszewskiego, zwłaszcza wobec powiązań Zaleskiego z hierarchią kościelną. Łączyła ich głównie sprawa tych „korespondencji".

Na czyje zamówienie były pisane? Fakty zaczerpnięte z potężnego zbioru listów do Kraszewskiego, przechowywanego w Bibliotece Jagiellońskiej, świadczą, że na zamówienie wywiadu francuskiego (a może i włoskiego). Początku ich doszukiwać się należy gdzieś w latach 1872—3. Przypatrzmy się tym faktom.

Znajdujemy je przede wszystkim w nie wydanym do tej pory dwugłosie korespondencyjnym Kraszewskiego z Adamem Kirkorem, postacią znaną w dziejach przedpowstaniowych Wilna, wydawcą *„Kuriera Litewskiego"* i później pisma *„Nowoje Wremia"* w Petersburgu, reprezentantem ugodowych w stosunku do caratu tendencji i magnaterii, i zamożnego obszarnictwa polskiego na ziemiach litewsko-białoruskich. Kraszewski znał go jeszcze z czasów redagowania *„Ateneum"*, ale bardzo surowo ocenił w *Rachunkach* jego ugodowo-lojalistyczne machinacje. W r. 1871, kiedy zaczyna się interesująca nas ich korespondencja, był już bardziej skłonny do słuchania jego ugodowych planów, bo na wroga nr 1 narodu polskiego wyrosły w jego opinii, na miejsce caratu, zwycięskie Prusy. Materiały ponownych prób ugodowych Kirkora i sposobów wciągania w nie ostrożnego zresztą i nie dającego się wyraźnie zaangażować Kraszewskiego mamy w listach Kirkora z lat 1871—72. Zbliżały ich poza tym wspólne zainteresowania archeologiczne, w której to dziedzinie Kirkor zostawił dość bogatą spuściznę naukową. Kirkor prosił kilkakrotnie Kraszewskiego o pomoc w ulokowaniu się na stanowisku korespondenta w czasopismach polskich. Zmuszony do wyjazdu z Petersburga, przebywał w tych latach w Krakowie, którego stańczykowska atmosfera ciążyła mu dotkliwie. Nie posiadał po prostu środków do życia. Kraszewski dopomógł mu do umieszczenia korespondencji w *„Dzienniku Poznańskim"*.

W liście z 26.II.1873 (Bibl. Jagiell. rkp. 6028) zwrócił się Kraszewski do Kirkora z propozycją pisania „do jednej z gazet włoskich" korespondencji z Petersburga, w miarę możności po francusku, ale opierających się na wiadomościach, nie zamieszczanych w gazetach. Potrzebował sześciu korespondencji na

miesiąc, płatnych po 10 guldenów. Dodawał, że jeśli Kirkor nie zna na tyle języka francuskiego, może pisać po polsku. Kirkor się zgodził (list z 27.II.1873 — Bibl. Jagiell. rkp. 6509/IV), a Kraszewski zalecał mu w dalszych listach korzystanie z usług żony, która została w Petersburgu. Nadsyłane przez Kirkora, a właściwie przez jego żonę, „korespondencje", dochowane jako załączniki do jego listów, oceniał jednak Kraszewski bardzo surowo i całkiem zwyczajnie wymyślał mu za pisanie blagi i za wodnistość treści. Kiedy mimo wszystkich wskazań korespondencje Kirkora nie przynosiły pożądanych faktów, w kolejnym liście (bez daty, w zbiorze na kartach 80—81) ujawnił mu wreszcie, o co chodzi. „...Bo powinniście wiedzieć, że rzeczywiście nie piszecie do gazety żadnej, ale do Ministerium [...] Jeszcze raz wam powtarzam, że nie piszecie ani do gazety żadnej, ale to jest poufna korespondencja. Proszę ten list spalić koniecznie." Nawiasem mówiąc, obydwaj w dalszym ciągu wielokrotnie się ostrzegali, że listy trzeba palić, ale ani jeden, ani drugi tego nie robił. Kiedy i to jednak nie pomagało, w liście z 17.III.1873 Kraszewski posłał Kirkorowi rodzaj instrukcji, o czym ma pisać. Poza sprawami z dziedziny polityki wymienił także statystykę kolei i telegrafów, organizację wojsk, „broń, kaliber, armaty, fabryki broni itp.". Ciągle nawoływał przy tym o fakty i cyfry. I to jednak nie wystarczało. Wobec tego w liście bez daty, ale sprzed 1.IV.1873 (karty 83—4 zbioru), przekazał mu widocznie nadesłaną, formalną instrukcję wywiadowczą, którą tu podajemy w całości:

„Oto są punkty instrukcji dla Was mi przysłanej, jeżeli jako korespondent chcecie zostać. *Nota bene* ostatni list był bardzo — moim zdaniem — dobry.

1) Stan materialny i moralny armii — jakie będą rezultaty wyprawy do Chiwy.

2) Ściśle wskazywać wpływ niemiecki na politykę rosyjską i odwrotnie.

3) Jakie wrażenie w Rosji robi na opinii publicznej i na ogóle to, co się dzieje we Francji i w innych krajach, szczególniej we Francji.

4) Usposobienie rządów względem Polski.

5) Stosunki z gabinetem wiedeńskim.

6) Ruch panslawistyczny.

7) Partia socjalistów i nihilistów rosyjskich w Rosji i za granicą. Kto ją prowadzi, jak, dokąd.

8) Stan kwestii katolickiej i polskiej. Czy wpłynie na nią to, co się dzieje teraz z katolicyzmem w Prusach.

9) Jakie są osoby wpływowe u steru rządu, mogące na obrót polityki zewnętrznej działać.

10) Ściśle badać stosunki gabinetu petersburskiego z londyńskim.

11) Partia i osoby Niemcom oddane w Petersburgu.

Dodają mi pisząc: *Sopra le questioni* (tłumaczę po polsku) może korespondent cały rok pracować. Tę instrukcję miej, proszę, przed oczyma i powoli ją wypełniaj, ale o fakta proszę."

Rzecz do zbadania i ustalenia, czy z tym językiem włoskim i włoskimi źródłami całej sprawy zachodzi świadoma mistyfikacja Kraszewskiego, ażeby swemu subagentowi nie dekonspirować istotnego stanu rzeczy, tj. związków z wywiadem francuskim. W tej chwili przypatrzmy się dalszym instrukcjom Kraszewskiego i odsłanianym w listach formom i stylowi tej roboty wywiadowczej. Np. w liście z dnia 31.III.1873 zalecał Kirkorowi ścisłe trzymanie się

wspomnianej instrukcji: „Ja jestem zmuszony również do stosowania się ściśle do ich żądań i za Was jestem odpowiedzialnym" — pisał załączając dalsze nagany za brak konkretnych faktów. W liście z 8.IV.1873 czytamy: „Mam kilku korespondentów podobnych z różnych stron i wiem z doświadczenia, że tam, gdzie idą listy, najprędzej się zrażają, gdy dużo słów." List z 4.V.1873 zawiera charakterystyczny dezyderat: „Potrzebowałbym specjalnego korespondenta wojskowego z Petersburga, specjalisty, artylerzysty lub inżyniera, opłaciłbym dobrze, gdyby był zdolny. Bez polityki, tylko rzeczy wojskowe, ale to podobno trudno dostać."

Kirkor dostarczał istotnie wiadomości raczej z dziedziny tzw. polityki, choć nie pomijał doniesień natury wojskowej. Za najważniejszą swoją „zdobycz", która przynosiła mu dodatkowe wynagrodzenie, poza umówionymi i regularnie wypłacanymi z „dołu" 60 guldenami miesięcznie, uważał wydobycie tajnych dokumentów rządowych, dotyczących planowanej przez cara unii kościołów prawosławnego i katolickiego na terenie tzw. ziem zabranych i Rosji, oraz ciekawy zresztą plan nowego „urządzenia" Europy przez odstąpienie Królestwa Kongresowego Niemcom i Austrii, w zamian za Galicję i wolną rękę na Bałkanach w dziele zjednoczenia wszystkich Słowian, poza Polakami i Czechami. Mówią o tym listy Kirkora z załączonymi w oryginale wielostronicowymi raportami, poczynając od 15.V.1873, aż do końca korespondencji na ten temat, tj. do 1.X.1873. Jako pomocniczy materiał służą równoległe czasowo listy Kraszewskiego. Wywiązało się nawet na temat owego planu unii kościołów zabawne trochę nieporozumienie między nimi. Mianowicie okazało sę, że równocześnie z przesłaniem tego rzekomo zupełnie tajnego dokumentu przez Kirkora wypowiedziały się na jego temat klerykalne pisma Galicji i Poznańskiego oraz niektóre pisma zagraniczne. Obaj korespondujący zaczęli się wzajemnie podejrzewać o wydanie tajemnicy względnie posądzać o to sprzedajnych rzekomo urzędników ministerstwa, dla którego pracowali. Wreszcie sprawę zakończył Kraszewski zacytowaniem wyjaśnień swych mocodawców (list z 21.VIII. 1873). Cytujemy to wyjaśnienie: „Możemy zapewnić Pana, że nie potrzebowaliśmy tajemnicy zdradzać, bo ona nie była żadną tajemnicą. Wiemy, że od dwóch miesięcy kardynał Antonelli dostał ten memoriał ze trzech różnych źródeł i miał go wprzódy, niż my." Widocznie wywiad watykański działał lepiej niż Kirkora, a raczej jego żony.

Współpraca zakończyła się wzajemnymi dąsami. Wymiana listów trwała dalej, ale nie dotyczyła już spraw wywiadu, choć jeszcze w liście z 18.XI.1876 Kraszewski proponował żonie Kirkora przesyłanie „plotek brukowych i dworskich i wiadomości wojskowych" dla jego „znajomych francuskich".

Pomijając kwestię wywiadowczej wartości pracy Kirkora i jego żony, fakt organizowania siatki wywiadu przez Kraszewskiego na podstawie powyżej zacytowanych dokumentów nie może budzić żadnych wątpliwości.

Wydaje się, iż Kraszewski bardzo nieostrożnie obchodził się z dostarczanymi mu materiałami wywiadowczymi. W r. 1873 ogłosił w warszawskiej *„Gazecie Polskiej"*, której w latach 1859—62 był redaktorem, bardzo ciekawe i świetnie napisane *Listy z Niemiec*. Było ich trzynaście, rozrzuconych w numerach od 154 do 287 *„Gazety"*. Wśród znakomitych wręcz, przekrojowych charakterystyk sytuacji społecznej i politycznej Rzeszy, obok trafnych i słusznych, a więc zainteresowanemu niemiłych uwag na temat roli i działalności Bismarcka, znaj-

dujemy tam beztrosko umieszczane doniesienia o stanie organizacyjnym armii niemieckiej i jej rozmieszczeniu. Ze zdziwieniem czytamy techniczne szczegóły na temat uzbrojenia, fachowe dyskusje na temat rodzajów karabinów i artylerii. Nazwy broni, jak iglicówka pruska Dreysego, Chassepot, Werndl, Berdan, Albini, Szneider, Remington, pruski mauzer wymieniane są ze znawstwem fachowym. Podane są siły wojskowe małych państewek niemieckich, opisany system twierdz i wydatki na flotę, dalej skład armii Rzeszy w pułkach i rodzajach broni, jej liczebność w stanie pokoju i mobilizacji. Wszystko to umieszczone zostało wśród ostrych, głęboko słusznych uwag na temat zmilitaryzowania ducha społeczeństwa pruskiego i ostrzeżeń o grożącym stamtąd niebezpieczeństwie. Rzecz jest zrozumiała na tle ówczesnych poglądów Kraszewskiego, który przeraził się wzrostem potęgi zwycięskich w wojnie z Francją Prus, uznał je za głównego wroga narodu polskiego i zaczął myśleć nad możliwością porozumienia się z Rosją, choć odrzucał taką możliwość, jeśli chodzi o carat.

Niemniej jednak, nawet na tle odmiennych trochę wówczas poglądów, ze względu na tajemnicę państwową ogłaszanie takich faktów właśnie przez Kraszewskiego, faktów niewątpliwie zaczerpniętych z nadsyłanych meldunków wywiadowczych, było co najmniej nieostrożnością. Niedawno, bo w r. 1871, pozwolił na wysunięcie swojej kandydatury na posła do parlamentu Rzeszy z Poznania. Cofnął ją wskutek wściekłej wręcz nagonki prasy związanej z kurią poznańską, na czele której stał kolaborujący wówczas z rządem pruskim arcybiskup Ledóchowski. Władze pruskie dobrze jednak rozumiały jego zamiary organizowania sił narodowych w Poznańskiem i tzw. Prusach Zachodnich. W redagowanym przez siebie w Dreźnie w latach 1870—71 *„Tygodniu"* manifestacyjnie ogłaszał, po czyjej stronie są jego sympatie w wojnie prusko-francuskiej. Nie były tajne jego ogromne wpływy wśród burżuazyjnych i szlacheckich sfer społeczeństwa zaboru pruskiego ani radosne meldunki o odradzaniu się polskości wśród ludu Śląska i Pomorza. Dobrze pracował na przyszły proces lipski, zwłaszcza że nie zaniedbywał okazji do zaczepiania Bismarcka. Do porachunku przyjść musiało i rzeczywiście przyszło.

Tymczasem robota wywiadowcza szła dalej. W znanych autorowi artykułu materiałach z korespondencji do Kraszewskiego są jej wyraźne ślady. Kraszewski prowadził bardzo ożywioną wymianę listów z Adamem Lwem Sołtanem i pozostawał w zażyłej z nim przyjaźni. Sołtan pochodził z Litwy, ale mieszkał u swojego szwagra, hrabiego Sierakowskiego, w Waplewie, niedaleko Grunwaldu. Często przebywał w Poznaniu. W listach jego do Kraszewskiego (B. J. rkp. 6534/IV) mamy wiele wzmianek, dowodzących, że Sołtan brał udział w organizowaniu siatki wywiadu na terenie zaboru pruskiego, a nawet w samych Niemczech. Tak np. list z 20.X.1877 donosił o możliwości zaangażowania do tej roboty młodych Polaków, służących w wojsku w Berlinie. „Mam w Berlinie młodego człowieka, który, bardzo zdolny i poinformowany, może każde Wasze zlecenie spełnić. Przy tym zna niejednego Polaka, odsługującego wojskowość jednoroczną [...] to niejedno od nich może się wywiedzieć [...] Jeśli Wam taki może się zdać w Berlinie, napiszcie, a dam jego adres".

Listy z kwietnia 1878 roku mówią o przesyłaniu jakiejś tajemniczej mapy, zaszytej w płótno, której w handlu nie było. Wreszcie od lipca do grudnia 1878 przewija się przez listy sprawa przyjazdu do Waplewa Ildefonsa Kosiłow-

skiego, pośrednika w przesyłaniu „korespondencji" do Paryża, co już całkowicie przesądza uczestnictwo Sołtana w siatce wywiadu. Kosiłowski otrzymywał w Waplewie przesyłki od Kraszewskiego, dostał od Sołtana paszport („Kosiłowskiemu dałem mój paszport" — list z 13.IX.1878). Nazwisko tego wędrującego kuriera wywiadu spotykamy jeszcze raz w liście z 8.V.1881.

Przypuszczalnie do akcji wprowadzone zostały szersze kręgi tzw. obywatelstwa, czyli szlachty polskiej w zaborze pruskim. Np. w liście z 22.VI.1881 czytamy takie charakterystyczne zdanie: „Co do topograficznych danych różnych miejscowości i odległości, uprosiłem wczora na ślubie panny Zawiszanki zacnego Michała Szczanieckiego, by tym się zajął i Wam te dane przesłał, co też uskuteczni, o ile można, najprędzej." Jak widać, ostrożności w tym wypadku nie było wiele.

Po wyroku i czasowym zwolnieniu Kraszewskiego z więzienia, pisują z Sołtanem do siebie przez Kraków i Krzeszowice. Z tamtejszymi Potockimi był bowiem Sołtan spowinowacony przez Sierakowskich. Z polecenia Sołtana Kraszewski nie adresuje listów swoją ręką. Dnia 27.VII.1886 pisał Sołtan do Kraszewskiego: „Jak widzicie, dotąd jestem w Waplewie i będę siedzieć tu, póki można. Dotąd mnie nie zaczepili przeklęci Prusacy, ale czy dadzą mnie pokój, nie wiem. A list Wasz z Krzeszowic do mnie odesłano. Ja do Was pisuję przez Austrię, posyłam do brata, a ten oddaje na pocztę."

Tak wygląda dalszy, odkryty dotąd element organizowania prac wywiadowczych przez Kraszewskiego, tym razem na terenie państwa pruskiego.

Bezpośrednie kontakty z rządem francuskim odsłania jeden z nielicznych listów Bronisława Zaleskiego do Kraszewskiego, gdyż te, jak się zdaje, były jednak przez powieściopisarza niszczone. Wskazuje na to ich szczątkowe dochowanie się: 9 listów z lat 1867—79 z wyraźnymi lukami i przerwami (B. J. rkp. 6544/IV)

Otóż w liście z 15.X.1875 pisał Zaleski:

„Na pytanie Twoje co do drugiego korespondenta konstantynopolitańskiego oto odpowiedź, jaką w tej chwili odbieram. Kiedy już jest zamówiony stanowczo, to go przyjmują i wydatek chętnie poniosą, dziękując Ci za ciągłe starania, ale proszą, żeby obydwa byli uprzedzeni, że są tylko na próbie i żeby to nie pociągało za sobą obowiązku utrzymania ich nadal, choćby korespondencje nie zadawalniały. Z Anglika dotychczas nie bardzo są kontenci, ale czekają, jakim się okaże nadal. Mówią, że pisze fatałaszki. Ponieważ ten korespondent ma być opłacany przez Ministerstwo wojny, więc głównie i prawie wyłącznie militarnymi kwestiami zajmować się powinien, politykę dodawać tylko kiedy niekiedy. [...] Wiedzą oni dobrze, jak trudno wynaleźć ludzi kompetentnych, dlatego też nie wezmą wcale za złe, jeżeli próby wypadną nieszczęśliwie, ale na byle jakim korespondencie nie poprzestaną i pretensji o to do nich mieć nie można. Zawsze ci są najwdzięczniejsi za wszystkie zachody."

A więc współpraca Kraszewskiego była znana francuskiemu rządowi i nie był on tylko pośrednim ogniwem łańcucha sieci wywiadowczej, związanej z osobą Bronisława Zaleskiego.

Nadsyłane mu do Drezna materiały wysyłał Kraszewski przez drugie osoby, względnie przez tzw. okazje. Np. jeden z listów Piotra Falkenhagena — Zaleskiego do Kraszewskiego (B. J. rkp. 6544/IV — z 6.V.1878) zawiera oświadczenie gotowości zabrania „listów i pakietów" Bronisławowi Zaleskiemu do

Paryża. W roku 1880 przesyłał znów materiały do Paryża przez bliskiego mu i wiele zawdzięczającego człowieka, Adama Miłaszewskiego, przez szereg lat dyrektora teatru we Lwowie, w tym zaś roku mieszkającego w Krakowie. Są na to dowody w listach Kraszewskiego do Miłaszewskiego (B. J. rkp. 5312) i odpowiedziach tego ostatniego (B. J. rkp. 6521/IV). Tam też zawarta jest wręcz anegdotyczna historia poszukiwań przez Miłaszewskiego Ildefonsa Kosiłowskiego, owego wędrującego kuriera, który się konspirował po przyjeździe do Krakowa „u jakiejś bigotki", mimo że Miłaszewski na polecenie swego mocodawcy miał mu oddać ważną przesyłkę. Kosiłowski, jak widać z listów Kraszewskiego, kontaktował się w Krakowie z dyrektorem banku, Dionizym Skarżyńskim, a nawet miał jechać do Sieniawy, do ks. Kalinki (list z 8.IX.1880). Ta ostatnia wiadomość charakteryzuje koła emigracyjne, z którymi Kosiłowski i Zaleski byli związani. Zresztą sam Kraszewski pisał o Kosiłowskim w powyższym liście, że „jest nie tylko Stańczyk, ale więcej niż to".

Tyle tajemnic odsłoniła piszącemu te słowa przechowywana do tej pory w Bibliotece Jagiellońskiej korespondencja Kraszewskiego, zawierająca przesłanki do jego procesu. Jest ich tam niewątpliwie więcej i stopniowo cała ta strona życia i działalności naszego powieściopisarza zostanie właściwie oświetlona.

Już obecnie jednak udział Kraszewskiego w pracach wywiadowczych rządu francuskiego, a może i włoskiego, jest niewątpliwy. Policja Bismarcka nie dotarła do istotnych nici sprawy, mimo rewizji w domu Kraszewskiego, w którym znajdowało się przecież całe archiwum jego korespondencji, a więc i powyżej zużytkowane materiały. Trzeba też pamiętać, że pisarz, zwolniony po śledztwie na pewien okres czasu, niewątpliwie zniszczył bardziej kompromitujące dokumenty. Gdyby je znalazła policja, a nawet gdyby weszła w posiadanie omówionych powyżej materiałów, inaczej wyglądałby akt oskarżenia przeciw Kraszewskiemu. W tym stanie rzeczy proces opierał się rzeczywiście raczej na poszlakach, a interwencja Bismarcka poza ogólniejszym tłem antypolskiej polityki miała charakter szantażu na sędziach i zemsty na przeciwniku.

Dlaczego Kraszewski nie niszczył od razu np. raportów Kirkora po ich wykorzystaniu? Dlaczego starannie przechowywał listy Sołtana, z których tyle można wyczytać? Czy była to zwyczajna nieostrożność i niestaranność? Trudno dziś na to odpowiedzieć. Dopiero ujawnienie dalszych materiałów i opracowanie ich przez historyków sprawę bliżej wyjaśni, jak również pozwoli na osądzenie i zakwalifikowanie całego zagadnienia owych „korespondencji".

W każdym razie Kraszewski wiedział, co kryje jego archiwum i jakie kręgi może zatoczyć proces, gdyby wyszły na jaw tego rodzaju dokumenty. Co przeżywał w więzieniu śledczym i po skazaniu, mówią o tym jego listy, dalej w części tylko opublikowane w *„Tygodniku Illustrowanym"* (1887—88) jego *Noce bezsenne*, a także ogłoszone przez A. Bara *Zapiski więzienne*. Bez wątpienia przeżycia te zrujnowały jego i tak słabe zdrowie i przyspieszyły śmierć.

Faktów powyższych ukrywać nie można. Ogłaszamy je także nie jako spóźnioną satysfakcję dla Bismarcka. Współudział swój w sieci wywiadu zwróconego przeciw zaborcom Kraszewski pojmował niewątpliwie jako obowiązek patriotyczny. Z pewnością zresztą nie orientował się dobrze z początku, dokąd prowadzą takie „korespondencje", bo jak wspomniano, ówczesne pojęcia o ta-

jemnicy państwowej i wojskowej były inne. Zasięgi wywiadu poszerzały się jednak, wciągały pisarza, potem przyszła obawa denuncjacji i szantaż Adlera. Dramat osiągał punkt kulminacyjny i skończył się katastrofą.

Cała publicystyka Kraszewskiego po roku 1864 rozbrzmiewa potępieniem spisków i wallenrodyzmu. Głęboko ceniąc tradycje walk narodowo-wyzwoleńczych i pomimo całego odżegnywania się od rewolucji wszelkiego rodzaju szanując walkę rewolucyjnych demokratów polskich, jakby na przekór swym najintymniejszym, uczuciowym związkom występował stale przeciw idei zbrojnej walki o niepodległość i przeciw związanej z nią rewolucji społecznej. Nie potrafił już powiązać swego wielkiego imienia z walką powstającej na ziemiach polskich klasy robotniczej i z walką chłopstwa. Odżegnując się od konspiracyjnych ruchów społecznych i niepodległościowych, jakby szydząc ze swych zapatrywań, dał się uwikłać w sieci takiej konspiracji, jaką był wywiad, choćby przeciw wrogom ojczyzny skierowany. Zaprowadził go tam brak wiary w siły rewolucyjne mas ludowych.

Na tym polegał prawdziwy dramat człowieka i wielkiego patrioty. Ma rację Halina M. Dąbrowolska: tradycyjna, obiegowa biografia powieściopisarza jest zbyt poprawna. W rzeczywistości wiele w jego życiu było dramatów ideowych i osobistych. Właściwy ich charakter odkryje dopiero przyszła, naukowa biografia jednego z najznakomitszych Polaków XIX wieku.

Wincenty Danek

Zdzisław Najder

CONRAD

I

Są pisarze, którzy mieszczą się doskonale w ramach swojej epoki. Takich twórców, rozsądnie osadzonych w historii literatury, jest przytłaczająca większość. Ale są i inni, zrodzeni jakby na złość specjalistom od klasyfikacji i periodyzacji, zaskakujący swoją odmiennością od współczesnych kolegów po piórze. Do takich osobliwych postaci należy Joseph Conrad-Korzeniowski.

Debiut literacki Conrada (1895) przypada na lata, w których Zola ukończył już *Rougonów* i pisze *Trzy miasta,* Kipling wydaje *Kima,* Shaw *Profesję pani Warren,* Wells *Wojnę światów,* Mann *Buddenbrooków,* Wilde *Balladę o więzieniu Reading,* Maeterlinck *Monnę Vannę.* D'Annunzio i Hamsun są gwiazdami pierwszej wielkości. Gide rozpoczyna właśnie wielką karierę.

Proste wyliczenie nazwisk i tytułów uświadamia odrębność atmosfery i tonu literatury tych lat od atmosfery i tonu *Lorda Jima,* pierwszej książki, w której znajdujemy „całego" Conrada.

Osobliwa droga życiowa Conrada tłumaczy swoistość jego twórczości. Józef Teodor Konrad Nałęcz-Korzeniowski był obcokrajowcem w świecie literackim — przez dwadzieścia lat pełnił służbę marynarza, przeważnie na Dalekim Wschodzie — i obcokrajowcem wśród Anglików — których języka nauczył się już w wieku dojrzałym, nigdy zresztą nie tracąc cudzoziemskiego akcentu. Mimo to stał się jednym z największych pisarzy swojej epoki i jednym z największych mistrzów prozy angielskiej.

Badacze uważają go za trójpatriotę: za Polaka przez pochodzenie, temperament, tradycje umysłowe i głębokie przywiązanie, Francuza przez gorącą sympatię do tego kraju i obfitość francuskich motywów w twórczości, Anglika przez język dzieł, obywatelstwo i skrupulatną lojalność.

Większość literatury poświęconej Conradowi traktuje jego twórczość jako monolityczną całość. To niewątpliwie wygodne, ale fałszywe. Co prawda we wszystkich książkach Conrada odnajdujemy wspólne cechy, fundamentalne zasady i typy zagadnień, które nieomylnie określamy jako „conradowskie", ale nie trzeba specjalnego wysiłku, by świat pojęć *Zwycięstwa* odróżnić od świata *Wykolejeńca* czy też *Złotej strzały.* Na rozwój poglądów i artyzmu Conrada zwracano dotychczas zbyt mało uwagi. Jednak falowanie optymizmu i pesymizmu, zmiany tematyki i problemów, ewolucja stylu i kompozy-

cji — pozwalają wyodrębnić przynajmniej cztery okresy, cztery grupy dzieł, skupionych około *Szaleństwa Almayera, Lorda Jima, Nostroma* i *Korsarza.*

O przemianach Conrada trzeba pamiętać przy próbie syntezy jego pisarstwa. Problematykę jego dzieł należy omawiać w związku z poszczególnymi utworami. Wówczas i sam proces rozwojowy będzie lepiej widoczny.

II

To, co się w twórczości Conrada najbardziej zapewne rzuca w oczy — zwłaszcza w zestawieniu ze współczesną mu literaturą — to, co najwięcej wywołuje sprzeciwów i nieporozumień i najwięcej zarazem przysparza entuzjastów — to jego etyka. Etyka? Tak przeważnie stawiano problem — niewłaściwie. Conrad nie tylko odżegnywał się od miana pisarza-moralisty, ale nie pisząc traktatów filozoficznych, lecz powieści, etykiem *stricto sensu,* to znaczy autorem jednoznacznie wyłożonego systemu norm postępowania nie był. W utworze literackim każda, nawet najogólniejsza wypowiedź uzyskuje pełny sens dopiero w zestawieniu z okolicznościami, w jakich się pojawia, z osobami, do których jest zastosowana itd. Dlatego też próby rekonstrukcji „etyki" przy pomocy wycinanych z tekstu cytatów do niczego dobrego nie prowadzą.

Właściwsze jest inne, ostrożniejsze metodologicznie postawienie sprawy: jaką postawę życiową ukazuje Conrad jako najwłaściwszą, najszlachetniejszą? Wtedy zniknie kłopotliwa potrzeba „uzupełniania" „systemu etycznego" — będziemy mieli do czynienia z konkretnymi sytuacjami i postaciami, a nie zespołami haseł.

Dałaby się z pewnością (nieraz już próbowano) wykryć daleko posunięta analogia między zagadnieniami etycznymi poruszanymi przez Conrada i przez arcydzieła polskiej poezji romantycznej. Nie idzie tutaj o podobieństwo poszczególnych motywów (jak na przykład w zakończeniach *Grażyny* i *Zwycięstwa)* czy o reminiscencje stylistyczne, ale o więź natury ogólniejszej. Czy na przykład droga życiowa Jima w *Lordzie Jimie* nie przypomina nam — przez całkowite podporządkowanie poczynań bohatera zasadniczemu celowi, jakim jest ekspiacja za popełnione przestępstwo — losów księdza Robaka? Zresztą nawet wyraźne zbieżności charakterologiczne nie są najważniejsze, ale sam typ problematyki: sposób ujęcia stosunku jednostki do własnych obowiązków i do społeczeństwa.

Sprawa „romantycznej" postawy wobec życia powraca u Conrada stale, poprzez całą twórczość (to może najbardziej nadaje jej pozory monolityczności). Najwyraźniej występuje w *Lordzie Jimie, Młodości,* później w *Złotej strzale.* Jak tę postawę — którą Conrad także nazywał romantyczną i uważał za piękny i wzniosły, choć niepozbawiony wad i grożący wykolejeniem ideał życiowy — określić? Jest to postawa czynnego, upartego i indywidualistycznego idealizmu życiowego. Określenie przydługie i wymagające wyjaśnień. „Idealizm życiowy" jest zrozumiały: przeciwieństwo kierowania się pobudkami osobistej korzyści materialnej. A indywidualizm? Tu potrzebna jest większa i ważna dygresja.

Kiedy romantyk — myślę o „wielkim" romantyzmie typu Mickiewicza czy Słowackiego — mówi „ja" i ze stanowiska tego „ja" mówi o poglądzie na

świat, wypowiedzi jego mają wartość ogólną, są wyrazem indywidualnie docieczonej prawdy powszechnej. Wynika to z faktu, że romantyk, nawet zbuntowany przeciw otoczeniu, z reguły występuje nie tylko w swoim własnym imieniu, ale w imieniu jakiejś grupy społecznej. Jest indywidualistą, ale nie subiektywistą. (Dzisiaj utarło się, zwłaszcza w filozofii, inne rozumienie: zdania, wypowiedziane z pozycji „ja" to zdania subiektywne, są one wyrazem li tylko mojego sądu, nie mają logicznej wartości dla innych ludzi.)

Powyższe uściślenie pozwala bliżej określić Conradowski indywidualizm: jest to postawa indywidualistyczna w tym sensie, że człowiek musi sam być dla siebie oparciem, sam musi kierować swoim życiem — ale sprawy, którym jest oddany, wcale nie muszą być sprawami jednostkowymi. Ideały conradowskie, ideały, przyświecające jego „pozytywnym bohaterom", to głównie ideały społeczne. To wartości nie samotnicze, ale łączące ludzi.

Almayer i Willems, bohaterowie pierwszych powieści Conrada, są „wykolejeńcami", wyrzutkami społeczeństwa, a zarazem postaciami wyraźnie potępionymi przez autora. W swoim postępowaniu ignorują oni społeczne konsekwencje własnych czynów, nie uznają zasady wypowiedzianej przez Lingarda: „jesteśmy odpowiedzialni jedni za drugich".

Zbrodnia tytułowego bohatera *Lorda Jima* polega na porzuceniu na morzu uszkodzonego transportowca „Patna", pełnego bezradnych pielgrzymów. Jego rehabilitacja — to zapewnienie pokoju i dobrobytu mieszkańcom odciętego od świata Patusanu.

Tryumf załogi „Nan Shan" w *Tajfunie* — to ocalenie statku wraz z pasażerami, tłumem chińskich kulisów — ocalenie okupione bezwzględną ofiarnością i odwagą. Mac Whirr, kapitan „Nan Shan", jest człowiekiem prostodusznym i pozbawionym wyobraźni aż do tępoty. Zdobywa się na najwyższy stopień opanowanego heroizmu. Co zresztą nie znaczy, by był ideałem Conrada; autor *Tajfunu* pokazuje raczej, jak bohaterstwo uszlachetnia: bo czyn Mac Whirra jest piękny niezależnie od walorów jego umysłowości. Mac Whirr ani na chwilę nie pozostaje bierny, ani na chwilę nie porzuca walki o uratowanie potrzaskanego parowca spośród oszalałych wód. Jego inteligentny pierwszy oficer, Jukes, popada chwilami w „bezczynny heroizm", rozpaczliwą gotowość śmierci. Zdaje się zapominać, że na okręcie są i inni ludzie. Kapitan ma to ciągle przed oczyma. Sprawa czynnej odpowiedzialności za innych ludzi, niezaskorupiania się we własnym ja — w tej noweli znalazła pozytywne rozwiązanie. Conrad pokazuje zarazem, że do wypełnienia tego obowiązku nie trzeba ludzi niezwykłych: wystarczą ludzie mężni.

W innych utworach *(Freja z Siedmiu Wysp, Plantator z Malaty)* główni bohaterowie do tego stopnia skupiają swoją uwagę i wolę na osobistych sprawach, że giną przy pierwszym silniejszym ciosie.

Tajfun to opowiadanie najmocniej atakowane w głośnym essayu Jana Kotta *O laickim tragizmie* (1945). Tymczasem nieugięta wiara Conrada w potęgę ludzkiej woli i ofiarności nigdzie nie znalazła tak otwartego i jaskrawego wyrazu, jak właśnie tutaj.

Oczywiście — postawa „romantyczna" ma swoje cienie. I Conrad zdaje sobie z tego sprawę. Typowym romantykiem jest kapitan Tom Lingard, dowódca brygu „Błyskawica", zwany Radżą Lautem — Królem Morza, występujący w cyklu *Ocalenie, Wykolejeniec, Szaleństwo Almayera.* Jego indywidualizm

graniczy z megalomanią a upór w dążeniu do celu wyradza się w naiwność. Największym niebezpieczeństwem takiej postawy jest jednak samouspokojenie, płynące z poczucia wyższości i odrębności wobec innych ludzi. Prowadzić ono może do moralnego załamania się człowieka — przykładem ucieczka Jima z „Patny".

Jednak mimo tego ryzyka — a może i dzięki niemu — postawa romantyczna wydaje się Conradowi piękna. Bo jest czynna, walcząca, heroiczna. Jest reakcją na płaskie zasady życiowe współczesnego mieszczaństwa, na rozpanoszenie się interesów materialnych. Jej irracjonalizm jest odpowiedzią na trywialny racjonalizm naturalistów. Bo nawiązanie do wielkich tradycji romantycznych nie jest aktem czysto literackim — jest wyborem ideologicznym, protestem przeciw współczesności.

Nasuwa się jednak pytanie: komu pośrednio służy heroizm kapitana MacWhirra i wszystkich innych marynarzy i dowódców Conrada? Jan Kott zarzuca Conradowi we wspomnianym szkicu, że między innymi w *Młodości* gloryfikował ofiarność względem armatorów, narażanie życia dla dobra właścicieli statków. Zarzut chybiony z dwu powodów. Kott posądza Conrada o obronę wstecznictwa, ślepą uległość wobec kapitalistów. Conradowi jednak nie chodzi o absolutną wierność pracodawcom, ale o wykonanie przyjętego obowiązku. Jeśli marynarze na statku nie będą stosowali się do rozkazów oficerów, mogą nie tylko stracić posady, ale po prostu pójść na dno. I gdyby marynarze nie byli w pewien sposób „wierni" armatorom, nie powstałyby potężne floty, dźwignia rozwoju ekonomicznego ludzkości.

Drugi błąd — to niedokładne odczytanie zawartości noweli. Marlow (który jest tu narratorem) wyraźnie ironizuje na temat pasji kapitana Bearda do ocalania każdej możliwej do odkręcenia z tonącego statku śrubki dla... akcjonariuszy. Ale też wyjaśnia jego postępowanie: katastrofa, poprzedzona długotrwałymi niepowodzeniami barki, spotkała sześćdziesięcioletniego szypra w czasie pierwszej podróży odbytej w funkcji samodzielnego dowódcy. „Nie zapominajcie — mówi Marlow — że miał już sześćdziesiątkę i że to było pierwsze jego dowództwo." Musiało mu diabelnie zależeć na opinii pracodawców.

III

Przykład *Młodości*, utworu powszechnie zresztą mylnie rozumianego, pokazuje nam, że Conrada nie można traktować jednostronnie: tylko od strony heroicznej problematyki moralnej jego bohaterów. Musimy pamiętać o obrazie świata, który jest tłem dla tych fascynujących postaci.

Ocena tego tła, kapitalistycznego i kolonialnego świata schyłku XIX wieku, jest jednoznacznie negatywna i to w całej twórczości autora *Nostroma*.

Jednym z pierwszych jego utworów jest *Placówka postępu* (w tomie *Opowieści niepokojące*), w której dwaj agenci handlowi, czołówka cywilizacji, wymieniają murzyńskich robotników ze swojej plantacji na kość słoniową. Conrad parokrotnie daje do zrozumienia, że nie sami agenci są odpowiedzialni za to zdziczenie: głównym oskarżonym jest system kolonialny.

Przytoczenie *Jądra ciemności* — jednej z nielicznych nowel w literaturze

świata, o których bez wahania powiemy: „genialne", utworu należącego do najgłębszych i najsurowszych oskarżeń kolonializmu — może się wydać zbyt oklepane. Chociaż, gdy wydajemy sporo kiepskiej publicystyki o Afryce, *Jądro ciemności*, opowiadanie o tytule już przysłowiowym, jest ciągle bardzo trudno dostępne.

Spójrzmy za to na *U kresu sił*. Bohater tej dłuższej opowieści, kapitan Whalley, jest prawie ślepy. Ukrywa swoje kalectwo, nadal dowodzi statkiem — aby wysłużyć jaką taką rentę dla córki. Znowu przestępstwo: naraża statek na katastrofę, załogę na śmierć. Ale oskarżenie jest dwustronne: kieruje się i przeciw systemowi, który zmusza Whalleya do oszustwa.

Dla nas, Polaków, jednym z najciekawszych utworów Conrada jest doskonała *Amy Foster*. Nowela opowiada o tragicznym losie młodego polskiego górala, którego wraz z tłumem jemu podobnych agenci austriaccy namówili do — drogo opłaconego — wyjazdu do Ameryki. Statek wraz ze wszystkimi emigrantami został podstępnie zatopiony u wybrzeży Anglii. Janko-góral ocalał, jedyny, po to tylko, by tym tragiczniejszą znaleźć śmierć wśród obcego, niezrozumiałego i nie rozumiejącego otoczenia.

Wypadek zbrodni typowej dla panującego systemu ekonomicznego przedstawia nowela *Wspólnik* z tomu *Wśród prądów*. Dwaj właściciele wysoko ubezpieczonego statku topią go, by uzyskać odszkodowanie. Brat jednego ze wspólników, uczciwy kapitan zatopionego okrętu, ginie w czasie katastrofy.

Zdecydowana niechęć Conrada do polityki kolonialnej i innych przejawów rozwiniętego kapitalizmu nie może oczywiście przesłaniać nam faktu, że potępionym przez siebie stosunkom nie umiał przeciwstawić pozytywnego programu społecznego czy politycznego. Typowe to zresztą dla realisty krytycznego: dostrzeganie zła bez umiejętności wskazania sposobów naprawy. Niezwykła droga życiowa Conrada sprawiła, że był niemal całkowicie oderwany od jakichkolwiek grup społecznych. Wobec Anglików poczuwał się do lojalności, ale nie solidaryzował się z żadnym stronnictwem politycznym. Przeciwnie, podkreślał swoją niezależność pod tym względem i swoją polskość. Nie przyjął ofiarowanego szlachectwa angielskiego. Wytworzył sobie jakiś swoisty, dość nieuchwytny pogląd na kwestie społeczne, oparty głównie na kulcie pracy. „Jedyną klasą godną szacunku (...) — pisał w liście do E. L. Adamsa — jest klasa pracowników z całego narodu."

Rewolucjonistów traktował niechętnie. Trudno nawet powiedzieć „rewolucjonistów", bo w swoich utworach, przede wszystkim w powieściach *Tajny agent* i *W oczach Zachodu*, ukazał tylko klasyczne typy anarchistów. Czy naprawdę nie umiał dostrzec różnicy między rzeczywistymi bojownikami o prawa ludu a wichrzycielami, mąciwodami i oszustami rozmaitego gatunku? Niektóre partie *Nostroma* wskazują, że raczej robił to rozróżnienie. Garibaldi na przykład był dla niego postacią wielką i podziwianą. Przejęty jednak zaciekłą nienawiścią do despotyzmu, wietrzył w każdym użyciu siły przemoc i niesprawiedliwość. *W oczach Zachodu*, powieść dość wieloznaczna, jest tu przykładem typowym: Conrad obawia się, że czynna walka z caratem, systemem do gruntu znieprawionym, musi być prowadzona także środkami „nieprawymi". Jak podkreśla Tomasz Mann w szkicu o *Tajnym agencie* — ostrze krytyczne tej powieści zwraca się nie tyle przeciw „rewolucjonistom" dziwnego autoramentu, nie tyle nawet przeciw opłacanemu przez carską ambasadę pro-

wokatorowi, ile przeciw tyranii i despotyzmowi, które wytwarzają podobnie wykolejone figury.

Powiedzmy zresztą otwarcie, że takie i podobne niepokoje, wątpliwości i błędne pojęcia dzieli Conrad ze wszystkimi niemal współczesnymi sobie pisarzami. Wyróżnia się raczej wśród nich żarliwością w szukaniu wyjścia z trudnej sytuacji, w jakiej stawia go rozpaczliwy sąd, potępiający aktualną rzeczywistość.

IV

Cała grupa utworów Conrada skupia się około zagadnienia ludzi, których świadomość chaosu i nieprawości w otaczającym świecie odarła ze wszystkich złudzeń i odsunęła im sprzed oczu wszystkie cele — poza osobistymi. W okresie twórczości od *Nostroma* (1904) do *Zwycięstwa* (1915) na plan pierwszy wysuwają się postacie „próżnych ludzi" (że użyję Eliotowskiego terminu z wiersza *Hollow Men*, którego epigraf jest nb. wzięty z Conrada). Nostromo, Decoud i dr Monygham z *Nostroma*, Razumow z *W oczach Zachodu*, Heyst ze *Zwycięstwa* — to ludzie zagubieni w konfliktach świata i własnych sprzecznościach. Wszyscy ponoszą tragiczne klęski — tragiczne, bo indywidualnie reprezentują duże wartości.

Nostromo -- „nieprzekupny" staje się niewolnikiem uratowanego skarbu srebrnego i ginie przezeń w sposób zgoła idiotyczny. Decoud, pozbawiony możności czynnego działania, które zapewniało mu złudę samodzielności, popełnia samobójstwo. Razumow zdradza — i w chwili gdy trawiony wyrzutami wyznaje swoją winę, zostaje również zdradziecko okaleczony i pozbawiony słuchu. Heyst ucieka od świata, zamyka się na bezludnej wyspie — ale i tam jego bierna postawa nieinterwencji prowadzi do klęski.

Tytuł ostatniej powieści tego etapu, *Zwycięstwo*, głosi tryumf nadziei. Chociaż jest to powieść tragiczna.

Tragizm bohaterów Conradowskich budził już wiele dyskusji i sprzecznych sądów. Przede wszystkim dlatego, że nie zauważano, iż mamy do czynienia właściwie z dwoma gatunkami tragizmu. Los Almayera, Razumowa, Nostroma — to los, który może i wyzwala grecką *katharsis*, ale nie zostawia żadnej nadziei. Jest to tragizm rozpaczy i zwątpienia — nie w człowieka i jego siły, ale w sens istnienia w ogóle. Tragizm *Lorda Jima, Zwycięstwa, Korsarza* — to tragizm zwycięski, wzmacniający naszą wiarę w sens wartości, w imię których giną Jim, Lena i Peyrol. Los, który ich zabija, to los, o którym Schiller pięknie powiedział, że „ludzi podnosi, gdy ich miażdży."

I *Lord Jim*, i *Nostromo*, i *Zwycięstwo*, i wszystkie chyba utwory Conrada — uważnie odczytane — dowodzą, jak niesłuszna jest formuła Kotta o propagowaniu przez ich autora postawy „wierności samemu sobie".

Termin „wierność samemu sobie" jest dwuznaczny. Może określać wierność swoim przekonaniom, obronę własnego zdania i własnej postawy życiowej, wreszcie po prostu stałość i szczerość. W takim rozumieniu jest to cecha czysto formalna i nie przesądza o treści wyznawanych zasad i wartości obranej postawy. Trudno więc taką „wierność samemu sobie" *in abstracto* potępiać. Ale jest i inne rozumienie: wierność t y l k o samemu sobie, to jest

tylko tym zasadom, które uważam za wygodne, bez względu na to, czy są one społecznie wartościowe, czy też sprzeciwiają się dobru innych ludzi. Taka „wierność samemu sobie" — to synonim postawy aspołecznej i egocentrycznej. Kott wykorzystał tę dwuznaczność i zdecydowanie położył nacisk na drugie rozumienie. U Conrada natomiast występuje istotnie kult „wierności samemu sobie" — ale tylko w pierwszym pojęciu. (Warto dodać, że sam Conrad nigdy nie określał swego ideału etycznego „wiernością samemu sobie".) Postawę typu drugiego również odnajdujemy, lecz wyłącznie w przypadku „próżnych ludzi", którzy bynajmniej nie cieszą się aprobatą autora.

Można by powiedzieć, że raczej wierność wbrew samemu sobie postuluje Conrad. Almayerowi nie wolno było poddać się pokusie rozkosznych marzeń o wspaniałej przyszłości. Willemsowi — dogadzać przede wszystkim własnej pysze, Kurtzowi *(Jądro ciemności)* — dać się opętać magii władzy i potęgi „rasy wyższej", Heystowi — uciec od świata, Arsatowi w *Lagunie* — poświęcić życia brata dla ocalenia swego szczęścia, Lingardowi (w *Ocaleniu)* — zaniedbać obowiązków przyjaźni dla miłości do pani Travers. Uległość własnym egoistycznym porywom przeciwko nakazom obowiązku — to klęska. Zwycięstwem jest przełamanie samego siebie, wierność zasadom wbrew wszystkiemu, wbrew własnemu ja, poprzez śmierć — jak to czyni Peyrol w *Korsarzu,* Jörgensen w *Ocaleniu.*

Motyw złamania wierności, zdrady — to niemal obsesja autora *Lorda Jima* — poczynając od *Karaina* (1897) pojawia się we wszystkich prawie utworach. Badacze doszukują się tutaj — z mniejszą lub większą racją — podkładu autobiograficznego. Uprawnił ich do tego sam Conrad, do końca życia porający się z poczuciem winy, polegającej na opuszczeniu Polski i pisaniu w obcym języku.

O Polsce bezpośrednio pisał rzadko. Tylko w dwu jego utworach — nie licząc tomu *Ze wspomnień* — występują Polacy. Poświęcił za to sprawom polskim kilka zasadniczych artykułów publicystycznych, między innymi *Zbrodnię rozbiorów.* Ale nie przypadkowo jego bohaterowie to przeważnie wygnańcy lub wychodźcy z własnej ojczyzny, tułacze i bezdomni włóczędzy. Dopiero w *Korsarzu* pojawia się główny bohater, który wraca do ojczystego kraju — dlatego może jest to najbardziej optymistyczna powieść autora. Conrad także w ostatnich tygodniach życia chciał wracać do Polski — śmierć udaremniła ten zamiar.

V

Charakterystyczne jest, że Conrad ciągle przeciwstawia świat „odarty ze złudzeń" — jednostkom, które „muszą karmić się złudzeniami, aby za wcześnie nie wyrzekły się życia i aby nie przyszedł kres na ród ludzki".

Surowość postawy moralnej bohaterów Conradowskich polega na tym, że widzą konieczność walki człowieka z przeciwnościami losu, ale jedynym sensem tej walki jest dla nich pomaganie innym ludziom. Te „parę prostych zasad", na których „opiera się świat" — to wierność, obowiązek, honor, miłość ojczyzny. Świat „opiera się" na nich o tyle, o ile tworzą one najszlachetniejsze podstawy współżycia między ludźmi.

Najłatwiej dochować im wierność ludziom prostym i zamkniętym w sobie, jak kapitan MacWhirr. Ci, których życie wewnętrzne jest bardziej skomplikowane, częściej wystawiani są na próby, częściej ulegają pokusom odstępstwa. Pogląd Conrada na naturę ludzką jest typowo romantyczny: uczuciom i temperamentom przypisuje wagę zasadniczą. Toteż jego bohaterowie uczuciem przeważnie kierują się w swoim postępowaniu i pod wpływem temperamentu działają. Wierność obowiązkowi, trzymanie się stałych zasad jest dla nich hamulcem, elementem porządkującym życie i czyny.

Ale, oczywiście, stosowanie „prostych zasad" jest trudne, bo trudno jest często nagiąć uczucie do woli i rozsądku. Jednak główna przeszkoda leży gdzie indziej, w samej istocie stosunków społecznych, w których żyją postaci powieści i nowel Conrada. Dlatego zapewne — między innymi — bohaterowie tych utworów tak często są ludźmi morza. „Życie na morzu, które stawia człowiekowi tyle wymagań, ma tę wyższość nad życiem na lądzie, że jego wymagania są proste i nie można się od nich uchylić." Może tu właśnie tkwi klucz do zrozumienia swoistych ograniczeń horyzontów społecznych Conrada — zwłaszcza jeśli idzie o sprawy marynarskie? Na lądzie dokładnie widział zachłanność kapitalistów, bezwzględną chciwość armatorów, bezsens mieszczańskiego życia i nie umiał znaleźć wyjścia z tego okrutnego kręgu. Po odbiciu od lądu to wszystko stawało się dla żeglarza mało ważne, nikło z oczu; pozostawały proste obowiązki i proste prawa.

VI

Świat dzieł Conradowskich jest więc wypełniony ostrymi konfliktami moralnymi, naładowany dramatyzmem psychologicznym. Pełna napięcia, niespodzianek, tajemniczości i sprzeczności jest także poetyka prozy Conrada.

Chociaż wielbiciel chłodnego spokoju w typie Flauberta czy Maupassanta — jest Conrad mistrzem w kreśleniu nastrojowych opisów i scen przesyconych liryzmem. Świetne obrazy burz morskich, zachodów i wschodów słońca, straszliwych skwarów tropikalnych, przygnębiającej bezwietrznej pogody, skłębionych puszcz Archipelagu Malajskiego, angielskich mgieł — spotykamy u niego co krok. Conrad nie waha się zawieszać akcji, przerywać wartkiego toku narracji dla rozejrzenia się wokoło, nabrania szerszego oddechu, pogłębienia wrażeń, umocnienia epickiej zupełności i epickiego dystansu. Rozmach i pełnia prozy powieściowej czynią autora *Tajfunu* jednym z nielicznych wielkich epików literatury nowoczesnej.

Na pierwszy rzut oka w pismach Conrada wysuwa się na czoło ironia raczej, nie jakieś ciepłe uczucie. Ale ironia — w tej formie zazwyczaj przejawia się humor Conradowski — jest to tylko forma maskowania się. Scen pełnych najprawdziwszego liryzmu znajdziemy wiele u autora *Zwycięstwa,* i nie tylko w partiach „miłosnych", w jakie obfituje na przykład *Złota strzała.* Wiele stron *Smugi cienia* lub *Zwierciadła morza* czyta się jak dobre liryki, a perłą pod tym względem jest zakończenie *Młodości.* Tym lepiej to zrozumiałe, że mamy do czynienia z wyraźnym autobiografizmem.

Dar mistrzowskiego stwarzania nastrojów przyznano już dawno Conradowi.

Wiele dyskusji, sprzecznych sądów i nieporozumień wywołały natomiast dwa elementy jego poetyki łączące się zresztą z tym walorem: zasada obiektywizmu autorskiego i przestawnie czasowe.

Zasada „obiektywizmu autorskiego" wywodzi się bezpośrednio od Flauberta. Pisarz chował się w cieniu za dziełem, ograniczał się do ukazywania ludzi i zdarzeń, unikając bezpośredniej oceny owych ludzi i zdarzeń; słowem — unikał sądów odautorskich. Obiektywizmu autorskiego, jako pewnego rodzaju środka technicznego, nie można oczywiście utożsamiać z zajęciem obiektywistycznej, pozbawionej czynnika wartościującego postawy wobec świata. Jest on raczej równoznaczny z tak zwanym dystansem epickim: pisarz pozostawia niejako swoim postaciom samodzielność, stara się opowiedzieć „jak było" i wyrazić swój sąd o tym bardziej subtelnymi środkami niż pisząc „to dobrze" lub „to źle".

Nie od razu udaje się Conradowi zrealizować ten ideał. W *Szaleństwie Almayera, Wykolejeńcu,* nowelach z tomu *Opowieści niepokojące* czy początkowych partiach *Ocalenia* spotykamy jeszcze rozmaite sentymentalne mgiełki, bezpośrednio wzruszeniową ekspresję stylistyczną, oceniające prezentacje poszczególnych postaci. Ale już *Murzyn z załogi „Narcyza"* jest koncertowym popisem omawianej metody.

Ogólna dążność Conrada do osiągnięcia „obiektywizmu" czy „dystansu epickiego" zdaje się kłócić z tak charakterystyczną dla niego strukturą podstawionego narratora. Od podstawionego narratora dowiadujemy się tylko tyle, ile mogła wiedzieć jedna, realnie istniejąca postać. U Conrada narratorem takim jest zwykle *(Młodość, Jądro ciemności, Lord Jim, Los)* Marlow, doświadczony eks-marynarz i bystry psycholog. W *Losie* prowadzi nawet dyskusję z... autorem. Jego obecność, choć ogranicza zakres faktów, o których może być mowa, niesłychanie wzbogaca treść utworów. Nie tylko likwiduje konwencjonalną wszechwiedzę autora, ale i odcedza zbytni sentymentalizm, stając między pisarzem a bohaterami. Przede wszystkim zaś fabuła powieści ulega zdwojeniu. Obok ciągu toczących się zdarzeń występuje ciąg drugi: dowiadywania się narratora o tych zdarzeniach. Obok przeżyć bohaterów mamy przeżycia narratora, opowiadającego o nich.

Nadaje to powieściom i opowiadaniom walor znakomitego dramatyzmu. Powstają nieoczekiwane — a całkiem usprawiedliwione — luki w wiadomościach, pola do domysłów, opóźnienia w rozumieniu wielu szczegółów akcji. Dzieje się więc tak, jak zwykle w życiu — i powieść staje się jak gdyby „technicznie prawdopodobna". Mistrzowskie zastosowanie tej konstrukcji epickiej — olśniewające zwłaszcza w *Lordzie Jimie* — jest wielką zdobyczą artystyczną Conrada.

Co łączy Marlowa z zasadą obiektywizmu autorskiego? Z tego punktu widzenia Marlow jest po prostu pretekstem, ułatwiającym pisarzowi zachowanie dystansu wobec opisywanych zdarzeń a zarazem ułatwia zasugerowanie czytelnikowi pewnych sądów. Bo wątpliwość, czy czasami ów podstawiony narrator nie uniemożliwia jednoznacznej oceny postępowania bohaterów — jest w wypadku Conrada czysto teoretyczna. Nie mamy żadnych złudzeń, jak ocenia on zachowanie się Jima czy Kurtza w *Jądrze ciemności.*

Słuszniejszy może jest inny zarzut: że podstawiony narrator ogranicza możliwość ukazania szerszego tła historycznego i społecznego (toteż i *Nostromo*

obywa się bez tej konstrukcji). Ale każda metoda pisarska ma jakieś wady i trudno ją za nie w czambuł potępiać. Metoda conradowska daje się porównać do lupy — nie można jej mieć za złe, że nie spełnia równie dobrze roli teleskopu.

Słynne conradowskie powikłania czasowe polegają głównie na zmieszaniu chronologii akcji właściwej i opowiadania o tej akcji. Jak stwierdzono, Conrad pierwszy w historii powieści wprowadził celowy rozdział między czasem zdarzeń a czasem narracji.

Znaczenie tego zabiegu konstrukcyjnego jest wielorakie.

Wzmacnia on niewątpliwie zaznaczony już element dramatyczny. Przyczynia się także do zwiększenia napięcia nastrojowego książki, a zarazem pogłębia pewną tajemniczość psychologiczną: bo Conrad, jasno osądzający swoich bohaterów od strony etycznej, nie lubił zbyt jaskrawo oświetlać ich psychik. Uważał, że jest to fałszywe — nigdy nie poznajemy „do końca" żadnego człowieka. Osądzamy i mamy prawo osądzać jego czyny, choć nigdy nie możemy z wszelką pewnością dociec wszystkich ich pobudek.

Chi lo sa? Któż to wie? — te trzy włoskie słowa spotykamy często na kartach Conrada. Czy był wobec tego agnostykiem? Jeśli tak — to szczególnego rodzaju — bo uznawał konieczność i sensowność tego rodzaju sądów, które najsilniej atakują agnostycy wszelkich odcieni: sądów o postępowaniu człowieka i jego wartości.

VII

Powyższe uwagi są oczywiście tylko szkicowym omówieniem niektórych problemów, przewijających się w twórczości autora *Zwycięstwa.* Ale, jako się rzekło na początku, rozważania te byłyby bardzo jednostronne, gdybyśmy ich nie uzupełnili krótkim choćby rzutem oka na ewolucję pisarską Conrada.

Pierwszy jej etap trwa krótko, od roku 1895 *(Szaleństwo Almayera)* do 1898 *(Opowieści niepokojące)* i obejmuje poza wymienionymi utworami jeszcze dwie powieści: *Wykolejeńca* i *Murzyna z załogi „Narcyza".* Są to lata poszukiwań literackich i ideowych. Widać, jak ciężko zmaga się Conrad ze sceptycyzmem i pesymizmem, jak uparcie stara się znaleźć w świecie jakieś wartości trwałe, godne poświęcenia. Zasady oceny ludzi i ich czynów są już uformowane, ale brak jeszcze typowych Conradowskich ideałów i rozwiązań moralnych.

Uderza nas zamiłowanie do obrazów wschodniej egzotyki; często przytłaczają one wątlejącą fabułę. Tom *Opowieści niepokojące* jest niepokojąco niejednolity. Znajdujemy tu i nowelę typowo naturalistyczną *(Idioci),* i typowy problem rozchodzącego się małżeństwa mieszczańskiego — a obok nich, oparte na swoistym, conradowskim motywie zdrady, opowiadania *Karain* i *Laguna,* czy mocne potępienie kolonializmu i „misji cywilizacyjnej" białych w *Placówce postępu. Murzyn z załogi „Narcyza"* to powieść, w której Conrad chwyta swój styl: aluzyjny, sugestywny i zarazem sugerujący (bo pełen niedomówień), na przemian ironiczny i patetyczny, dający niezapomniane wrażenie natchnionego realizmu.

Lord Jim (1900), najlepsza zapewne powieść Conrada, otwiera okres drugi:

ukształtowanego stylu, swoistej konstrukcji narracyjnej (z Marlowem), szczególnej problematyki, której obcość i polskość Anglicy często podkreślają. Jest to niejako „klasyczny" okres Conrada. Obok *Lorda Jima* należą tu dwa zbiory opowiadań, niewątpliwie najlepsze spośród wszystkich tomów nowel, mianowicie: *Młodość, Jądro ciemności, U kresu sił* (1902) i *Tajfun, Amy Foster, Falk, Jutro* (1903). Ideały moralne i wartości godne poświęcenia zostały odnalezione i motyw heroicznego romantyzmu góruje teraz nad pesymistycznym obrazem świata. Tom *Młodość,* który jest skromną rozmiarami, ale potężną jeśli idzie o problematykę trylogią, zawiera aktualną summę światopoglądową pisarza. Życie człowieka ukazane jest jako pasmo bezustannych walk, gdzie każda chwila słabości powoduje klęskę.

Później przychodzi fala zwątpienia w możliwość realizacji wielkich ideałów i „prostych zasad". Conrad nie traci ani na chwilę wiary w wartość człowieka, ale charakter stosunków międzyludzkich napawa go pesymizmem. Są to lata od *Nostroma* (1904) do *Zwycięstwa* (1915). Atmosfera ówczesnych pism Conrada jest przeważnie mroczna, styl staje się surowszy, twardszy, momenty nastrojowe rzedną. Dwie powieści są zdecydowanie ponure *(Tajny agent,* 1907 i *W oczach Zachodu,* 1911), a i w nowelach często panuje ta kategoria uczuciowa *(Gaspar Ruiz, Freja z Siedmiu Wysp, Plantator z Malaty, Z powodu dolarów).*

Ze *Smugą cienia* (1917), która otwiera ostatni okres pracy literackiej Conrada, powraca tematyka bohaterskiego romantyzmu, powracają tony bardziej optymistyczne. Lata owe przynoszą zresztą plon najbardziej różnorodny: od autobiograficznej, kpiąco-melancholijnej *Złotej strzały* (1919) do wyjątkowo — jak na Conrada — prosto zbudowanego, patetycznego i heroicznego *Korsarza.* Dwie powieści poświęcone są czasom napoleońskim, które zawsze pasjonowały Conrada: *Korsarz* (1923) i niedokończona *Niepewność.* Obok nowel: *Gospoda pod Dwiema Wiedźmami, Gaspar Ruiz* i *Pojedynek,* których akcja toczy się również w pierwszych latach XIX wieku, oraz opowiadania *Książę Roman,* osnutego na tle powstania polskiego w roku 1830, są to jedyne wycieczki Conrada w przeszłość. Akcja wszystkich pozostałych jego dzieł rozgrywa się między rokiem 1860 a 1916. Odosobniony, bezpośredni ślad wojny światowej, nowela *Opowieść,* mówi o konflikcie moralnym oficera marynarki brytyjskiej, który musiał skazać na zatopienie statek neutralny, podejrzany o przemyt broni dla Niemiec.

VIII

Dzisiejszy czytelnik, zwłaszcza młody, znajdzie u Conrada przede wszystkim wyjątkowo silny kult pracy, ideał osobistej odpowiedzialności za powierzone stanowisko, apoteozę ofiarnej służby obowiązkom zawodowym i patriotycznym. Znajdzie w nim prawdziwych, „na miarę Fidiasza", bohaterów literackich. Dlatego Conrad jest nam dziś — mimo swoich pobłądzeń, które czas przesłania zresztą i czyni powoli nieważkimi — tak bliski i tak cenny. Ten wyga morski, genialny stylista, pionier nowych dróg prozy powieściowej, nieszczęśliwy człowiek, którego przez całe życie prześladowała myśl o „zdradzie" polskości — głosi pochwałę ludzi czynu, nieugiętej woli, czystości

etycznej; potrafi nauczyć tego, o co się dziś z największym trudem walczy: siły i stałości moralnej.

Nie jest to łatwy sprzymierzeniec. Nasuwa wiele wątpliwości, powoduje niejedną rozterkę, nie przesyca słodkawym optymizmem. Sam był przecież w znacznej mierze sceptykiem: widział, jak często człowiek jest igraszką losów, „wytworem ominiętej sposobności i jej ofiarą" — i dlatego rozumiał konieczność jego wewnętrznej siły. Coś młodzieńczego ma w sobie świat surowych i prostych praw moralnych Conrada — tym bardziej że ozdobiony jest bujną fantazją indywidualizmu. To młodość, pozbawiona doświadczeń przeszłości, automatycznie nieraz wyznaczających kierunki postępowania, buduje systemy ideałów prostych i bezwzględnie obowiązujących.

Conradowskie określenie sztuki spopularyzowało się niemal do stopnia przysłowiowego. „Sztukę można określić jako szczery wysiłek, dążący do wymierzenia najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu przez wydobycie na jaw prawdy." Szczytny ideał i trudne zadanie. Prostota i surowość tej definicji, oderwanie od wszelkich postulatów „formalnych" czynią ją czymś całkiem współczesnym. Ale to nie współczesność: to znajomy oddźwięk romantycznego nakazu służenia w sztuce sprawiedliwości.

Świat Conradowskich książek, urzekająco piękny, olśniewający wirtuozją słowa i kompozycji, jest często okryty barwami ciemnymi, nawet nieprzeniknionymi. Ale też powiedział Conrad w szkicu o książkach: „aby być — w sensie artystycznym — pełnym nadziei, nie musi się sądzić, że świat jest dobry. Wystarczy wierzyć, że nie jest niemożliwe uczynić go takim."

IX

Przeprowadzona niedawno w NRD ankieta ukazała Conrada między najpopularniejszymi powieściopisarzami świata. W Anglii i Ameryce co roku niemal pojawiają się o nim prace, nieraz zdumiewające ilością zebranego materiału i wysiłkiem, jaki zużywali autorzy na zapoznanie się z polskimi dokumentami, dotyczącymi autora *Księcia Romana*. W Polsce kult Conrada wyraża się w ostatnich latach prawie wyłącznie w wysokości — imponującej — antykwarycznych cen jego pism. Nieliczne utwory, wydane wkrótce po wojnie, są dawno wyczerpane i zdążyły uwielokrotnić swoją wartość handlową. Czas zastanowić się nie tylko nad najszybszym, ale i najrozsądniejszym odrobieniem kompromitującego zaniedbania.

Państwowy Instytut Wydawniczy, który objął opiekę nad Conradem, rozpocznie niedługo wydawanie poszczególnych tomów jego dzieł. Nie mają to być pisma zebrane czy wybrane, ale raczej seria najcenniejszych utworów. Tym bardziej należy zatroszczyć się o nadanie wszystkim tomom organicznej więzi i konsekwentnego wyposażenia redakcyjnego.

Brak nam nie tylko polskiej monografii o Conradzie (na monografię czekają i Anglicy), ale nie mamy nawet jakiegokolwiek życiorysu, szerszego nad kilka zdań. Istnieje więc nieodwołalna konieczność uzupełnienia tego niedoboru, a doskonałą okazją byłyby ujednolicone, obfite materiałowo posłowia do chronologicznie uszeregowanych tomów. Każda pozycja powinna być zaopatrzona w zasadnicze dane biograficzne i źródłowe, wprowadzające w fakty

i atmosferę książki, a tak pomyślane, by w przyszłości, po skompletowaniu serii, utworzyły pewną całość. Potrzebna jest również koordynacja innego typu: ujednolicenie koncepcji redakcyjnej wszystkich pozycji, przede wszystkim ujednostajnienie słownictwa marynistycznego.

Najtrudniejsza sprawa, to same teksty. Dzięki wysiłkowi Anieli Zagórskiej, nie żyjącej już kuzynki pisarza, mamy sporo doskonałych (choć nie wolnych od błędów) tłumaczeń Conrada. Zagórska przełożyła między innymi *Lorda Jima, Zwycięstwo, Szaleństwo Almayera,* tomy z *Młodością* i *Tajfunem* (poza opowiadaniem tytułowym). I jej przekłady wymagają korekty — zwłaszcza w partiach dialogowych. Ale są utwory Conrada — i to wśród najważniejszych — wymagające bezwzględnie nowego tłumaczenia: to przede wszystkim *Murzyn* i *Nostromo*. Teksty polskie, które dali w przedwojennych wydaniach zbiorowych Jan Lemański *(Murzyn)* i Stanisław Wyrzykowski *(Nostromo),* są fatalne: roją się od błędów słownikowych i przesiąknięte są nienaturalnymi manierami stylistycznymi. Lemański jest młodopolsko-liryczny i w tym liryzmie gubi cały urok spokojnego chłodu narracji *Murzyna;* mnóstwo zdań, zwłaszcza złożonych, uległo w jego interpretacji zupełnemu przeinaczeniu i zagubiło sens. Wyrzykowski jest młodopolsko-drapieżny i dramatyczny, raz po raz wykrzykuje na wpół zrozumiałe wyrazy. Obaj tłumacze już podtytuły podają w wersjach, budzących zdziwienie: *Murzyn* zwie się „opowieścią o kasztelu" zamiast „opowieścią morską" *(A tale of the Sea), Nostromo* nazwany jest „powieścią z pobrzeża" zamiast po prostu „z wybrzeża" *(of the Seabord).* Takie błędy, jak „ster chodzi jak w czółenku" zamiast „chodzi (okręt) za sterem jak łódeczka", chata z „dzikiego" zamiast „surowego" kamienia, „krzesanice" jako odpowiednik zarówno *peaks* (wierzchołki), jak i *precipices* (przepaście), zwroty jak „drżące poświaty", „srebrzysta omgła", „żarze słoneczne", „poświetle", „wkołatać" — można z obu tekstów cytować setkami.

Murzyn i *Nostromo* to największa robota dla nowego, zdolnego i pracowitego tłumacza. Czeka na przełożenie znaczna większość bardzo nieraz ciekawej publicystyki Conrada, nie zostały przetłumaczone niektóre przedmowy, jakimi opatrywał późniejsze wydania wszystkich pism. Dużych poprawek stylistycznych wymagają *Tajfun* i *Korsarz,* przekładane przez J. B. Rychlińskiego, doskonałego zresztą w partiach dialogowych. Wiele nowel, tłumaczonych przez Wyrzykowskiego, Wilama Horzycę i innych wymaga bezwzględnie nowej translacji. Apelujemy do wydawnictwa, tak zasłużonego w pracach nad innymi edycjami, o poważne zajęcie się tą sprawą. Conrad sam skarżył się bardzo na niski poziom tłumaczeń swoich dzieł. Czas naprawić przedwojenne niedbalstwa i sporządzić wydanie godne autora i jego pierwszej ojczyzny.

Zdzisław Najder

NOWE OPOWIADANIA
JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO

J e r z y A n d r z e j e w s k i: *Złoty Lis.* Warszawa, 1955, PIW; str. 145 + 1 nlb.

Opublikowane w tomie pt. *Złoty lis* okupacyjne opowiadania Andrzejewskiego *(Kukułka, Paszportowa żona i Przebudzenie lwa)** dowodzą, że autor *Nocy* nie od dziś i nie od czasu *Wojny skutecznej* próbował groteski. Ale oczywiście od groteski typu *Kukułki* do tej, którą pisarz zaprezentował w *Wojnie skutecznej,* od tej ostatniej zaś do *Pantofelka* długa wiedzie i daleka droga.

Mechanizm grotesek okupacyjnych jest bardzo prosty. Funkcjonują one na zasadzie przeciągania dowcipów *ad absurdum,* przy czym nie przenosi się wszystkiego poza granicę rzeczywistości, na ogół uwzględnia się jej istnienie. Granicę tę przekracza się natomiast często, dając tym do poznania, że ma się właściwie możliwości nieograniczone, ponieważ w tym świecie nic nie jest wykluczone. Buchalter przerażony nocnym najściem na kamienicę, w której mieszka, ucieka na komin. W rzeczywistości uciekłby przypuszczalnie na strych. Gdyby jednakże uciekł tylko na strych, byłoby to zaledwie śmieszne. Ponieważ ucieka na komin, jest to już grosteska, a więc rzeczywistość inna, o własnych prawach. Pamiętajmy, że w grotesce nie ma rzeczy śmiesznych i poważnych, istotnych i nieistotnych, świętych i obojętnych. W grotesce jest równość. W świecie rzeczywistym obowiązują natomiast rozróżnienia. Gdyby więc ów buchalter z *Paszportowej żony* popełnił tylko śmieszne głupstwo, kiedy indziej zostalibyśmy zmuszeni do powagi — wtedy mianowicie, kiedy ludzie giną. Jesteśmy jednakże w świecie groteski, w której śmierć nie jest sprawą poważniejszą od walutowej transakcji, w której hołd pijanej aktorki dla rozstrzelanych ofiar ma tę samą wartość, co bohaterskie czyny podziemnych żołnierzy, odbijających z więzienia zbzikowanego sędziego — jesteśmy w grotesce, w której nikt nie ma praw bohatera i nikt obowiązków błazna, ponieważ wszyscy są błaznami i bohaterami równocześnie. W metodzie pisarskiej zawiera się więc już sąd o rzeczywistości: właśnie o to chodzi autorowi okupacyjnych grotesek — o pokazanie owych osobliwych przecięć bohaterstwa i błazeństwa, wzniosłości i śmieszności, tragedii i komedii, których tak pełno było w czasie okupacji, a których dotychczasowa literatura okupacyjna zupełnie nie uwzględniła. Andrzejewski zabłysnął w tych opowiadaniach bardzo żywym (miejscami nieco przejaskrawionym) humorem, dowiódł dużej

wrażliwości na paradoks i nonsens, a jednocześnie okazał zdolność, której zawsze raczej brakowało zapatrzonemu w kombinacje psychologiczne moraliście, mianowicie zdolność bardzo bystrej i zjadliwej obserwacji. Jakże świetna i pełna spostrzeżeń jest wędrówka pana Leona *(Przebudzenie lwa)* po Warszawie podnieconej letnim, obfitującym w imieniny dniem. Ukoronowaniem wszystkiego jest ten chyba fragmencik:

„...Wśród tego nerwowego pośpiechu nie zauważył nawet, kiedy się znalazł na skraju pola, u granic dobrodusznego kartofliska. Jak wszędzie na krańcach miasta, i tam wydłubywano w ziemi rowy przeciwczołgowe i przeciwdesantowe. Tu i ówdzie kartoflisko poryte było płytkimi rowkami a kilku przymusowych robotników leniwie ponad nimi poruszało łopatami. Większość natomiast wezwanych — byli tam robotnicy, inteligenci, starzy i młodzi — porozsiadało się wygodnie wśród zieleni ziemniaczanej i posilało się z domu przyniesionymi prowiantami. Wszyscy jedli biały chleb albo bułki z masłem i wędliną, krążyły również butelki z wódką. Nieco zaś na uboczu pięciu czy sześciu dozorujących niemieckich żołnierzy, jedząc czarny chleb wojskowy z marmoladą buraczaną, zazdrośnie spoglądało w stronę obżerających się niewolników" (str. 60).

Ktoś, kto okupacji w kraju nie przeżył, nic z tego nie zrozumie. Każdy, kto ją natomiast tu przeżył, zrozumie i przypomni sobie natychmiast wszystko. Na różne sposoby i tony wspominamy okupację: patetycznie, rzewnie, dziarsko, ponuro. Ale ilekroć przypomnimy ją sobie z sarkatycznym, makabrycznym humorem, jak Andrzejewski, tylekroć jesteśmy zupełnie pewni, że powróciliśmy naprawdę w te dziwaczne czasy, że pamięć nasza zawiodła nas pod właściwe drzwi.

W opowiadaniach okupacyjnych zachodzi zatem pełna zgodność między stylem i rzeczywistością. Opowiadania są groteskowe, ponieważ taka była względnie za taką w tej chwili uważa pisarz okupacyjną rzeczywistość. Nie potrzebuję dodawać, że groteskowość okupacji jest jednym z możliwych jej aspektów, tak jak zresztą opowiadania te są drobnym zaledwie okruchem twórczości pisarza, którego główny nurt twórczości biegnie poprzez zagadnienia moralne, rozpatrywane w aurze wysokiej pryncypialności i tragizmu *(Noc)*.

Przyjdzie jednak czas, kiedy twórczość groteskowa zajmie go całkowicie. Przemiana ta dokona się w momencie najmniej zapewne oczekiwanym, w momencie postulowania przezeń literatury o najwyższych i najbardziej ekspansywnych ambicjach. Trudno o bardziej paradoksalny wynik teoretycznych rozważań autora książki pt. *Partia i twórczość pisarza*, jak właśnie *Wojna skuteczna*.

Ale ten paradoks jest tylko pozorny. Czegóż bowiem wyrazem jest groteska *Wojny skutecznej:* sarkazmu? świadomości, iż postulaty rozmijają się z rzeczywistością? niewiary w możliwość realistycznej epiki w warunkach, których cechy typowe przypisuje się rzeczywistości postulowanej, a nie tej, która naprawdę istnieje? Jest więc groteska *Wojny skutecznej* pomostem między prawdą doktrynalną a prawdą doświadczalną?

Wydaje mi się, że tak nie jest, a przynajmniej, że nie tylko tak jest. Trzeba przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że *Wojna skuteczna* jest książką ofensywną, „satyryczną" — jak się to u nas niezbyt mądrze mówi, książką

w każdym razie pełną wiary w to, że rzeczywistość doktrynalnych postulatów wypiera rzeczywistość istniejącą, że „to nowe", choć chuderlawe i przemawiające zabawnym jeszcze dyszkancikiem, w istocie zwycięża to, co stare, mimo że to ostatnie posiada solidny ciężar i wymiar doświadczalnej prawdy. Jest więc *Wojna skuteczna* książką optymistyczną, której umowność dowodzi pełnej wiary autora w sens i logikę postulatów stawianych rzeczywistości. Autor nie waha się tworzyć świata z samych postulatów, ponieważ uważa je za rzeczywistość całkowicie równorzędną z faktami.

Dziś już dość jasno widać błędność tego założenia. Umowa nie uczyni z fikcji prawdy, utwierdzi nas tylko w złudzeniach. Niemniej jednak *Wojna skuteczna* i tak była dowodem większego szacunku dla rzeczywistości niż można było oczekiwać od tych pisarzy, którzy tworząc równie umowny świat nie chcieli się przyznać do tego, że postępują tylko w myśl umowy, i twierdzili, że rzeczywistość naprawdę jest taka, jaką pokazali. Akrobacje Andrzejewskiego były znacznie uczciwsze.

Przychodzi kolej na opowiadania publikowane w prasie literackiej w latach 1952—1954, zamieszczone teraz w tomie pt. *Złoty lis*. Oprócz tytułowego znajdujemy w wymienionej książce jeszcze *Narcyza* i *Pantofelek* (to ostatnie ukazało się w *„Nowej Kulturze"* pt. *Dlaczego zatrąbiłem na alarm).*

Opowiadania te mają już swoją historię. Wokół każdego z nich było bardzo wiele hałasu i z pewnością był to „hałas o coś", o coś bardzo ważnego. Co więcej, wytworzyła się wokół nich dosyć wulgarna atmosfera skandalu. A wszystko polega na fałszywej ich interpretacji.

Opowiadania te zostały odczytane jako alegoryczne, symboliczne, „z kluczem". Interpretacje poszły w kierunku rozszyfrowywania symboli. Kto to jest Łukasz ze *Złotego lisa?* Oczywiście — artysta. Co to jest *Złoty lis?* Oczywiście — sztuka. Kto to są rodzice Łukasza? Oczywiście — politycy kultury, partia. A Grześ? Zapewne Lasota (jako gatunek). No i wszystko gra: artystę nawiedza jakieś rzeczywiste natchnienie, jakaś naprawdę własna wizja twórcza, partia tego mimo najlepszej woli nie rozumie, a zresztą nie ma czasu, artysta dostaje się więc pod terror politycznych awanturników, nie wytrzymuje ich nacisku i wyrzeka się swoich wizji na rzecz satysfakcji, jakich dostarcza mu życie w skrzętnym, hałaśliwym i wesołym kolektywie. Gra? Gra.

Po czym oczywiście wszystko można wymienić i przemianować. Złoty lis może być pseudonimem tysiąca jeszcze rzeczy od imperialistycznego dywersanta do łaski boskiej włącznie. I okaże się, że możliwość właściwego odczytania noweli istnieje tylko w czasie, w którym powstała, po „rozszyfrowaniu" realiów, co już jest zupełnym nonsensem. Kto za sto lat będzie się jeszcze zastanawiał nad konfliktem artysty i polityka kultury! No, a *Pantofelek* i *Narcyz* już w ogóle będą niezrozumiałymi utworami.

Z alegorią w ogóle trzeba uważać. Jest ona bardzo pojemna i bardzo ciasna zarazem. Pisarz może w nią wsadzić wszystko, co chce, ale czytelnik odczytać może tylko tyle, ile potrafi. Z alegorią jest podobnie jak z kobietą rozmawiającą na tematy intelektualne: zawsze powie, że miała rację, ale źle ją zrozumiano. Najbardziej kruche są utwory, które trzeba jednoznacznie odczytać — ich znaczenia są krótkotrwałe jak rzeczywistość, która je zrodziła. Wieloznaczny jest naprawdę tylko realizm i dlatego najdłużej trwa. Alegoria zawsze ma pretensję do precyzji, która sprawia satysfakcję naprawdę tylko

twórcy i jego współczesnym. *Przedwiośnie* ma sto interpretacji, *Ferdydurke* tylko jedną.

Trzy wymienione opowiadania Andrzejewskiego uważam za świetne i trwałe, ale właśnie dlatego, że nie doszukuję się w nich zaszyfrowanych pamfletów politycznych ani precyzyjnych alegorii. Są to dla mnie po prostu opowiadania realistyczne: o Narcyzie, który na rozkaz Zeusa postanowił wyleczyć się z narcyzmu, o różnych stopniach wytrzymałości ludzkiej wobec absurdu *(Pantofelek)*, o wrażliwym dziecku, które pod wpływem otoczenia zawstydziło się swej wrażliwości *(Złoty lis)*. Nie ma tu absolutnie żadnej umowności, każdy przedmiot i każdy człowiek jest tylko sobą, niczym więcej.

Inna sprawa, to sprawa wniosków, które z tych opowiadań wynikają, sprawa tego, co te opowiadania znaczą. Co innego jednakże doszukiwać się znaczenia utworów, a co innego znaczenia poszczególnych realiów i zdań. Przedmiotem tych opowiadań nie jest nasza współczesna rzeczywistość polityczna, ale typowe dla niej postawy moralne. Są to opowiadania o konflikcie dwóch lojalności — lojalności wobec samego siebie i wobec rzeczywistości nadrzędnej. Nasza rzeczywistość współczesna stawia przed człowiekiem bardzo wysokie żądania, dużo i surowo od niego wymaga, więcej nieraz niż on spełnić może, oczekuje od niego często czegoś, czego on dać nie potrafi. Ze wszystkich materiałów człowiek jest najoporniejszy, ponieważ nosi w sobie jakiś świat, do którego nikt nie ma pełnego dostępu. Dlatego między obiektywną a subiektywną rzeczywistością istnieją i istnieć będą konflikty, których mediatorem może być wyłącznie on sam, człowiek. I to jest sedno sprawy: owa obiektywna rzeczywistość, kształtując człowieka „zgodnie z planem", musi z jednej strony pamiętać, że ma do czynienia z żywym i unerwionym materiałem, a z drugiej strony musi liczyć na to, że człowiek ten wobec samego siebie nie kłamie i nie pozwoli dokonać na sobie gwałtu, który nikomu nie wyjdzie na dobre. Świat zamieszkały przez ludzi zgwałconych nie byłby chyba najmilszy. Jest tu więc sytuacja podobna jak u dentysty — dobry dentysta, kiedy zaczyna borować, mówi: „proszę krzyczeć, jeśli będzie bolało". Krzyk pacjenta kieruje jego ręką. No, ale naprawdę trzeba krzyczeć, a nie udawać, że sprawia to dręczonemu przyjemność.

Andrzejewski uczynił bardzo ważkie spostrzeżenie: dostrzegł mianowicie system wewnętrznych fałszów w człowieku. Zrozumiał, że człowiekowi łatwiej jest wyrzec się odrębności niż przyłączyć do wspólnoty. Odrębność zobowiązuje, wspólnota wspiera. Pisarze, którzy narzekali kiedyś na srogość cenzorów, muszą przyznać, że najsroższymi cenzorami byli oni sami, dla siebie. Inni, którzy biadają, że ich zmuszono do takich czy innych nierozsądnych słów lub czynów, niech przyznają, że zgodzili się na nie łatwiej, niż spodziewał się ten, kto ich namawiał. Zresztą dotyczy to nie tylko pisarzy. I nie tylko naszych czasów. Prawo psychologiczne, które zawarł Andrzejewski w okrzyku Łukasza: „Nigdy nie widziałem złotego lisa!", jest stare, bardzo stare, jak serce ludzkie, od wielu bardzo wieków ze zmiennym szczęściem tęskniące do gromady.

Andrzej Kijowski

SONETY O WICIE STWOSZU

Włodzimierz Słobodnik: *Sonety o Wicie Stwoszu i trzy poematy*, opracowanie graficzne Jana Lenicy, Warszawa, 1954; „Czytelnik", str. 53.

Koncepcja napisania cyklu sonetów jest obecnie koncepcją odważną i bardzo ryzykowną — wciąż tu czyha przecież na twórcę widmo akademickiej poprawności. Sonet stanowi bowiem tę formę poetycką, która w dużym stopniu utraciła już swą żywotność, jest prawie martwym rodzajem liryki. W naszej poezji epokę pełnej aktywności sonetu zamyka mniej więcej środkowy okres twórczości Staffa, chyba najlepszego sonecisty po Mickiewiczu. Już w dwudziestoleciu sonet był gatunkiem zanikającym i mało ważkim — na przykład liczne młodzieńcze sonety Słonimskiego nie tylko że nie wyznaczyły drogi dalszego rozwoju poety, ale już wtedy należały do jego słabszych utworów, nie wytrzymujących porównania z pełną wyrazu *Czarną wiosną*. Sonet jako forma wyrażania treści współczesnych utracił swe znaczenie całkowicie, dla przeżyć człowieka współczesnego związanych z centralnymi problemami teraźniejszości stał się niedostępny. Pozostał mu jednak wąski wycinek tematyczny: sztuka — w najnowszej poezji sonety to wiersze o muzyce, malarstwie, rzeźbie. Tak było już w dwudziestoleciu — świadczy o tym chociażby cykl Witolda Hulewicza *Sonety instrumentalne;* tak jest i obecnie — dowodem nowy tom Włodzimierza Słobodnika. Ryzyko podjęcia formy sonetu spowodowane jest jej skonwencjonalizowaniem, jej „schematycznością", obcą poezji współczesnej, która szuka rygorów raczej nie w ustalonych układach strof i rymów, ale przede wszystkim w precyzji i dyscyplinie słowa. W takich utworach jak sonety najłatwiej popaść w sprzeczność między treścią a formą (formą w tym najbardziej zewnętrznym sensie, rozumianą jako budowa stroficzna). Trud poety może być tutaj, bardziej niż w innych rodzajach poezji, skierowany jedynie w stronę wypełnienia pewnego schematu — co jeszcze, oczywiście, nie może decydować o wartości wiersza. Jak słusznie pisał przed laty Irzykowski, dobry sonet (tzn. nie sprzeniewierzający się klasycznym przepisom i regułom) nie musi być wcale dobrym wierszem. Bardzo często tak się dzieje, że wzorowo napisany sonet, legitymujący się nawet kunsztownymi rymami, okazuje się tylko grafomańskim elaboratem. Sedno sprawy tkwi bowiem w wypełnieniu wzorca wersyfikacyjnego sonetu lirycznymi treściami, a nie w trosce o regularne i klasyczne rozmieszczenie rymów. Ogromne trudności, powstające przed twórcami uprawiającymi sonet, polegają — wydaje mi się — nie na tym, że poeta musi przestrzegać ściśle określonych, rygorystycznych przepisów wersyfikacyjnych (dojrzali poeci nie znają przecież oporów wersyfikacyjnych), ale na tym, że twórczy trud poety łatwo przemienić się może w trud zwykłego rzemieślnika, dbającego tylko o technicznie dobre wykonanie roboty.

Cykl Słobodnika w pewnych momentach znakomicie dokumentuje to stwierdzenie. Liryk ten należy do grona poetów współczesnych, którzy znakomicie

panują nad wszelkimi arkanami warsztatu poetyckiego, znakomicie władają trudnym kunsztem wierszowania. Ale nawet takie predyspozycje nie uchroniły Słobodnika od tego, że w kilku wierszach odczuwa się sprzeczność między tym, co poeta chciał powiedzieć, a formą sonetu. Sonet staje się wędzidłem. Pisarz nagina treść do schematu, stara się wypełnić wzorzec słowami. Odczuwa się wtedy szczególnie dobitnie sztuczność, nienaturalność, archaiczność tego gatunku liryki. Dysproporcje między formą sonetu a tym, co poeta chciał powiedzieć, ujawniają się bardzo wyraźnie wtedy, gdy treść liryku wymaga formy mniejszej niż czternastowiersz. Słobodnik przydaje słów, które nic nowego nie wnoszą — są niepotrzebne, są poetyckim fałszem. Gadulstwo stanowi jedno z największych niebezpieczeństw dla sonetu, któremu bliższa jest przecież zwartość i lapidarność. Oto pierwszy z brzegu fragment, w którym namnożenie wyrazów nie uwarunkowane było względami treściowymi, ale wypływało tylko z chęci dociągnięcia utworu do 14 wierszy. W jednym ze wstępnych sonetów Słobodnik pisze:

Poza tym niech wybaczy, że w przeszłość [powrócę
W sonecie tak podobnym do starej karety
A raczej do karocy...
(Komentarz pierwszy)

Cały fragment cytowanego tu trzeciego wiersza stanowi niepotrzebny balast słowny. Nie ma on żadnego waloru poznawczego, gdyż innymi nieco słowy powtarza to, co powiedziano w zdaniu poprzednim, nie poszerza ani uzupełnia obrazu, nie czyni go ani bardziej wyrazistym, ani bardziej precyzyjnym. nie stanowi również epizodu o charakterze szczególnie lirycznym — emocjonalnie jest obojętny. Jego zbyteczność widać tym wyraźniej, że słowa kareta i karoca są bliskie etymologicznie, poza tym w chwili obecnej to już bodaj synonimy. Jeśli istnieje między nimi jakaś różnica semantyczna, to bardzo minimalna, z pewnością nieuchwytna dla zwykłego czytelnika.

W pierwszych utworach cyklu poruszył Słobodnik ważną sprawę: gatunek sonetu ma być środkiem archaizacji, ma być w pewnym sensie formalnym odpowiednikiem historycznego tematu. Jest to zagadnienie bardzo ciekawie postawione — jednak w realizacji artystycznej nie zostało w pełni rozwiązane. Bo sam rodzaj sonetu nie jest wystarczającym elementem, który mógłby przybliżyć czytelnika do XV-wiecznego bohatera, atmosfery XV-wiecznego miasta, XV-wiecznej sztuki. Zabrakło bowiem u Słobodnika czegoś dużo ważniejszego i dużo trudniejszego: odpowiedniej stylistyki, która mogłaby nas w tę epokę wprowadzić. Jest to sprawa skomplikowana. Poeta zdecydował się na najprostsze rozwiązanie — pisał językiem całkowicie współczesnym. Jako pewna zasada ogólna jest to słuszne, ale w tym konkretnym przypadku raczej skłania do dyskusji. Oczywiście, archaizacja dałaby wątpliwe rezultaty — Słobodnik piszący językiem wiersza Słoty *O zachowaniu się przy stole* czy *Satyry na leniwych chłopów* byłby prawdopodobnie nie do czytania. Wydaje mi się, że chodzi o co innego — żadne z rozwiązań krańcowych nie jest w liryce historycznej słuszne. Myślę, że najwłaściwszym językiem takiej poezji byłby język jednocześnie współczesny i archaiczny. Współczesny w swej strukturze gramatycznej, składniowej, fonetycznej; archaiczny — w doborze słów. Idealnym rozwiązaniem byłby tu chwyt podobny w pewnym sensie do mowy pozornie zależnej w prozie, w której fragmenty są jakby stylistycznie dwuznaczne, tak że można je przypisać zarówno bohaterowi, jak i narratorowi. Dobrym przykładem takiego stylu „dwuznacznego" w poezji jest *Wit Stwosz* Gałczyńskiego, w którym odczuwamy jednocześnie pewną dawność i staroświeckość języka, mimo że orientujemy się świetnie, że jest to język w całej pełni współczesny, nawet więcej: że jest to język typowy dla autora *Niobe*. Słobodnik nie unika wyrazów, które bądź w XV wieku nie mogły być użyte, bądź też — co ważniejsze — brzmią dla dzisiejszego czytelnika bardzo współcześnie, kojarzą się ze zjawiskami i przedmiotami całkowicie nowoczesnymi:

Płakała lipa, kiedy średniowieczni drwale
Zaczęli ją podcinać ostrych siekier stalą.
(Życie i sztuka)

Wyrazem, który w tym fragmencie budzi sprzeciw, jest „stal". Nie chodzi

o to, aby poeta używał staropolskiego odpowiednika tego wyrazu (odświeżanie mało znanych i zapomnianych słów ze *Słownika* Lindego też nie zawsze przynosi dobre rezultaty). Problem stanowi zaś to, że „stal" brzmi w utworze poświęconym XV wiekowi jak dysonans, narzuca współczesne, a nie starodawne skojarzenia.

W wierszach, których przedmiotem jest dzieło sztuki, zastanawia zawsze sposób podejścia poety do niego. Nie jest to przecież podejście krytyka, który je analizuje, ani historyka ukazującego jego związek z epoką i podłoże, z jakiego wyrosło, chociaż — jak pisał Baudelaire w jednym ze swych pięknych szkiców o malarstwie — najwyższą formą krytyki arcydzieł jest poemat o nich. Postawą zasadniczą poety jest postawa liryczna, mówiąca o tym, jak bohater wiersza czy sam autor przeżywa utwór. Jest to jakby fundament, na którym opiera się bądź postawa opisowa, bądź interpretacyjna. Z opisu jako formy wyrażenia swych przeżyć i wzruszeń, związanych z ołtarzem Wita Stwosza, Słobodnik rezygnuje — jego żywiołem jest interpretacja. Poeta ze swadą mówi o genezie Stwoszowego arcydzieła, ukazuje jego związki z epoką — często robi to jednak tak jak krytyk. Jest ścisły w sformułowaniach, ale i suchy, beznamiętny — raczej chłodno relacjonuje dzieje swego bohatera i losy jego pracy artystycznej, niż je przeżywa. W tych partiach *Sonety* są zbyt dyskursywne, a za mało osobiste, zbyt chłodne i „uczone". Jest to naczelna słabość cyklu, pozostająca w ścisłym związku z nikłością postawy lirycznej. Słobodnik nie narzuca czytelnikowi swojego spojrzenia na postać i dzieło Stwosza, nie narzuca mu swojej koncepcji, nie zmusza do tego, aby patrzał na ołtarz jego oczyma. Najmniej przekonują wiersze, w których poeta referuje jakiś problem (np. *Polskość*), najbardziej zaś przemawiają te, w których najwyraźniej doszły do głosu przeżycia twórcy, związane z Witowym ołtarzem. Za najlepsze utwory cyklu uważam bardzo piękny *Opór drzewa* i niezwykle dramatyczne — jak na sonet, przeważnie skłonny do statyczności — *Pojmanie*. Przypuszczam, że tom sonetów o Wicie Stwoszu cieszyć się będzie dużą popularnością wśród czytelników ze względu na atrakcyjny temat, dużą dostępność i kulturę poetycką. Bo podziwiać trzeba Słobodnika, że w przeżytej i archaicznej formie sonetu czuje się tak dobrze, że potrafi — mimo omówionych tutaj zastrzeżeń — omijać tak niebezpieczne rafy, jak akademicka poprawność i rzemieślnicza dbałość o dobrą technikę. Słobodnik nie udowodnił, że sonet stanowić może dla współczesnego poety żywy gatunek liryki, ale stworzył cykl wierszy, których lektura sprawia przyjemność. A to już bardzo dużo — zwłaszcza wtedy, gdy po formę wypowiedzi sięga się do muzeum literatury.

Michał Głowiński

„MUSZKIETER Z ITAMARIKI"

Michał Rusinek: *Muszkieter z Itamariki. Warszawa,* 1955. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 313.

Czytając tę powieść, myślałem, jak bardzo wartość dzieła literackiego — a szczególnie powieści — zależy już od owego pierwszego wyboru, pierwszej decyzji pisarskiej, jaką jest ustalenie tematu. Decyzja ta świadczy zarówno o dojrzałej ocenie własnego warsztatu — a nawet, szerzej — granic swojej wyobraźni, jak i o umiejętności patrzenia na świat, dzielenia spraw na interesujące i godne poznania, oraz te, które są jałowe, błahe czy zbanalizowane. To, że autor *Muszkietera z Itamariki* obrał właśnie Krzysztofa Arciszewskiego na głównego bohatera wielkiej historycznej trylogii powieściowej, pociągnęło za sobą skutki pod każdym względem szczęśliwe. Widać to może jeszcze wyraźniej w *Muszkieterze* niż w poprzedniej *Wiośnie admirała*. Krzysz-

tof Arciszewski stał się tutaj niezmiernie interesującym przewodnikiem po gąszczu spraw, godnych poznania.

Polak, wszechstronnie utalentowany, inżynier, wódz, nawigator, a w wolnych chwilach także i poeta nie pozbawiony talentu, zostaje nie tylko świadkiem, ale i niezmiernie czynnym uczestnikiem wydarzeń, które zadecydowały o wyglądzie jednego z kontynentów — na okres kilku stuleci. Wraz z Arciszewskim bierzemy udział w walce o Brazylię, która się toczy między kupcami holenderskimi z Kompanii Zachodnio-Indyjskiej a sprzymierzonymi siłami hiszpańsko-portugalskimi. Tworzy się nowoczesny kolonializm, ze wszystkimi swymi cechami, m. in. z tą zasadniczą, która polega na wzajemnym skłóceniu rywalizujących dążeń mocarstwowych. Bo zaledwie „biali" zdobyli Nowe Indie, już rozpoczęli ze sobą ostre zmagania.

Walka ma tutaj charakter bardzo skomplikowany. Jest zarówno starciem religijnym, jak i politycznym oraz gospodarczym. Hiszpanie i Portugalczycy reprezentują katolicyzm, Holendrzy — różne grupy i odcienie reformacji.

Mocarstwa półwyspu iberyjskiego rządzą się ustrojem feodalno-absolutystycznym — Holendrzy tworzą jedno z pierwszych w Europie nowożytnej państw mieszczańskich. Już sam fakt, że wojska holenderskie nie podlegają rządowi oficjalnemu, ale stowarzyszeniu kupieckiemu — Kompanii „West-Indyjskiej" — rzuca światło bardzo znamienne na istotę tego konfliktu. Około 20 lat przed wypadkami, jakie wypełniają *Muszkietera z Itamariki*, wielki pisarz hiszpański, Lope de Vega, żartował w komedii *Wędka Feniksany* na temat swoich rodaków:

...Podbić potrafili Indie
Lecz w tych Indiach — Włoch i Francuz
Bogacą się — a nie oni.
Oręż niosą na świat cały,
Ale wszędzie zostawiają,
A nie zdobywają mienie.

Ciekawą jest rzeczą, że siły nowocześniejsze, bardziej zbliżone do przyszłych form nowoczesnego kolonializmu, przegrywają w XVII-wiecznej Ameryce Południowej w walce z iberyjskim feodalizmem. Powieść Rusinka stara się odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się stało — i odpowiedź ta wydaje się przekonywająca. Przyczyną słabości Kompanii Zachodnio - Indyjskiej jest jej skłócenie wewnętrzne. Kupcy, którzy wpływają na najważniejsze decyzje, nie ogarniają horyzontów szerszych i ogólniejszych, lecz osobiste i indywidualne. Wielu z nich (na przykład pokazanemu w powieści w sposób bardzo interesujący radcy Stauhouverowi) zależy tylko na korzyściach doraźnych, na dochodach z plantacji cukru czy handlu Murzynami. Wchodzą tu przy tym w grę potężne — i równie ciasno pojmowane — interesy książęcej rodziny Nassauskiej, a więc czynnika oligarchicznego. Dlatego, mimo pracowitości, mądrości i dzielności Holendrów, przegrywają oni walkę o Brazylię.

Krzysztof Arciszewski zostaje wmieszany w te sprawy — i to w sposób bardzo dramatyczny. Rusinek ukazuje rysujący się konflikt m. in. na przykładzie polityki stosowanej wobec ludności tubylczej, indiańskiej, oraz wobec Murzynów. Arciszewski, zarówno ze względu na swą ideologię arianską, jak i na głębiej pojmowany interes Stanów Holenderskich reprezentuje dążność do ludzkiego traktowania Indian i Czarnych. Stara się ich przyciągnąć pod swe sztandary, uchronić i przed wyzyskiem kupiecko-latyfundialnym, i przed deptaniem godności ludzkiej oraz przed krwawymi represjami. Puszcza nawet wolno tych „kolorowych", którzy zostają wzięci do niewoli — i którym wedle praktyki przyjętej przez obie strony grozi szubienica. Ale zaciężny polski pułkownik w służbie niderlandzkiej nie liczy się tu z interesami bardziej żywotnymi. Humanitarna polityka Arciszewskiego godzi bezpośrednio w interesy wielu plantatorów, a nawet i samego gubernatora, księcia de Nassau, już i tak dotkniętego do żywego uznaniem, jakim ten obcy — „Artischau" czy „Cristoforo Polaco" — cieszy się u władz centralnych.

Związanie osobistego losu Arciszewskiego z tymi konfliktami jest w powieści pokazane w sposób bardzo interesujący. Arciszewski nie jest, oczywiście, jedynym bohaterem tej powieści. Ale dokoła jego osoby skupia się przeważna ilość wątków, na nim się koncentrują główne zainteresowania. Nie jest to już Krzysztof Arciszewski z *Wiosny admirała*, zadzierzysty, lekkomyślny, ambitny, nie wolny od wady szlacheckiego warcholstwa, uj-

mujący i z natury prawy, ale dopiero zwolna do swego powołania dojrzewający chłopiec. W *Muszkieterze* mamy już człowieka dojrzałego, rozumnego i może nawet nieco wyidealizowanego. Krzysztof jaśnieje tu pełnią wszelakich cnót. Jest nie tylko świetnym i szczęśliwym dowódcą, ale i wspaniałym żołnierzem, umiejącym przy pomocy błyskawicznego uderzenia buławą uratować się w sytuacji, która mogła uchodzić za beznadziejną. Jest znakomitym żeglarzem i organizatorem, mówcą i inżynierem. Jego plany wojskowe są zawsze trafniejsze, słuszniejsze i przenikliwsze od strategii zarówno innych Holendrów, jak i ich hiszpańsko-portugalskich przeciwników. Gdy król Władysław IV proponuje mu powrót do kraju, z którego został wygnany za panowania jego ojca, Arciszewski nie decyduje się na to, ponieważ nie otrzymał gwarancji dotyczących swobody jego sumienia i zachowania wiary ariańskiej. W stosunku do kolorowych ten twardy dowódca okazuje uczucia humanitarne; jest skłonny do wybaczeń nawet wrogim jego wojsku zakonnikom, nawet lekkomyślnemu rysownikowi, Berke Petersowi. Nie jest dobrym mężem stanu, sam to uznaje, i Rusinek potwierdza sąd Arciszewskiego. Ale ów niedostatek zdolności politycznych zdaje się wynikać raczej z zalet Arciszewskiego niż z jego wad: zanadto wierzy w ludzi, ocenia ich zbyt optymistycznie, nie bierze pod uwagę nikczemności, dwulicowości, tchórzostwa, podłości, zdrady. Dlatego przegrywa. Michał Rusinek ustalił swój sąd o Arciszewskim z tego okresu na podstawie sumiennej lektury wielu źródeł historycznych. Ciekawą jest rzeczą na przykład, że docent historii Uniwersytetu w Leydzie, J. C. Warnsick, wydał w latach przedwojennych książkę o naszym wielkim rodaku, w której całkowicie stanął po jego stronie, i potępił gubernatora de Nassau. Pewne pojęcie o rzeczywistym przebiegu wydarzeń daje również korespondencja Arciszewskiego i jego memoriały, które Rusinek pewnymi partiami przytacza dosłownie, zręcznie je wplatając w swój tekst; równie interesujące są cytaty z wierszy Arciszewskiego; wierszy, nawiasem mówiąc, bardzo pięknych, świadczących i o kulturze literackiej byłego wychowanka szkoły ariańskiej w Rakowie, i o subtelności jego uczuć, a także o sile tęsknoty za krajem ojczystym:

Jako rok coraz nowe mnóstwa liścia rodzi,
A te zaś zima morzy, tak się z nami wodzi
Co rok, to nowe ludzi następują roje,
Ale zielone lata śmierć jak mróz wnet poje.
Od frasunków siwiejem, chorujem [i schniemy,
Żeby się nędzy odjąć, raczej śmierć [połkniemy.
Jak nawy morzolotne wiatry roztrącają,
Tak swymi wały w ludzi bystro uderzają
Odmiany na ich nurty złożone ku sobie,
Drży rozum, cierpnie władza ludzka [w każdej dobie.
Niedawnom się urodził, a na połym siwy,
Jużem i czerstwość stracił, wzrok już mam [rzewliwy,
A jeszczem swego płota na świecie [nie grodził
Jeszczem w pokoju nie jadł...

Jednak trzeba powiedzieć w imię prawdy, że — jak o tym napomyka Rusinek — *Muszkieter z Itamariki* uczestniczył w wyprawie kardynała Richelieu przeciw hugonotom francuskim i w zdobyciu ich twierdzy La Rochelle, co, jak wiadomo, stało się sygnałem do prześladowań religijnych. Arianin Arciszewski, walczący jako płatny kondotier na służbie kontrreformacji — czyż to nie jest pewna skaza na wizerunku człowieka, którego Michał Rusinek chce widzieć rycerzem bez zmazy i skazy, niemal jakimś Kościuszką XVII stulecia? Oczywiście, był to może epizod odosobniony — ale raz jeszcze okazuje się, jak skomplikowanym zjawiskiem bywa osobowość niezwykłego człowieka. I w ogóle — wszelka osobowość. Bogata problematyka tej powieści nie pozwala się oderwać od lektury. Z równie wielkim zainteresowaniem czytamy sceny batalistyczne, jak i opis debat w Radzie Dziewiętnastu w Recife czy wstrząsający epizod ze stojącym o krok od zdrady rysownikiem, Berke Petersem. Tę powieść, która się obywa niemal zupełnie bez wątków miłosnych, powieść pełną głębokich problemów historycznych, pochłania się — jak utwór najbardziej sensacyjny. Ileż tu barwności, jaka gra niespodzianek, zawsze konsekwentnie uzasadnionych! Gdy już jesteśmy przekonani, że Peters zdradzi i narazi na katastrofę swój oddział — okazuje się, że sumienie za-

trzymało go na skraju przepaści. Los bitwy z 17 stycznia 1687 waży się niemal do ostatniej chwili. Pełna zadziwiających przygód jest powrotna podróż Arciszewskiego do Europy, na nędznej, perfidnie mu przeznaczonej szalupie. Ostatnie karty tej książki przygotowują czytelnika na powrót Arciszewskiego do ojczyzny i ostatni epizod z jego życia pełnego chwały: próbę organizacji pierwszej w dziejach polskiej floty.

Jan Brzechwa podnosił niedawno na XVI sesji Rady Kultury, że powieści Michała Rusinka są jednymi z najchętniej dziś czytanych dzieł literackich, że rozchodzą się w w ogromnych nakładach, wywierają wpływ i stanowią fakt o niezaprzeczonej doniosłości. Znakomity poeta i satyryk zwrócił przy tym zupełnie słusznie uwagę na zbyt pobieżny stosunek krytyki literackiej do Rusinka i jego twórczości. Zagalopował się jednak trochę Brzechwa mówiąc, że „o utworze, który czytają dziesiątki tysięcy ludzi, krytyka nie wspomina. Ani dobrze, ani źle. Zupełny indyferentyzm! Książka utorowała sobie sama drogę do czytelników... Niezależnie od krytyki literackiej, poza nią, bo krytyka nie nadąża, drepce utartymi ścieżkami, nie wychyla się poza składnik wzorcowy przewentylowanych i przetrawionych utworów, a tymczasem rzeczywisty nurt życia toczy się obok" (cytuję według tekstu, ogłoszonego w *„Przeglądzie Kulturalnym"* z 7—13 lipca).

Trochę tu przesady; o *Wiośnie admirała*, którą Brzechwa miał na myśli, ukazało się pięć obszernych prac krytycznych: Bolesława Dudzińskiego w *„Nowej Kulturze"*, J. N. Kłosowskiego w *„Kamenie"*, Jerzego Skórnickiego w *„Życiu Literackim"*, oraz dwie — Kazimierza Budzyka i moja — w *„Twórczości"*. „Ja — jak ja" — mówi pani Jowialska — „ale jegomość?!" Nieuwaga pisarzy, którzy skarżą się na nieuwagę krytyków, jest u nas zjawiskiem dość rozpowszechnionym. Ale w zasadzie Jan Brzechwa ma rację, że wielu krytyków „nie wychyla się poza składzik wzorcowy przewentylowanych i przetrawionych utworów".

Wojciech Natanson

DWA NOWE PRZEKŁADY DRAMATÓW WIKTORA HUGO

Wiktor Hugo: *Król się bawi*. Dramat w pięciu aktach. Przełożył Henryk Rostworowski, Warszawa, 1955. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 196. *Ruy Blas*. Dramat w pięciu aktach. Przełożył Gabriel Karski. Warszawa, 1955. Państwowy Instytut Wydawniczy; str. 188.

„Widziałem Wiktora Hugo... wcale z jego postawy geniuszu nie widać, patapuf zupełny; w życiu prywatnym szczęśliwy, ma żonę, dzieci troje, a to wcale nie na rękę romantycznej poezji" — pisał Słowacki we wrześniu 1831 roku w jednym ze swych listów paryskich. Czyli, że nasz poeta wyobrażał sobie Wiktora Hugo także i w życiu prywatnym jako człowieka posępnego i bajronicznie samotnego. Można przyjąć, że Słowacki wyrażał tu poglądy wcale licznej opinii młodych.

Od czasów *Cromwella* (1827) Hugo uchodził za wodza, choć poprzednio niektórzy romantycy (np. Stendhal w r. 1823) traktowali go lekceważąco i podejrzliwie. Myślę, że przyczyną wzrastającej popularności Wiktora Hugo była przede wszystkim odwaga, ostrość i zuchwalstwo jego wystąpień. Nowy przekład dramatu *Król się bawi*, dokonany przez Henryka Rostworowskiego dla PIW-u — może nam na to dostarczyć dowodów. Czytając ten przekład, wyobrażałem sobie, jakie wrażenie musiał wywoływać dramat *Le roi s'amuse* w dniu paryskiej premiery, 9 września 1832 roku. Już sam tytuł na afiszu Komedii Francuskiej — działał. Jeszcze nie przebrzmiały echa rewolucji lipcowej, jeszcze nie zgasły marzenia legitymistów, zwolenników dynastii burbońskiej. Młodsza linia, orleańska, objęła władzę. Ale, choć liberalna, także

i ta monarchia nie miała powodu, by tolerować podważanie samej zasady rojalizmu. Przecież potępiony w dramacie Franciszek I był poprzednikiem na tronie nie tylko Karola X, ale i Ludwika Filipa!

Atak dramaturga na monarchię dotyczył spraw obyczajowych, Hugo nacierał na odcinku pozornie wąskim. Ale przypomnijmy sobie, że Encyklopedyści (a także Wolter w swych dramatach) podważali *ancien régime* zarówno w imię rozumu, jak i cnoty; wykazywanie nadużyć władzy królewskiej, jej brutalności, bezkarności, jej duchowego nihilizmu okazało się w tych rękach orężem bardzo skutecznym. Obecnie część romantyków francuskich, z Hugo na czele, podejmowała owe kampanie. Deprawacja, jako wynik monarchizmu, stała się tematem ulubionym; powrócił do niego po 4 latach Musset w *Lorenzaccio*, potrącał o te sprawy Vigny. Ale Vigny'ego, a zwłaszcza Musseta interesowały przede wszystkim psychologiczne procesy, które się z tymi sprawami łączyły. Wiktor Hugo mówił jaśniej i prościej. W dramacie *Le roi s'amuse* rzucał oskarżenie podwójne. Po pierwsze — samym przebiegiem akcji scenicznej, która niedwuznacznie oskarżała nie tylko samą osobę cynicznego monarchy, ale i układ stosunków dworskich, gdzie podstawowe prawa ludzkie stają się przedmiotem igraszki. Po wtóre — bezpośrednim potępieniem, jakie w swych tyradach rzucała tutaj ze sceny jedna z postaci utworu, pan de Saint Vallier:

...Najjaśniejszy panie!
Tyś królem jest, więc musisz dać mi
[posłuchanie.
Bosy szedłem na ścięcie z twojego rozkazu,
Nagle ułaskawienie przyniósł goniec. Zrazu
Błogosławiłem ciebie, nie wiedziałem o tem,
Że król, gdy ułaskawia, to obrzuca błotem.

Czy Hugo działał tu z dokładnie określonym planem, z zupełnie świadomą intencją? To już inna sprawa. Myślę, że trochę poniósł go temat — a trochę nastroje widowni, które wrażliwie wyczuwał. Przedmowa do wydania książkowego, z 30.XI.1832, zdawałaby się świadczyć o zaskoczeniu zakazem grania sztuki, jaki dyrektorowi Komedii Francuskiej zakomunikował minister spraw wewnętrznych. Hugo powołuje się przy tym na artykuł Konstytucji, ogłoszonej przez Ludwika Filipa, w sprawie zniesienia cenzury. Może i byłby się z takimi względami liczył rząd orleański, gdyby nie nastrój premiery, świadczący o zadziwiającej radykalizacji widzów. W roku 1830, podczas sławnej *„bataille d'Hernani"*, Teofil Gautier, na czele młodzieży, manifestował na rzecz romantycznych haseł estetycznych; teraz — po dwu latach i stłumionym powstaniu czerwcowym — Gautier intonował *Carmagnolę* i *Marsyliankę*...

Hugo nie był jeszcze wtedy owym zdecydowanym republikaninem i nieustraszonym bojownikiem, jakim się stał po latach, w okresie dobrowolnej banicji i heroicznego oporu przeciw Napoleonowi III. Doznawał raczej uczuć zawodu i niesmaku — komentarz ideowy do *Le roi s'amuse* można odnaleźć bez trudu w wierszach lirycznych Wiktora Hugo, przełożonych niedawno przez Zbigniewa Bieńkowskiego:

Już dziś jutrzejszy blask się jarzy!
Ludu nie zwabi się jak dziecka,
Nie zejdzie z drogi, choć zdradziecka
Ręka przestawi drogowskazy.
(Do Młodej Francji)

Interesuje jeszcze w tym dramacie sprawa inna: wyraźna dążność Wiktora Hugo do przywrócenia praw lekceważonemu dotychczas typowi wzruszeń melodramatycznych. Przyszły autor *Odpowiedzi na akt oskarżenia* dokonywał nieraz z pasją takiej przemiany wartości. Na przykład bronił słów i zwrotów „upośledzonych", wzgardzonych.

...przed osiemdziesiątym dziewiątym
Kolor krwi dzielił słowa na zamknięte
[kasty,
jedne błękitne, miały dostęp do Jokasty,
Fedry, Meropy, całej prześwietnej socjety,
Znały Wersal ze stopni królewskiej karety.
Inne, kupa nędzarzy z potępieńczej sfery,
Zamieszkiwały gwary, inne znów galery
Żargonu, precz wygnane z mowy i ze
[sztuki,
Podarte na łachmany w Halach, bez peruki,
Bez pończoch, wprost stworzone dla farsy
[i prozy,
Motłoch stylu, rzucony w czarną otchłań
[grozy.
(przełożył Zbigniew Bieńkowski)

Może więc owo przekorne dążenie do przywracania praw zjawiskom wzgardzonym kazało Wiktorowi Hugo bronić melodramatu ludowego, a nawet częściowo go naśladować. Melodramat był zresztą jakby „forpocztą" dramatu romantycznego. Na próżno potępiali pseudoklasyczni estetycy ów dramat pełen awantur i krwi, szybko zmieniający tereny akcji, nie liczący się z tym, co „*convenable*". Gdy w dramacie *Le roi s'amuse*, w ostatniej scenie aktu czwartego nieszczęsna Blanka wbrew prawdopodobieństwu wystawia serce na cios bandyty, gdy asystujemy momentowi, w którym Saltabadid ostrzy na osełce nóż, którym za chwilę przebije serce dziewczyny — mamy oczywiście do czynienia z melodramatem. Tym bardziej gdy w akcie następnym Trybulet rozmawia ze swą skrwawioną, znalezioną w worku, konającą córką. Lecz takie makabryczne sceny, mające swe znaczenie w melodramacie naprawdę ludowym — brzmią jak zgrzyt, gdy się je przeniesie do dramatu „literackiego". Dlatego *Król się bawi*, utwór rozpoczęty interesująco, śmiało i przenikliwie — sprawia w ostatnich aktach wrażenie dzieła pękniętego. Nadmiar doznań makabrycznych wykrzywia linię tragizmu.

Trzynastozgłoskowiec, którym Henryk Rostworowski przełożył ten dramat — brzmi na ogół czysto i dźwięcznie. Nie jest sztywny; wrażliwie poddaje się szybkim zmianom sytuacji dramatycznych. Dostraja się do potrzeb dialogu. Jest zgodny z naszymi wyobrażeniami o stylu Wiktora Hugo, o gorącej retoryce jego dramatów. Jest przy tym zindywidualizowany — dopuszcza różnice w języku, jakim mówią różne środowiska tego dramatu, od króla i jego dworaków aż po Cyganów. A jednak odczuwa się pewien niedosyt. Myślę, że przyczyną jest brak inwencji w obrazowaniu, a szczególnie w rymach. To w pewnym stopniu osłabia wrażenie, jakie ten staranny i kulturalny przekład na nas sprawia.

*

Ruy Blas w nowym tłumaczeniu Gabriela Karskiego wzbudził już duże zainteresowanie i zdobył uznanie. Gdy Elżbieta Barszczewska i Marian Wyrzykowski czytali fragmenty tego przekładu w Związku Literatów, jeden z młodych pisarzy uznał wszelkie uwagi krytyczne — niemal za świętokradztwo. I sala tak była zachwycona, porwana, rozentuzjazmowana, że te nieco porywcze słowa zostały przyjęte gorącymi oklaskami większości słuchaczy.

Są na pewno w tym przekładzie ustępy, które brzmią znakomicie. Choćby owa odpowiedź, jaką w pierwszym akcie daje Don Cezar swemu możnemu kuzynowi.

...Ten, kto chyłkiem, podstępnie, ukryty za [płotem
Mści się — kiedy ma prawo do noszenia [szpady,
Mężczyzna na kobiecie, szlachcic — drogą [zdrady,
Kto panem z urodzenia, a łotrem [w działaniu,
Ten, powiadam, chociażby grandem był [Hiszpanii,
Choćby miał orderami całą pierś okrytą,
Choćby się pieczętował najświetniejszym [znakiem —
W moich oczach jest tylko ponurym [łajdakiem
I rad bym wręcz zobaczyć, jak ten tchórz [dwulicy
Tam, gdzie zasłużył, znajdzie się: na [szubienicy.

Owa tyrada biegnie narastającym rytmem, aż do swej ostatecznej pointy. Stopniowe potęgowanie nastroju i „gromadzenie" dramatycznego wzburzenia nie tylko dorównuje siłą ekspresji oryginałowi, ale go może nawet w tym miejscu przewyższa.

Równie piękne, ożywione jakby tchnieniem Słowackiego, wydaje mi się w akcie pierwszym pożegnanie Don Cezara z Ruy Blasem:

Odejść cię? Ja, co nie wiem, czym jest ból, [czym urok
Miłości, ja — dzwon pusty, milczący ponuro,
Żebrak złudzeń, któremu do sakwy [podróżnej
Los od czasu do czasu ciska grosz [jałmużny,
Ja, człek o zziębłym sercu, gdzie trwa chłód [bez zmiany,
Wczorajszego spektaklu afisz poszarpany,
Wyznaję ci: olśniony blaskiem twej miłości
Druh twój tyleż współczuje ci, ile zazdrości.

Najpiękniejszy obraz tej tyrady („wczorajszego spektaklu afisz poszar-

pany") jest dosłownie zaczerpnięty z tekstu oryginalnego (*„Du spectacle d'hier affiche déchirée"*). Ale jak pięknie jest ten obraz zespolony z rytmem całości! Na ogół można stwierdzić, że przekład jest zarówno poetycko bogaty, jak celny.

Zdarzają się jednak drobne potknięcia, które mógłby wytknąć krytyk pedantyczny. Czytamy np. z pewnym zdumieniem na początku aktu drugiego, że królowa Maria Neuburska „ubrana jest w białą szatę ze srebrnego brokatu". Uważny czytelnik może być nieco zaniepokojony pytaniem, w jaki sposób biała szata mogła być sporządzona z brokatu srebrnego. W oryginale czytamy, że *„la reine est vétue de blanc, robe du drap d'argent"*. To oczywiście całkiem co innego — ogólna tonacja stroju królowej jest biała, sama suknia z materii srebrzystej. Tłumacz przeoczył ten odcień.

Właśnie dlatego, że przekład Karskiego jest naprawdę świetny — warto by było w następnych wydaniach usunąć kilka drobnych usterek. Akt trzeci *Ruy Blasa* rozgrywa się w pałacu królewskim w Madrycie, „w sali zwanej salą rządową" *(„la salle dite du gouvernement")*. Karski nazywa ją „salą Rady Stanu"; Hugo nie zgodziłby się na taką nomenklaturę, bo Rada Stanu nie ma we Francji nic wspólnego z rządem — jest trybunałem administracyjnym. Że występujący tu ministrowie są nazywani „doradcami Kastylii" *(„conseillers de Castille")*, wynika z feodalnego sposobu pojmowania roli ministra, jako doradcy króla; nie wynika stąd, by gabinet ministrów był identyczny z Radą Stanu.

Można by się spierać, czy dobrze wypadł taki *passus* dialogu Don Cezara z Ruy Blasem:

RUY BLAS: Cóż robić? Kocham jego żonę.
DON CEZAR: Biedaku!

Hugo pisze tutaj: *„Malheureux!"*, co znaczy raczej „Nieszczęsny!". I ma odcień romantycznego patosu, a nie trochę poufałej, trochę deprecjonującej litości...

Na ogół jednak przekład jest bardzo dobry. Jest bliski duchowi Hugo zarówno we wzlotach, jak i upadkach autora *Ruy Blasa*. Tylko jedno miejsce wydaje się przesadnym uwypukleniem nieco sztucznej retoryczności hugolianskiej: gdy Ruy Blas w piątym akcie mówi do Don Salluste'a:

Pod moją stopą charczy twa nienawiść [wściekła

*

Warto może przy tej okazji podjąć pewien spór o historyczno-ideową interpretację *Ruy Blasa*. Wacław Kubacki, pisząc w *„Teatrze"* (15—30 kwietnia 1955) o krakowskim przedstawieniu dramatu w Teatrze Starym wysunął oryginalną, misterną i niezmiernie interesującą hipotezę. Dopatrzył się w *Ruy Blasie* aluzji bonapartystowskich: „Plebejusz Ruy Blas, zgromiwszy drobnych feodalnych złodziejów publicznego dobra, dość nieoczekiwanie wygłasza pochwałę cesarza Karola V, arcywandala i wielkiego grabieżcy świata. W dobrej wierze podejmuje i rozwija ten dramat jako pozytywny sens sztuki. Tymczasem wywołany z historycznej rekwizytorni cień cesarza Karola V — to aluzja do Napoleona, którego zdobycze zaprzepaściła burbońska Restauracja. Jasne, że krytyka rządzącej Francją burżuazji została dokonana nie ze stanowiska «ludowego», lecz z pozycji narodowego egoizmu i młodokapitalistycznego imperializmu". Otóż mam pewne wątpliwości, czy słuszna jest ta argumentacja.

Ruy Blas został napisany w roku 1838, gdy sprawa bonapartyzmu miała szanse stosunkowo niewielkie. Zamachy bonapartystowskie zostały bez trudu stłumione przez Ludwika Filipa. Ówczesna generalicja widziała dwie alternatywy: monarchię (mniej lub więcej liberalną) i republikę. Dopiero kilkanaście lat później, wskutek nowych rozczarowań, jakie przyniósł rok 1848, „mały Napoleon" (jak go nazwał Hugo) wykorzystał sytuację jako *outsider*. A zachowanie się Wiktora Hugo po zamachu stanu Napoleona III nie pozostawia wątpliwości co do tego, że syn napoleońskiego generała był już jak najdalszy od neobonapartyzmu. Pamiętniki Hugo *(Choses vues)* świadczą, że drobnomieszczanie i robotnicy dopatrywali się w dramatach Hugo, a zwłaszcza w *Ruy Blasie* — tendencji republikańskich. (Scena na wiecu w dzielnicy Faubourg Saint Antoine, w roku 1848,

gdy Hugo przemawiał za regencją, czym tak oburzył jednego z rzemieślników, że ten chciał go zastrzelić i przykładał już karabin do ramienia. Wtedy jego kolega podbił mu rękę i zawołał: „Czy nie wiesz, że to poeta ludowy, autor *Ruy Blasa*, utworu, który się przyczynił do wybuchu naszej rewolucji?") Raczej można oskarżać Hugo, że zbliżał się w roku 1838 do postawy oportunistycznej wobec *régime'u* Ludwika Filipa, niż o sympatie dla napoleonizmu.

Jak więc należy pojmować tyradę Ruy Blasa ze wzmianką o Karolu V i orłach cesarskich? Wydaje mi się, że analogii znowu można szukać w liryce politycznej Wiktora Hugo, a szczególnie w *Châtiments (Chłoście*, 1853). Np. wiersz *Wesołe życie* uderzająco przypomina karcące strofy z *Ruy Blasa*.

Sprzedajcie państwo! Lasy wytnijcie,
[a ziemię
W pustynny piach przemieńcie. Niech rodzą
[kamienie!
Wasze nastały czasy!
A ręka niech wam nie drży! Niechaj śmiało
[kradnie
Nędzarzom wsi i miasta grosze ich
ostatnie!
Bierzcie jak z własnej kasy!
(przełożył Zbigniew Bieńkowski)

Wezwanie do Karola V jest przede wszystkim — głosem patrioty. Patrioty, który wielbił wielkość Francji i jej rolę w świecie za Rewolucji i za Napoleona I; ale nie chodziło tu poecie o podboje terytorialne, tylko o sławę, znaczenie ideowe i moralne. Hugo wspominał zwycięstwo wojsk rewolucyjnych pod Jemmappes w roku 1792 tym samym tchem, co triumf pod Montmirail. Ludwikowi Filipowi wyrzucał, iż obojętnie się przygląda tragedii Polaków, Włochów, Niemców, Irlandczyków, Greków (Wiersz *Jeszcze tylko słów kilka* z *Feuilles d'automne*, 1831):

Gdy carski zbir szaleje ściskając za gardło
Przerażoną Warszawę, gdy gwałci umarłą,
Całun święty kalając w krwi, prochu i pyle,
Gdy tarza się na świeżej dziewiczej
[mogile,
Wtedy przekleństwem sięgam w spelunkach
[tych królów,
Którzy konie swe pławią w krwi i ludzkim
[bólu.
(przełożył Zbigniew Bieńkowski)

Że Hugo idealizował czasy Napoleona — na to, oczywiście, zgoda. Widział on zwycięstwo cesarskie, reformy ustrojowe, jakie europejskim ludom przynosiły te wyprawy (kodeks cywilny, wolność osobista chłopów, emancypacja mieszczaństwa); nie widział ujemnych skutków, jakie i dla samej Francji, i dla Europy spowodował napoleoński epizod. Ale nie sądzę, by twórcy *Ruy Blasa* chodziło tu o program na przyszłość. Równie dobrze można by naszego Słowackiego posądzać o bonapartyzm z powodu jego wiersza *Na sprowadzenie prochów Napoleona* albo Mickiewicza z powodu niektórych ustępów *Pana Tadeusza*. Wydaje mi się, że nawet u najbardziej postępowych romantyków idee reformatorskie łączyły się czasem z iluzjami dotyczącymi — przeszłości. Nie mieli perspektywy historycznej i trudno jej od nich żądać, skoro nawet socjaliści utopijni bywali pod urokiem „tego, co minęło". „Orły napoleońskie" u Hugo miały więc znaczenie jako przypomnienie perspektyw wielkości Francji — a nie konkretnego programu politycznego. Przedmowa do *Ruy Blasa* nie pozostawia co do tego wątpliwości. Hugo chciał dać socjologiczną i poetycką analizę społeczeństwa przedrewolucyjnego i myślę, że piętnując ministrów Karola II nie o bankierach Ludwika Filipa myślał przede wszystkim, lecz o wielkich panach *ancien régime'u*, którzy swym postępowaniem uzasadniają nieuchronność przewrotu rewolucyjnego (tu dostrzec można związek między *Ruy Blasem* a *Weselem Figara*). Większość francuskich komentatorów i opinia widzów — *„hugolâtres"* tak właśnie rozumiała i rozumie sens Ruy Blasa, tym się zapewne tłumaczy niedawna kampania francuskiej prasy prawicowej, zmierzająca do usunięcia dramatów Hugo, a zwłaszcza *Ruy Blasa*, z programów szkolnych i z repertuaru scen narodowych.

W *Pamiętnikach* Sary Bernhardt (Sarah Bernhardt *Ma double vie. Memoires de Sarah Bernhardt*, Paris 1907, Eugène Fasqenelle Editeurs) znalazłem na stronie 172 opis manifestacji studentów republikańskich na przedstawieniu *Keana* Dumasa-ojca, 18 lutego 1868. „Polityka wprawiała ludzi od kilku miesięcy w stan wrzenia. Chciano powrotu Wiktora Hugo" pisze swym nieco naiwnym stylem sławna aktorka

francuska. W ciągu całej godziny studenci wypełniający salę Komedii Francuskiej skandowali „wśród piekielnego hałasu":

„Ruy Blas! Ruy Blas! Wiktor Hugo! Wiktor Hugo!"

Na próżno usiłował ich uspokajać stary Dumas. Młodzież republikańska, żądając powrotu wodza o pozycji antybonapartystowskiej, jakim był wtedy bezsprzecznie Wiktor Hugo, uważała właśnie *Ruy Blasa* za wyraz swych dążeń politycznych. Nawiasem mówiąc, Sarah Bernhardt opowiada kilkanaście stronic dalej o obiedzie u Hugo w roku 1876, gdzie ze zgrozą spotkała byłych komunardów oraz jednego z socjalistów niemieckich.

Kampania nie odniosła skutku; czołowy aktor Comédie Française, Fernand Ledoux (który w roku 1941 ustąpił z Komedii Francuskiej na znak protestu przeciw rządom kolaboracjonistów), uważa twórczość Hugo za jeden z „siedmiu wielkich klejnotów Komedii", na równi z Molierem, Corneille'em, Racinem, Marivaux, Beaumarchais i Mussetem", André Lang: *Fernand Ledoux*, Calman, Levy Editeurs, 1954. I choć Hugo, jako człowiek, był w okresie pisania *Ruy Blasa* nastrojony bardziej oportunistycznie wobec rządu niż w okresie, gdy walczył o *Le roi s'amuse*, *Marion Delorme* czy *Hernaniego*, jego analiza zjawisk społecznych jest w nowym dramacie głębsza, wymowniejsza a przede wszystkim — bardziej wszechstronna. Obejmuje nie tylko sferę obyczaju, ale i sam mechanizm rządu, „podszewkę" walk o władzę, sens etykiety dworskiej, niwelującej godność ludzką zarówno u rządzących jak i rządzonych, sprawę magnaterii. Tak zapewne rozumieli też *Ruy Blasa* widzowie polscy, którzy w XIX-wiecznej Warszawie podstawiali sobie nieraz zakazane przez carat dzieła naszych romantyków pod tekst Hugoliańskiego dramatu.

Wojciech Natanson

TEATR ROMAIN ROLLANDA

Zofia Karczewska - Markiewicz: *Teatr Romain Rollanda*, Wrocław 1955. Polska Akademia Nauk. Komitet Neofilologiczny. Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich. Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk; str. 334 i 2 nl.

Dla naszego, i nie tylko naszego, ogółu czytającego Romain Rolland to przede wszystkim i niemal wyłącznie twórca powieści: *Jan Krzysztof*, *Colas Breugnon*, *Dusza zaczarowana*, aczkolwiek trzy z jego sztuk (*Wilki*, *Danton*, *Gra miłości i śmierci*) były wystawiane na scenach polskich w latach 1915 — 1930. Fakt znamienny, że nie zostawiły one poważniejszego śladu w naszej krytyce, chociaż *Danton* osiągnął w Teatrze Polskim 38 przedstawień w r. 1924, a *Gra miłości i śmierci* — 24 przedstawienia również w Teatrze Polskim w roku 1930.

Książka Zofii Karczewskiej-Markiewicz — *Teatr Romain Rollanda*, która ukazała się niedawno nakładem Zakładu Imienia Ossolińskich jako wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, ma znaczenie pionierskie, gdyż jest to pierwsza w ogóle (nie tylko w literaturze polskiej) monografia naukowa o twórczości dramatycznej Romain Rollanda i jak każda praca pionierska, musi mieć pewne braki. Sama autorka pisze w przedmowie, że chciała „rozpatrzyć tę twórczość jako wyraz buntu przeciwko bezideowości i płyciźnie teatru mieszczańskiego u zbiegu XIX i XX stulecia a zarazem jako dokument ideowej ewolucji pisarza". Tą wypowiedzią usuwa niejako poza ramy swych rozważań analizę literacko-artystycznych wartości dramatów Romain Rollanda, decydujących przede wszystkim o ich ciężarze gatunkowym jako dzieła sztuki i stanowiących kamień probierczy przy ostatecznej ich ocenie.

Praca Z. Karczewskiej-Markiewicz jest owocem poważnych i drobiazgowych studiów przede wszystkim w zakresie szczegółowego zbadania klimatu politycznego, w którym dojrzewał ideologiczny protest Romain Rollanda prze-

ciw swej epoce, zawarty w jego dramatach. O postawie ideowej młodocianego pisarza świadczy zdanie, zanotowane w dniu inauguracji wystawy paryskiej, zorganizowanej w stulecie Wielkiej Rewolucji Francuskiej: „Czuję się bardziej republikaninem niż Francuzem. Poświęciłbym swoją ojczyznę dla republiki... Wierzę w Republikę przyszłości, która obejmie całą ziemię." Temu wyznaniu pozostanie wierny aż do śmierci.

Przy kreśleniu linii ideowej ewolucji Rollanda autorka miała drogę ułatwioną dzięki możności korzystania ze źródeł rękopiśmienych, które udostępniła jej wdowa po pisarzu, Maria Rolland (nie wydane drukiem dramaty, pamiętniki, wspomnienia, listy, notatki). Lektura Spinozy, Renana, którego poznał osobiście, Bergsona, Tołstoja, działa zapładniająco na chłonną wrażliwość młodego pisarza. Jednocześnie porywają go obrazy francuskich impresjonistów. Jedynie teatr francuskiego *fin de siècle'u*, zwłaszcza „fałszywy korneliańizm", budzi w nim gwałtowny sprzeciw. Znamienna jest niechęć do Rostanda, którego sztuki, zwłaszcza *Cyrano de Bergerac* i *Orlątko*, w tryumfalnym pochodzie obiegły cały świat. Źródło tej niechęci tkwi nie tylko w biegunowo przeciwnej postawie ideologicznej dwóch pisarzy, ale w odruchu instynktu samozachowawczego Rollanda, któremu nigdy nie udało się osiągnąć tej umiejętności posługiwania się efektami teatralnymi, jaką w pełni posiadł Rostand. Inna sprawa, że pod względem ideowej głębi Rolland daleko poza sobą pozostawił Rostanda.

Dwuletni przeszło pobyt w Rzymie (1889—1892) to okres kiełkowania w umyśle młodego pisarza pomysłów ośmiu dramatów, osnutych na tle walk klasowych w starożytności i w epoce renesansu włoskiego. Przewodnikiem jest mu Szekspir, doradczynią i pierwszą czytelniczką Malwida von Meysenburg, sędziwa, bo już siedemdziesięcioletnia, niegdyś przyjaciółka Liszta, Wagnera i Nietzschego, później wychowawczyni córek Hercena. Korespondencja z nią (1892—1903), częściowo ogłoszona drukiem, to prawdziwa kopalnia najsubtelniejszych wibracji wrażliwego umysłu młodego pisarza.

Wybór tematów i bohaterów w jego pierwszych sztukach jest uzależniony od jego ówczesnych poglądów i nastrojów. „Wybrałem Empedoklesa. Zawsze lubiłem tego półboga i jego wiara jest bardzo bliska mojej wierze." A jakaż to była wiara? Pisze o niej w dwadzieścia osiem lat później dojrzały Rolland w esseju o Empedoklesie: „Wszyscy powinniśmy walczyć, by wyzwolić się z nienawiści... i zdobyć pokój. To powinno być dziełem każdego i wszystkich". W liście do Malwidy z 1892 r. pisze o *Kaliguli:* „Jest to sztuka szalona — jak sam temat. Nie chodzi już o to, żeby być granym, chodzi o to, żeby ulżyć sobie samemu". A więc klapa bezpieczeństwa?

Lektura Sofoklesa i Eurypidesa skierowuje jego wyobraźnię ku mitom greckim. *Niobe* to udramatyzowany poemat, który powstaje pod wrażeniem grupy Niobe i Niobidów, widzianej we Florencji. Dwunastodniowy festiwal Wagnerowski w Bayreuth, na który Rolland wybrał się w towarzystwie Malwidy, nie pozostaje bez wpływu na jego renesansowe dramaty (*Baglioni, Oblężenie Mantui, Joanna z Piennes, Savonarola*). We wszystkich wymienionych ośmiu dramatach widać, jak młody pisarz gorączkowo szuka nowych form, opierając się na wzorach Szekspira, antycznej tragedii, nawet Wagnerowskich dramatach muzycznych.

Jednocześnie te pierwsze młodzieńcze próby są dokumentami walki, czasem może podświadomej, z ideologią burżuazyjną, która panowała w jego klasie i w której był wychowany. Stąd sprzeczności w jego ówczesnych utworach. Wybór tematów z przeszłości to dowód ucieczki od zagadnienia współczesnego życia. O *Savonaroli* tak pisze: „Wszystkie jego cierpienia są moimi cierpieniami, jak on szamoczę się na próżno w świecie podobnym do jego świata." „Najrealniejsze moje zainteresowanie to dzielić niepokój biednych ludzi, zrozpaczonych i osamotnionych, jak Savonarola, Beethoven i ci wszyscy, których buntuje zło świata." Autorka, zamykając ten cykl, stwierdza, że „sprzeciw Rollanda w stosunku do współczesności jest spontaniczny: wyrasta bardziej z uczuciowych aniżeli z rozumowych przesłanek".

Ludwik Święty (1895), napisany pod wpływem Wagnerowskiego *Parsivala*, otwiera drugi okres: *Tragedie wiary*. W tym cyklu mamy utwór *Aërt* (pierwsza sztuka Rollanda wystawiona w teatrze l'Oeuvre) osnuta na temacie z dziejów Holandii XVII wieku. Właściwie zawiera ona „historię duszy walczącej z obłudą środowiska"—rzecz w duchu ibsenowskim. Po raz pierwszy pisarz ata-

kuje tu problem współczesny. Właściwie jednak pierwszym dramatem Rollanda o tematyce rewolucyjnej są *Zwyciężeni*.

Zagadnienie rewolucyjnego przymusu i terroru wystąpi w pełni dopiero w *Teatrze Rewolucji*. Głównym źródłem natchnienia były dla poety dzieła Micheleta, aczkolwiek zdawał sobie sprawę z jednostronnie romantycznego ich charakteru. Własne studia archiwalne umożliwiły mu przewartościowanie ustalonych w jego epoce poglądów na Wielką Rewolucję Francuską i doprowadziły go do dodatniej oceny roli Robespierra. I znowu jesteśmy świadkami gigantycznej erupcji twórczej energii Rollanda.

Z zamierzonych dwunastu dramatów, które miały złożyć się na tę „Iliadę narodu francuskiego", powstało tylko osiem [*Wilki* (1898), *Zwycięstwo rozumu* (1899), *Danton* (1899), *14 lipca* (1901); *Gra miłości i śmierci* (1924), *Palmowa Niedziela* (1926), *Leonidy* (1927), *Robespierre* (1938)].

Jest faktem znamiennym, że pierwsza sztuka cyklu *Wilki* powstała pod bezpośrednim wrażeniem sprawy Dreyfusa, której problemat przeniósł autor na lato 1793 r., z czego wynikły ideologiczne sprzeczności dramatu. Autorka podkreśla stanowisko Rollanda jako obrońcy Dreyfusa, a jednogłośnie twierdzi, że światło, jakie poeta rzucił na wypadki 1793 roku, ma, dzięki potępieniu dyktatorstwa władzy jakobinów, charakter wybitnie antyrewolucyjny i jest wyrazem ówczesnych przekonań Rollanda, zgodnych ze stanowiskiem burżuazyjnego liberalizmu. Ten pogląd autorki wywołał żywe sprzeciwy na posiedzeniu Sekcji Dramatu ZLP. Wpływ sprawy Dreyfusa znać również na *Zwycięstwie rozumu*. Jest to apologia żyrondystów, których autor przedstawia jako męczenników, cierpiących za „wiarę republikańską" pod terrorem jakobinów.

Danton to obraz konfliktu między dwiema potężnymi indywidualnościami: Dantonem i Robespierrem. Autorka uważa, że „nad ujęciem dramatu zaciążyły poglądy burżuazyjnej nauki, wyolbrzymiającej rolę jednostki w historii, umniejszającej problemy walki klasowej". Według niej Rolland czyni z Dantona bohatera narodowego, jego brak decyzji i skłonność do kompromisów traktując jako objawy szlachetnego patriotyzmu. Ostatni akt *Dantona*, w którym uczestniczą masy ludowe, „świadczy o usiłowaniach stworzenia nowej formy teatralnej, pełnej dynamiki, jaką daje zbiorowość". Ale dopiero *14 lipca* urzeczywistnia koncepcję rdzennie ludowego widowiska.

Cykl dramatów skierowanych przeciwko wojnie imperialistycznej otwiera *Nadejdzie czas*. „Ten dramat oskarża nie jeden naród europejski, ale całą Europę. Dedykuję go cywilizacji." Tak scharakteryzował Rolland tendencję sztuki napisanej pod wrażeniem wojny Anglików z Burami w południowej Afryce. Fakt zamknięcia właściwego konfliktu w moralnej walce, jaką toczy angielski marszałek Clifford między ludzkimi uczuciami a obowiązkiem żołnierza, świadczy dodatnio o wnikliwości psychologicznej pisarza, o celowym zajmowaniu pozycji ideologicznego przeciwnika, aby go w rezultacie doprowadzić do kapitulacji. Clifford umiera ze słowami: „Najbardziej winien ze wszystkich jest ten, który czyni zło przez słabość, wiedząc, że je czyni, i żałując tego... Nie ma zwycięzców, są tylko zwyciężeni". Rzecz ciekawa: *Nadejdzie czas* był wystawiony w Belgii, w Niemczech, w Austrii, ale nie w Paryżu. Napisany w 1902 roku, dzielącym dramaty rewolucji od *Beethovena* i I tomu *Jana Krzysztofa*, jest jakby zapowiedzią potężnej erupcji protestu przeciw zakłamaniu w świecie ówczesnych pojęć i zgodnych z nimi czynów w arcydziele powieściowym Rollanda.

Pod świeżym wrażeniem pierwszej wojny imperialistycznej pisze fantastyczną satyro-farsę *Liluli*, demaskującą w sposób niesłychanie zjadliwy obłudę panującą zarówno w obozie reakcyjnym jak postępowym. Autor niezestawił tu wojny imperialistycznej z wojną rewolucyjną, w masach ludowych zarówno francuskich, jak niemieckich widział tylko bierność ślepych narzędzi w rękach podżegaczy wojennych. „*Liluli* jest buntem francuskiego Jana Krzysztofa przeciwko francuskiemu kłamstwu" — tak pisał Rolland w 1920 roku.

Gra miłości i śmierci rozpoczyna drugą serię *Teatru Rewolucji*. Napisana w 1924 roku, kiedy utrwalała się nowa postawa pisarza wobec zagadnień rewolucji, częściowo kształtująca się pod wpływem Gandhiego — potępia terror rewolucyjny. Znowu człowiek „kaloskagatos" góruje tu nad demagogiem.

Leonidy (1927) to nowy etap ideolo-

gicznej ewolucji autora, wykazującego wartości humanistyczne, jakie ludzkość zawdzięcza rewolucji.

Wreszcie *Robespierre* (1938) udowadnia tragiczną tezę o konieczności stosowania terroru w walce rewolucyjnej. W epilogu śpiew *Marsylianki* przechodzi w *Międzynarodówkę*. Tym efektem autor chciał podkreślić zjawisko ciągłości ruchów rewolucyjnych.

Autorka tak charakteryzuje znaczenie *Teatru Rewolucji:* „Dramaty Rollanda, niedoskonałe w treści i formie, ale zrodzone z marzenia o teatrze ludowym, nawiązujące do postępowych, rewolucyjnych tradycji narodowych, trzeba umieścić na jednym z początkowych etapów walki o ludowy, socjalistyczny realizm w sztuce. Są one u podstaw nurtu, z którego wyrósł współczesny nam rewolucyjny i bohaterski, historyczny dramat radziecki".

Jak widać z powyższego, autorka wypełniła całkowicie program zawarty w przedmowie („dokument ideowej ewolucji pisarza"). Natomiast niemal zupełnie pominęła to, czego mamy prawo się spodziewać po pracy, noszącej tytuł *Teatr Romain Rollanda:* skreślenie linii artystycznego dojrzewania twórcy dramatów. Samo ich streszczenie i „ustawienie" ideologiczne nie wystarcza. Chcemy coś wiedzieć o hierarchii artystycznej utworów, obejmujących czterdziestoletni okres twórczości, o różnicach, jakie dzielą pierwsze, nie wydane i nie wystawiane dramaty młodego pisarza od *Teatru Rewolucji,* pod względem budowy, narastania konfliktu dramatycznego, rozwoju charakterów.

Z książki Z. Markiewicz-Karczewskiej nie dowiadujemy się, czy to były tylko teatralne plakaty ideologiczne o wstrząsającej ekspresji i jaskrawej kolorystyce, czy też prawdziwe dzieła sztuki, których nieprzemijające wartości ideowe i artystyczne nie zostały obniżone przez aktualne aluzje polityczne, nie ściągnęły ich na poziom publicystyki teatralnej. Sam fakt, że Rolland przywiązywał dużą wagę do swej twórczości dramatycznej, nie powinien zaważyć na obiektywnej ocenie i wartościowym zestawieniu jej z arcydziełami jego prozy powieściowej. A po sumiennym przestudiowaniu *Teatru Romain Rollanda* przychodzimy do wniosku, że twórca *Teatru Rewolucji* mierzył wprawdzie siły na zamiary, ale osiągnięcia jego w tej dziedzinie nie dorównały jego wspaniałej twórczości epickiej.

*

Już w 1890 roku w swoich nie ogłoszonych drukiem *Kartach przeszłości* Rolland pisze: „Sztuka powinna być jak przyroda: dostępnym dla wszystkich źródłem życia i siły". To była idea przewodnia jego twórczości dramatycznej. Zdaniem Rollanda teatr ludowy ma trzy zadania: 1. być wytchnieniem fizycznym i moralnym (zabawa jako element obowiązujący), 2. źródłem energii, 3. światłem dla umysłu. Poza tym słusznie stwierdza fakt, że teatr ludowy zbliża się do optyki teatru greckiego. Natomiast nie możemy całkowicie aprobować jego selekcji repertuaru, z którego wyłącza między innymi Corneille'a i niemal cały teatr klasyczny, zalecając raczej melodramat. Jak wiemy, współczesny nam Théâtre Populaire Vilara wystawia z dużym powodzeniem właśnie *Cyda* Corneille'a, a teatr radziecki w swoim żelaznym repertuarze umieścił sztuki Szekspira, Moliera, Calderona, Lope de Vegi, nawet Wiktora Hugo. Dziś, gdy postulat teatru ludowego jest urzeczywistniany we Francji w Teatrze Ludowym, w Niemczech w teatrze Brechta, w Anglii w Teatrze Robotniczym, święcącym niedawne triumfy na Festiwalu paryskim, a najpełniej na scenach radzieckich — nigdzie sztuki Rollanda nie są grane. Czy to karygodne przeoczenie, czy też jakiś zasadniczy mankament tych sztuk?

Dlaczego Leon Schiller, znakomity znawca teatru rewolucyjnego i nieporównany operator tłumów na scenie, nie tylko nigdy nie reżyserował dramatów Rollanda, ale nie upomniał się o ich wystawienie, jak to czynił w stosunku do dramatów romantycznych i do Wyspiańskiego? Niewątpliwie ciekawym eksperymentem byłoby wystawienie obecnie którejś z granych u nas przed laty sztuk Rollanda albo nie znanego w Polsce, a zdaje się najdojrzalszego *Robespierre'a.*

Książkę *Teatr Romain Rollanda* uzupełniają dwa zwięzłe i przejrzyste streszczenia, jedno w języku rosyjskim, drugie we francuskim, bibliografia i indeks nazwisk. W bibliografii oprócz dzieł Rollanda, zarówno wydanych drukiem jak rękopiśmiennych, mamy bogaty spis prac i artykułów o Rollandzie, które ukazały się w językach: francu-

skim, niemieckim i rosyjskim. Natomiast nie wymieniona została ani jedna praca w języku polskim, choć istnieje, wydana po wojnie w r. 1953 w Wiedzy Powszechnej, niewielka, ale sumiennie opracowana książeczka Adama Kotuli, a po premierach sztuk Rollanda w okresie międzywojennym ukazały się liczne recenzje w prasie polskiej. To całkowite pominięcie rezonansu dramatów Rollanda w Polsce stanowi duży brak książki, która jest niewątpliwie owocem poważnego nakładu sumiennej pracy analitycznej.

W syntetycznych ujęciach pewnych zjawisk piśmiennictwa i sztuk plastycznych spotykamy gdzieniegdzie upraszczania i wulgaryzację, np. (str. 24): „Daleka do aktywnego udziału w walce społecznej sztuka impresjonistów, zwłaszcza w późniejszym okresie, poetyzowała rzeczywistość burżuazyjną, odwracała uwagę od prawdziwego obrazu świata, stwarzając nierealny «świat wrażeń».“ Albo: „Twórczość takich pisarzy jak Piotr Loti czy — później — Klaudius Farrère jest odbiciem dążeń imperializmu francuskiego do ekspansji kolonialnej.“

Język jasny, nie przeładowany terminami naukowymi, nie zdradzający usiłowań popisywania się erudycją, na ogół poprawny z drobnymi odchyleniami, np. „tematyka p r z e ś l e d z o n a“, „n i e b a są mniej celnie zaobserwowane“. „ćwiartki mięsa“ zam. „ćwierci“ (mówi się: „ćwiartki cielęciny“), „jestem z nim jeszcze daleko w polu“ (w przekładzie z francuskiego, str. 76), „nie jest żadnym geniuszem“ (germanizm). Wreszcie błąd, może korektorski — *Mieszczanin z Calais* zamiast *Mieszczanie z Calais* (znana rzeźba Rodina).

W zakończeniu autorka tak ocenia twórczość dramatyczną Rollanda: „Dzięki temu, że pragnął przywrócić teatrowi francuskiemu godność i wielkość, że walczył o teatr narodowy, realistyczny i bohaterski, teatr wychowujący najszarsze masy ludowe, był Romain Rolland jednym z pionierów sztuki socjalistycznej.“

To prawda. Ale prawdziwym mistrzem był w prozie powieściowej. I dlatego pożądane jest, aby najrychlej napisana została monografia jego powieści.

Stefania Podhorska-Okołów

TOBIASZ SMOLLETT – NAIWNY REALISTA

T o b i a s z S m o l l e t t: *Niezwykłe przygody Roderyka Randoma*. Tłum. Bronisław Zieliński, PIW, t. I, II, str. 263 + 287.

Jeśli chcemy na przykładzie literatury jednego tylko kraju zobaczyć, jak bardzo odbiegała od swych oświeceniowych początków powieść naszego wieku, weźmy do ręki jednocześnie Smolletta i Joyce'a. Lekturze *Niezwykłych przygód Roderyka Randoma*, którymi po Fieldingu i Sternie obdarował nas PIW, towarzyszy nieodłącznie uczucie, jakbyśmy stali przed portretami przodków. Zawdzięczamy im swoje istnienie — to prawda. Dlatego szacunek dla nich jest tu zupełnie na miejscu. Ale po bliższym przyjrzeniu się niezwykłym fryzurom i strojom trudno powstrzymać się od pobłażliwego uśmiechu. Dlaczego jednak Smollett jest tak szczególnie przydatny w zestawieniu historycznym przeszłości literackiej ze współczesnością? Czyżby pozostali wielcy pisarze angielscy osiemnastego stulecia w niczym nie grzeszyli staroświeczyzną? Gdzież tam znowu! Obficie zakrapiane łzami utwory Richardsona, moralizatorstwo powieści Fieldinga — świadczą o czymś wręcz przeciwnym. Najbardziej może „współczesny“ charakter mają kapryśne utwory Sterne'a, stanowiące jakby uwerturę do analizy psychologicznej powieści naszego wieku. Pisarstwo Smolletta jest dziś dla nas tradycyjne, odległe w czasie, przypominające bardzo wyraźnie Cervantesa i Le Sage'a. (Dzieła obu twórców autor *Roderyka Randoma* przekładał na angielski.)

W przedmowie do swego dzieła Smollett — podobnie jak Fielding w *Przygodach Józefa Andrewsa* i przed

rozpoczęciem każdego nowego rozdziału w *Tomie Jonesie* — daje jakby teoretyczny wykład swej sztuki pisarskiej, wygłasza credo naiwnego jeszcze realizmu: „Ze wszystkich odmian satyry żadna nie jest tak zabawna ani tyle nie daje powszechnej korzyści, co ta, którą wprowadza się jakby przypadkiem, w toku ciekawej opowieści, gdzie każde wydarzenie ma rumieniec życia, gdzie dobrze znane sceny, przedstawione z niezwykłego a ucieszne-go punktu widzenia, zyskują wdzięk nowości, każdy zaś szczegół posiada swe odzwierciedlenie w naturze". Po czym zastrzega się jeszcze raz, pod koniec swych wywodów: „Każdy rozumny czytelnik dostrzeże, iż w faktach nie uchybiłem naturze, wszystkie one są w zasadzie prawdziwe, aczkolwiek okoliczności zostały zmienione i zamaskowane, ażeby uniknąć osobistej satyry."

Po tych wyznaniach autora tym ciekawiej przedstawia się fakt przytaczany przez późniejszych monografistów jego twórczości.*) Otóż Smollett odżegnywał się, zaprzeczał stanowczo tym wszystkim, którzy skłonni byli dopatrzeć się w dziejach Roderyka Randoma losów samego pisarza. Bał się, by nie utożsamiano go całkowicie z fikcyjnym bohaterem. Oba krańcowe stanowiska byłyby tu niesłuszne. Smollett zgodnie ze swym teoretycznym stwierdzeniem wstępnym pragnie, „aby każdy szczegół posiadał swe odzwierciedlenie w naturze". Czyli — punktem wyjścia w jego pracy twórczej była obserwacja, przeżycia poznane z autopsji. A że — jak to pisze Parandowski w *Alchemii słowa* — literatura jest nieustannym zwierzaniem się, przeto i Smollett we własnym życiu widział najwięcej materiału do swych powieści. Robił to jednak naiwnie (w sensie historycznym — „naiwnie" z dzisiejszego punku widzenia). Losy skrzywdzonego przez dziadka Roderyka, przebijanie się przez świat wyłącznie o własnych siłach, praktyka felczera okrętowego — to momenty wyraźnie autobiograficzne. Nie jest to jednak w powieści jedyny żywioł. Smollett w oparciu o własne przeżycia i obserwacje stworzył zgodny z tytułem *(Niezwykłe przygody)* utwór. Bardzo tradycyjny w kompozycji ciąg przygód połączony jest osobą głównego bohatera; żeby zaś akcję jeszcze dodatkowo rozluźnić (czynią to również inni powieściopisarze tego okresu — np. Fielding w *Przygodach Józefa Andrewsa)*, autor wprowadza wstawki — opowieści (typowy przykład — *Historia panny Williams)*. Te stare ramy konstrukcyjne udźwignęły jednak nową treść społeczną.

Mimo że Smollett bardzo ogranicza zasięg swej powieści, nie daje przekroju tylu warstw co Fielding w *Historii Toma Jonesa, znajdy*, to przecież i on jednak zawarł spore wycinki współczesnego mu życia angielskiego. Z najżarliwszą pasją obnaża fałszywy mit romantycznego żeglarza. Okazuje się, że nie zawsze zachwyca się on egzotyką zamorskich krajów, natomiast dość często trudni się wątpliwym moralnie procederem. Choćby i sam wuj Roderyka — Tomasz Bowling (nawiasem mówiąc jedna z nielicznych postaci powieściowych zbudowana z krwi i kości) nie gardzi handlem niewolnikami. Z ironią opisuje autor nieudolność i tępotę oficerów i dowódców marynarki z okresu zbrojnej rywalizacji hiszpańsko-angielskiej o bogactwa Południowej Ameryki. W książce Smolletta razi nas dzisiaj pewna jednostronność w charakteryzowaniu postaci. Satyryczna żyłka zawiodła autora zbyt daleko, doprowadziła do przesady. Bohaterowie książki to — oprócz felczerów, aptekarzy i różnego autoramentu wilków morskich — oszuści, złodziejaszki, włóczęgi, wydrwigrosze. Z nimi to właśnie nasz bohater uwikłany jest w rozliczne perypetie i przygody.

Roderyk — z pewnością w tym momencie *porte-parole* autora — jest nieodrodnym dzieckiem swej epoki. Kiedy podczas choroby kapelan zadaje mu pytanie, jaką wyznaje religię, słyszy zdumiony: „odpowiedziałem, że jeszcze się nie zastanowiłem nad różnicami między jedną religią a drugą, toteż nie obrałem sobie żadnej w szczególności". Trzeba jednak przyznać Roderykowi całkowitą rację. Nie tylko nie zastanawiał się co do swej religii. W ogóle sprawy przeżyć wewnętrznych są mu raczej obce. Obdarzony jest sensualną

*) G. M. Kahrl: *Tobias Smollett. Traveler-Novelist.* Chicago, 1945.
*) L. M. Knapp: *Tobias Smollett,* Doctor of Men and Manners, Princeton 1949.

wrażliwością na otaczający go świat. Toteż całą „zewnętrzność" epoki opisuje najdokładniej, jak jego autentyczny kolega po piórze z wcześniejszego okresu, Samuel Pepys. Oto np. kiedy Roderyk wyrusza do Londynu, zabierze ze sobą cały dobytek, który składał się z „jednego ubrania, pół tuzina koszul z koronkami i tyluż zwykłych, dwóch par wełnianych i dwóch par nicianych pończoch..." etc. Smak i koloryt epoki oddaje najpełniej chyba — obok realiów materialnych — język powieści. Rubaszny jak u Chryzostoma Paska, sarmacki chciałoby się powiedzieć; chwilami nawet wulgarny. Dalekich analogii można by szukać z naszym Jeżem, pisarzem wprowadzającym do literatury właśnie niestylizowany język mówiony. Dla ilustracji przytoczmy taki obrazek: przed starym, umierającym sknerą stoi szorstki marynarz, Tom Bowling: „odpływasz pan na tamten świat, ale jako żywo, licho jesteś wyekwipowany na ów rejs." Niestety — wrażenie prawdziwego życia, jakie wywołują w czytelniku sceny karczemno-okrętowe, psuje typowe dla romansu Oświecenia happyendowe zakończenie. Tak umowne i sztuczne, jak sobie to tylko można wyobrazić. Nie wystarczyło, aby wuj Bowling wydobył Roderyka z więzienia i otworzył przed nim perspektywy uczciwego życia, aby ukochana Narcyza wyrzekła się dlań wspaniałomyślnie swej fortuny; bohater, który bez skrupułów popełnił na swej drodze niejedno łotrostwo, odnajduje w sposób zupełnie nieprawdopodobny ojca — wzbogaconego, jak się okazało — po czym razem odkupują rodzinną posiadłość w Szkocji. A oto najbardziej fałszywy, końcowy fragment powieści, bardzo podobnie brzmiący do zakończenia *Lady Roxany* Defoe'go: „Jeżeli jest na tej ziemi taka rzecz, jak szczęście prawdziwe, to właśnie ja go zażywam. Burzliwe porywy namiętności przycichły teraz i przemieniły się w słodką czułość i w spokój miłowania umocnionego przez ów najbliższy związek i zespolenie serc, jakie dać może jedynie cnotliwe małżeństwo. Fortuna snadź postanowiła szczodrze mi wynagrodzić swoje uprzednie okrucieństwo, albowiem mój prawnik pisze, że mimo owej klauzuli w testamencie teścia, na której brat Narcyzy opiera swoje roszczenia, z pewnością odzyskam majątek mojej żony, a to dzięki dołączonemu kodycylowi, który wyjaśnia tę klauzulę i ogranicza jej ważność do wieku lat dziewiętnastu, po którego przekroczeniu Narcyza ma prawo rozporządzać swoją osobą." Tego nie pisała już ręka realisty.

Ryszard Wasita

LIST SZOŁOCHOWA DO REDAKCJI PISMA „LITERATURA ZAGRANICZNA"

Szanowny Towarzyszu Redaktorze!

Przeczytałem właśnie pierwszy numer pisma *„Literatura Zagraniczna"*. Uważam, że pismo ma przed sobą wdzięczne zadanie. Winno ono pomóc ludziom radzieckim w lepszym poznaniu i zrozumieniu literatur innych narodów.

W związku z ukazaniem się pierwszego numeru chciałbym poruszyć kilka istotnych zagadnień.

Chodzi mi o międzynarodowe kontakty kulturalne i szeroką wymianę doświadczeń twórczych między pisarzami radzieckimi i zagranicznymi.

Każdy naród, zarówno wielki jak i mały, posiada swoje wartości kulturalne. Wartości te składają się na wielki dorobek duchowy człowieka.

Naród nasz wniósł wiele do skarbca kultury światowej. Naród nasz, pragnąc, by wartości jego kultury narodowej stały się własnością całej ludzkości, był szczodry i bezinteresowny.

Odnosiliśmy się przy tym zawsze z szacunkiem do osiągnięć kulturalnych innych narodów. Przekonywającym świadectwem tego są między innymi liczne wyjazdy przedstawicieli radzieckiego świata kulturalnego za granicę i serdeczność, z jaką spotykaliśmy zawsze cudzoziemskich gości.

Nie chcę przytaczać tu faktów — są one powszechnie znane. Pozwolę sobie jedynie przypomnieć, że tylko w roku 1954, o ile mi wiadomo, kraj nasz odwiedziło około 10 tysięcy cudzoziemców.

Niezbitym dowodem naszego głębokiego szacunku dla kultury innych narodów są liczne i wielokrotne wydania pisarzy obcych, przy tym dotyczy to nie tylko klasyków.

Naród nasz dąży do nadania jak największego rozmachu kontaktom kulturalnym z zagranicą. Tym właśnie dążeniem kierowali się ludzie radzieccy, kiedy Rada Najwyższa ZSRR podczas swej drugiej sesji powzięła 9 lutego br. znaną uchwałę, podkreślającą konieczność zacieśnienia międzynarodowej wymiany kulturalnej, jako ważnego czynnika normalizacji stosunków międzynarodowych.

Znajdowałem się wówczas wśród deputowanych i z radością głosowałem za uchwałą.

Dziś, gdy Konferencja Genewska jest już faktem historycznym, nie ma potrzeby mówić o tym, jakie czynniki utrudniały narodowi radzieckiemu wydatne rozszerzenie wymiany kulturalnej z zagranicą...

Nie ma potrzeby powtarzać, że „zimna wojna" i szczera, życzliwa współpraca kulturalna wykluczają się nawzajem.

W swoim czasie nasze kontakty kulturalne z takim państwem jak USA zacieśniały się i utrwalały. Współpraca narodu amerykańskiego i radzieckiego podczas wojny stworzyła wszelkie przesłanki dla rozwoju naszych przyjacielskich kontaktów również w okresie powojennym.

Niestety, stało się inaczej.

Wszystkie usiłowania naszego kraju, zmierzające do nawiązania ściślejszych kontaktów kulturalnych z USA, były bezskuteczne albo prawie bezskuteczne.

Co prawda, wśród setek i tysięcy gości zagranicznych, którzy co roku przy-

jeżdżali do Związku Radzieckiego i podróżowali po naszym kraju, było także wielu Amerykanów — jednakże do niedawna była to tylko gościnność jednostronna.

Pragnąłbym jednak, jak już wspomniałem, mówić nie o czasach minionych, lecz o przyszłości.

Jestem przekonany, że jeśli „duch Genewy" przeniknie teraz wszystkie dziedziny życia międzynarodowego, to sprawa wzmożenia kontaktów kulturalnych uzyska szerokie perspektywy rozwoju.

Pisarze całego świata powinni mieć swój okrągły stół. Możemy różnić się poglądami, ale łączy nas jedno: chcemy służyć sprawie człowieka.

Jeśli chodzi o nas, pisarzy radzieckich, szczerze pragniemy, by nasze kontakty ze wszystkimi pisarzami były równie bliskie i twórcze, jak z roku na rok zacieśniające się stosunki z naszymi braćmi po piórze z wielu krajów Wschodu i Zachodu. Chętnie bym się dowiedział, co myślą o tym moi koledzy w Ameryce, Anglii, Niemczech Zachodnich i Japonii. Wymieniam ich na pierwszym miejscu dlatego, że w okresie powojennym nasze kontakty kulturalne z tymi państwami pozostawiają wiele do życzenia.

O to mi przede wszystkim chodziło w tym liście.

Chciałbym poza tym wysunąć pewne propozycje w związku z działalnością nowego pisma.

Sądzę, że pismo powinno publikować wszystko, co nacechowane jest prawdziwym talentem i co pomaga ludziom żyć życiem godnym człowieka.

Byłbym rad, jak sądzę, nie tylko ja jeden, gdyby pismo wasze stało się trybuną twórczej wymiany myśli dla wszystkich, którym sprawy literatury współczesnej leżą na sercu. Bylibyśmy wdzięczni pismu, gdyby użyczyło swych szpalt na korespondencję czytelników radzieckich (również i literatów) z autorami utworów, jakie będziecie publikować.

Możliwe, że lektura tych utworów, ukazujących świat wewnętrzny, walkę i nadzieje innych narodów, pobudzi czytelników radzieckich do wypowiedzenia myśli, które zaciekawią pisarzy zagranicznych. Nie ma pisarza obojętnego na opinię czytelników. Pamiętam, jak ciekawe były dla mnie głosy czytelników zagranicznych po ukazaniu się *Cichego Donu*. Były to głosy różnorodne, bynajmniej nie ze wszystkim się w nich zgadzałem, jednakże jako pisarz znalazłem w nich wiele pouczającego materiału.

Wydaje mi się, że tego rodzaju korespondencja sprzyjałaby wzajemnemu poznaniu i wzbogaceniu o nowe wartości duchowe.

Piszę ten list w przekonaniu, że nadszedł czas, kiedy przy dobrej woli i wzajemnym szacunku sprawa wszechstronnego rozwoju kontaktów kulturalnych może nabrać szerokiego rozmachu, oczywiście tylko w tym wypadku, jeśli dążyć będą do tego obie strony.

Poruszam te wszystkie zagadnienia, rzecz jasna, w najbardziej ogólnej formie, ponieważ jestem przekonany, że jeśli będziemy zgodni w sprawach zasadniczych, to reszta ułoży się pomyślnie.

Chętnie bym się dowiedział, co o tym sądzą moi koledzy za granicą.

Jestem głęboko przekonany, że znajdziemy wspólny język.

Michał Szołochow

RADZIECKA DRAMATURGIA TEATRALNA I FILMOWA

Równolegle z dyskusją na tematy repertuarowe — szczególnie ożywioną na progu nowego sezonu teatralnego — w prasie literackiej i teatralnej omawia się sprawy natury ogólnej, analizuje zagadnienia teorii dramatu, realizmu socjalistycznego w dramatopisarstwie.

Jakkolwiek na II Zjeździe Pisarzy Radzieckich dokonano głównie podsu-

mowania dorobku dramaturgii radzieckiej w ostatnim dwudziestoleciu, oceniono jej stan obecny — to jednak w koreferacie Korniejczuka o dramaturgii i w dyskusji zjazdowej poruszono również sprawy teorii dramaturgii. Omawiając dyskusję zjazdową radzieckie czasopismo „*Teatr*“ (nr 2/55) w artykule redakcyjnym *Ku nowym wielkim osiągnięciom* poruszyło sprawę z gruntu niesłusznego i szkodliwego ujmowania zagadnień realizmu socjalistycznego z punktu widzenia wyrozumowanych teorii, a nie pod kątem żywej praktyki twórczej.

„Realizm socjalistyczny — czytamy w artykule „*Teatru*“ — to nie zastygła równina, ale żywy proces rozwojowy radzieckiej literatury i sztuki.“

Przede wszystkim — cechują go twórcze poszukiwania własnego oblicza, własnego stylu, systemu obrazów, barw i chwytów pisarskich. Dzieła wybitnych dramatopisarzy radzieckich, jak Bill-Biełocerkowski, Trieniew, Wsiewołod Iwanow, Ławrieniew, Pogodin, Wiszniewski, Korniejczuk, Afinogienow, Simonow, Kron, Sofronow, Arbuzow i in. — odznaczają się właśnie głęboką indywidualnością.

„Z goryczą trzeba zanotować — czytamy w omawianym artykule „*Teatru*“ — że w najnowszych utworach dramatycznych nie spotykamy takiej różnorodności poszukiwań, natomiast zdarzają się wypadki naśladowania konstrukcji wątkowych, postaci, barw, motywów. Odnosi się wrażenie, że pewnym prądom i nurtom, które stanowią o bogactwie dramatopisarstwa radzieckiego — bogactwie, polegającym na wielorakości i różnorodności — pozwalamy po prostu wsiąknąć w piasek.“ Zdaniem autora artykułu — nie rozwijają się, na przykład, te nowatorskie kierunki i nurty, które do dramaturgii radzieckiej wniosła twórczość Wiszniewskiego, Leonowa, Swietłowa.

Myśli, zawarte w tych rozważaniach, rozwinęła N. Zorkaja w artykule *Poszukiwania nowatorskie* („*Teatr*“, Nr 7/55). Aczkolwiek autorka jest człowiekiem teatru i rozważania swoje snuje z punktu widzenia teatralnego, niemniej jednak wywody jej dotyczą i dramatopisarstwa, zwłaszcza sprawy twórczej więzi spektaklu z utworem dramatycznym. Zdaniem autorki artykułu — w przedstawieniach teatralnych ostatniej doby daje się jednak zauważyć pewne urozmaicenie ujęć i stylów, co pozwala rozważania o bogactwie i różnorodności form w realizmie socjalistycznym oprzeć na materiale konkretnym.

Zorkaja ostrzega przed utożsamianiem jednolitości metody realizmu socjalistycznego z jednolitością stylu. Stawianie znaku równości między metodą a stylem jest krańcowym wyrazem błędnych poglądów na istotę realizmu socjalistycznego. Zorkaja wyraża przekonanie, że utożsamianie tych dwóch pojęć — zwęża pojęcie realizmu socjalistycznego jako sposobu ujmowania rzeczywistości, rozciąga zaś pojęcie stylu. W praktyce teatralnej prowadzi to do kanonizowania uświęconych tradycją inscenizacji i interpretacji. W dramatopisarstwie — do zastygnięcia tradycyjnych form i kompozycji, do ich zrutynizowania. Wiąże się to ze specyfiką sztuki scenicznej.

„Dysponując własnymi, tylko sobie właściwymi sposobami i środkami odtwarzania rzeczywistości — pisze Zorkaja — sztuka sceniczna pozostaje wewnętrznie uzależniona od innej dziedziny sztuki — od dramatopisarstwa. Zarazem jednak — dramat nabiera pełnego, własnego brzmienia dopiero na scenie.“ I dlatego sprawy stylu w teatrze są niezwykle skomplikowane. W związku z tym powstaje swoiste kryterium oceny stylu i metodologicznych podstaw teatru. Kryterium to stanowi harmonijna zgodność przedstawienia z utworem dramatycznym. Niezależnie od tej czy innej, mniej lub bardziej oryginalnej interpretacji i realizacji sztuki — teatr winien stać się wyrazicielem i głosicielem idei dramatopisarza. Jak to formułuje Zorkaja — „teatr słowami pisarza wypowiada własne słowo o rzeczywistości — dokonuje na scenie odkrycia prawdy życiowej“.

Rozwijając myśl o współdziałaniu twórczym teatru i dramatopisarstwa Zorkaja pisze: „Jednym z najbardziej niebezpiecznych, nieszczęsnych skutków formalizmu w teatrze i jedną z przyczyn jego uzasadnionego upadku — było lekceważenie literackiego oryginału utworu scenicznego“. Takie właśnie lekceważenie, chociaż w nieco innej postaci, towarzyszy ingorującemu artystyczną oryginalność autora naturalizmowi w realizacji teatralnej.

Tak więc — w odczytaniu, odsłonięciu istoty utworu dramatycznego olbrzymią rolę odgrywa teatr, wyposażony w bogaty zasób różnorodnych środków artystycznego oddziaływania. Na przykładzie dwóch inscenizacji *Cieni* Sałtykowa-Szczedrina — A. Dikiego w Moskwie i N. Akimowa w Leningradzie — Zorkaja ilustruje, w jak różny sposób dwaj wielcy artyści odczytali i oddali tę klasyczną komedię satyryczną. Nie trzeba dodawać, że oba rozwiązania sceniczne wypływają z ducha utworu Szczedrina, wiernie oddają artystyczne zamierzenia autora.

Oryginalność artystycznego stylu teatru — reżysera i zespołu aktorskiego — tkwi w sposobie widzenia sztuki i odtwarzania jej na scenie. A więc — wspólna wszystkim jest metoda realizmu socjalistycznego, natomiast dla indywidualności reżysera i odtwórców, dla ich gustów i upodobań, ich maniery twórczej — jedynym prawidłem jest podążanie za dramatopisarzem w jego nawet najśmielszych i najróżnorodniejszych pomysłach dramaturgicznych.

Zorkaja przytacza powiedzenie Niemirowicza-Danczenki, który rozwój teatru i dramatopisarstwa określił w ten sposób: moskiewski MCHAT rozpoczął swą działalność od tego, że był „teatrem reżysera", a poprzez „teatr aktora" osiągnął największy stopień dojrzałości jako „teatr autora".

Na kilku przykładach najnowszych inscenizacji moskiewskich — od klasyków: Szekspira, Ostrowskiego, Czechowa — do pisarzy współczesnych (Rozow) autorka artykułu ilustruje swe twierdzenie o nowatorskich poszukiwaniach teatru, opartych na świeżości i bogactwie treści dramaturgicznej.

Dużym krokiem naprzód w dziedzinie badań nad teorią i historią dramatopisarstwa są prace monograficzne o poszczególnych dramaturgach. W ostatnich kilku latach wyszły monografie: o Trieniewie — pióra E. Surkowa, o Ławrieniewie — Ewentowa, o Afinogenowie — Bogusławskiego, o Simonowie — Łazariewa, o Korniejczuku — dwie monografie: Gorbunowej i Parchomienko itd. Krytyk M. Gus w artykule *Należy stworzyć teorię i historię radzieckiego dramatopisarstwa* („*Teatr*" Nr 3/55) zanalizował kilka wymienionych prac. Zdaniem Gusa — jedną z najcelniejszych publikacji tego rodzaju jest książka E. Surkowa o Trieniewie. Monografia ta daje pełny obraz drogi twórczej Trieniewa, klasyka dramaturgii radzieckiej, który od postawy pisarza-demokraty w latach przedrewolucyjnych doszedł do ideowo-artystycznych wyżyn sztuki *Lubow Jarowaja*. Monografię Surkowa cechuje konsekwentny historyzm. Zdaniem Gusa — bez historycznego rozbioru socjalistycznego dorobku narodu radzieckiego na określonym w dramacie etapie dziejowego rozwoju nie można dotrzeć do ideowo-artystycznego sedna utworu dramatycznego.

„Jeśli krytycy i badacze — czytamy w artykule Gusa — pokazują, w jaki sposób z socjalistycznego doświadczenia i dorobku narodu, z faktów, zaczerpniętych z powszedniej pracy i twórczości socjalistycznej — wykwita obrazowe myślenie poszczególnego artysty, to muszą podać ścisłą, polityczną definicję istoty procesów i przejawów odtwarzanej przez pisarza rzeczywistości. A zatem analizie każdego utworu towarzyszyć musi polityczna charakterystyka realnych faktów i materiałów życiowych — stypizowanych i uogólnionych w postaciach i obrazach."

Na przykładzie monografii Gorbunowej i innych autorów Gus udowadnia, że prace te zbyt mało uwagi poświęcają dziejom walki o zwycięstwo realizmu socjalistycznego w dramaturgii, a także — historii prądów i nurtów wewnątrz tego kierunku. Wiadomo, na przykład, że w latach 30-tych toczyła się bardzo ostra polemika między Afinogenowem a Wiszniewskim i Pogodinem. Nie omawia tego autor monografii o Afinogenowie — Bogusławski, nie wspominają o tym i inni badacze. Autor *Maszeńki* postulował stworzenie dramatu „z pułapem" — w znaczeniu dosłownym (domagał się sceny z sufitem!) tzn. walczył o kameralny kształt scenicznego odtwarzania rzeczywistości radzieckiej. (Nawiasem dodam, że kontynuatorem pełnego liryzmu kameralnego dramatu Afinogenowa jest autor *Tani* i *Lat wędrówek* — Arbuzow.) Wiszniewski zaś i Pogodin byli zwolennikami wielkich malowideł dramatycznych, wieloplanowych i wielopostaciowych, o wątkach osnutych na wielkich konfliktach społecznych. Twórczym wy-

razem tej polemiki były sztuki: *Pierwsza konna* Wiszniewskiego i *Mój przyjaciel* Pogodina.

Ta polemika sprzed lat — jak pisze teatrolog A. Karaganow w *Uwagach o dramatopisarstwie Afinogenowa i jego krytykach pt. Poezja uczuć i żarliwość myśli („Sowietskaja Kultura"* z 23.VI) — „...dopomagała w zrozumieniu tej prawdy, że nasza dramaturgia nie tylko może, ale i powinna zmierzać do przyświecającego jej wspólnego celu rozmaitymi drogami twórczymi, troskliwie pielęgnując i kultywując w ramach jednolitej metody realizmu socjalistycznego indywidualność artystyczną".

Chociaż widzowie radzieccy bardzo lubią satyrę i interesują się sprawami twórczości satyrycznej (przykład: niesłabnące powodzenie *Łaźni* i *Pluskwy* Majakowskiego, a także innych komedii satyrycznych) prasa literacka ostatnio stosunkowo mało pisała o satyrze. W *Uwagach o dramaturgii („Litieraturnaja Gazieta"* z 4.VI) krytyk teatralny A. Anastasjew polemizuje z tymi, którzy w utworze satyrycznym chcieliby widzieć odbicie wszystkich spraw życia. Zdaniem Anastasjewa — przekracza to możliwości twórcze dramaturgów, ograniczone gatunkową specyfiką satyry. „Zadanie satyryka — pisze Anastasjew — nie na tym polega, by dawać pełny obraz rzeczywistości... Satyryk posiada prawo do hiperboli, do maksymalnej przesady; kreśląc ujemne przejawy życia wyolbrzymia je przecież w tym celu, aby je pokonać śmiechem. I na tym polega jego zadanie twórcze. Ogólny obraz życia — to bynajmniej nie sprawa satyry."

Anastasjew porusza również niezmiernie ważną sprawę, czy w komedii satyrycznej można odtwarzać także postacie pozytywne — bez uszczerbku dla satyrycznego oddziaływania utworu i bez ryzyka pomniejszenia atrakcyjnej siły pozytywnych bohaterów. Anastasjew problem ten uważa za nieco scholastyczny; interesuje go natomiast zagadnienie ustalenia przez autora stosunku postaci pozytywnych do satyrycznych, problem zachowania się postaci pozytywnych wobec demaskowanych typów ujemnych. „Oczywiście — pisze Anastasjew — w tym wypadku, jak w ogóle w sztuce, uniwersalnych recept stosować nie można. Przypuszczam jednak, że cel artystyczny pisarza polega na tym, by wytyczyć właściwą linię postępowania bohatera pozytywnego: powinien on wraz z widzem śmiać się z postaci satyrycznej, ba! więcej nawet — winien ją wyśmiewać, a tym samym potęgować siłę demaskatorską utworu."

W różne kształty i formy przyobleka się radziecka twórczość dramatyczna, docierając na estradę, do radia, do filmu. Szczególne ożywienie panuje w dramatopisarstwie filmowym — w związku z wydatnym podniesieniem produkcji filmowej (w rb. do 50 filmów fabularnych, w latach najbliższych — do 150 filmów rocznie, co stwarza zapotrzebowanie na 400 scenariuszy rocznie).

Zagadnienia dramaturgii filmowej były przedmiotem rozważań na II Zjeździe Pisarzy Radzieckich — w koreferacie reżysera i scenarzysty S. Gerasimowa i w dyskusji zjazdowej. Zagadnienia te są ciągle omawiane na zebraniach twórczych pisarzy i filmowców oraz w prasie. Specyfika kinematografii oddziaływuje na dramaturgię filmową w stopniu jeszcze silniejszym niż specyfika sztuki scenicznej na dramatopisarstwo teatralne. Scenariusz jest utworem bardziej skomplikowanym niż dramat, zawiera bowiem w sobie elementy i dramatopisarstwa, i prozy — stanowi ich artystyczną syntezę.

Ta złożona natura dramaturgii filmowej stała się źródłem wielu nieporozumień, przede wszystkim — między reżyserami a pisarzami. Gerasimow zwalcza pogląd wielu pisarzy, że ich sprawą jest dać wytwórni filmowej własny wątek, zawarty w noweli, w dramacie, w powieści lub w poemacie, i przelać na nią prawo do przeróbki filmowej, ekranizacji. Inny, krańcowo przeciwstawny, ale już bardziej do przyjęcia pogląd głosi, że (cytuję Gerasimowa) „...Utwór literacki można w pełni odtworzyć środkami filmowymi, gdy pisarz w swoim scenariuszu (bez względu na to, czy to jest przeróbka, czy też nowy, oryginalny twór dramatopisarstwa filmowego*) daje reżyse-

*) W wypowiedziach wybitnych scenarzystów i reżyserów akcentuje się postulat, by w żadnym wypadku scenariusz nie był półfabrykatem, ale gotowym, zakończonym utworem.

rowi wystarczające tworzywo obrazowe."

Istota sztuki pisania scenariuszy polega na operowaniu obrazami, a to wszak jest sednem wszelkiej twórczości pisarskiej. „Toteż — mówił Gerasimow — im wyżej stoi kunszt pisarski autora, tym żywsze i bardziej obrazowe są twory jego wyobraźni, tym różnorodniej i konkretniej kształtują się jego obrazy literackie."

Jest rzeczą drugorzędną, do jakiego gatunku literackiego zaliczamy utwór, służący za podstawę do napisania scenariusza literackiego — byleby odznaczał się dramatyzmem narracji, szybkim tempem, ostrością konfliktów, ścisłością i zwartością dialogów.

Zagadnienia dramaturgii filmowej często wypływają na łamy prasy literackiej. *„Litieraturnaja Gazieta"* (z 11.VIII) w artykule redakcyjnym *O owocną, harmonijną współpracę pisarzy i filmowców* tak określa trudności twórcze scenarzystów: „Scenariusz wymaga nie tylko zwartej kompozycji, ostrego konfliktu, maksymalnie wyrazistej charakterystyki bohaterów, treściwego, przejrzystego dialogu, tzn. cech właściwych i prozie, i dramaturgii. Scenarzysta musi dbać także i o to, by uczucia i czyny ludzi odsłonić w sposób uwzględniający swoiste właściwości kinematografii. Film daje możność zarówno naocznego pokazania świata zewnętrznego, w którym rozwija się akcja dramatyczna, jak i przekazania głębokiego sensu wydarzeń."

Problemy dramatopisarstwa filmowego omawia wychodzący nakładem wydawnictwa „Iskusstwo" („Sztuka") i komisji dla spraw dramaturgii filmowej przy Związku Pisarzy Radzieckich specjalny rocznik *„Zagadnienia dramaturgii filmowej"*. Pierwszy numer tego rocznika (1954) zawiera zbiór artykułów i prac pióra wybitnych scenarzystów i reżyserów, stenogramy prelekcji na seminariach dla dramatopisarzy filmowych. W roczniku tym opublikowano też wypowiedzi o filmie i dramaturgii filmowej — Gorkiego, A. Tołstoja, Wiszniewskiego, Pawlenki, Eisensteina i in. W artykule *Słowo w scenariuszu filmu fabularnego* reżyser i scenarzysta, A. Dowżenko, ostrzega scenarzystów przed sprzeczną ze specyfiką sztuki filmowej gadatliwością i rozlewnością dialogów. Dowżenko uważa scenarzystę za naczelnego „projektanta" filmu fabularnego; praca dramaturga filmowego określa i wytycza głębię i swoistość widzenia i odbicia rzeczywistości w filmie. O wzajemnym stosunku pisarza do reżysera filmowego, o konieczności harmonijnego współdziałania scenarzysty z realizatorem filmu także w procesie produkcji filmowej, o współodpowiedzialności dramatopisarza filmowego za film — pisze w roczniku S. Gerasimow.

Na zakończenie — zacytuję przytoczone w roczniku słowa Gorkiego: „W sprawach kinematografii literaci powinni przyjąć jak najżywszy udział. My, literaci, powinniśmy tworzyć scenariusze, to nasza sprawa."

Józef Spinc

CZY KONIEC WIELKIEGO BLUFFU?

Ulubioną grą Amerykanów jest poker. Jak Anglików — kriket, a Rosjan — szachy. W szachach potrzebna jest umiejętność skupienia umysłu i matematyczna nieomal zdolność kalkulacji. Kriket to gra wyrównana i najczęściej kończy się nierozegraną. Poker wreszcie wymaga mocnych nerwów, aby z jednakim spokojem kryć bank i podwajać najwyższą stawkę mając dobre karty, jak i wtedy, gdy trzyma się w ręku pięć bezwartościowych blotek. Na tym polega bluff. Przy odpowiedniej wprawie może do czasu zapewnić znaczne nawet sukcesy. Ale jeśli gracz pokerowy spotka się z szachistą? Wówczas sytuacja zazwyczaj się zmienia. Bo w obliczu chłodnych obliczeń i przewidywań bluff wychodzi na jaw. I trzeba z konieczności szukać innych,

mniej hazardownych sposobów układania stosunków z ludźmi. W życiu codziennym a także w życiu narodów nazywa się to normalizacją. Takim właśnie międzynarodowym zdarzeniem była Konferencja Genewska. I słusznie któryś z publicystów angielskich nazwał ją końcem wielkiego bluffu — czyli zimnej wojny.

Swą karierę amerykańską zaczął poker jakie sto lat temu, wśród kalifornijskich poszukiwaczy złota. Nic dziwnego. Byli to ludzie twardzi, o nerwach ze stali, a cała ich egzystencja była nieprzerwanym ciągiem hazardów. Toczyła się w bezustannej, napiętej rywalizacji o to, kto pierwszy zajmie złotodajny teren, w zaciekłej walce prospektorów z przyrodą i między sobą, w niepewności, czy dokonana odkrywka zapewni właścicielowi miliony, czy też okaże się pustką zabarwioną jedynie złudnymi śladami drogocennego kruszcu — jak gdyby sama natura rozgrywała z człowiekiem bezwzględną i podstępną a niszczycielską partię.

Wszystko to sprzyjało upatrywaniu w życiu czegoś w rodzaju nie kończącej się nigdy gry. Więc chwyty pokerowe zakorzeniły się mocno za oceanem, sięgając w każdą dziedzinę istnienia. Droga do milionów wiodła często brzegiem przepaści bez dna, wielkie fortuny wyrastały z dziwacznej mieszaniny upartych wysiłków, żelaznej wytrzymałości, brutalnej przemocy, szybkiej orientacji i szalonego niekiedy ryzyka. Reklamę handlową oparto całkowicie na bluffie, tak dalece, że nawet towar najlepszy nie mógł się obejść bez niebotycznej blagi. A w sferze polityki poker doszedł stopniowo do godności uświęconej tradycją zasady. W polityce wewnętrznej zaobserwować to można z okazji każdej kampanii wyborczej; w polityce zagranicznej bluff przybrał tak dobrze znaną postać zimnej wojny.

Nie zawsze tak bywało. Jeszcze Roosevelt nie uciekał się bodaj wcale do bluffu. Dulles jednak wyniósł go do roli permanentnej metody. Dzisiaj musi zawracać, co nie jest rzeczą prostą.

Od Genewy, od Zjazdu Wielkiej Czwórki i zjazdu fizyków atomowych, liczymy nową erę — międzynarodowego zbliżenia. Ale jeśli spotkanie mężów stanu czterech mocarstw było punktem zwrotnym, samo przesilenie zimnej wojny nastąpiło wcześniej. Uwydatniło się w sposób niewątpliwy już z górą rok temu, podczas konferencji genewskiej poświęconej sprawie Indochin. Na niczym spełzły wszystkie wysiłki Dullesa, intrygi, próby zaskoczeń i groźby, ukoronowane odosobnieniem w willi nad Lemanem. Nie przeszkodziły biegowi rokowań i zawieszeniu broni. Amerykański sekretarz stanu musiał pogodzić się z presją silniejszą niż jego nacisk, presją rzeczywistości. Najlepiej obmyślane metody pokerowe prysły, gdy trzeba było wyłożyć karty na stół i okazało się, że John Foster Dulles po prostu bluffuje. Zimna wojna uległa załamaniu.

Epoki zimnej wojny nie można i dzisiaj uważać za zamkniętą, bo tworzące ją siły wcale nie wyginęły. Cofnęły się tylko pod naporem innych. Wystarczy spojrzeć na fakty. Przekonamy się wówczas, jak każdemu zewnętrznemu zdarzeniu towarzyszą — nieraz je poprzedzając — zjawiska zachodzące w głębi; niejako w ukryciu, a jednak decydujące.

Zanim wszakże przejdziemy do treści tych procesów, zwróćmy uwagę na ramy. Stwierdźmy najpierw, że w Stanach Zjednoczonych objawy podziału klasowego, chociaż bardzo wyraźne, nie są, zwłaszcza w zakresie form i obyczajów, tak ostre i zakrzepłe jak w Europie. Z górą półtora wieku po Rewolucji Francuskiej pani de Guermantes, nie tylko w wyobraźni Prousta, ale i w rzeczywistej Francji, żyje na innej planecie niż midinetka paryska. Podobnie dziedzic i fornal w przedwojennej Polsce. Nie znajdziemy tego lub prawie nie znajdziemy w Ameryce — z wyjątkiem może feudalnych szczątków w stanach południowych.

Milioner amerykański może jadać na złotych talerzach i kąpać się w wannie o złotych kranach. Ale trybem życia, biegiem dnia, ubiorem i umysłowością, sposobem bycia i wyrażania się, typem rozrywek i manierami niewiele stosunkowo się różni od najskromniejszego ze swoich podwładnych. Tak samo forsownie pracuje i zjada naprędce południowy lunch, tak samo chodzi do kina i przesiaduje przy telewizorze, a jadąc do biura i wracając do domu sam prowadzi samochód. Chodzi tu o symptomy w za-

sadzie zewnętrzne. Nie wyrównują one istniejących przepaści gospodarczych, a tym samym społecznych. Mają jednak swe głębsze znaczenie. Leżą u korzeni, a przynajmniej stanowią dowód, powierzchownego może, lecz odgrywającego swą rolę, demokratyzmu stosunków amerykańskich.

Jedną z cech amerykańskiej codzienności jest życzliwy, przyjazny stosunek do ludzi. Amerykanin ma to niejako we krwi. Toteż w praktycznym zetknięciu ta wrodzona życzliwość bierze w nim z reguły górę nad teoretycznym, nabytym poglądem. Szeroko rozpowszechniona, szczególnie w konserwatywnych, tradycjonalistycznych stanach Środkowego Zachodu, wrogość do ZSRR nie przeszkodziła tamtejszym zakutogłowym farmerom jak najserdeczniej podejmować wycieczki kołchoźników radzieckich. A kiedy na szekspirowski obchód w Stratford, stanu Connecticut, przyjechać miał nowojorski korespondent *„Prawdy"*, miejscowa prasa — ta sama, która bez przerwy okrzykiwała go wywrotowym agentem i szpiclem — najpierw wydębiła w departamencie stanu zgodę na jego przyjazd, a potem stawała na głowie, aby mu uprzyjemnić pobyt.

Drugą właściwością, która z tamtą się wiąże, jest uczciwość w prymitywnym skądinąd myśleniu. U jej źródeł leży purytanizm i tradycje pierwszych osadników, pochodzących z tego narodu rzetelnych kupców, jakimi są Anglicy. Tu co prawda są rzeczy bardziej skomplikowane niż w sprawach gościnności. Dawniej Amerykanin wierzył w Biblię i kaznodziejów i wszystko było dlań proste. W naszych czasach wierzy temu, co głosi prasa, radio, film, telewizja i siłą nawyku w nich szuka uproszczeń. Wierzy im, jeśli nawet nie we wszystkich szczegółach, to przynajmniej w ogólnym tonie. Trudno zresztą, by mogło wyglądać inaczej. Trudno oprzeć się koncentrycznemu działaniu 1700 gazet o 50 milionach nakładu, stosom magazynów, olbrzymiej sieci radiowej, a wreszcie 20.000 srebrnych ekranów i 35 milionom ekranów telewizyjnych. Ale skutki są fantastyczne, by nie powiedzieć groźne. Pod tym wpływem niejeden Amerykanin najgłębiej był przekonany, że np. Rosjanie to naród podludzi rządzonych przez piekielną mafię na Kremlu, a Moskwa stanowi zbiorowisko lepianek, wokół których krążą białe niedźwiedzie.

Łatwo pojąć, jak musi mącić się w głowie przeciętnego Amerykanina, kiedy dziś amerykański dziennikarz, jeszcze do niedawna głoszący takie „niezbite prawdy", odkrywa sam ze zdumieniem, że Moskwa jest wielkim, ośmiomilionowym miastem, gdzie auta i autobusy pędzą czwórszeregiem, jak w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku. Że w kolejce podziemnej i parkach tłumy „dzikich Rosjan" rozczytują się, co prawda nie w comicsach, lecz w arcydziełach literatury światowej. Że, dalecy od stania się „społecznością komunistycznych robotów", Rosjanie tworzą naród zwarty i prężny, a zarazem złożony z żywo i samodzielnie myślących jednostek.

Te i inne sprzeczności w ocenach życia radzieckiego podkreśla Stewart Alsop, znany współpracownik *„New York Herald Tribune"*, głównego organu rządzącej partii republikańskiej. A śladem Alsopa zaczynają iść inni publicyści Ameryki.

Równolegle z tym zimna wojna przestaje być nietykalnym tabu. Jeszcze wiosną prasa USA zachłystywała się „pozycjami siły" i podawała sensacyjne opisy atomowych manewrów jako wstępu do nieuchronnej wojny. Dziś prezydent Eisenhower przedstawiany jest jako „pierwszy bojownik o pokój", który „nawet gdy był żołnierzem, nawet w czasie wojny marzył o tym, by przejść do historii jako człowiek pokoju". Co więcej, „o swój wysoki urząd ubiegał się prezydent tylko w nadziei, że będzie mógł swoim wnukom i wnukom innych ludzi przekazać w dziedzictwie świat spokojny i na zawsze bezpieczny od wojen". W ten sposób wyrażają się zarówno liberalne pisma, jak i najbardziej dotąd niezłomne w antykomunizmie. „Trzeba świat wyrwać z rąk podżegaczy — pisze osławiony *„Newsweek"* — i powierzyć go twórcom pokoju." Słowo pokój, obłożone najsurowszą klątwą, najsroższym interdyktem, skazane na wieczystą, zdawało się, banicję, wraca, pod naciskiem pragnień społeczeństwa, do pełni obywatelstwa, splendoru i blasku.

Nie lekceważmy tych drugorzędnych

z pozoru objawów odprężenia. W skutkach mogą okazać się znacznie bardziej doniosłe, niż się to na pierwszy rzut oka wydaje. Podważają bowiem w opinii amerykańskiej fałszywy mit o Związku Radzieckim, stanowiący główną pożywkę całej histerii wojennej. Mało pawdopodobny jest szybki bieg tego procesu. Opinia zbyt jest zatruta. Ma dość histerii, nie zna jednak jej właściwych źródeł. I często wprost kurczowo trzyma się wbitych jej, niczym przysłowiowe ćwieki, błędnych, lecz na odległość trudno sprawdzalnych pojęć.

Ale i tu obserwować można pewne znamienne przejawy. Nie ma hasła bardziej wziętego w Ameryce niż slogan o „żółtym niebezpieczeństwie". Wojna z Japonią była właściwie jedyną naprawdę popularną wojną. Szczególną pod tym względem zaciętość wykazują stany zachodnie, gdzie imigracja z Azji datuje się od dawna i gdzie ją zwalczano za pomocą najbardziej drakońskich środków. Jeszcze z początkiem lata, przed jubileuszową sesją Narodów Zjednoczonych w San Francisko, jednolitość szerokiej opinii była w Kalifornii prawie zupełna: każda wzmianka o dopuszczeniu Chin do ONZ narazić mogła nieomal na lincz. Jednak już w parę miesięcy później senator Walter George, który słynie z tego, że „czuje pismo nosem" i wie, jak trawa rośnie, mógł spokojnie wysunąć żądanie rozmów Dullesa z Czou En-lai'em, pewien, że nawet w Kalifornii zdobędzie sobie poklask. I nie omylił się w swoich rachubach.

Jedno w tym wszystkim może wydać się trochę niepojęte. Dlaczego prasa przeprowadza choćby nieśmiałą rewizję pojęć, skoro, jak wiemy, związana jest z wielkim kapitałem, z natury antyradzieckim, a opinia, poza ogólnikowym pragnieniem pokoju, nie umie sformułować określonych żądań, wywrzeć bardziej konkretnego i wyraźnego wpływu? Odpowiedź da nam choćby najbardziej pobieżne rozważenie — na tle stanu umysłów — dzisiejszego układu sił politycznych a zwłaszcza gospodarczych Ameryki.

Najpierw więc, nawiązując do zdania, że prezydent Eisenhower chce przejść do historii jako „człowiek pokoju", przypomnijmy, że w kampanii wyborczej 1952 roku hasło zakończenia wojny na Korei było — jak już teraz dokładnie widzimy — naprawdę decydującym atutem. Jesienią 1956 odbędą się nowe prezydenckie wybory. A Biały Dom to ma do siebie, że jego lokatorzy chcą w nim jak najdłużej przebywać. Nie wolny od tych ambicji jest i dzisiejszy jego mieszkaniec. Wszystkie zaś sondowania opinii wskazują niedwuznacznie na jeszcze silniejsze niż w okresie poprzedniej kampanii pragnienie pokoju. Fakt ten dyktuje treść przyszłych haseł i platformę wyborczą: stawkę na „lewe" skrzydło partii republikańskiej, nawiązanie do jej lincolnowskich tradycji, podkreślenie tezy o „pokojowym dziedzictwie" prezydenta dla „późnych wnuków".

Prezydent Eisenhower nie jest może indywidualnością na miarę Roosevelta. Ale skupia w sobie sporo z tych cech, które w dodatni sposób charakteryzują przeciętnego Amerykanina: sporą szczyptę zdrowego rozsądku, skłonność do umiaru, poczucie rzeczywistości, tak znamienne dla ludzi pochodzących ze stanów, gdzie człowiek znacznie więcej obcuje z przyrodą niż z gabinetem biurowym, aktami i kontraktami. Eisenhower urodził się w Teksasie i wychował w Kansas.

Do wyborów jeszcze daleko i w chwili pisania tych słów trudno przewidzieć, czy prezydent wytrwa w nowoobranej postawie. W dużej mierze będzie to zależało od biegu wydarzeń na polu gospodarczym.

Tutaj momentem jak dotąd najbardziej doniosłym była atomowa Konferencja Genewska. W zasadzie miała charakter czysto naukowy. Ujawniła jednakże szereg faktów o niezmiernym znaczeniu ekonomicznym. Obok wykazania olbrzymich postępów ZSRR w stosowaniu energii atomowej dla celów pokojowych najważniejszym było stwierdzenie, że pod tym względem także i Europa Zachodnia wyprzedziła poważnie Stany Zjednoczone. A perspektywy na przyszłość są dla USA jeszcze bardziej niepokojące: zarysowuje się pool atomowy Anglii, Francji, Holandii i Belgii, który już wkrótce może stanowić groźną konkurencję, a na dalszą metę nawet obalić dzisiejszą miażdżącą przewagę gospodarki amerykańskiej w świecie kapitalistycznym.

Europa Zachodnia zużywa obecnie 325 miliardów kWh energii elektrycznej rocznie. Według przewidywań ekspertów w ciągu najbliższych 10 lat zapotrzebowanie to wzrośnie dwukrotnie. I zgodnie z istniejącym projektem blisko połowę wzrostu, czyli prawie 150 miliardów kWh, pokryć mają elektrownie atomowe. Prąd ten już za lat parę swą taniością będzie mógł skutecznie rywalizować z dotychczasowym. A wówczas, jeśli USA nie nadrobią dość szybko zapóźnienia, przemysł zachodnio-europejski będzie miał wszelkie widoki odzyskania na rynkach światowych pozycji utraconych na rzecz Ameryki.

Są wszelkie po temu dane. W zakresie badań nad pokojowym zużyciem energii atomowej i w zakresie praktycznego ich stosowania Anglia zwłaszcza uczyniła postępy znacznie większe niż Stany Zjednoczone. Nie ma przy tym w Europie sił dość potężnych, aby rozwój ten zwalczać. Wszechwładne niegdyś angielskie koncerny naftowe, wyparte z Wenezueli i wypierane z Bliskiego Wschodu przez Amerykanów z Rockefellerowską Standard Oil na czele, tracą wciąż na znaczeniu. Przestarzałe pod względem urządzeń brytyjskie kopalnie węgla zostały upaństwowione i nie mają głosu. Francuskie i belgijskie miały zawsze podrzędną wagę. Ponadto dla Holandii, pozbawionej w ogóle węgla, napęd atomowy byłby błogosławieństwem. Belgia zaś, dysponując w Kongo najbogatszymi ze znanych złożami uranu, znalazłaby się w rzędzie czołowych mocarstw przemysłowych świata.

Z tych faktów zdają sobie sprawę w Ameryce. Obawa, że prędzej czy później Kongo belgijskie i jego uranowe zasoby wymknąć się mogą spod władzy Wall Street, stała się przyczyną charakterystycznego zjawiska. Od dłuższego już czasu na całym obszarze Stanów trwają poszukiwania rud pierwiastków promieniotwórczych, a rok 1955 przyniósł ogromne zwiększenie tego ruchu. Szpalty wielkich pism zapełniają sążniste ogłoszenia spółek prospektowych; ich akcje są przedmiotem spekulacji w skali nie znanej od dni wielkiego krachu giełdowego z 1929. A prawdziwi lub samozwańczy eksperci rozpisują się co dzień o możliwościach własnych Ameryki w dziedzinie atomowego surowca. Zapowiedź, że Państwowa Komisja Atomowa dostarczy jednej z elektrowni spółki akcyjnej Niagara-Mohawk Power Corp. prądu z reaktora koncernu General Electric w West Milford, stanu New York, rozreklamowano w prasie bez żadnej proporcji do nikłej bardzo ilości tego prądu.

Myśl, że Europa w szybkim tempie prześciga Stany Zjednoczone w atomowej produkcji energetycznej, spędza sen z oczu magnaterii amerykańskiej. Nie cała przecież zainteresowana jest w wojnie. Trwogę pogłębia pewność, że z wojny atomowej USA wyszłyby w gruzach. Że więc takiej wojny prowadzić nie mogą i nie powinny. Rząd gorąco umizga się do profesora Oppenheimera, którego jeszcze niedawno uznał za „złe ryzyko" i usunął ze wszystkich stanowisk za kwestionowanie sensu rozbudowy produkcji bomb wodorowych. Teraz rząd pragnie zapomnieć o „incydencie".

Świadomość tego stanu rzeczy dociera nawet do Pentagonu, choć jeszcze latem 1954 szef połączonych sztabów, admirał Radford, poparty przez Dullesa, chciał interweniować w Wietnamie z pomocą bomb atomowych i tylko stanowczy rozkaz prezydencki powściągnął jego zapały. Głos i nacisk umiarkowanych odłamów generalicji, pieniężnej i wojskowej, obok żądań opinii, skłonił Eisenhowera do udziału w spotkaniu genewskim i zgody na uczestnictwo Ameryki w genewskiej konferencji uczonych. Ta ostatnia była dużym przełomem. Doświadczenie jest najlepszym sprawdzianem prawdy. Zjazd naukowy w Genewie obalił definitywnie wciąż dotąd odradzający się mit o prymacie Ameryki na polu praktycznego zastosowania wiedzy o atomie. Niedawno dostał dymisję szef sztabu armii, osławiony gen. Ridgway, zwolennik rozbudowy efektywów lądowych. Przed ustąpieniem opracował memoriał, który chciał podać do prasy. Zapobiegł temu minister obrony, Wilson, uznając pismo za „ściśle tajne". Mimo to pewne szczegóły przedostały się na łamy dzienników. Ridgway nadal domaga się zwiększenia liczebności armii. Lecz nie to w memoriale jest interesujące. Znamiennie brzmi pierwsze zdanie i podstawo-

wa przesłanka: „Ponieważ świat bliski jest punktu «nasycenia nuklearnego», żaden kraj nie będzie mógł stosować broni jądrowej bez narażenia się na całkowite zniszczenie."

Z drugiej strony nie wolno zapominać, że militaryzacja gospodarki amerykańskiej sięgnęła blisko 25%, jak twierdzą jedni ekonomiści, a nawet 30% — jak utrzymują inni. Proces ten ogarnął przemysły najpotężniejsze — samochodowy, metalurgiczny, chemiczny, elektrotechniczny. Są to te właśnie gałęzie, które w USA uległy największej koncentracji, czyli najłatwiej rzucić cały ich wpływ na rzecz jakiejś jednej politycznej koncepcji. Koncepcją tą była dotąd bezapelacyjnie wojna. Ponadto w latach powojennych powstał kolosalny, zmonopolizowany bez reszty przemysł atomowy i wysunął się szybko na czoło wszystkich przemysłów zbrojeniowych. A wreszcie, nowa postać energii, a raczej zastosowanie jej do celów pokojowych nadal wywołuje gwałtowne i skuteczne sprzeciwy ze strony królów nafty, węgla i wielkich elektrowni prywatnych.

Pamiętajmy następnie o niesłychanie wysokim udziale produkcji wojennej w eksporcie USA. Udział ten dane oficjalne szacują na 8 miliardów dolarów rocznie, w rzeczywistości jest on o wiele wyższy. Jemu to zawdzięczają Stany Zjednoczone ogromne nadwyżki w swoim bilansie płatniczym. A w zakresie importu największą pozycję przedstawiają gromadzone od lat w wojskowych składach Ameryki surowce strategiczne. Dodajmy okupacyjne dochody, wynoszące w Niemczech zachodnich 600 milionów dolarów (tylko dla USA) i prawie 200 milionów w Japonii. Dodajmy przygotowaną już do wywozu broń na uzbrojenie pierwszych 12 dywizji Adenauera — plan przewiduje na ten cel 3 miliardy w ciągu najbliższych 2—3 lat. Dodajmy to wszystko do zasadniczego budżetu armii, lotnictwa i floty w łącznej sumie około 40 miliardów — w czym z górą miliard na samo szpiegostwo — a będziemy mieć w przybliżeniu całość obrazu...

Z takich pozycji nie ustępuje się łatwo. Odwrót z takich pozycji jest w ogóle trudny. Militaryzacja wżarła się w gospodarkę i politykę USA, wycisnęła na nich trwałe, zabójcze piętno, sięgnęła w głąb ich struktury i wywołała gruntowne zmiany samej jej istoty. Nie jest to proces nie do cofnięcia i nieodwracalny; ale im później się zacznie jego likwidacja, tym większe wywoła zakłócenia. A potężne siły nadal zmierzają do tego, by ów stan jeszcze zaostrzyć, aby zmian już nie można było odrobić. I chociaż Genewa stanowi olbrzymi krok naprzód, będziemy z pewnością świadkami różnych prób, różnych zabiegów przeciwnych, w rezultacie zaś niejednego też kroku wstecz.

„Nie należy zbyt wiele spodziewać się po Genewie — mówił w przeddzień otwarcia jeden z ministrów brytyjskich — będzie to początek dziesięciu lat rozmów i konferencji." Wniosek taki tylko z pozoru brzmi pesymistycznie. W rzeczywistości przemiana zimnej wojny i „rokowań z pozycji siły" w normalne — choćby i trudne — rozmowy i konferencje jest osiągnięciem epokowej miary. Zwłaszcza jeśli ją rozpatrywać na tle klimatu Ameryki. Wieją w nim nowe prądy i z trudem docierają do wyniosłych drapaczy Wall Street oraz pod kopuły Waszyngtonu. Ale ich źródła biją coraz gęściej po farmach i małych miasteczkach, w zaułkach wielkomiejskich, wśród lasów i sadów dalekiej prowincji — słowem wszędzie, gdzie żyje, pracuje i dąży do spokojniejszego jutra szary obywatel Stanów Zjednoczonych.

Julian Stawiński

ŚMIERĆ EDMUNDA WIERCIŃSKIEGO

Teatr polski (a z nim literatura nasza) znowu poniósł ciężką stratę. Ze śmiercią Edmunda Wiercińskiego schodzi najwybitniejszy z naszych dzisiejszych reżyserów, artysta umiejący wydobyć na scenie nieprzemijające wartości naszej poezji romantycznej, największego skarbu, jaki posiadamy. Uczeń Leona Schillera, w inscenizacjach swoich szedł własną drogą — umiejąc jednocześnie wykazywać walory poetyckie jak i teatralne najcenniejszych utworów naszych wielkich poetów. Kto pamięta takie przedstawienia, jak *Fantazy* Słowackiego, jak *Cyd* Wyspiańskiego — ten wie, że artyzm Wiercińskiego, połączony z niezawodnym smakiem i żelazną ręką dyscypliny reżyserskiej, tworzył trwałe dzieła teatralne. Leżały one na linii tradycji romantycznej w naszym teatrze, a jednocześnie miały swój nowy, osobliwy ton, przemawiający zrozumiałym głosem do współczesnego widza. Te inscenizacje romantyczne, które dziś jeszcze możemy oglądać na scenie Teatru Polskiego — *Horsztyński* Słowackiego i *Lorenzaccio* Musseta — mają w sobie te same zalety i stanowią trwały wkład do sztuki teatralnej w Polsce. Strata spowodowana śmiercią Wiercińskiego jest tym dotkliwsza, że był On znawcą i umiejętnym realizatorem dzieł najwartościowszych tzw. wielkiego repertuaru. Stworzył styl swój własny i osobliwy, który chyba nie da się naśladować. Był on bardzo dużej miary indywidualnością. Brak jego doświadczonej ręki i jego wnikliwego umysłu boleśnie odczuje sztuka polska.

ji

ABY NAWIĄZAĆ DIALOG

W sierpniowym numerze *„La Table Ronde“* znajdujemy jak gdyby niespodziewane echo listu Szołochowa do redakcji *„Inostrannej Litieratury“*, przedrukowanego w niniejszym numerze *„Twórczości“*.

Są to rozważania o koegzystencji — pióra znakomitego pisarza francuskiego, Emmanuela Berla, krytyka, filozofa i esseisty, równie mocno w swoim czasie zbliżonego do lewicy, jak gorąco się od niej odżegnywującego. Pamiętamy, że w latach trzydziestych Berl dał szereg świetnych, drapieżnych i odkrywczych essejów, w których obnażał po kolei wszystkie mity, jakimi żywiła się filozofia i moralność burżuazyjna *anno* 1930 (*La mort de la Pensée bourgeoise, La mort de la Morale bourgeoise, Le bourgeois et l'amour* i inne).

Dzisiaj Berl pisze: „Koegzystencja jest hasłem dnia. Przywódcy polityczni narodów zdają się wreszcie rozumieć, że narody będą musiały razem umrzeć, skoro okaże się, że nie potrafią razem żyć. Należałoby sobie życzyć, aby wysiłek podejmowany zewsząd przez dyplomatów był podjęty także, w ich własnej dziedzinie, przez intelektualistów. Ale niestety! ci ostatni zwykli wadzić się ze sobą wówczas, gdy politycy

ich obozów są poważnieni, a gdy tamci zbliżają się do siebie, ci bynajmniej się nie jednają".

Tymczasem Berl podobnie jak Szołochow uważa, że zerwany dialog należy nawiązać na nowo. Przeszkadzają w tym różne uprzedzenia i zacietrzewienia, z którymi należy się najpierw rozprawić. Berl bierze za przykład argumentację katolików przeciwko marksizmowi i analizuje ich zarzut najcięższego kalibru — wulgarny materializm marksistów.

„Myślę, że trzeba wreszcie skończyć z zadziwiającym stekiem głupstw powypisywanych na ten temat przez niektórych pobożnych polemistów. Warto, aby ci panowie po latach chwalebnego gromienia przeciwnika, w którego racje nie starali się wniknąć, wbili sobie raz na zawsze do głowy, że materializm nie oznacza wcale wyboru pomiędzy materią a duchem na korzyść tej pierwszej. Wyboru takiego materializm dokonać po prostu nie może. Nie może on bowiem wybierać materii i odrzucać tego, co nią nie jest, skoro zakłada, że poza materią nie ma nic. To tak, jakby fizyk, uważający, że masa i energia, to jedno i to samo, akceptował jedno, a odrzucał drugie. Materialista nie jest bynajmniej jakimś biblijnym Saulem, który za miskę soczewicy rezygnuje ze słuchania Mozarta i czytania Szekspira — uważa on jedynie, że ta sama siła, która zrodziła soczewicę, zrodziła także wiersze i muzykę."

Dlaczegóż jednak katolicy stale wywlekają ten zarzut wulgarnego materializmu? — zapytuje Berl. Bo radzi by potępić komunizm na płaszczyźnie metafizycznej, a nie ekonomicznej. Na tej drugiej, wiedzą, że niewiele wskórają. „Tak jak żaden porządek ekonomiczny nic wynika z Ewangelii, tak i żaden nie jest z nią sprzeczny. Nawet niewolnictwo" — pisze Berl i cytuje dla uzasadnienia tego twierdzenia list św. Pawła do Filemona.

Przestrzegając przed tego rodzaju demagogiczną argumentacją, która utrudnia i uniemożliwia prawdziwy dialog, Berl nawołuje do zdrowego rozsądku. Dialogu nie można prowadzić z pozycji zacietrzewionych głuszców. „Nabraliśmy złego przyzwyczajenia do nazbyt głośnego wykrzykiwania. Jest to o tyle niewygodne, że często sami siebie zagłuszamy. Trzeba odnaleźć granicę dzielącą przekonanie od oczadzenia i zaangażowanie od manii."

Wydaje się, że niektóre z uwag Berla mogą być dla nas cenne i to nie tylko jako świadectwo nastrojów w kołach zachodnich intelektualistów, tak pokrewnych tym, którym wyraz dała ostatnia *„Inostrannaja Litieratura"*.

jl

PABLO DIEGO JOSE FRANCISCO DE PAULA JUAN NEPOMUCENE CRISPIN CRISPINIANO DE LA SANTISSIMA TRINIDAD RUIZ

Tak brzmią w pełni imiona i nazwisko malarza, o którym znowu mówi cały Paryż. Trudno je wymówić jednym tchem, ale można je zastąpić jednym słowem: Picasso. Od czterech miesięcy stolica Francji entuzjazmuje się dwiema wystawami twórcy *Guerniki*. Jedna mieści się w Musée des Arts Décoratifs i obejmuje 145 obrazów, drugą — prezentującą 228 prac graficznych, oglądają Paryżanie w Bibliotece Narodowej. Sale wystawowe są wciąż przepełnione tłumem publiczności, czasopisma — relacjami krytyków.

Obecne wystawy różnią się od dawnych dwiema cechami. Po pierwsze, najpełniej z dotychczasowych demonstrują bogaty dorobek artystyczny, po wtóre są pierwszym oficjalnym hołdem złożonym Pablowi Picasso. Poprzednie ekspozycje miały zawsze charakter prywatny. Picasso osiedlił się przed pięćdziesięciu laty we Francji, a w przyszłym roku będzie obchodził 75-lecie urodzin — i z tej okazji urządzono mu sumptem państwowym dwie wystawy.

W kawiarniach, w metro, na ulicy często krzyżują się zdania o wielkim malarzu. Paryżanie żywo debatują o jego twórczości, chwalą, ganią, wodzą się za łby, ale nikt z nich nie przechodzi obok obrazów Picassa obojętnie. Podobne sceny widziałem tego roku w maju w demokratycznym Berlinie, gdzie oglądałem olbrzymi cykl rysunkowy Picassa w pawilonie wystawowym przy Friedrichstrasse. Trudno było wprost docisnąć się do gablot obleganych przez mieszkańców wschodnich i zachodnich

dzielnic. Czyż nie warto pomyśleć o urządzeniu u nas ekspozycji Picassowskiej grafiki, jeśli nie oryginałów, to przynajmniej reprodukcji?

k.

ZACHODNIO–NIEMIECKI BESTSELLER

Najpopularniejszą książką zachodnich krajów, w których panuje język niemiecki, jest powieść Benno Ziesera *Czerwone kule świetlne (Rote Leuchtkugeln)* wydana w „Europa-Verlag", mającym swe agendy w Stuttgarcie, Zurichu i Wiedniu.

Czerwone kule świetlne sygnalizowały w Wehrmachcie nieprzyjacielski atak. Powieść Ziesera opowiada o wojennych przygodach dziewięćnastoletniego maturzysty niemieckiego, którego hitlerowska maszyna wciągnęła w swoje tryby jako entuzjastę wojaczki, a wypluła jako zrezygnowanego rozbitka. Młody człowiek przechodzi kilka faz edukacji wojennej. Rozpoczyna ją tresura w niemieckich koszarach, uzupełnia bitwa pod Charkowem i w Zagłębiu Donieckim, a ostatecznego szlifu dokonuje Stalingrad. Autor odtworzył wstrząsająco niszczycielską siłę faszystowskiej soldateski i jej zgubne oddziaływanie na żołnierza niemieckiego. Zieser nie potrafi dociec najistotniejszych przyczyn ostatniej wojny światowej, ale umie z dużą ekspresją przedstawić grozę, bezsens i zbrodniczość kampanii wszczętej przez hitlerowskie Niemcy. Jego bohater opuszcza scenę wojny z poczuciem tragicznej rezygnacji oszukanego człowieka. Z powieści, które w Niemczech Zachodnich dotknęły tej tematyki, *Czerwone kule świetlne* wyróżniają się stosunkowo najprawdziwszym opisem bitwy stalingradzkiej i najsurowszą krytyką militarnej agresji Trzeciej Rzeszy. Książka Ziesera pod względem artystycznym góruje o niebo nad rozreklamowaną trylogią Helmuta Kirsta *08—15*. Zieser zadebiutował od razu jako dojrzały pisarz o dużym talencie epickim.

Byłoby dobrze, gdyby nasze wydawnictwa zainteresowały się możliwością wydania tej powieści w Polsce.

r.

JESZCZE O PLAKACIE

Jednym z chętnie importowanych za granicą towarów jest — zachwyt polską sztuką dekoracyjną i plakatem. W czasie Festiwalu czytaliśmy słowa uznania Nazima Hikmeta, obecnie dochodzą nas miłe echa z Wiednia i z Berlina. W austriackim *„Tagebuch"* Ina Jun-Broda tak oto opisuje swoje wrażenia z pobytu w Warszawie w dniach Festiwalu: „Nad nowoodbudowaną ulicą Nowy Świat rozpięte są druty, na nich powiewają na wietrze drukowane i malowane chusty i biało-niebieskie, wesołe korowody dziewcząt i chłopców, wykonane techniką wycinanek. Obok siebie naklejone są seriami — już samo powtarzanie potęguje wrażenie — najlepsze plakaty, z których trzy wydały mi się najpiękniejsze: dziewczęcy profil Olgi Siemaszkowej, z białym gołębiem na niebieskim polu, które jest okolone janusową głową czterech męskich profilów: białym, czerwonym, żółtym, czarno-brunatnym. Obok dyskobol Trepkowskiego, tylko głowa i tułów, kamienno-szary na jasnoniebieskim tle. Dysk wypełniony jest drobnymi i barwnymi kwadratami flag. Potem dumnie wzniesiona głowa dziewczęcia z gołębiem na ramieniu, kolor jasnoszary, czarny i ciemnoniebieski, jedyną barwną plamą jest znowu naszyjnik z prostokącików w kolorach różnych narodów.

Miałam wrażenie, że dekoracje festiwalowej Warszawy, lekkie i improwizowane, zapowiadają, że polscy artyści mają wszelkie dane ku temu, by szczęśliwie rozwiązać trudne zadanie: stworzyć własną, ludową sztukę, pełną radości i aprobaty życia."

Nie skąpi nam również komplementów niemiecki prozaik, Gotthold Gloger, który pisze w tygodniku *„Sonntag"*: „W kraju naszych sąsiadów pod tym względem rzecz ma się inaczej, lepiej i swobodniej. Oddychałem głęboko i czułem się dobrze. Wszystko, co widziałem, było zrobione ze smakiem. Na przykład plakaty i zachwycające dekoracje na Nowym Świecie... Cieszyłem się wprost trzepotaniem malowideł na górze i żywym obrazem na ulicy i celowo unikałem porównań z prowincjonalnym miastem Berlin."

k.

NIEDOPATRZENIE? SKUTKI KANIKUŁY?

W Nr. 34 *„Przeglądu Kulturalnego"* wydrukowano wiersz Leona Pasternaka *Do pewnego eskapisty,* którego adresat został wskazany aż nadto przejrzyście. Oczywiście, można się uśmiać, kiedy Pasternak pisze o jednym z najwybitniejszych naszych pisarzy: „ani jedno zdanie z ciebie nie zostanie". Tu Pasternak pokazał się rzeczywiście jako satyryk-humorysta, co prawda mimo woli. Ale wyzwisk w rodzaju „kulturalna stonko", „pies ci..." trudno nie nazwać wybrykiem chuligańskim, zadziwiającym i u Pasternaka, i na łamach pisma tak rzetelnie i świetnie zwalczającego chuligaństwo. Niedopatrzenie? Skutki kanikuły?

t.

KORESPONDENCJA

Do Redakcji „Twórczości"

W związku z artykułem Juliusza Gomulickiego *Personalna ankieta Stanisława Trembeckiego,* wydrukowanym w Waszym czasopiśmie, pozwólcie, że dorzucę następującą drobną informację:

Trembecki, jak wiadomo, w latach swojego pobytu w Petersburgu pracował jako urzędnik w bibliotece, obecnie Państwowej Bibliotece Publicznej im. Sołtykowa-Szczedrina. W archiwum Biblioteki zachował się nawet dokument o zwolnieniu Trembeckiego z pracy na jego własne żądanie, z powodu choroby. Biblioteka corocznie przekazywała Akademii Nauk relacje o swoich urzędnikach celem opublikowania ich w *„Miesiecosłow s rospisju czynownych osob w gosudarstwie".* W tym piśmie z r. 1802 i 1803 figuruje w spisie urzędników Biblioteki Imperatorskiej jako pierwszy *„Diejstwitielnyj Sztackij Sowietnik Stanisław Jakowlewicz Trembeckij",* co potwierdza wywody na ten temat Juliusza Gomulickiego.

Z koleżeńskim pozdrowieniem

I. Bekker
Leningrad

Książki nadesłane

LITERATURA PIĘKNA

Poezja i dramat

Leśmian Bolesław — *Wiersze wybrane*. Wybór i przedmowa Meczysława Jastruna. Tłoczenia na oprawę i karta tytułowa Jerzego Jaworowskiego. Warszawa, 1955. „Czytelnik", wyd. pierwsze; str. 288.

Tuwim Julian — *Wiosny i jesienie*. Wybór opracował Jerzy Ostrowski. Objaśnienia Tomasza Jodełki i Jana Józefa Lipskiego. Ilustracje i obwoluta Mieczysława Piotrowskiego. Okładka Stefana Bernacińskiego. Warszawa, 1955, „Iskry", wyd. II; str. 228, 1 knl. (portret)

Proza

Bubiennow M. — *Nieśmiertelność*. Przełożył Stanisław Niewiadomski. Okładkę i kartę tytułową projektował Janusz Grabiański. Warszawa, 1955, „Iskry", str. 205 i 3 nl.

Kuo Mo-żo — *Pisma wybrane*. Wybrał, opracował i posłowiem opatrzył Olgierd Wojtasiewicz. Warszawa, 1955, Państwowy Instytut Wydawniczy, wyd. IX; str. 205, 3 nl.

Sempołowska S. — *Na ratunek*. Obwolutę projektował Władysław Jabłoński. Warszawa, 1955, „Iskry", wyd. IX; str. 272, 4 nl.

Wodopjanow M. W. — *Droga lotnika*. Tłumaczył Adam Kurowski. Ilustrował i okładkę projektował Janusz Grabiański. Warszawa, 1955, „Iskry"; str. 298, 2 nl.

Pamiętniki

Panajew Iwan *rackie*. Przełożyła z rosyjskiego Jadwiga Dmochowska. Wiersze w przekładach Jana Brzechwy, Włodzimierza Boruńskiego, Jadwigi Dackiewicz, Mieczysława Jastruna, Anny Kamieńskiej, Stanisława Koźmiana, Leopolda Lewina, Stanisława Łempickiego, Czesława Mąkowskiego, Seweryna Pollaka, Juliana Tuwima. Warszawa, 1955, Państwowy Instytut Wydawniczy, wyd. I; str. 438, 2 nl.

Reportaże

Henel Stefan — *Spotkania nad brzegami*. Ilustrował i okładkę projektował Józef Mroszczak. Warszawa, 1955, „Iskry", str. 294, 2 nl.

PUBLICYSTYKA

Bidwell George — *Sylwetki powieściopisarzy angielskich XIX wieku*. Z rękopisu angielskiego przełożyła Anna Bidwell. Przejrzał i przypisami opatrzył Antoni Prejbisz. Okładkę projektował Jan S. Miklaszewski. Warszawa, 1955, „Czytelnik", wyd. I., str. 199, 1 nl.

Osmańczyk Edmund J. — *Azja w Genewie*. Zapiski korespondenta. Okładka wg. projektu Tadeusza Trepkowskiego. Warszawa, 1955, Państwowy Instytut Wydawniczy, wyd. I; str. 243, 1 nl.

ARCHITEKTURA

Zieleń Krakowa. Praca zbiorowa pod redakcją Jerzego Dobrzyckiego. Okładkę obwoluty i kartę tytułową projektował Kazimierz Wojtanowicz. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1955, str. 78, 2 nl., 72, 2 nl.

NAUKA O LITERATURZE

Błoński Jan — *Gałczyński 1945—1953*. Warszawa, 1955, Państwowy Instytut Wydawniczy; wyd. I; str. 87, 1 nl.

Budzyk Kazimierz — *Szkice i materiały do dziejów literatury staropolskiej*. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, 1955, Państwowy Instytut Wydawniczy, wyd. I; str. 364, 4 nl.

Markiewicz Henryk — *Krytyka literacka w walce o realizm socjalistyczny 1944—1954*. Warszawa, 1955, Państwowy Instytut Wydawniczy, wyd. I; str. 59, 1 nl.

Matuszewski Ryszard — *O poezji Władysława Broniewskiego*. Warszawa, 1955, Państwowy Instytut Wydawniczy, wyd. I; str. 105, 1 nl.

Opałek Kazimierz — *Myśl Oświecenia w Krakowie*. Okładkę projektował Kazimierz Wojtanowicz. Kraków 1955, Wydawnictwo Literackie; str. 254, 2 nl.

W listopadowym numerze „Twórczości"
poświęconym Adamowi Mickiewiczowi

piszą:

MARIA DĄBROWSKA

JEAN FABRE
(Francja)

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

LUDWIK HIERONIM MORSTIN

JAN PARANDOWSKI

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

JULIAN PRZYBOŚ

KAZIMIERZ WYKA

Cena zł 7.–